

M. JOHN HARRISON

NOVA SWING



LICZTA WYOBRAŹNI

M. JOHN HARRISON
NOVA SWING

Nova Swing

PRZEŁOŻYŁ MICHAŁ JAKUSZEWSKI



„Im dalej w Strefę, tym bliżej do nieba”.

Arkadij i Borys Strugaccy, *Piknik na skraju drogi*

„Nostalgia i science fiction mają ze sobą niesamowicie wiele wspólnego”.

A.A. Gill, *Sunday Times*

„Na życie każdego z nas składają się raczej urywki snów niż działania świadomej jaźni”.

John Gray, *Straw Dogs*

SPIS TREŚCI

[JEDEN BAR NA STRAINT STREET 5](#)

graph-definition>

[DWA DŁUGI BAR W CAFÉ SURF 20](#)

graph-definition>

[TRZY PŁYNNA MODERNA 36](#)

graph-definition>

[CZTERY W SEMIRAMIDE CLUB 57](#)

graph-definition>

[PIĘĆ DZIEWIĘCDZIESIĘCIOPROCENTOWY NEON 72](#)

graph-definition>

[SZEŚĆ W TANKU NA C-STREET 92](#)

graph-definition>

[SIEDEM KOSMOS W STYLU NOIR 113](#)

graph-definition>

[OSIEM FALE GRANICZNE 137](#)

graph-definition>

[DZIEWIĘĆ CZARNE I BIAŁE 164](#)

graph-definition>

[DZIESIĘĆ NOVA SWING 190](#)

graph-definition>

[PODZIĘKOWANIA 215](#)

JEDEN

BAR NA STRAINT STREET

Vic Serotonin siedział w barze na Straint Street, tuż poza aureolą strefy zdarzenia Saudade, pogrążony w rozmowie z grubasem z innej planety, posługującym się imieniem Antoyne. Całą noc spędzili na grze w kości. Zbliżał się już świt i lokal wypełniało wypełzające z ulicznych latarni brązowe światło, jaskrawe, lecz zarazem dość słabe.

– Nigdy nie byłem wewnątrz – przyznał grubas, mając na myśli strefę zdarzenia – ale sędzę...

– Antoyne, jeśli masz zamiar opowiadać bzdury, nawet nie zaczynaj – ostrzegł go Serotonin.

Grubas zrobił urażoną minę.

– Kup sobie następną kolejkę – poradził mu Vic.

Bar był usytuowany mniej więcej w połowie długości Straint Street, wąskiej, zatłoczonej ulicy pełnej jednopiętrowych budynków. Jakies dwie trzecie z nich miało okna zabite deskami. Jak na wszystkich ulicach w tej części Saudade, roiło się tu od kotów, zwłaszcza o świcie i o zmierzchu, gdy przekraczały w obie strony granicę strefy zdarzenia. Zapewne z tego właśnie powodu bar nosił nazwę Czarny Kot, Biały Kot. Był tu obity cynkową blachą kontuar, trochę za wysoki, by można było przy nim wygodnie usiąść. Szereg butelek zawierających płyny o nieprawdopodobnych kolorach. Kilka stolików. Długie okno łatwo zachodziło parą, ale nie przeszkadzało to nikomu poza Antoyne'em. Rankiem bar wypełniał smród czosnku, utrzymujący się po nocy. Niekiedy wyczuwało się też odór stęchlizny, jakby po ciemku coś zakradło się tu z aureoli strefy zdarzenia i po kilku próbach oddychania barowym powietrzem dokonało żywota pod stolikiem w rogu. Operatory-cienie wisiały wysoko w spojeniach ścian z sufitem, jak pajęczyny. Nie miały tu zbyt wiele do roboty.

Vic – to był skrót od Vico, imienia popularnego na Scienza Nuova, gdzie się urodził – spędzał w barze większość dni. Tu się stołował i tu prowadził swój interes. Bar służył mu też jako skrytka pocztowa oraz miejsce spotkań z klientami, przede wszystkim jednak był tak zwaną meliną wyjściową, ulokowaną w korzystnym miejscu – niezbyt daleko od strefy zdarzenia, lecz nie na tyle blisko, by jego efekty były wyczuwalne. Lokal miał też inną zaletę: Vica łączyły przyjazne stosunki z jego właścicielką, kobietą o nazwisku Liv Hula, która nie wynajęła kierownika, lecz osobiście prowadziła lokal przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ludzie uważali ją za barmankę, ale to jej nie przeszkadzało. Nie miała w zwyczaju narzekać. Była jedną z tych kobiet, które zapadają się w siebie po czterdziestce – niska, chuda, siwe, ostrzyżone na jeża włosy, kilka inteligentnych tatuaży na masywnych przedramionach i wyraz twarzy sugerujący, że nieustannie błądzi gdzieś myślami. W barze grała muzyka. Liv Hula lubiła alternatywne rytmy i słonowodny dub, popularne przed kilku laty.

– Hej, daj grubasowi spokój – skarciła Vica. – Każdy ma prawo do swojego zdania.

Serotonin spojrział na nią ze zdumieniem.

– Nawet nie zamierzam ci odpowiadać.

– Miałeś kiepską noc, Vic?

– Powinnaś to wiedzieć. Byłaś tu ze mną.

Nalała mu kolejkę rumu Black Heart, a grubasowi tego, co tam właściwie pił.

– Powiedziałałabym, że byłeś tu sam, Vic – sprzeciwiła się. – Przez większość czasu.

Oboje parsknęli śmiechem. Potem spojrziała w stronę otwartych drzwi baru za jego plecami.

– Chyba masz klientkę – oznajmiła.

Kobieta stojąca w wejściu była nieco za wysoka, by nosić modne aktualnie buty na obcasach.

Miała długie, szczupłe dłonie, a jej wygląd sugerował wewnętrzny spokój zmieszany z nerwowością, co często widziało się u turystek. Otaczała ją aura niepewności. Sprawiała wrażenie eleganckiej, lecz jednocześnie zakłopotanej, jakby musiała dopiero się uczyć nosić ubranie albo ten talent nie rozkwitł w niej do końca. Mogłoby się zdawać, że zgubiła drogę. Przyszła do baru odziana w czarny dwuczęściowy kostium, złożony ze skąpego, ciasnego żakietu oraz sięgającej połowy łydek spódnicy z kontrafałdą, na który włożyła długie futro barwy miodu. Stała w drzwiach wyraźnie skrepowana. Zza jej pleców do środka napływał zimny blask Straint Street. W świetle padającym przez okno jej twarz nie prezentowała się zbyt korzystnie.

– Przepraszam, czy...

Tak brzmiały pierwsze słowa kobiety.

Gdy tylko się odezwała, operatory-cienie natychmiast się rozwinęły i napłynęły ku niej ze wszystkich kątów sali, by wirować wokół jej głowy jak duchy, nietoperze, kawałki papieru, dym albo staruszki ściskające antyczne medaliony z kosmykami włosów. Potrafiły rozpoznać przedstawicieli warstw uprzywilejowanych.

– Ojej – szeptały. – Cóż za piękne dłonie.

– Czy możemy w czymś...

– Możemy ci w czymś pomóc, skarbie?

– Cóż za piękne, piękne dłonie!

Liv Hule wyraźnie to rozbawiło.

– Do mnie nigdy tak nie mówią – przyznała, zwracając się do kobiety w futrze. Nagle ujrzała wizję własnego życia, wypełnionego niemal wyłącznie ciężką harówką, nawet w rzadkich, pamiętnych chwilach uniesienia.

– Chodzi ci o Vica. On siedzi tam – oznajmiła.

Zawsze wskazywała go klientom, a potem umywała ręce. Tym razem Vic się ucieszył. Miał mało pracy. To był kiepski rok, choć liczba statków stojących w turystycznym porcie na to nie wskazywała. Vic miał się za inteligentnego, pełnego determinacji człowieka, ale kobiety uważały go za słabego i rozdieranego konfliktami. Były jednak skłonne uważać to za nieudaną próbę udawania zniewieściałości, co wydawało im się atrakcyjne. Vic złapał w barze z Grubym Antoine'em i Liv Hule już od kilku tygodni, lecz nadal wyglądał młodo jak na swój wiek. Zwrócił się w jej stronę, trzymając ręce w kieszeniach, i nieznajoma skierowała się ku niemu, jakby był jedynym punktem orientacyjnym dostępnym w barze. Im bliżej podchodziła, tym mniej pewnie wyglądała. Jak większość klientów, nie wiedziała, od czego zacząć.

– Chcę, żebyś mnie tam zaprowadził – odezwała się wreszcie.

Vic uniósł palec do ust. Wolałby usłyszeć mniej śmiałe słowa.

– Nie tak głośno – zasugerował.

– Przepraszam.

Wzruszył ramionami.

– Nie ma sprawy.

– Wszyscy tu jesteśmy przyjaciółmi – zapewniła Liv Hula.

Vic obrzucił ją pytającym spojrzeniem, które po chwili przerodziło się w uśmiech.

Kobieta również się uśmiechnęła.

– Do strefy zdarzenia – uściśliła, jakby ktokolwiek mógł mieć wątpliwości.

Na jej gładkiej twarzy odbiły się jakieś nie do końca zrozumiałe dla Vica tęsknoty. Mówiąc, odwróciła od niego wzrok. Powinno mu to dać do myślenia, on jednak zaprowadził ją do stolika, gdzie przez pięć minut rozmawiali ze sobą cicho. Zapewnił ją, że nic nie mogłoby być łatwiejsze od

tego, czego pragnie. Musiała jednak zdawać sobie sprawę z ryzyka. Nie wolno było lekceważyć czyhających tam zagrożeń. Postąpiłby głupio, gdyby nie powiedział jej tego jasno. Głupio i nieodpowiedzialnie, dodał. Pieniądze przeszły z rąk do rąk. Potem oboje wstali i opuścili bar.

– Kolejny jeleń przy paśniku – mruknęła Liv Hula, tak głośno, że Vic przystanął w drzwiach.

Antoyne przechwalał się, że był nawigatorem u Eda Chinola. Spędzał dni, wsparty łokciami o bar, gapiąc się na K-statki, opadające z nieba nad domami po przeciwnej stronie ulicy. Większość ludzi wątpiła, by rzeczywiście z kimkolwiek latał, ale potrafił pojąć aluzję i trzymać gębę na kłódkę. Poza tą opowieścią mówił o sobie tylko jedno:

– Grubas imieniem Antoyne gównu wszystkich obchodzi.

– Pod tym względem masz świętą rację – powtarzała mu często Liv Hula.

Po wyjściu Vica, w barze zapadła cisza. Operatory-cienie uspokoiły się i wróciły do kątów pod sufitem, przywracając im znajomy wygląd. Antoyne przyjrzał się stolikowi, a potem przeniósł wzrok na Liv Hule.

Mogłoby się zdawać, że zaraz zaczną rozmawiać o Vicu albo o kobiecie, ale żadne z nich nie miało nic do powiedzenia. Grubas był zły na Liv Hule za to, że broniła go przed Vikiem Serotoninem. Odsunął nagle krzesło. Nogi mebla zgrzytnęły płacząco na drewnianej podłodze. Antoyne wstał, podszedł do okna i starł z niego parę otwartą dłonią.

– Jest jeszcze ciemno – zauważył.

Liv Hula musiała przyznać, że to prawda.

– Hej – dodał. – To Joe Leone.

Fasady po przeciwnej stronie ulicy były krzywe i wypaczone, jakby budynki utraciły wiarę w swą strukturalną integralność. Mieściły się w nich tanie przybytki krawieckie, specjalizujące się w kosmetyce i jednorazowych kultywarach. Właściwie nie można ich było nazwać „salonami”. Były na to zbyt nędzne. Napływała do nich garstka klientów od wuja Suwaka albo z salonów Nueva Cut, znajdujących się w śródmieściu, wykonywały też zamówienia dla chłopaków-cieni, takich jak Joe Leone. Joe włókł się właśnie ulicą, przytrzymując się murów i płotów. Siły opuszczały go co chwila, ale wkrótce wracały. Padał, czekał minutkę i podnosił się znowu. Kosztowało go to sporo wysiłku. Można było zauważyć, że ściska coś w jednej ręce. Drugą trzymał się płotu. W miarę, jak się zbliżał, na jego twarzy pogłębiało się zdziwienie.

Antoyne otoczył usta wilgotnymi dłońmi i zawołał głosem sprawozdawcy sportowego z Radia Retro:

– ...czy tym razem zdoła dotrzeć do celu?!

– Pamiętaj, żeby nas zawiadomić, gdy odzyskasz człowieczeństwo – burknęła Liv Hula.

Grubas wzruszył ramionami i odwrócił się od okna.

– To łatwe pytanie – stwierdził normalnym głosem. – Do tej pory zawsze mu się udawało.

Joe nadal włókł się przed siebie. Kiedy podszedł bliżej, można było zobaczyć, że krawcy zrobili coś z jego twarzą, nadali jej nieco lwi wygląd. Była biała i spocona, ale brakowało jej odpowiedniej mimiki. Ich zabiegi upodobniły ją do wykutej z jednego kawałka rzeźby, mimo że przed wysokim czołem i kośćmi policzkowymi mężczyzny kołysały się długie włosy. Joe zwał się na ziemię przed jedną z rzeźni genetycznych i przestał się ruszać. Po paru minutach pojawiło się dwóch mężczyzn prawie tak samo potężnych jak on i wciągnęło go do środka.

Joe zaczął walczyć, kiedy miał siedem lat.

– Nigdy nie bij drugiego, synku – tłumaczył mu cierpliwie ojciec – bo ten drugi to również ty.

Joe Leone nie potrafił tego zrozumieć. Nawet kiedy miał siedem lat, choć wszyscy się zgadzali,

że wówczas jego inteligencja osiągnęła punkt szczytowy. Lubił walczyć. Gdy osiągnął dwanaście lat, stało się to jego zawodem. Stał się jednym z chłopaków-cieni i od tej pory żył w jednorazowych kultywarach. Lubił kły, inteligentne tatuaże, i spodnie sznurowane po bokach. Joe nie miał własnego ciała. Kultywary kosztowały go tak wiele, że nie był w stanie zaoszczędzić pieniędzy na odkupienie go. Codziennie wkraczał na ring, by robić to samo, co zawsze. Coraz bardziej mieszało mu się w głowie.

– Nie zliczę, ile razy widziałem własne flaki. Hej, i co z tego? Utrata flaków to nic złego. Gorzej jest przegrać walkę.

Potem wybuchał śmiechem i stawiał rozmówcy jeszcze jedną kolejkę.

Codziennie z ringu wynoszono zmasakrowanego kultywara, a następnego dnia Joe Leone szedł do krawca na Straint Street i wychodził od niego gotowy do następnej walki. To było męczące, ale kochał takie życie. Liv Hula nigdy nie brała od niego pieniędzy za alkohol. Wszyscy wiedzieli, że darzy go sympatią.

– Te walki są głupie i okrutne – oznajmiła grubasowi.

Antoyne miał wystarczająco dużo rozumu, by wiedzieć, że nie należy się jej sprzeciwiać.

– Zajmowałaś się czymś, nim otworzyłaś bar? – zapytał po chwili, szukając czegoś, o co mogliby się pokłócić.

Rozciągnęła usta w pozbawionym życia uśmiechu.

– Paroma rzeczami – odparła.

– A jak to się stało, że nigdy o nich od ciebie nie słyszałem?

– I tu mnie masz, Antoyne.

Czekała na odpowiedź grubasa, ale jego uwagę przyciągnęło kolejne wydarzenie rozgrywające się na Straint Street. Ponownie wytarł parę i przycisnął twarz do szyby.

– Irene trochę się dziś spóźniła – zauważył.

Liv Hula pośpiesznie znalazła sobie coś do roboty za barem.

– Naprawdę? – zapytała.

– Minutę albo dwie.

– Cóż dla niej znaczy tak krótki czas?

Liv Hula była przekonana, że walki to idiotyczny sposób zarobkowania. Idiotyczny pomysł na życie. Do chwili, gdy poznał Irene, jedyną ambicją Joego Leone było dorównanie głupotą obrazowi, jaki prezentował publicznie. Potem zrobiło się jeszcze gorzej. Irene była Moną i zapracowała na dobrą opinię w niekorporacyjnym porcie kosmicznym. Była drobna, niecały metr sześćdziesiąt w przezroczystych poliuretanowych butach na wysokich obcasach, a puszyste blond włosy nadawały jej bardzo seksowny wygląd. Jak wszystkie produkty wuja Suwaka, miała w sobie coś organicznego, coś realnego. Widziała, jak Joe Leone walczy, i gdy już poczuła woń jego krwi, nie mogła go zostawić w spokoju. Każdego ranka, gdy wracał do krawca, ona również się zjawiała. Oboje byli żywymi symbolami branży usług seksualnych i branży walk na ringu. Gdy byli razem, trudno było określić które której. Sami w sobie tworzyli nową postać rozrywki.

Irene zaczęła się dobijać do drzwi rzeźni genetycznej.

– Jak myślisz, ile czasu każą jej wrzeszczeć, nim wreszcie otworzą? – zapytał gruby Antoyne.

Liv Hula znalazła na pokrywającej kontuar blasze plamę przypominającą kształtem mapę i gapiała się na nią z zaciekawieniem.

– Nie wiem dlaczego mnie pytasz – mruknęła.

– Ona coś do niego czuje – ciągnął Antoyne, próbując wykorzystać szansę. – Temu nie sposób

zaprzeczyć. Nikt w to nie wątpi. Jezu – dodał – popatrz na te cycki.

Spróbował sobie wyobrazić, że Joe Leone spoczywa martwy i rozpuszczony w tanku, jego kości i narządy wewnętrzne na nowo składają się w całość, a Irene uśmiecha się do niego półgębkiem jak każda Mona. Wic polegał na tym, że Irene była takiego samego zdania, jak Liv Hula. Co rano kazała, by przynieśli jej stare drewniane krzesło, i ustawiała je przy tanku Joego, ozdobionym jego wyblakłym sloganem „Bez środków przeciwbólowych”. Siadała na krześle, ignorując migotanie różowych LED-ów, które i tak były tylko na pokaz, i patrzyła, jak wypełniający zbiornik proteom pluska niczym ciepła ślina, wywołując kaskady autokatalizy w substracie czterdziestu tysięcy rodzajów cząsteczek. Płyn wymieniano co dwadzieścia minut, by wypłukać niepożądane produkty, których nie zdołałyby wyeliminować normalne procesy chemiczne. Nie mogła znieść towarzyszącego temu mlaskającego dźwięku.

Pewnego dnia nie wrócisz, powtarzała Lwu. Jeszcze jedna walka i będziesz miał u mnie przesrane. Joe był już jednak algorytmem, przebywał gdzieś w przestrzeni operatorowej. Wybierał sobie z katalogu nowe kły, dostosowując je do swych układów glikolitycznych. Nie słyszał ani jednego jej słowa.

Och, Joe, mówię poważnie, powtarzała. Jeszcze jedna walka.

Liv Hula czasami również patrzyła na rakiety.

Tuż przed świtem stała przy oknie razem z grubasem, by patrzeć na dwa baryłkowate, błyszczące jak mosiądz frachtowce, startujące z korporacyjnego portu kosmicznego. Potem z wojskowych hangarów wynurzył się K-statek, ciągnący za sobą szeroką, białą smugę kondensacyjną z silnika fRAM. W poświacie brzasku twarz kobiety miała nadspodziewanie ciepły wyraz. Trakt Kefahuchiego zniknął już z nieba, przypominającego uchyloną pokrywkę, odsłaniającą wąską, jasnozieloną łunę przedświt, widoczną na wschodnim horyzoncie. Wkrótce nadejdzie wiatr od morza, niosący wąskim korytarzem Straint Street nisko wiszące mgły ze strefy zdarzenia. Dla najróżniejszych ludzi stanie się to sygnałem rozpoczynającym dzień. Liv Hula i grubas Antoyne obserwowali K-statek, przecinający niebo jak nożyczki.

– Leciałeś kiedyś takim statkiem, Antoyne? – zapytała kobieta.

Mężczyzna zamrugnął, odwracając głowę.

– To niepotrzebne – poskarżył się. – Po co ten sarkazm?

W tej samej chwili do baru wrócił Vic Serotonin. Szedł szybko, oglądając się za siebie. Wyglądał na człowieka mającego dzień zepsuty od samego rana. Twarz miał pobladłą, a z otarcia na policzku sączyły się kropelki krwi. Najwyraźniej przed chwilą brodził w oleistej wodzie, a rękaw zapinanej na zamek błyskawiczny gabardynowej kurtki był w połowie oderwany na ramieniu. Liv Hula natychmiast pomyślała, że wygląda to tak, jakby ktoś złapał Vica za rękaw, gdy padali na ziemię, choć nie wiedziała, dlaczego miałoby się to stać.

– Jezu, Vic – mruknęła.

– Nalej mi kolejkę – zażądał Serotonin.

Dotarł do środka sali, jakby chciał wypić trunek przy barze, a potem zmienił nagle zdanie i usiadł za najbliższym stolikiem. Najwyraźniej nie miał pomysłu, co robić dalej. Kilka operatorów-cieni oddzieliło się od sufitu, by mu się przyjrzeć, ale patrzył przez nie na wskroś.

– Kurwa – powtarzał cichym, zaskoczonym głosem. Po chwili jego oddech się uspokoił.

Natychmiast po przyjściu Vica grubas zapomniał o urażonych uczuciach. Przysunął sobie krzesło i zaczął mu o czymś opowiadać, pochylając się nad blatem z takim entuzjazmem, że krawędź stolika wrzynała się w jego miękkie ciało. W cichym głosie Antoyne'a pobrzmiwała niecierpliwość, od

czasu do czasu dało się zrozumieć kilka słów. „Entradista”, „twarde promienie X”, „Ed Chinol”. Vic spoglądał przez niego na wskroś.

– Zamknij się albo cię zastrzelę – odezwał się po chwili.

Zrozpaczony grubas odwrócił wzrok. Powiedział, że chce tylko otrzymać tu szansę i Vic powinien mu ją dać. Z trudem powstrzymywał łzy.

– Przepraszam – mruknął Serotonin, ale myślał już o czymś innym. Ledwie dostrzegł Liv Hulę, która przyniosła mu szklaneczkę i usiadła przy stoliku, mówiąc:

– Black Heart, Vic, taki jak lubisz.

– Kurwa – powtórzył.

– Gdzie się podziała ta kobieta, Vic?

– Nie mam pojęcia.

– Nie chciałam usłyszeć, że ją tam zostawiłeś.

– Nie wytrzymała nerwowo i związała. Jest gdzieś w aureoli. Antoyne, wyrzyj na ulicę i powiedz mi, czy kogoś tam widzisz.

– Chodzi mi tylko o szansę uzyskania akceptacji – oznajmił grubas.

– Antoyne, nie pierdol.

– Nikt tego nie rozumie.

Serotonin otworzył usta, chcąc coś dodać, ale nagle jakby zapomniał o tamtym.

– Nigdy nie widziałem takiej paniki – wyznał, kręcąc głową. – Nie można nawet powiedzieć, że weszliśmy do strefy. Dzisiaj jest kiepsko, ale bywało gorzej.

Opróżnił szklaneczkę i odstawił ją na stolik. Zamiast ją zabrać, Liv Hula złapała go za nadgarstek.

– Jak kiepsko jest? – zapytała. Nie puściła Vica, dopóki jej nie odpowiedział.

– Wszystko się porusza – przyznał. – Widywałem gorsze rzeczy, ale z reguły dalej, w głębi strefy.

– Gdzie ona jest, Vic?

Roześmiał się. To był śmiech, który praktykował zbyt często.

– Już ci mówiłem – zaczął zmęczonym tonem. – Gdzieś w aureoli. Nie zdołaliśmy dotrzeć dalej.

Nagle związała między budynki. Widziałem tylko jedwabne pończochy i to pierdolone futro, a w następnej chwili nie było już nic. Słyszałem jeszcze, jak skądś wołała, ale dałem sobie spokój. Należ mi jeszcze jedną kolejkę, Liv, albo nie wiem co zrobić.

– Nawet nie próbowałeś jej szukać, Vic – oskarżyła go Liv Hula.

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

– Zostałeś w bezpiecznym miejscu, zawołałeś ją ze dwa razy i wróciłeś do domu.

– Vic nigdy by tego nie zrobił – zapewnił ze złością grubas. Nikt nie zamierzał wygłaszać przeciwnej opinii. – Hej, Vic. Powiedz jej. Nigdy byś tego nie zrobił! – Wstał z krzesła. – Wychodzę na ulicę. Będę miał oczy otwarte, jak tego chciałeś. Krzywdzisz Vica Serotonina, jeśli myślisz, że mógłby tak postąpić – oznajmił kobiecie.

Zaraz po jego wyjściu Liv Hula podeszła do baru i naląła Vicowi drugą kolejkę rumu. Serotonin potarł twarz dłońmi, jak ktoś, kto jest okropnie zmęczony i nie widzi już przed sobą drogi w życiu. Jego twarz wyglądała starzej niż w chwili, gdy wychodził z baru. Stała się posępna i przygnębiona, jego oczy przybrały na pewien czas błagalny wyraz, który pewnego dnia miał w nich pozostać na stałe.

– Nie wiesz, jak tam jest – oznajmił kobiecie.

– Pewnie, że nie wiem – zgodziła się. – Tylko Vic Serotonin to wie.

– Ulice nachodzą na siebie, wszystko z minuty na minutę traci synchronizację. Geografia nie

funkcjonuje. W całym tym syfie nie ma ani jednego fragmentu stałej architektury. Jeśli ktoś zboczy ze znanej ścieżki, jest zgubiony. We dnie i w nocy słychać szczekanie bezdomnych psów. Wszystko usiłuje utrzymać się na powierzchni.

Liv nie pozwoliła mu wykręcić się tak łatwo.

– Jesteś zawodowcem, Vic – przypomniała mu. – Oni są klientami. Tu masz rum, jeśli chcesz. – Wsparła się łokciami o bar. – To ty musisz nad sobą panować.

Jej słowa go rozbawiły. Przełknął trunek jednym haustem i jego twarz odzyskała kolory. Oboje spojrzeli na siebie nieco przyjaźniejszym wzrokiem, ale Vic jeszcze z nią nie skończył.

– Hej, Liv – zaczął cicho po chwili czy dwóch. – Jaka jest różnica między tym, co widziałas, a tym, kim jesteś? Chcesz się dowiedzieć, jak tam jest? Prawda wygląda tak, że poświęcasz całe lata na próby zrozumienia tego wszystkiego i to nie pozostaje bez śladu.

Wstał i podszedł do drzwi.

– Przestań się opierdalać, Antoyne! – zawołał. – Kazałem ci patrzeć, to patrz.

Grubas, który przetruchtał kawałek pod wiatr, by rozjaśnić sobie w głowie, a także przekonać się, czy zdoła zobaczyć Monę Irene przez szczeliny między deskami w oknie rzeźni, podbiegł do niego z uśmiechem. Drżał na zimnie.

– Antoyne może nam o tym opowiedzieć – oznajmił Vic Serotonin. – Wszystko, co wie.

– Daj mu spokój.

– Byłeś tam w chwili, gdy wszystko się rozpada, Antoyne?

– Nigdy tam nie byłem, Vic – odparł pośpiesznie grubas. – I nigdy nie twierdziłem, że jest inaczej.

– W chwili, gdy wszystko nagle zniknęło i nie masz pojęcia, co pojawiło się w zamian? Powietrze przypomina surowe ciasto. Nie chodzi mi o zapach, tylko o strukturę. Na każdym rogu są zepsute telefony przybite do murów. Na wszystkich jest napis „Mów”, ale nie ma przewodów. Dzwonią, ale nikt nigdy ich nie odbiera.

Liv Hula przyjrzała mu się, a potem wzruszyła ramionami.

– Vic zawsze się wścieka, kiedy traci klientów – wyjaśniła grubasowi.

– Pieprzę cię – oznajmił Vic Serotonin. – Pieprzę was oboje.

Odsunął od siebie szklaneczkę i wyszedł z baru.

Po jego odejściu w lokalu znowu zapadła cisza. Choć Liv Hula i grubas chcieli rozmawiać, byli uwięzieni we własnych myślach. Wiatr od morza słabł. Robiło się coraz jaśniej, aż wreszcie nie mogli już zaprzeczyć, że nadszedł świt. Kobieta umyła i wytarła szklaneczkę Vica Serotonina, a potem ostrożnie postawiła ją na miejsce, za barem. Następnie poszła do pokoju na górze. Miała ochotę się przebrać, ale gapiała się tylko z przypominającym narastającą panikę uczuciem na niezasałane łóżko, pojemnik na pościel i nagie białe ściany.

Powinnam się stąd wynosić, pomyślała. Natychmiast się przeprowadzić.

Gdy znowu zeszła na dół, Antoyne stał już pod oknem. Wspierał ręce na parapecie, gapiąc się na kolejne statki startujące z korporacyjnego portu kosmicznego. Odwrócił się lekko, jakby chciał coś powiedzieć, ale, nie otrzymawszy zachęty, zwrócił się z powrotem w stronę okna.

Po drugiej stronie ulicy ktoś otworzył drzwi rzeźni.

Po krótkiej, cichej walce, na ulicę wyszła Mona Irene. Postąpiła parę niepewnych kroków, kierując niewidzące spojrzenie w obie strony ulicy, jak pijak poddający ocenie intensywny ruch, a potem usiadła zniecierpliwiona na krawężniku. Drzwi zatrasnęły się za nią. Irene uniosła spódnicę. Antoyne wtulił twarz w szybę.

– Hej – wyszeptał.

Tymczasem Irene postawiła na chodniku małą czerwoną kosmetyczkę z błyszczącego poliuretanu i zaczęła grzebać w niej jedną ręką. Nadal tam tkwiła, pokazując wszystko, co miała, pociągając nosem i ocierając oczy, gdy po jakichś dwóch, trzech minutach ze strefy zdarzenia Saudade napłynęła bezgłośnie, czujna fala kotów.

Któż mógłby zgadnąć, ile ich było? Co ciekawe, ani jeden nie był pręgowany, tylko czarne albo białe. Gdy opuszczały strefę, wyglądało to jak model jakiegoś chaotycznego, mieszanego pływu, którego rezultatów nie sposób przewidzieć, mimo że wszystkie elementy są deterministyczne. Wkrótce wypełniły całą Straint Street, przynosząc ze sobą ciepło swych ciał, a także intensywny, lecz całkiem przyjemny zapach kurzu. Mona podniosła się z trudem, ale koty poświęcały jej równie mało uwagi jak ulicznym latarniom.

Irene urodziła się na planecie o nazwie Perkins Rent. Kiedy ją opuszczała, była wysoka i koścista, miała wielkie stopy i poruszała się niezgrabnie. Uśmiechając się, odsłaniała dziąsła, a włosy malowała sobie w miedziane fale, tak gęste i splątane, że mogła odbierać sygnał bazowy, najbardziej podstawową transmisję radiową wszechświata. Śmiała się słodko. Weszła na pokład rakiety w wieku siedemnastu lat. W walizce miała żółtą, bawełnianą suknię w stylu przypominającym imitację *art deco*, tampony i cztery pary butów na wysokich obcasach.

– Uwielbiam buty – tłumaczyła ludziom, gdy była pijana. – Uwielbiam buty.

Właśnie w takie dni było najlepiej ją spotkać. Była skłonna łączyć za tobą przez dwa tygodnie, nim przerzuciła się na kogoś innego. Kochała raketowych chłopaków.

A teraz stała na ulicy z zalaną łzami twarzą i gapiała się na opływające ją ze wszystkich stron koty z Saudade, aż wreszcie Liv Hula przeszła ostrożnie przez strumień zwierząt i przyprowadziła ją do baru.

– Co mogę dla ciebie zrobić, kochanie? – zapytała, posadziwszy Monę na krześle.

– Tym razem umarł – odparła Irene.

– Nie wierzę w to – rzekła Liz Hula. Natychmiast wzięła się w garść, zamknęła w sobie, by odgrodzić się od tego faktu.

– Tym razem umarł, to wszystko – powtarzała jednak bezładnie Irene, utrudniając Liz zachowanie dystansu. Ujęła rękę właścicielki baru i przycisnęła ją sobie do policzka, mówiąc, że jej zdaniem mężczyźni z jakiegoś tajemniczego powodu nie nadają się do życia w większości jego aspektów.

– Też zawsze tak sądziłam – zgodziła się Liz Hula.

Irene znowu się rozplakała i musiała wyjąć lusterko z kosmetyczki.

– Zwłaszcza do tych najlepszych – wymamrotała.

Później, gdy Antoyne podszedł do niej, próbując nawiązać rozmowę, pozwoliła mu podziwiać całe bogactwo swej urody. Kupił jej drinka, który przybrał te same kolory co jej spódnica, różowy i żółty. Powiedział, że coś takiego piją na jakiejś głupiej planecie, którą kiedyś odwiedził, pięćdziesiąt światła stąd.

– Byłam tam, Gruby Antoyne – odpowiedziała ze smutnym uśmiechem.

Przyszło jej na myśl, że tamta – oryginalna – Irene nie radziła sobie zbyt dobrze, gdy została sama. Siadała na łóżku, w jednym czy drugim miejscu, i wsłuchiwała się w deszcz, próbując wziąć się w garść. Z drugiej strony, nigdy nie brakowało jej ambicji. Gwiazdy halo były dla niej jednym wielkim neonem, mówiącym: „Tyle butów, ile tylko zdołasz zjeść”. Gdy kupowała pakiet Mony, krawiec obiecał, że jej włosy zawsze będą pachniały jak miętowy szampon. Przejrzała wszystkie katalogi i zdecydowała, że tego właśnie chce, więc krawiec spełnił jej życzenie. Na ulicach Saudade okazało się to bardzo użyteczne.

– Byłam tam – poinformowała Antoyne'a, pozwalając mu poczuć miętowy zapach. – I bardzo się cieszę, że spotkałam kogoś, kto również tam był.

Grubasa to zachęciło, jak zachęciłoby każdego mężczyznę. Kiedy Irene dopiła drinka, nadal siedział przy niej, próbując ją zabawić opowieściami o miejscach, które widział, gdy jeszcze latał raketami. Mona jednak widziała wszystkie te miejsca – a także wiele innych, pomyślała Liv Hula – co znaczyło, że Gruby Antoyne dostał już wszystko, co mógł otrzymać za cenę jednego taniego koktajlu. Liv obserwowała ich z dystansu, jej myśli ogarnął zamęt i nie dbała, jak to się skończy. Nawet Antoyne w końcu zdołał sobie uświadomić, jak stoją sprawy. Odsunął ze zgrzytem krzesło i wrócił na swe miejsce przy oknie. Która była godzina? Jak to się stało, że tu wylądował? Wyrzwał na ulicę.

– Jest już dzień – poskarżył się. – Hej, wiesz co? Naprawdę go szanowałem.

Tymczasem strumień kotów nadal płynął ulicą niczym problem z zakresu mechaniki statystycznej. Wreszcie – bez żadnych oznak słabnięcia czy przerzedzania się – urwał się nagle i ulica opustoszała. Po drugiej stronie, w przybytku krawieckim, białka składające się na ciało Joego Leone spływały już do kanału.

Górujące nad budynkami statki wycieczkowe stojące w cywilnym porcie kosmicznym skrywała częściowo mgła. Tymczasem na wąskich uliczkach pojawiły się riksarki i chłopaki od tatuaży, przewożący turystów z New Café Al Aktar do Moneytown, z Kościoła na Skale do Kościoła Rocka. Unoszące się wokół nich strzępy i zasłony operatorów-cieni szeptały: „To widok, który każdy powinien ujrzeć, dyskurs przeciwieństw”. O ósmej całe Saudade wypełniły futra koloru miodu albo kasztanowego, skrojone tak, by łopotwały na wietrze jak lżejsze tkaniny. Czyje pieniądze za tym stały? Skąd pochodziły? Z pewnością spoza planety. Od jakiejś korporacji. Bez względu na to, jak okrutne interesy je zrodziły, nie można było zaprzeczyć, że futra są piękne.

Wkrótce po tym, jak ostatni kot zniknął w mieście, do baru weszła klientka Vica.

On wrócił z wyprawy brudny, ona zaś czysta. Nie zaszły w niej żadne zmiany poza tym, że ramiona miała lekko przygarbione, a twarz zamieniła się w nieruchomą maskę. Ręce schowała do kieszeni futra. Niczego nie utraciła, ale trzymała głowę nieco ostrożniej niż przedtem, zawsze patrząc przed siebie, jakby bolała ją szyja, albo jakby starała się nie zauważać czegoś, co widziała kącikiem oka. Czyniło to język jej ciała trudnym do odczytania. Usiadła niepewnie przy stoliku pod oknem, założyła nogę na nogę i cichym głosem zamówiła drinka.

– Czy ktoś mógłby przekazać tamtemu facetowi resztę jego honorarium? – zapytała po chwili.

Antoyne wyprostował się ochoczo.

– Ja to zrobię – zaproponował.

– Nie zrobisz – zgasiła go Liv Hula. – Vic to świnią. Porzucił cię w strefie. Nic mu nie jesteś winna.

– Mimo to, uważam, że należy mu się reszta zapłaty – sprzeciwiła się kobieta. – Pieniądze są tutaj. Właściwie to było w porządku – ciągnęła, cały czas wpatrując się przed siebie. – Chyba trochę się zdziwiłam, że to takie nieprzyjemne.

Liv Hula wzniosła ręce nad głowę w geście desperacji.

– Po co tu przychodzą? – zapytała Grubego Antoyne'a. – Odłączają się od bezpiecznej firmowej wycieczki i trafiają do naszego baru – dodała, nim zdążył cokolwiek rzec. – I zawsze znajdują tu naszego Vica.

– Hej, Vic jest w porządku – sprzeciwił się grubas.

– Vic to parodia, Antoyne. Podobnie jak ty.

Grubas wstał z trudem. Wydawało się, że ma zamiar sprzeciwić się jej słowom, ale w końcu tylko wzruszył ramionami. Klientka Vica próbowała zachęcić go bladym uśmiechem, ale najwyraźniej tego nie zauważył. Cisza trwała przez parę chwil, aż wreszcie krzesło odsunęło się ze zgrzytem i Mona Irene podeszła do stolika, przy którym rozgrywały się owe wydarzenia. Jej poliuretanowe buciki stuknęły głośno o deski podłogi. Zdążyła już otrzeć łzy i umalować usta. Zapomniała o Joem Lwie. Co jej strzeliło do głowy, że zainwestowała w niego swą znaczną energię życiową? Wszyscy się zgadzali, że Irene ma przed sobą przyszłość, dobrą i radosną. Miała plany i one również były dobre. Pozostawało jednak prawdą, że zatrzyma Joego w sercu przez wiele lat. Wiedziała, że jest taką właśnie dziewczyną.

– Ale piękne futro – odezwała się, wyciągając rękę.

Przez chwilę kobieta wyglądała na zmieszaną. Potem uściśnęła rękę Irene, mówiąc:

– Dziękuję. Rzeczywiście takie jest, co?

– Bardzo piękne. Naprawdę je podziwiam – zgodziła się Mona. Dygnęła lekko, przez chwilę sprawiała wrażenie, że chce jeszcze coś powiedzieć, a potem wróciła na miejsce, usiadła i zaczęła się bawić szklaneczką. – Nie bądź dla niego zbyt surowa, kochanie! – zawołała do Liv Huli. – W końcu to tylko mężczyzna.

Trudno było określić, którego z mężczyzn miała na myśli.

– Uważam, że powinien dostać pieniądze – nie ustępowała kobieta w futrze. Ponieważ nikt jej nie odpowiadał, położyła na blacie całą sumę w banknotach o wysokim nominale. – Zostawiam je tu dla niego – oznajmiła i wstała z ostrożnością, której nagle się nauczyła. – Gdyby wrócił... – zaczęła. Podeszła do drzwi i przystanęła w nich na chwilę, spoglądając w stronę strefy zdarzenia – milczącej, złowroziej i dyskusyjnej, jak zawsze za dnia ukrytej za chemiczną mgłą. Wydawało się, że klientka Vica zastanawia się, co teraz zrobić.

– Tak czy inaczej, dziękuję – powiedziała w końcu do dwóch pozostałych kobiet i ruszyła w stronę miasta. Jeszcze przez długi czas słyszały stukot jej obcasów.

– Jezu – skomentowała to Liv Hula. – Hej, Antoyne, chcesz się jeszcze napić? – zapytała.

Okazało się jednak, że grubas również wyszedł. Miał już dość tego, jak go tu traktowano. On tylko szukał dla siebie miejsca, był kimś, kto widział w życiu więcej niż większość ludzi. Wściekał się, że nie chcą go słuchać.

Do licha z tym, pomyślał. Nic nie trwa wiecznie.

Przynajmniej wyszedł wreszcie z baru i mógł oddychać świeżym powietrzem. Kierował się ku Moneytown, magicznej krainie centrów handlowych, ciągnącej się na południe od Straint Street, między portami kosmicznymi a morzem. Przymrużył powieki w ostrym blasku odbijającym się od odległej wody, jakby dostrzegał coś, czego nie powinno tam być, coś, czego jednak nie zgubił. Coś, czego być może nie sposób zgubić. Musi poszukać roboty. W portach kosmicznych zawsze można ją znaleźć.

DWA

DŁUGI BAR W CAFÉ SURF

Parę wieczorów po tych wydarzeniach, do innego baru wszedł mężczyzna podobny do Alberta Einsteina. Lokal usytuowano na bogatym końcu Saudade, gdzie aureola, przecinająca łukiem miasto niczym zacieniowany obszar na mapie, styka się z morzem.

W przeciwieństwie do lokalu Liv Huli, w Café Surf były dwie sale, znane jako Długi i Krótki Bar. W tym drugim obsługiwano wyłącznie klientów, którzy chcieli coś wypić i zaraz sobie pójść. Mężczyzna podobny do Einsteina skierował się prosto do Długiego Baru, gdzie zamówił podwójny rum Black Heart bez lodu. Potem rozejrzał się, spoglądając z zadowoleniem na bogaty wystrój w stylu retro. Były tu marmurowe kolumny, dizajnerskie rolety, trzcinowe krzesła oraz chromowane kurki przy barze. Ze ścian uśmiechały się do niego gwiazdy filmowe sprzed wieków, oprawione w matowe aluminiowe ramki; na półkach lodówki błyszczały egzotyczne gatunki piwa; a pod czerwonym neonem z napisem Café Surf dwuosobowa orkiestra lokalu – keyboardzista i saksofonista tenorowy – brnęła powoli przez wczesnowieczorny program.

Wszystko to skopiowano wiernie z hologramu *Co noc muzyka na żywo, 1989*, mniej znanego dzieła sławnej artystki od tableaux, Sandry Shen. Dziwiło to, a zarazem bawiło przybysza, podobnie jak klientela Długiego Baru, składająca się z młodych, niepewnych siebie menedżerów przemysłu rozrywkowego, którzy wyrwali się na chwilę z pobliskich korporacyjnych enklaw w Doko Gin i Kenworthy. Po osiągnięciu wieku średniego mężczyzna wypracował sobie aurę sugerującą, że lubi to samo, co inni, pod warunkiem, że nie musi w tym brać bezpośredniego udziału. Uśmiechnął się i zapalił fajkę. Od około miesiąca większość wieczorów spędzał w tym samym miejscu. Znajdował sobie krzesło, siadał, potem wstawał, by ostrożnie położyć zapałkę w ustawionej w kącie baru popielniczce, i znowu siadał. Wszystko to czynił ze skrupulatną uprzejmością, jakby był gościem w czyimś salonie albo jakby w domu żona wymagała od niego nieustannego demonstrowania, że docenia jej wysiłki. Gapił się na swą fajkę albo wdawał się w rozmowę z dziewczyną, która mogłaby być jego wnuczką, i wyjmował portfel, by pokazać jej – i jej chłopakowi, noszącemu czarne, podarte siatkowe rajstopy oraz robocze buty – coś, co w słabym świetle Długiego Baru wyglądało jak wizytówka i wzbudzało należyty podziw.

W rzeczywistości nie miał tylu lat, na ile wyglądał, jego żona nie żyła, a bez względu na to, czym się w danej chwili zajmował, nigdy nie zapominał o swym celu.

Nazywał się Aschemann i był detektywem.

W połowie pierwszego spędzonego tu wieczoru Aschemann wykrył w Café Surf pewien paradoks. Dwuosobowa grupa muzyczna, przycupnięta pod neonem na małej estradzie wciśniętej między Długi Bar a drzwi do toalety ożywiła się nagle, by rozpocząć długi koncert. Zespół przywoływał z ektoplazmatycznej nocy na zewnątrz coś, co brzmiało jak udreńczony bebop – muzyka stworzona przed czterema wiekami na innej planecie. W przerwach między numerami było słycać śmiechy i krzyki, zapach jedzenia stawał się na chwilę silniejszy. Towarzyszył temu stukot butelek piwa Giraffe, zmięte serwetki i ciemnoczerwone ślady szminki na pustych szklankach. W powietrzu unosiła się intensywna woń Anad's-Anad's. Mimo to stoliki najbliższe muzyków pozostawały puste, a w przestrzeni między nimi a estradą wciąż pojawiali się jacyś ludzie, wyraźnie niepasujący do Długiego Baru: wysocy mężczyźni o pobladłych z szoku twarzach, odziani w płaszcze przeciwdeszczowe, chudzi chłopcy o ogolonych głowach, przypominający więźniów obozów; kobiety o opadających kącikach oczu. Ubodzy, żałośni ludzie okaleczeni na drobne, groteskowe

sposoby. Wynurzali się z toalety, przechodzili między fortepianem a barem, a potem wędrowali bez celu, mrugając powiekami. Sprawiali wrażenie zdezorientowanych, a zarazem podekscytowanych. Być może winna była muzyka albo oświetlenie.

Choć wychodzili z toalety, Aschemann natychmiast się zorientował, że nie ma żadnej gwarancji, że przedtem tam weszli. Gdy kolejne postacie pojawiały się w pomarańczowym świetle, wyglądało to raczej, jakby przywoływała ich do istnienia sama muzyka. Jakby na zapleczu Café Surf, gdzie strefa zdarzenia stykała się z morzem, kryła się jakaś nieuformowana ciemność, i muzycy ściskali ją w rękach niby mokry piasek, lepiąc z niej te banalne, rozwidlone sylwetki. Niemniej przybysze wykazywali spore ożywienie. Gdy już się zorientowali w sytuacji, wypijali parę kolejek przy barze, a potem wychodzili na jasno oświetloną ulicę, śmiejąc się i krzycząc głośno. Podobny do Einsteina mężczyzna obserwował ich w zamyśleniu.

Następnego wieczoru przyprowadził ze sobą asystentkę.

– Widzisz to? – zapytał.

– Widzę – potwierdziła. – Ale co chcesz w tej sprawie zrobić?

Była młodą kobietą, ambitną i schludną, przeniesioną na miesięczny okres próbny z sekcji mundurowej. Biegła władała trzema używanymi w halo językami, wyposażono ją w łącznicę i wszystkie zwyczajowe udoskonalenia. Świadczyły o tym jej oczy, często skupione w nierównym stopniu, a także dyskretne strumienie kodowe, przepływające po wewnętrznej powierzchni jednego z jej przedramion jak inteligentne tatuaże. Okazało się, że ma doświadczenie w zwalczaniu przestępczości sportowej (Aschemann powiedział sobie, że słowo „sport” należy w tym przypadku interpretować jako dogodny eufemizm na określenie walk na ringu), a jej specjalnością jest wykrywanie pogwałceń protokołów blokerów myostatyny w proteomach używanych w farmach tanków. Nie udało się jej przekonać Aschemanna o zaletach i trudności owej dyscypliny, zresztą w pracy w terenie i tak nie była ona zbyt użyteczna. Oboje przystanęli na owiewanej ciepłą bryzą plaży przy Café Surf, by patrzeć na fioletowe grzywacze, niezwykle pryzmatyczne obrazy pojawiające się co noc w miejscu, gdzie woda stykała się z aureolą strefy zdarzenia.

– Myślisz, że oni powstają w strefie? – zasugerowała kobieta.

Aschemann uważał to za oczywiste, nie chciał jej jednak zniechęcać, więc wyraził się oględnie:

– Rozwahałem tę możliwość.

To nie była przyjemna myśl. Był przekonany, że to zwiastuje nadchodzącą zmianę. Cóż innego mógłby oznaczać fakt, że dzięki pomocy zwykłej muzyki ze strefy zdarzenia Saudade wyłaniali się ludzie, którzy nigdy do niej nie wchodzili?

– Czymkolwiek mogą być, nie chcemy ich tutaj – skwitował.

– Wezwę ekipę – stwierdziła asystentka.

Wzdłuż przedramienia kobiety przebiegły symbole kodowe. Jej niezwykle oczy, tego samego koloru co fale przyboju, utraciły wyrazistość, gdy łącznica skontaktowała ją z centralą. Poruszała lekko ustami, choć nie mówiła na głos. Aschemann wsparł lekko dłoń na jej ramieniu.

– Jeszcze nie – ostrzegł. Jego głos przerwał połączenie.

Kobieta spojrzała nań z wyrazem lekkiego oszołomienia, jak ktoś wyrwany z realistycznego snu.

– Zawsze wolałem chwilkę się poprzyglądać, zanim coś zrobię – wyjaśnił przeproszającym tonem. Asystenci Aschemanna szybko się zmieniali, ponieważ lubił im radzić: „Prawdziwy detektyw zaczyna w środku labiryntu i zbrodnie same znajdują drogę do niego. Nie zapominajcie, że w sercu sprawy odsłaniamy własne serce”. Inne z jego ulubionych powiedzeń dla młodych mężczyzn i kobiet nauczonych szukać odpowiedzi brzmiało jeszcze dziwniej: „Niepewność to wszystko, co mamy. To ona zapewnia nam przewagę. Jest cnotą numer jeden”.

Dlatego właśnie siedział teraz w Długim Barze, w kącie, który stał się jego ulubionym, i zastanawiał się, czy przyglądał się wystarczająco długo.

Gdy doszedł do wniosku, że tak, coś nagle zmieniło jego spojrzenie na lokal i na to, co może się w nim dziać. Drzwi się otworzyły i do środka wszedł mężczyzna, którego znał, Antoyne Messner, zwany przez wszystkich Grubym Antoyne'em. Był człowiekiem, którym nikt się nie przejmował. Był zamieszany w przemyt na małą skalę, kilka świateł stąd, w Zatoce Radiowej. Wychodził na swoje, przewożąc tylko najłżejsze towary – egzotyczne izotopy, kultywary miejscowych gatunków objętych embargiem, pakiety krawieckie dla handlarzy dzieci – w kadłubowcu z napędem dynaflow HS-SE albo – SE2, o tanich narzędziach nawigacyjnych ociekających nielegalnym kodem potomnym używanym do forsowania skomplikowanych atraktorów grawitacyjnych oraz pływów materii odpadowej spotykanych w Zatoce. Wyznawał zasadę nakazującą pozbywać się statku po maksymalnie dwóch kursach. Zagrożenie stanowił sam kod.

Gdy pilot zapominał o ostrożności, kod wyłaził z przestrzeni matematycznej i zakradał się nocą do jego głowy. Tym, którzy przestrzegali zasad higieny, pomagał unikać EMC, niemniej jednak trzeba było być pilotem, więc poziom stresu pozostawał wysoki. Dlatego, odkąd Antoyne trafił do Saudade, nie robił nic poza drobnymi przysługami dla Vica Serotonina. Z tego powodu wszyscy uważali go za wypalonego.

Grubas przedarł się przez tłum i usiadł niezgrabnie na jednym z chromowanych stołków Długiego Baru. Sprawiał wrażenie przygnębionego. Poświęcił dość długi czas na zamawianie drinka. Barman postawił przed nim szklankę z przesadną ostrożnością. Płyn szybko się podzielił na różowe i żółte warstwy. Antoyne oznajmił siedzącym obok ludziom, że to koktajl popularny na Perkins Rent. Nikt nie wyglądał na przekonanego. Gdy grubas wychylił połowę szklanki, Aschemann podszedł do niego.

– Zawędrowałeś daleko od Straint Street – odezwał się.

Tamten spojrzał nań niepewnie.

– Antoyne? Czyżbyś mnie nie poznawał? Może w tym świetle nie widzisz mnie dobrze?

– Wiem kim jesteś – przyznał grubas.

Aschemann uśmiechnął się szeroko.

– O tej porze z reguły można cię znaleźć u Liv Huli, gdzie żłopiesz z Vikiem Serotoninem.

– Ale teraz mam robotę. Dorywczą.

– To świetna wiadomość, Antoyne!

Grubas wyraźnie nie wiedział, jak zareagować na ten entuzjazm.

– To tylko tymczasowe zajęcie – oznajmił.

– A co u Vica?

Gruby Antoyne wypił drugą połowę koktajlu i wstał.

– Wiesz co? – zaczął. – Podoba mi się tutejsze oświetlenie. Zawsze lubiłem pić w półmroku.

Tylko muzyki nie lubię.

Otarł usta grzbietem dłoni i obrzucił muzyków spojrzeniem, które w jakiś sposób przeniosło się na Aschemanna.

– Zresztą i tak chciałem już wyjść – dodał.

– Nie ma potrzeby – zapewnił detektyw. – Posłuchaj, usiądę sobie obok i kupię drinka. Ty też tak zrób – poradził tonem sugerującym, że poczuje się urażony, jeśli Antoyne po prostu go zostawi. Przyciągnął sobie stołek i poświęcił chwilę, by usadowić się na nim wygodnie.

– Nie masz nic przeciwko temu? – zapytał. – Obaj nie pasujemy do tego miejsca i na pewno możemy trzymać się razem. – Wziął od barmana pudełko zapalek ozdobione maleńkim hologramem szyldu lokalu i obrócił je w palcach, podziwiając obrazek. Potem zamówił jeszcze jeden rum. – Czy

mogę złożyć płaszcz i położyć go na barze? – zapytał, unosząc szklaneczkę pod światło. Miał zwyczaj uśmiechać się do ludzi, by im pokazać, że dobrze się bawi. Przez minutę czy dwie stukał palcami w rytm muzyki. – Osobiście nie mam nic przeciwko tej muzyce – odezwał się wreszcie. – Ale z pewnością wolałbym stare dobre New Nuevo Tango.

Grubas przyjął tę wiadomość bez zainteresowania.

– Wielu ludzi je lubi – przyznał.

Aschemann skinął głową.

– Słyszałem, że Vic podejmuje zbędne ryzyko – stwierdził, jakby to był dalszy ciąg tej samej rozmowy.

– Vic jest w porządku – obruszył się Antoyne.

– Ale ludzie przez niego ucierpią.

– Nie robi nic złego. Uważam, że Vic Serotonin nigdy nikogo nie skrzywdził.

– Przecież wiesz, że ciągle chodzi do strefy, jak wszyscy ci ludzie. Nie możemy ich powstrzymać przed znajdowaniem nowych wejść... – Aschemann zachichotał cicho – ...a czasem mamy powody, by nawet nie próbować. Ale on następnego dnia przychodzi do Semiramide Club. Kombinuje coś z Pauliem DeRaadem. Myślisz, że takie kontakty nie są niebezpieczne? Dla kogoś, kto zajmuje się taką robotą? – Zamyślił się na chwilę. – Wszyscy ci przewodnicy to niespokojne dusze, Antoyne. Stąd właśnie biorą się kłopoty Vica.

Nagle nasunęła mu się nowa myśl. Dotknął przedramienia grubasa, by przyciągnąć jego uwagę.

– Antoyne, czy Vic cię czymś zdenerwował?

Grubas wzruszył ramionami.

– Nie sprzedam Vica – oznajmił i odszedł.

– Vic sam siebie sprzedał! – zawołał za nim detektyw. – Nie tylko mnie. Temu, co jest w strefie.

Antoyne nie odpowiedział. Zaczął tylko energiczniej przepychać się między zatłoczonymi stolikami ku drzwiom. Trzeba przyznać, że grubas miał pewną godność, którą zachował, mimo że miał zwyczaj zawsze stawiać się w niekorzystnej sytuacji, wyrzekać się roszczeń w społeczeństwie, w którym każdy mógł się stać, kim tylko zechciał. Nikt nie rozumiał, dlaczego Serotonin go toleruje, ale może właśnie to było powodem.

Aschemann zastanawiał się nad tym problemem przez parę chwil. Potem wrócił do swego ulubionego kąta, by spróbować ponownie się wczuć w rytm Café Surf. Popijał rum małymi łykami, pozwalając, by ciepły trunek wypełniał mu usta smakiem palonego cukru. Myślał o Vicu Serotoninie i o Pauliem DeRaadem, którego lubił jeszcze mniej, a także o przemyśle turystycznym, a przynajmniej o tym jego sektorze, który interesował go z przyczyn zawodowych.

Gdy pogrążył się w zadumie, muzycy wycisnęli dwóch albo trzech chudych chłopaków noszących białe podkoszulki, kolczyki oraz skórzane, wysadzone ćwiekami pasy. Aschemann obserwował uważnie, jak przepychają się przez drzwi toalety, wychodząc w lepkie, pryzmatyczne światło. Doszedł do wniosku, że sprawiają wrażenie zaskoczonych. Niekompletnych i zdziwionych tym, że znaleźli się tutaj. Potem zespół wycisnął starą kobietę w kapeluszu i niebieskiej sukni koktajlowej. Przez chwilę wszyscy czworo kołysali się niezgrabnie, jakby w rytm muzyki. Później nastąpiła przerwa, chwilowe zakłócenie, moment przypominający upadek. Zaczął się od czworga przybyszów, ale szybko rozszerzył się na wszystkich gości baru. Kiedy się skończył, Café Surf znów było sobą. Nowi klienci kupili sobie drinki i odeszli w noc.

Aschemann stanął przy drzwiach, odprowadzając ich wzrokiem. Wieczorem następnego dnia kazał aresztować niektórych z nich.

Doszło do tego w zupełnie nieprzewidziany sposób. Trzech mężczyzn i jedną kobietę zatrzymano

trzy kilometry do Café Surf, na zapleczu innego baru. Najwyraźniej próbowali uprawiać seks. Wyglądało na to, że nie wiedzą, jak to się robi, ale są gotowi się nauczyć. Aschemanna zawiadomiła o tym wydarzeniu sekcja mundurowa. Natychmiast połączył się z asystentką i kazał jej tam pojechać.

– Zamknij wszystkich w celi – polecił. – Ja nie mam czasu się tam wybrać.

Miał na głowie inne sprawy. Przebywał aktualnie na skraju niekorporacyjnego portu kosmicznego, prowadząc śledztwo w sprawie długiej serii przestępstw przeciwko kobietom.

– Nie przesłuchuj ich – ostrzegł asystentkę. – Formalnie rzecz biorąc, w uprawianiu seksu na zapleczu baru nie ma nic złego. W przeciwnym razie wszyscy poszlibyśmy siedzieć. Zamknij ich, a potem możesz wracać do domu. Aha, jeszcze jedno.

– Słucham?

– Dopilnuj, żeby nikt nie zrobił im krzywdy.

Połączyła się z nim jakąś godzinę później i powiedziała, że wszystko poszło dobrze. Choć zatrzymani byli dziwnie potulni, ociągali się z podaniem nazwisk. Wszyscy trochę śmierdzieli. Nie sprawiali wrażenia przedstawicieli obcego gatunku. Nie byli też głodni. Kobieta dodała, że nie znaleziono w nich żadnych przekształceń wykrywalnych dla więziennego aparatu do diagnostyki komórkowej, ich DNA nie zawierało też zwyczajowych markerów. Dlatego nie była w stanie określić, z jakiego obszaru halo pochodzą.

– A jakie wrażenie wywarli na tobie? – zapytał Aschemann.

– Wrażenie idiotów.

Tak przynajmniej wyglądali, gdy widziała ich po raz ostatni, mniej więcej o drugiej w nocy. Całą noc przestali ze zdziwionymi minami pośrodku celi, od czasu do czasu mówiąc coś do siebie powolnymi, kleistymi głosami. Rankiem już ich nie było.

– Nie sposób tego wytłumaczyć – stwierdziła.

Po jej skórze przepływały dane, wyglądające jak sącząca się z porów krew. Nerwowość albo gniew sprawiały, że zaciskała i rozluźniała jedną pięść, jakby pracą mięśni przedramienia mogła przyspieszyć matematykę. Aschemann zastanawiał się, czy ją tego uczono, czy to może tylko maniera.

– Sprawdź zapis nanokamery! Jest kompletny. Wszyscy cały czas byli w celi. W pewnych rodzajach światła nadal można dostrzec ich ślady. A nawet gdy cela już się opróżniła, widziano ich w innych częściach posterunku. – Kobieta gapiała się na swą kończynę, jakby ta ją zawiodła. – Co mogło się wydarzyć? Cały czas byli w celi, a potem po prostu wyparowali. Nie ma żadnego wytłumaczenia – skonkludowała.

Aschemann podrapał się po głowie.

– Góra może go od nas zażądać – zdecydował. – Ale nie musimy dostarczać go już w tej chwili. Nikt nie mógł czegoś takiego przewidzieć – dodał, próbując pomóc kobiecie.

Zaraz potem zażądała, by zrobili nalot na Café Surf.

– Jeszcze za wcześnie – sprzeciwił się. – Ale dzień jest ładny i możemy tam pojechać.

– Słucham?! – zawołała, wytrzeszczając oczy ze zdziwienia.

– Dla odmiany ty możesz prowadzić – oznajmił i dał kierowcy wolny dzień.

Po dwudziestu minutach kobieta siedziała obok niego w pojeździe. Aschemann zajął miejsce obok kierowcy i skrzyżował ręce na piersi, uśmiechając się z zadowoleniem. Różowy cadillac kabriolet ruszył w drogę, mijając palmy Moneytown i białe dizajnerskie domy bliźniaki Maricachel Hill i zmierzając do Corniche. Wczesnym rankiem padał deszcz, ale zbliżało się już południe i słońce szybko usuwało z powietrza ostatnie ślady wilgoci. Aschemann uwielbiał rolę pasażera i był dumny z tego samochodu.

– Widzisz? – powiedział do asystentki po jakichs dwudziestu minutach. – Już czujesz się lepiej. Nie musisz się śpieszyć.

Spojrzała na niego z ukosa.

– Oho – odezwał się. – Widzę, że cię poirytowałem.

– Nie potrafię uwierzyć, że przyjmujesz to tak spokojnie. Nie potrafię uwierzyć, że się nie gniewasz.

– Gniewam się – odparł. – Ale nie na ciebie.

Dał asystentce czas na przetrwanie tych słów. Potem, chcąc zmienić temat, zaczął jej opowiadać o zabójstwach w niekorporacyjnym porcie kosmicznym. Gdy przed kilku laty wezwano go na miejsce pierwszej zbrodni, odkrył dwie linijki wiersza, wytatuowane pod pachą ofiary. *Chcę dostać neonowe serce/Nieuzbrojone i chodzące jak dziewczyna.*

– Była Moną. Pochodziła z miejsca Plaży odległego o pięć światła. Typowa młoda dziewczyna w poliuretanowych butach prosto ze sklepu. Tatuaż był jednak wyjątkowy – ciągnął Aschemann. – Dlatego że nie był inteligentny. To był zwykły tusz, wprowadzony w skórę za pomocą jakiegoś staromodnego procesu. Badania wykazały, że zrobiono to po zatrzymaniu akcji serca, w stylu artysty już nieżyjącego, ale rok czy dwa lata wcześniej dość popularnego.

– Czy to możliwe? – zapytała kobieta.

Aschemann, który próbował zapalić fajkę, wyrzucił z samochodu kolejną zapalkę.

– Rozejrzyj się wokół – poradził asystentce. – Tutaj, w środku miasta, od aureoli strefy zdarzenia dzielą nas niespełna trzy kilometry. Nikt nie jest pewien, co się tam stało. Wszystko jest możliwe. Co, jeśli zbrodnie nie mają już motywów, nic ich nie powoduje, po prostu są jak bryzgi tryskające z grzbietu fali wydarzeń?

– Zaskakująco poetycki pomysł – przyznała. – Ale morderstwa?

Mężczyzna podobny do Einsteina uśmiechnął się pod nosem.

– Może później opowiem ci więcej, jak nauczysz się zadawać lepsze pytania.

– Chyba jesteśmy już na miejscu.

Wnętrze Długiego Baru w Café Surf wypełniał pryzmatyczny blask słońca. Podłogę pokrywał piasek, wwiewany przez otwarte drzwi. Personel nie ocknął się jeszcze na dobre. Między trzcinowymi krzesłami raczkowało czyjeś dziecko, ubrane tylko w T-shirt z napisem SURF NOIR. Znaczenia – wszystkie pozbawione sensu – tryskały od napisu na podobieństwo kropel wody. Wszystkie martwe metafory uwięzione wewnątrz tej żywej zderzały się ze sobą i odbijały elastycznie, zajmując względem siebie wciąż nowe pozycje. SURF NOIR to cały nowy byt, to „świat” zasugerowany w dwóch słowach i natychmiast rozproszony; to piana na przerażającym, multitekstowym morzu, na którym się unosimy.

– Najprawdopodobniej to po prostu nazwa płynu po goleniu – skonkludował Aschemann, uśmiechając się do dzieciaka, który natychmiast się rozbeczał.

– Pokażcie nam toalety – zażądała przy barze policjantka.

Ominęli estradę i weszli do środka. Podłogę pokrywało tam linoleum w czarno-białą szachownicę, ściany zaś czerwone tapety, urozmaicone gdzieniegdzie reprodukcjami plakatów ze Starej Ziemi. Czulo się tu zapach moczu, ale produkowany sztucznie. Inteligentne graffiti składały zwyczajowe obietnice i stawiały typowe żądania – rozmiar, waga, ulubione zaburzenie metaboliczne.

– Toaleta jak toaleta – skwitował pokrótce Aschemann. – Mogłaby nie trzymać się aż tak ściśle stylu epoki. Nic tu nie znajdziemy.

Spojrzała na niego z zaskoczeniem.

– Mylisz się.

– Nagle to ja zostałem asystentem – poskarżył się.

– Czuję coś. – Przechyliła głowę, jakby nasłuchiwała. – Nie. To kod coś czuje. Powinniśmy sprowadzić tu operatora.

– Nie pracuję z operatorami.

– Ale...

– Na razie wystarczy – oznajmił. – Wyjdźmy na dwór.

Wzruszyła ramionami.

– Najwyraźniej tych drzwi nigdy się nie zamyka.

Na zapleczu czekał na nich skazany na zagładę pirs. Przerdzewiałe, żeliwne kolumny o wysokości dwunastu metrów maszerowały ku odległej wodzie, zagłębienia w wilgotnym piasku u ich podstaw porastało zielsko. Zbutwiałe deski na górze lśniły migotliwie w odbijającym się od powierzchni morza blasku. Gdzieś między kolumnami zaczynała się aureola strefy zdarzenia. Nie miała ostrej granicy. W jednej chwili znajdowałaś się tutaj, a w następnej już tam. Nie było żadnych tablic ostrzegawczych, tylko przerdzewiały drut kolczasty, rozpadający się w pył przy dotknięciu. Natychmiast można było zauważyć, że Café Surf przechodzi bezpośrednio w ciemniejący, zielonkawy obszar podupadłego nabrzeża. Z oddali dobiegał niepewny plusk wody. Słyszało się też inne dźwięki, trudniejsze do opisanie. Dla Aschemanna brzmiały jak głosy dzieci recytujących coś na podwórku. Zimny wietrzyk muskał jego twarz. Mężczyzna pochylił się, ścisnął w bryłkę garść mokrego piachu i przyjrzał się jej uważnie.

– I co o tym myślisz? – usłyszał głos asystentki.

– Dziwię się, że pozwolili im budować w takim miejscu – odparł. – Zastanawiam się, dlaczego nie ma tu więcej drutu kolczastego. Zadaję sobie pytanie, czy nie powinienem natychmiast zamknąć lokalu, zamiast ciągnąć dalej tę farsę. – W końcu takie decyzje wchodziły w zakres jego obowiązków. Aschemann rzucił grudkę piasku do stóp kobiety. Rozpadła się bezgłośnie na ziemi. – Jak daleko chciałabyś się posunąć?

– W głąb strefy?

– Chciałbym to wiedzieć.

Gdy przyglądali się sobie nawzajem, przeszła przez nich fala. Aschemann odczuł ją jako spadek temperatury. Ujrzał na moment plażę za Café Surf, przechyloną pod kątem dziesięciu stopni, oraz śnieg padający powoli na wodę. Usta wypełnił mu metaliczny smak – na bardzo krótką chwilę, to było jakieś wspomnienie – a potem nadszedł śnieg albo coś bardzo podobnego. Za zasłoną tańczących między słupami płatków dostrzegł szereg opuszczonych domów, ciągnący się pod pirsem. Potem zobaczył pokój. Śnieg sypał się na jakąś żywą istotę, której kształtów nie potrafił wyraźnie dostrzec. Był bardzo blisko, spróbował więc się odsunąć, przechylając głowę, jak zakłopotane dziecko zadające pytanie. Może to był człowiek, a może nie.

Tak czy inaczej, oto, co zobaczył Aschemann u szczytu fali: pokój na piętrze, o ścianach pokrytych zwiędłymi różami. Pod otwartym niebem. Coś, co mogło być dzieckiem. Wizja zaraz się rozproszyła i mężczyzna znowu siedział na mokrym piasku, nasłuchując nie wiadomo czego.

– Nic ci nie jest? – zapytała asystentka, pochylając się nad nim. – Co widziałeś?

– Śnieg! – odparł, przyglądając się kobiecie z uczuciem bliskim desperacji. Złapał ją za rękę, ale natychmiast zwolnił uścisk, wyobrażając sobie, że czuje przepływ danych pod skórą. – Ty też coś zobaczyłaś? Możesz to potwierdzić? Śnieg na domach? Ja...

Kobieta jednak widziała coś zupełnie innego.

– Stałam na dnie wąskiej doliny. Było tam bardzo ciepło. Wszystko porastał mech. – Przed sobą ujrzała dom pełen porzuconych turbin. – To była maszynownia, bardzo stara – ciągnęła asystentka. –

Nad rzeką. Ciągnęła się daleko w ciemność. Po obu stronach miała łukowate okna. Potężne, pierścieniowe sylwetki. Turbiny aż szkarłatne od rdzy, łuszczącej się jak ciasto ptysiowe. Znaki narysowane kredą. 6II/600rpm. – Zadrzała. – Wszędzie było pełno tych znaków – dodała. Wnętrze budynku znajdowało się pod otwartym niebem. To był jedyny szczegół, co do którego była skłonna się z nim zgodzić. Budynek pod otwartym niebem. – Patrzyłam na wskroś przez dach i widziałam stok doliny, przechodzący na górze w wapienne wzgórza, porośnięte gęstą roślinnością. Światło padało na maszynię pod ostrym kątem. Było tam bardzo ciepło i wilgotno...

Aschemann spróbował wstać.

– Nie czuję się dobrze. Mogłabyś mi pomóc?

Razem powlekli się z powrotem do jego samochodu.

– Chcesz się czegoś napić? – zasugerował z nerwowym śmiechem. – Poczuję się bezpieczniej, gdybym sobie łyknął.

Ona również się roześmiała, ale żadne z nich nie miało ochoty wracać do baru.

– To tylko aureola – uspokajała Aschemanna.

Oboje umilkli na całe pięć minut. Potem detektyw połączył się z centralą, domagając się wzmożenia inwigilacji Vica Serotonina.

– Dobra, zróbcie, co możecie – polecił temu, kto znajdował się na drugim końcu. – Co? Nie. – Przerwał nagle połączenie. – Zawsze jest z tym problem – poskarżył się. – Prawda wygląda tak, że chyba zbyt łagodnie potraktowaliśmy Grubego Antoine'a – przyznał. – To on wiąże tę sprawę z Vikiem.

– Zawsze możesz znowu go przyskrzynieć.

Zamiast jej odpowiedzieć Aschemann wlepił spojrzenie w Café Surf.

– Wróciła mi odwaga – oznajmił. – A tobie?

Wzruszyła ramionami. Nie była pewna.

– Jeśli czujesz się już lepiej, wracaj do biura. – Poklepał ją po ramieniu. – Pojedź tym pięknym samochodem. Jestem w szczodrym nastroju.

– A ty?

Aschemann wysiadł z cadillaca.

– łyknę sobie szklaneczkę rumu – odparł. – Może nawet dwie.

Pojechała wzdłuż ulicy Corniche, kierując się z powrotem na wzgórze.

Ruch nie był zbyt intensywny, aż do chwili, gdy dotarła do centrum miasta, gdzie na ulicach było pełno riksza. Odkąd została sama, nie była już tak ożywiona. Gdyby Aschemann widział wyraz jej twarzy, określiłby go jako „skupiony na sobie”. Ale czy taki opis cokolwiek daje? Kiedy była sama, wiedziała, że jest sobą. Robiła tylko to, co do niej należało. Była policjantką ostrożnie prowadzącą samochód. Była policjantką spoglądającą na strumień danych na swym przedramieniu, a potem znowu na ulicę. Była policjantką zerkającą w boczne lustro, nim przepuściła skinieniem dłoni spoconą riksarkę w jaskrawoniebieskim kostiumie z lycry. Zostawiła samochód w garażu, a potem poszła do gabinetu Aschemanna i czekała tam, aż odnajdzie spokój. Wychudłe z braku uwagi operatory-cienie wypełzły z kątów, przybierając zwyczajowe postacie.

– Czy możemy ci w czymś pomóc? – szeptały. – Czy jest coś, w czym możemy ci pomóc, kochanie?

Znały ją i lubiły. Zawsze starała się znaleźć im coś do roboty. Kazała im poprawić żaluzje, tak by światło padało na jej twarz w ostrych liniach ciemności i blasku. Potem zażądała, by zapoznały ją z ostatnimi wydarzeniami.

– Dlaczego on jest taki? – zapytała po chwili.

– Wszystko, co wiemy, skarbie – odparły operatory-cienie – to, że takie poświęcenia, jakich dokonał, zawsze powodują ból.

– Z pewnością, skarbie.

– Ten człowiek to święty.

– Możecie sprowadzić mi jego akta?

Aschemann spędził w Café Surf całe popołudnie. Jego twarz odzyskała kolor. Zjadł falafela. Przyglądał się zachłannie plamom słonecznego blasku, które przesuwwały się po podłodze, zmieniały kształty, bladły, przybierając kolor żółtka, jak na obrazie, i wreszcie znikwały. Nadszedł przyptyw, przynosząc ze sobą własną, fiołkową poświatę. Razem z nim zjawili się pierwsi wieczorni klienci. Śmiali się i rozmawiali, z początku cicho, a potem z coraz większym ożywieniem.

O siódmej wszystkie stoliki były już zajęte. Przed barem stały trzy szeregi klientów. W lokalu zrobiło się tłoczno. O siódmej trzydzieści zapalono neon. Potem pojawiła się dwuosobowa orkiestra. Muzycy wypili po koktajlu Gin Rickey dla kurażu, po czym wzięli się do roboty. Keyboardzista – dwudziestolatek o blond włosach ostrzyżonych na punka i ruchliwych, pełnych ekspresji ustach – miał na sobie garnitur w szkocką kratę. Był błaznem i złodziejem. Był świrującym geniuszem. Słuchacze zdawali sobie sprawę, że wszystko, co dziś zagra, będzie żartem z jakiejś innej melodii, innego muzyka albo stylu. Byli zachwyceni. Byli jego współnikami. Co pewien czas nawet saksofonista – starszy mężczyzna o mięśniach wokół ust zaciśniętych w dwie głębokie bruzdy po latach występów – przestawał grać, żeby go chwilę posłuchać, jakby słyszał już kiedyś kogoś równie dobrego, ale zapomniał kogo, kiedy i gdzie. Potem zapominał o tych spekulacjach, zaciągał się głęboko papierosem, spoglądał na saksofon i zaczynał grać. Rytm pojawiały się i rozsypywały, splatały i rozłączały. Wykonywali takie utwory, jak *Orbita parkingowa*, *Entradista czy Południe Nowego Wenusportu*. Gdy przyszła kolej na *Księżyc w Moneytown*, przesunęli się nieco w stronę sentymentalizmu, ale potem wszystko wróciło do normy, gdy przy akompaniamencie coraz głośniejszych krzyków i gwizdów przystąpili do nadzwyczajnej, hardbopowej, połączonej z autopsją dekonstrukcji *Fali grawitacyjnej*, utworu utrzymanego w rytmach chamamé.

U szczytu fali muzyka wycisnęła z toalety pięciu mężczyzn w wieczorowych garniturach. Potem pojawiło się dwóch portowych chłopaków o farbowanych, ostrzyżonych na jeża włosach, noszących buty ze stalowymi szpicami. Trzymali pod rękę wychudzoną blondynkę, ciągle ocierającą nos o białe, miękkie przedramię.

Aschemann pochylił się, obserwując ich z napięciem.

Sprawiali wrażenie nie do końca uformowanych, lepkich, jakby przed chwilą wyłonili się z poczwarek. Pół godziny muzyki wystarczyło jednak, by ich osuszyć. Wałęsali się teraz bez celu po Corniche, śpiewając, biorąc się pod rękę czy nagle zrywając się do biegu bez żadnego powodu. Detektyw szedł za nimi, obserwując, jak gapią się ze zdumieniem na pełne ciem snopy światła padającego z ulicznych latarni. Wszystko ich zachwycało. Odwiedzili inny bar, o nazwie Stacja na Rozstajach, a z niego znaleźli drogę na plażę. Blondynka spróbowała zatańczyć na niej sama, ale potknęła się i runęła ze śmiechem na piasek. Jej nowi przyjaciele stanęli nad brzegiem morza, trzymając się za rękę, by oprzeć się bryzie. Potem cała ósemka zwróciła się w głąb lądu i powlokła z powagą na Maricachel, aż wreszcie dotarli przez ciepłą, wonną ciemność do Carmody, co od początku mogło być ich zamiarem.

Aschemann wypełnił całą okolicę nanourządzeniami, unoszącymi się w świetle neonów niczym chmury rybiego mleczu. Potrafiły one wykryć dwie cząsteczki ludzkich feromonów w kilometrze sześciennym powietrza, wydobyć DNA z piątkowej nocy, oświetlić każdą wymianę płynów

cielesnych w długościach fal od dalekiej podczerwieni do bliskiego ultrafioletu. Rezultaty tych kosztownych, wykorzystujących wiele operatorów poczynań przesyłano Aschemannowi jako oddzielne strumienie danych, z których mógł do woli budować złożone obrazy albo profile. Mimo to, niemal natychmiast stracił ściganych z oczu pośród barów i transseksualnych burdeli, na ulicach cuchnących potem, produktami przetwarzania ropy naftowej i palczatką cytrynową.

W środku miasta wszyscy nadal trzymali się razem. Potem mężczyźni zaczęli kolejno odłączać się od grupy, cisi i podekscytowani. Nie orientowali się za dobrze w otoczeniu, ale wiedzieli, co lubią. Smażone potrawy, seks, twarde narkotyki, inteligentne tatuaże, salony tanków i wszelkie rodzaje muzyki, od chamamé po rockit dub. W jednej chwili byli wyraźnie widoczni, gapili się na budynki, przypominające czarno-złote opakowania papierosów rysujące się na tle nieba, w następnej zaś znikali w zaułku, wchodzili po schodach albo płacili, by przepuszczono ich przez strzeżone drzwi. Roztapiali się w otaczającym ich życiu. Aschemann odnosił wrażenie, że ulatniają się na jego oczach. Jego sprzęt również tak to odbierał.

Ostatnia zniknęła blondynka. Jej kumple mieli pragnienia, ona zaś poczucie własnego ja. Dziwiła się temu, co nią kieruje. Przystanąła, odziana w krótką białą atłasową suknię wieczorową bez rękawów, na skrzyżowaniu ulic Montefiore i Bone, uśmiechając się na widok nagłej przerwy w ruchu ulicznym. Zdjęła but i potarła stopę. Potem zdjęła drugi i wzięła oba w rękę. Spojrzała w jedną stronę, potem w drugą, a potem znowu w pierwszą, za każdym razem uśmiechając się z nadzieją, jakby nagle ujrzała coś nowego. Nic się jednak nie działo. Na ulicy było pusto, neon zapalał się i gasł. Uśmiech zniknął z jej twarzy. Aschemann odwrócił na chwilę wzrok, a gdy znowu spojrzał w tamtą stronę, kobiety już nie było.

– Możecie to potwierdzić? – zapytał swą ekipę.

Mogli. Mimo to, nadal się spodziewał, że ujrzy ją gdzieś w oddali, zmierzającą z determinacją do następnego baru.

Coś w blondynce przypominało Aschemannowi jego żonę – może towarzyszący jej wyraz nadziei, nie wiedział dokładnie co. Spędził na Carmody jeszcze godzinę, licząc na to, że nanourządzenia coś zaobserwują. Nic takiego się jednak nie stało, a choć z łatwością mógłby wrócić do Café Surf po nową grupę podejrzanych, pod wpływem nagłego impulsu zatrzymał riksę i kazał się zawieźć na Przylądek Samobójców, gdzie kiedyś mieszkała jego żona.

Zbliżał się już świt. Na betonowej drodze lokalnej, oddzielającej dom jego żony od plaży, zbierały się w luźnych grupach dzieciaki z Przylądka, czekające na klientów. Parę z nich zerknęło przelotnie na przejeżdżającą obok riksę, ciągnącą za sobą barwny dym nachalnych holograficznych reklam, szybko jednak odwróciły wzrok. Gdy Aschemann stanął na progu, jego nogi otaczały chmury niesionego wiatrem piasku. Uniósł rękę, by zapukać, ale nim zdążył dokończyć gest, wyraźnie usłyszał własny głos, mówiący mu: „Co ty wyrabiasz?”.

Nie musiał pukać. Miał klucz. Mógł wejść do środka w każdej chwili. Mimo to, wrócił do rikszy i oznajmił rikszarce:

– Moja żona nie żyje.

– Wszyscy prędzej czy później będziemy mieli ten problem.

– Na chwilę o tym zapomniałem.

Czuł się zawstydzony. Riksarka, która wyszła spomiędzy dyszli i wycierała nogi perteksowym ręcznikiem, była jednak gotowa mu wybaczyć.

– Hej, nazywam się Annie – oznajmiła. – Tak samo jak wszystkie, tak? Wiem, że o to nie pytałeś.

Podobnie jak wszystkie, Annie zdecydowała się na ekstremalny pakiet. Krawcy nadali jej

rozmiary małego konia – nawet pochyłona, jak w tej chwili, przerastała Aschemanna o czterdzieści pięć centymetrów – a od jej wilgotnego, lycrowego kostiumu bił uspokajający zapach kojarzący się z tym zwierzęciem. *Café électrique* i awaria pokładowej łąty testosteronowej sprawiały, że tupała nerwowo, otoczona chmurą własnego oddechu.

– Może powinieneś pojechać w jakieś inne miejsce? – zasugerowała. – Bo przecież twoja żona nie żyje? O tej porze mogę cię zabrać wszędzie.

Aschemann odparł, że chce wrócić na Carmody.

Skinął dłonią, wskazując gdzieś w kierunku morza. Słyszał kontemplacyjny szum fal uderzających o piasek, dobiegający z domu.

– Większość ludzi idzie do rzeźni genetycznej i kupuje kultywara – zauważyła riksarka. – W ten sposób mogą odzyskać osobę, którą kochali. – Ponownie zajęła miejsce między dyszlami i zawróciła pojazd, kierując go ku szczytowi wzgórza. – W dzisiejszych czasach nikt nie musi nikogo tracić. Zastanawiam się, czemu nie postąpiłeś tak jak wszyscy.

Aschemann również często zadawał sobie to pytanie.

– Mieszkała tu sama – oznajmił. – Wycofała się. – Nie był pewien, jak lepiej to wyjaśnić. – W jej przypadku chodziło o picie, pokręcone poglądy polityczne i dawne relacje uczuciowe. Pomoc tylko zbijała ją z tropu.

Dwa albo trzy razy w tygodniu chciała rozmawiać z nim o ich dawnym życiu, dowiedzieć się, jaka u niego pogoda, pogadać o tym, na co patrzą w danej chwili przez okno.

– Widzisz tę łódkę w zatoce? Czy ty też ją widzisz? Tę niebieską? Co to za łódź? – Potem zaczynała go namawiać: – Przyjdź do mnie! Kupię ten rum Black Heart, który tak bardzo lubisz. – Zawsze się zgadzał, ale na ogół brakowało mu odwagi albo energii, by rzeczywiście ją odwiedzić. Wiedział, że jeśli to zrobi, kobieta po chwili oznajmi mu z westchnieniem: – Było nam razem tak dobrze, nim się zadałeś z tą dziwką z Carmody.

– Na Gwiazdkę – zaczął opowiadać riksarce, prowadzącej pojazd między palmami mopiankami i obłazącymi pastelowymi domkami plażowymi po obu stronach Suntory Boulevard – kupowałem jej perfumy, które lubiła. Nazywały się Ashes of Roses. – Poza tym starał się trzymać od niej z daleka. – Nie byłem już w stanie się o nią troszczyć, a ona nie chciała zatroszczyć się o siebie. Dlatego czułem się nie tylko winny, lecz również coraz bardziej poirytowany.

– Ashes of Roses! – zawołała riksarka. – Ale jaja.

Aschemannowi wydało się, że słyszy głosy dobiegające z drogi dojazdowej. Obejrzał się, wyglądając przez tylne okno, i zobaczył w fioletowym świetle piasek niesiony wiatrem po betonie. Nie było tam nikogo, nawet dzieciaków z Przylądka.

– Zawracaj! – zawołał. – Przepraszam – zreflektował się po chwili.

Riksarka wzruszyła ramionami.

– Hej, wszystko mi jedno, dokąd jedziesz.

TRZY

PŁYNNA MODERNA

Po tym, co spotkało jego ostatnią klientkę, Vic Serotonin sypiał bardzo długo. Spał jak zabity i nic mu się nie śniło. Tego, kto spędzał sporo czasu w strefie zdarzenia Saudade, sny nie nawiedzały. Za to po przebudzeniu czuł się fatalnie i przez całe życie było coraz gorzej i gorzej. To po prostu kolejna rzecz, do której trzeba się przyzwyczaić, jak zawsze mawiał Vic. Od męczącego braku snów człowieka zalewał pot.

Dom Vica znajdował się w południowej części miasta. Nie było w nim windy ani ciepłej wody. Zostawił mu go w spadku – razem z prawem wstępu do interesu – przechodzący na emeryturę entradista i przewodnik wycieczek o nazwisku Bonaventure. Były tam dwie izby i prysznic. Vic nigdy nie gotował ani nie jadł w domu, choć miał tam piec indukcyjny i w mieszkaniu zawsze pachniało starą żywnością. Czuło się tam również zapach znoszonych ubrań i gromadzącego się latami kurzu. Dom znajdował się jednak wystarczająco blisko aureoli strefy zdarzenia, by spełniać wymogi profesjonalisty. Vic spał w łóżku, siedział na krześle i golił się przed lustrem; jak wszyscy, kupił te sprzęty we franczyzowym sklepie z replikami znajdującym się na końcu ulicy, gdy tylko się wprowadził. Swe gabardynowe kurtki zapinane na zamek błyskawiczny oraz koszule z nadrukami od Ingi Malink przechowywał w szafie z bukszpanowego drewna z różanym fornirem. Wykonano ją na Ziemi, mniej więcej w roku 1932. Aż tak dawno temu, aż tak daleko stąd. Za jednym z okien Vic miał dobry widok na most, za drugim widział fragment niekorporacyjnego portu kosmicznego – głównie chwasty i płot z siatki.

Późnym popołudniem wstał, przejrzał się w lustrze i pomyślał: Jezu, Vic.

Po tym, co się stało, wyglądał na pięćdziesiąt lat. Ciągłe czuł w ustach smak towarzyszący tym, którzy niedawno tam byli, i nadal widział uciekającą klientkę w dziwnym, wydłużającym wszystko świetle świtu. W jej panice, w tym, w jaki sposób uciekała, coś się kryło. Nie pamiętał, co to mogło być, ale przynajmniej już się nie gniewał.

Wśród wypełniających mieszkanie rupieci znajdował się bakelitowy telefon, mający przewody z osłoną z tkaniny i prawdziwy dzwonek. W tym roku każdy musiał taki mieć. Ten był tani, podobnie jak wszystkie sprzęty, które posiadał Vic. Kiedy się golił, telefon zadzwonił. To był handlarz nazwiskiem Paulie DeRaad. Vic spodziewał się telefonu od niego. Rozmowa trwała krótko. Kiedy się skończyła, Vic wyjął z szuflady dwa owinięte w szmaty przedmioty. Jednym z nich był pistolet. Drugi było trudniej opisać. Vic usiadł przy oknie w dogasającym świetle dnia i rozwinął z namysłem ów obiekt. Miał on jakieś osiemnaście cali długości, a po zdjęciu osłony mogło się zdawać, że się rusza. Było to jednak tylko złudzenie. Światło, zwłaszcza padające pod ostrym kątem, przesuwano się po powierzchni przedmiotu, wywołując wrażenie zginania. Wykonano go w połowie z kości, a w połowie z metalu, czy może z materiału, który był jednym i drugim jednocześnie albo ani tym, ani tym.

Vic nie miał pojęcia, co to jest. Gdy znalazł przedmiot, dwa tygodnie temu, był on zwierzęciem, jednorazowym odkryciem, którego nikt poza nim nigdy już nie miał ujrzeć. Stwór był biały, bezwłosy i większy od psa. Najpierw wdrapał się na stertę gruzów gdzieś w strefie zdarzenia. Potem zawrócił w stronę Vica, jakby zainteresował go jego widok. Miał wielkie ludzkie oczy. Vic nie miał pojęcia, w jaki sposób stworzenie zmieniło się w przedmiot ze sztucznej, złożonej z cieniutkich płatków substancji, w jednych rodzajach światła wyglądającej jak tytan, a w innych jak kość. Wolał tego nie wiedzieć.

– Hej – powiedział do słuchawki. – Ehe, mam go. Ciągłe tu jest.

Słuchał przez chwilę.

– Dlaczego miałbym do tego dopuścić? – zapytał. – Zgoda – dodał jeszcze i odwiesił słuchawkę. Następnie zawiązał przedmiot w szmatę i opuścił mieszkanie.

– Nie robię tego z miłości – poskarżył się, idąc w dół po schodach, jakby nadal rozmawiał z Pauliem DeRaadem. DeRaad, dawny próżniowy komandos i człowiek do wszystkiego, pracujący dla Earth Military Contracts, prowadził lokal, któremu nadał nazwę Semiramide Club. Stanowił on widoczną część rozległych poczynąń, w których filie EMC były umaczone po uszy. Paulie kierował się w pracy zasadą, mówiącą „poczekamy, zobaczymy”, a jego dewiza brzmiała „bezpieczeństwo przede wszystkim”. Powiedział, że w tym przypadku woli, żeby Vic spotkał się z jednym z jego operatorów, który wszystko sprawdzi i kupi towar tylko, jeśli się upewni, że jest w porządku.

Vic nie był pewien, kogo lubi mniej, Pauliego czy jego operatory. Mimo to przeszedł przez Moneytown, kierując się ku brzegowi oceanu, i po chwili dotarł do Przylądka Samobójców, położonego na końcu ulicy Corniche. Czekał tam w półmroku, w jednoizbowym budynku z pustaków, który mógł kiedyś być barem albo miejscem, gdzie można było otrzymać tani kredyt z przewidywalnymi konsekwencjami. Teraz jednak farba złaziła ze ścian, a okna zabito deskami – niezawodne oznaki choroby. Pod palmami mopiankami rosnącymi na zewnątrz stały pogrążone w rozmowie dzieciaki z Przylądka w strojach dzieci-śmieci.

Vic czekał w środku przez kilka dobrych minut, wyężdżając słuch. Minęła długa chwila, nim wreszcie coś się wydarzyło. Palmami nagle poruszyła zimna bryza i na skąpaną w błękitnym świetle plażę spadł niesiony wiatrem srebrzysty deszcz. Dzieciaki z Przylądka biegały z krzykiem w strugach ulewy przez minutę albo dwie. Potem zniknęły. Vic wyjął paczuszkę, jakby na to właśnie czekał. W drugą rękę wziął pistolet. W pomieszczeniu cuchnęło stojącą wodą, elektrycznością i mrokiem.

Stał tam, wpatrując się w deszcz, aż wreszcie usłyszał cichy głos, który brzmiał, jakby dobiegała spoza budynku i jednocześnie z jego wnętrza.

– Cześć, Vic.

– Dobrze by było, gdybyś wynurzył się z deszczu.

– Bardzo zabawne, Vic.

– Nie przyszedłem tu rozmawiać z klimatem.

– Przyślę kogoś.

Vic wzruszył ramionami, jakby poproszono go o coś, czego nie miał zamiaru dać.

– Jeśli wydarzy się coś nieprzyjemnego, zastrzelę towar – ostrzegł. – Powinieneś o tym pamiętać.

Znowu usłyszał śmiech.

Operator Pauliego wszedł do środka pod postacią jednego z dzieciaków z Przylądka, około dziesięcioletniego chłopaka, odzianego zgodnie z tandetną wersją mody dzieci-śmieci, pospolitą w tej okolicy. Wyblakły gabardynowy płaszcz bez pasa, zapięty pod szyją, sięgał za kolana. Chłopak wszedł do środka o własnych siłach, a potem zaczął drzeć gwałtownie i osunął się na ścianę.

– Jak to możliwe, że mi to robisz? – zapytał ze zdziwieniem w głosie. – Nigdy przedtem cię nie widziałem.

Zakasał i otarł usta grzbietem dłoni, próbując spojrzeć w oczy Vicowi Serotoninowi, który uparcie odwracał się od niego. Po minucie albo dwóch Vic usłyszał westchnienie. Na zewnątrz rozbłysło światło. Chłopak zaprzestał wysiłków i osunął się na podłogę pod ścianą.

– Odwróć się, Vic – polecił operator.

Mężczyzna oblizał wargi.

– Zapewniam, że możesz to zrobić bezpiecznie.

Vic się odwrócił.

– Wyglądasz jak moja matka – zauważył. Nie miał pojęcia, skąd wzięła się ta myśl, wiedział tylko, że nie jest już pewien płci dzieciaka z Przylądka. Ten stał spokojnie i nieruchomo. Vicowi nasunęła się myśl, że gdyby chłopiec postanowił się poruszyć, odejść, zwiać, czy zrobić cokolwiek zrozumiałego, poruszałby się z gracją tancerza. Jego twarz robiła wrażenie większej niż przedtem. Oczy również. Zbyt często nawiązywały z nim kontakt. Od oblicza promieniowało coś przypominającego poranną zorzę, bezpłciowa, niepoznawalna osobowość chłopaka-cienia ukrywająca się wewnątrz, optymizm tak nagi, że nikt nie potrafiłby znieść jego widoku zbyt długo.

– Powiem ci, jak się mają sprawy – zaczął Vic. – Położę towar dla Pauliego na podłodze między nami. Zrób to, co tam właściwie robisz, a jeśli wydarzy się coś, co mi się nie spodoba, zastrzelę was obu.

– Dobrze by było, gdybyś się wyluzował – poradził operator. Uśmiechał się niepokojąco, czekając, aż Vic umieści towar na podłodze. Wtedy z jego gardła popłynęło coś w rodzaju muzyki, trzy albo cztery słabe, czyste tony, przypominające raczej muzyczny instrument niż ludzki głos. Przedmiot rozjarzył się lekko w odpowiedzi, jego blask przesączał się przez szmatę.

– Jest nadzwyczaj realny – odezwał się chłopak-cień, jakby opisywał artefakt komuś innemu. – Bardzo piękna rzecz.

Jednym płynnym ruchem uklęknął, pochylił się i zrobił krąg ze swych rąk w dziwnie dziecięcym geście obejmującym przestrzeń nieco większą od zajmowanej przez obiekt. Potem z ust chłopaka-cienia popłynęły elektromagnetyczne wymioty. Na towar opadły tysiące pyłków przypominających lśniąca fiołkowym, neonowym blaskiem tapiokę.

– Chcę się upewnić, z czym mamy do czynienia, zanim posuniemy się dalej – wyjaśnił chłopak-cień. Blask towarzyszący operacji nawiązania kontaktu padł nagle na jego twarz, zamazując na moment rysy. Ściany pokoju rozjarzyły się, a potem znowu pociemniały. Vic zobaczył graffiti, luszczący się tynk, odsłonięty pręt zbrojeniowy.

– To mi się nie podoba – oznajmił.

Zapadła absolutna cisza. Inteligencja odpłynęła z oczu klęczącej postaci, skupiając się w szerokim paśmie gęstego jak miód światła, przekazującym wymieniane kody.

– Sprawa posunęła się za daleko. To mi się nie podoba – powtórzył Vic.

Odpowiedział mu słaby głos Pauliego DeRaada, przekazywany na żywo z Semiramide Club na nanoułamku szerokości pasma wykorzystywanej przez operatora.

– Hej, Vic – powiedział. – Nie będę cię już dziś potrzebował. Forsa jest na twoim koncie.

– Jeśli jej nie będzie, masz przesrane, Paulie – ostrzegł go Vic i wycofał się ostrożnie z pomieszczenia, unosząc przed sobą trzymany w obu rękach pistolet w geście nie tyle agresywnym, ile błagalnym. Z wnętrza jeszcze przez kilka minut dobiegały światło i brzęczenie. Operator odłączał się od artefaktu etap po etapie, interfejs po interfejsie. Na koniec rozległo się stłumione, bliskie ulgi westchnienie. Potem zapadła ciemność.

Vic Serotonin zdążył już oddalić się na wschód. Przeszedł przez most nad laguną i dotarł do portu dla turystów, a potem udał się do baru o nazwie Dzisiejszy Świat. Chciał kupić butelkę rumu Black Heart na wynos, ale potem zmienił zdanie, usiadł w jednym z boksów i zamówił kolację. Jedząc, połączył się ze swym kontem. Gdy tylko się dowiedział, ile zarobił na sprzedaży artefaktu, odsunął od siebie talerz. Stracił apetyt.

– Wezmę jednak tę butelkę – oznajmił barmanowi.

Wiedział, że fart nie utrzyma się długo. Doświadczenie nauczyło go, że tak wielka forsa ma własne szczęście. Właściciel nic jej nie obchodził. Człowiek nigdy nie powinien dotykać podobnych sum. Zaledwie dziesięć kroków od baru zobaczył różowego cadillaca. Kabriolet, cyfrowo

dopasowany do opływowego retromodernistycznego stylu, popularnego obecnie w niektórych kręgach Saudade, zwolnił, jadąc tuż obok niego. Vic znalazł tę maszynę, podobnie jak każdy przewodnik wycieczek. Była własnością Lensa Aschemanna, ważnej szycy w Wydziale Przestępstw Strefowych. Aschemann przypominał z wyglądu Alberta Einsteina w starszym wieku, a jego łagodne maniery i nieubłagany upór stały się legendą już na samym początku walki z handlem artefaktami w Saudade. Aschemann pamiętał wszystkich, którzy zajmowali się tym procederem, poczynając od Emila Bonaventure'a. Detektyw wyjął z ust fajkę i uśmiechnął się.

– Hej, Vic! – zawołał. – Czy to ty?

Vic przystanął.

Cadillac również się zatrzymał.

– Wiesz, że to ja – mruknął Serotonin.

– Wsiadaj. Pojedziemy razem.

– Nie sądzę.

– Szkoda by było marnować taki piękny samochód.

Vic, który spodziewał się, że Aschemann zjawi się w towarzystwie ekipy, starał się patrzeć we wszystkie strony jednocześnie. Zerkał na oba krańce ulicy, zaglądał do baru i do wnętrza pojazdu. Na ulicy nie było nikogo. Znowu zaczął siąpić deszczyk, pokrywając chodnik cienką warstwą lakieru. Siedząca za kierownicą kobieta obdarzyła Vica uśmiechem o smaku soli. Odwdzieczył się jej tym samym. Na jej twarz padało pod różnymi kątami światło o kilku odmiennych długościach fali, pochodzące z tablicy rozdzielczej, neonu oraz otwartych drzwi Dzisiejszego Świata. Mimo to, Vic dostrzegł, że genetyczni krawcy wykonali dobrą robotę. Blond włosy miała obcięte bardzo krótko. Kobieta zgasła silnik, wysiadła, okrążyła szybko samochód i podeszła do Vica. Była wyższa od Aschemanna, czego należało się spodziewać, a także dobrze zbudowana. Po wewnętrznej powierzchni jej przedramienia płynął strumień danych pod postacią ideogramów o orientalnym wyglądzie.

– Prosiliśmy, żebyś wsiadł do samochodu – oznajmiła.

Vic poruszył leciutko barkiem. Wyglądało na to, że dalej się dziś nie posunie. Oboje obrzucili się szczerymi spojrzeniami. Po chwili drzwi po stronie pasażera się otworzyły i Lens Aschemann wysiadł, dysząc ciężko i poprawiając płaszcz przeciwdeszczowy.

– Zaczekaj! – rozkazał asystentce. – Boję się tego, co mogłabyś zrobić. Spokojnie – dodał, poklepując ją po ramieniu. – Możemy porozmawiać tutaj – zapewnił Vica.

– Byłem przekonany, że to się okaże możliwe – odparł Serotonin.

– W tym barze, jeśli chcesz, albo po prostu na ulicy – ciągnął detektyw. – Możemy porozmawiać. Wracaj do samochodu – polecił asystentce. – Bez obaw. Wszystko w porządku. Możesz to zrobić, bo Vic z pewnością nie sprawi nam kłopotów. Vic, przekonaj ją, że tego nie zrobisz!

Serotonin uśmiechnął się szeroko.

– Przy mnie nic ci nie grozi – zapewnił kobietę.

– Vic, ona mogłaby cię połknąć i popić szklanką wody. Bądź grzeczny! Powinieneś zobaczyć, co zrobili z jej odruchami.

– Wiem, że byłbym pod wrażeniem.

Kobieta uśmiechnęła się półgębkiem do Vica i wróciła do drzwi dla kierowcy.

– Wy, młodzi, jesteście jak psy! – zawołał do niej Aschemann. – Dziwię się, jak wam się udaje dożyć trzydziestki. – Położył rękę na ramionach Serotonina. – Wiem, że się starzeję, Vic. Dziś w nocy śniła mi się mandala. Była prosta, bardzo prosta, tylko cztery albo pięć koncentrycznych kręgów, ale nie można było oderwać od niej spojrzenia. Wszystkie miały srebrny kolor.

– To bardzo interesujące.

– Vic, masz tylko chwilę na to, by mnie wysłuchać – odparł Aschemann z urażoną miną. – Mandala to znak świadczący o tym, że zmieniasz się na lepsze jako człowiek. Akceptujesz harmonijne przejście z jednego wielkiego pokoju twojego życia do drugiego.

– Tak właśnie mówią?

– Aha. Cieszę się, że robię postępy. Może przejdę na emeryturę szczęśliwy.

Serotonin uniósł pod światło butelkę rumu.

– Ja chyba też robię postępy, bo widzę coś takiego na dnie każdej flaszki.

Aschemann parsknął śmiechem.

– Jesteś dla mnie za bystry. Ale spójrz! – Wskazał cybuchem fajki na Trakt Kefahuchiego, przecinający nocne niebo Saudade niby naszyjnik z tanich klejnotów. – Kiedy byłem młody, śnił mi się co noc – wyznał z drżeniem. – Nie można sobie wyobrazić mniej harmonijnej zmiany. Przyjrzyj mu się! Jest zupełnie surowy i pozbawiony wszelkiego znaczenia! Mówią, że to niewłaściwa fizyka, która wdarła się do wszechświata. Rozumiesz to? Bo ja nie. – Poklepał rozmówcę po przedramieniu, jakby nie był pewien, czy Vic go rozumie, albo czy w ogóle zdołał przyciągnąć jego uwagę. – A teraz ta fizyka dotarła na planetę. Nie mamy pojęcia, co się dzieje w strefie zdarzenia. Bez względu na to, co się stamtąd wynurzy, będę musiał stawić czoło konsekwencjom – skwitował.

Vicowi nie przychodziła do głowy żadna odpowiedź, zachował więc milczenie.

To najwyraźniej tylko potwierdziło podejrzenia detektywa. Aschemann potrząsnął głową, odwrócił się i wszedł do cadillaca. Potem zajął się płaszczem i fajką.

– Bądź tak uprzejmy i zamknij za mną drzwi, Vic – poprosił głosem brzmiącym, jakby dobiegał z oddali. Serotonin spełnił jego prośbę. – Jesteś przewodnikiem po strefie – podjął Aschemann. – To w porządku. Dopóki nie podtykasz mi tego pod oczy, nie mam zamiaru się przejmować umiarkowaną aktywnością tego rodzaju. – Wzruszył ramionami. – W normalnych warunkach powiedziałbym, że jeśli coś kombinujesz z Pauliem DeRaadem to tylko twoja strata. Co mnie obchodzą wasze sprawy? Ale to, co wykręciliście w Café Surf, nie ma precedensu.

Vic nigdy w życiu nie słyszał o Café Surf.

– Nie wiem, o czym mówisz – odparł.

– Vic, jeśli przemycasz jakiś nowy rodzaj artefaktów, załatwię cię. Daję słowo.

– Nigdy nawet nie słyszałem o tym lokalu! – wybuchnął Serotonin.

Aschemann zwrócił się już jednak w stronę asystentki, mówiąc do niej coś, czego Vic nie dosłyszał. Odpowiedziała mu i oboje się roześmiali. Tworzyli dziwną parę. Oczy kobiety utraciły na chwilę wyraz, stały się puste, zalśniły tajemniczym blaskiem w wilgotnym od deszczu świetle. Strumień danych kursował intensywnie w górę i w dół jej przedramienia. Obdarzyła Vica pożegnalnym uśmiechem, szyderczym, ironicznym salutem, jakby chciała powiedzieć, że wkrótce znowu się spotkają. Włączyła silnik i cadillac oddalił się powoli.

– Hej, Vic! – zawołał jeszcze Aschemann, oglądając się przez ramię. – Jak spotkasz Emila Bonaventure'a, pozdrów go ode mnie. Powiedz mu „cześć” w moim imieniu!

– I co o tym sądzisz? – zapytał asystentkę Aschemann.

Otaczała ich ciepła woń sztucznej skóry, na twarze obojga regularnie padał blask ulicznych świateł. Kobieta trzymała ręce na kierownicy. Jej stopy spoczywały na pedałach. Aschemann zdążył już zauważyć jej skłonność do stanowczego zachowania w podobnych sytuacjach.

– Znasz go lepiej ode mnie – odparła po dłuższej chwili.

– Bardzo bystre spostrzeżenie. Masz coś do dodania?

– Wyglądał na zaskoczonego.

– To cały Vic – stwierdził detektyw. – Wszystko go zaskakuje.

– Nie rozumiem, co chciałeś przez to powiedzieć – odparła kobieta i znowu wbiła spojrzenie w pustą ulicę.

Aschemann dał jej czas, by mogła dodać coś więcej, jeśli zechce. Po chwili uśmiechnął się pod nosem. Potem ostentacyjnie wyjął zapalną z pudełka pochodzącego z Café Surf, otworzył popielniczkę, z której buchnął stęchły odór, i wrzucił do niej zapalną, nie zapalając jej.

– Wiesz, że mógłbyś zrobić ci krzywdę – odezwał się wreszcie.

Tym razem to ona się uśmiechnęła.

– Nie powinieneś się o mnie martwić – zapewniła. Dodała, że praca w Wydziale Przesłuch Sportowych daje dostęp do udoskonaleń, jakich cywilni krawcy nigdy nie widzieli na oczy. To była tylko jedna z licznych korzyści związanych z tym zajęciem.

– Skręć w Rosedale Avenue – rozkazał Aschemann.

Na wszystkie ulice w tej części miasta padał cień międzygwiazdnych statków wycieczkowych. *Jayne Anne Phillips* reprezentowała linie PanGalactic, *Ceres* należała do Fourmyle'a, a *Pro Ana* do Beths/Hirston. Było też kilka innych. Żar towarzyszący wejściu w atmosferę nadał ogromnym kadłubom matowoszarą barwę, a nieprzewidywalne burze promieniowania gamma szalejące w Zatoce Radiowej uczyniły pokrywające je powłoki farby cienkimi jak opłatek. Każde lądowanie wypalało kolejną warstwę i można było określić, jak wielką część trasy już pokonały, obserwując metal prześwitujący spod wyblakłej czerwieni i błękitu ich korporacyjnej liberii. Tymczasem siedzący głęboko w maszynowniach jeźdźcy cząstek, obleczeni w ołowiane skafandry, drapali się po głowach, próbując pogodzić ze sobą trzy różne rodzaje fizyki – każdy z nich miał własne „nieprzekraczalne” warunki graniczne – co pozwoli im wystartować bez narażania klientów na działanie przeciążenia.

Aschemann gapił się na ogromne statki, przesuwane się względem siebie razem z ruchem samochodu na podobieństwo drzew w lesie.

– Wszystkie nasze kłopoty zaczynają się tutaj – stwierdził.

– A ja myślałam, że w strefie.

Niewykluczone, że posunęła się za daleko, bo Aschemann zaraz zmienił temat.

– Wczoraj wieczorem zajrzałem do Semiramide Club i jak myślisz, kogo tam spotkałem, jeśli nie kumpla Vica, Grubego Antoine'a? Złopał to świństwo, które lubi, a u jego ramienia uwiesiła się Mona.

– Masz swoje połączenie – skwitowała asystentka.

Dla niej sprawa była prosta: Serotonin miał kontakty z Antoine'em, DeRaad również, a grubasa coś łączyło z Café Surf. Aschemann jednak tylko wzruszył ramionami.

– Może to coś znaczy, a może nie – skwitował. – Zatrzymaj się na chwilę.

Coś przyciągnęło jego spojrzenie, jakiś ruch, cień pod płotem z siatki otaczającym port turystyczny. Po chwili cień zniknął. Mogła to być przechodząca przez płot postać.

– Ruszajmy – rzekł detektyw. – Nic tu nie ma. – Nie wierzył zbyt w skuteczność płotów otaczających port turystyczny. – Ani żadnych płotów, jeśli już o tym mowa – oznajmił asystentce.

Porty przyciągały przestępców i ludzi o okaleczonej psychice, ale nie z tego powodu Aschemann ich nie lubił. Po prostu stanowiły kolejne połączenie z tym co niepewne, losowe, zewnętrzne. Cadillac skręcił ospale na północ, a potem ruszył w stronę brzegu. Palmy mopianki pochylały się posłusznie z dmącą od morza bryzą, odsłaniając przed nią karki. Przystało padać. Aschemann umilkł. Asystentka nie przestawała zerkać na niego z ukosa.

– Vic Serotonin nie jest groźny dla nikogo poza samym sobą – wyszeptał wreszcie detektyw, jakby w odpowiedzi na coś, co powiedziała. – Ale może nadeszła już pora, by poważnie pogadać z Pauliem.

Po ich odjeździe Serotonin stał jeszcze przez pewien czas na deszczu. Obok przemknęła riksza, ciągnąca za sobą motyle o delikatnych kolorach. Dwa budynki za Dzisiejszym Światem, z wystawy franczyzowego sklepu wuja Suwaka padało światło ekscytujące wszystko, czego dotknęło, obietnicą immanencji i natychmiastowej transformacji. Vic stał na chodniku minutę albo dwie, gapiąc się na otwarte katalogi – emblematy, znaki firmowe i inteligentne tatuaże, a także hologramy, oferujące nabywcom sprzedawane po promocyjnej cenie modyfikacje zapewniające im cechy wielkich ludzi z przeszłości: intelekt Michaela Jacksona, przystojny wygląd Alberta Einsteina, uzdrawiającą duchową inteligencję Paula Coelho. Zadał sobie pytanie, czy nie pora już, by zmienić jakoś obraz, który prezentował światu, i przenieść się na inną planetę. Nie potrzebował w swym życiu Pauliego DeRaada. Aschemanna i artefaktowej policji z Saudade również nie. Za posiadanie obiektu pochodzącego ze strefy zdarzenia groziła kara od dziesięciu lat do dożywocia, a w tej chwili nawet sobie nie przypominał, ile forsy dostał za sprzedanie przedmiotu za pośrednictwem chłopaka-cienia.

W tej późnej części swego życia – jakby chciał zachować dystans od strefy zdarzenia – okaleczony Emil Bonaventure wycofał się na trzecie piętro małego domku w GlobeTown, trójkącie cichych, wąskich, malowniczych uliczek, których status podnosiła bliskość portu. Tam, w cieniu wielkich statków międzygwiazdnych, opiekowała się nim kobieta, zapewniająca, że jest jego córką. Wycierała ślady po straszliwych gorączkach, całych dniach halucynacji, wyniszczających ataków oraz innych pamiątek po czasie spędzonym przez Bonaventure'a w strefie zdarzenia. Jej lojalność była ogromna, choć mglista. Poza tym unikała kontaktów z innymi, mieszkając we własnych pokojach na parterze. Sądząc po jej zachowaniu, rzeczywiście mógł być jej ojcem.

– Zrobiłem coś głupiego, Emil – był zmuszony przyznać Vic, gdy, wpuszczony przez kobietę, wszedł po schodach na górę. Opowiedział o tym, co się wydarzyło, a także o roli, jaką odegrali w tym Paulie DeRaad i jego operator. Dodał, że w tym samym czasie Lens Aschemann wpadł na trop innego przekrętu Pauliego, dokonanego na drugim końcu Saudade, w jakimś barze, o którym nikt nigdy nie słyszał. Aschemann zamierzał zrobić w to Vica.

– Jeśli tak teraz postępujesz, to znaczy, że jest z tobą gorzej niż ze mną – skwitował Bonaventure.

– Powiedz mi coś, o czym nie wiem – burknął Vic.

Wręczył starszemu mężczyźnie butelkę, przemyconą na górę pod kurtką. Bonaventure przyjął ją, wpatrując się chciwie w etykietę. Czasami jego wzrok stawał się równie kiepski jak pamięć. Problem nie miał fizjologicznego charakteru.

– Czy to Black Heart? – zapytał.

– Jeśli nie, to znaczy, że przepłaciłem.

– Chcesz wysłuchać mojej rady?

– Nie.

Bonaventure wrzucił ramionami i osunął się z powrotem na poduszki, trzymając butelkę na sposób człowieka pokonanego, jakby była za ciężka, by mógł z niej pić. Osiągnął sześćdziesiąty rok życia, ale wyglądał starzej – wysoki, niezgrabny mężczyzna o siwej czuprynie, która, widziana z profilu, podkreślała wielkie rozmiary garbatego nosa. W końcu zdołał unieść butelkę do ust i nie opuszczał jej przez pewien czas. Kiedy pił, Vic rozglądał się po pokoju, patrząc na nagie deski podłogi i białą pościel.

– Jezu, Emil – odezwał się wreszcie. – To miało być dla nas dwóch.

– Nigdy nie mogę się napić do syta – poskarżył się Bonaventure. – Tylko niczego tam nie złap, Vic – zaczął błagać gościa, jakby ten pierwszy poruszył temat. Spojrzał na Vica z ukosa. Białka jego oczu przybierały w świetle lampy żółtawy kolor. – Obiecuj, że tego nie zrobisz.

– Trochę już na to za późno, Emil – odparł z uśmiechem Vic. – Poza tym, ty wywoziłeś towar ze strefy ciężarówkami.

– Wtedy wszystko wyglądało inaczej – stwierdził Bonaventure i odwrócił wzrok.

Był tak wychudzony, że można było zobaczyć, jak trunek w niego wnika, wypełniając kolejne żyły. Jego włosy miały kolor papierosowego popiołu, a biała szczecina porastająca twarz nigdy nie stawała się dłuższa. Nie wychodził już z domu. Rzadko wstawał z łóżka. Gdy czuł się dobrze, jego oczy miały jaskrawoniebieski kolor i nadal błyszczała w nich wesołość, ale w takie dni jak ten wyglądały jak ugotowane. Całą jego energię pochłaniało parkinsonowskie drżenie, ogień niewysokiej, lecz uporczywej gorączki, nieustanne wyładowania elektryczne pod skórą, nadające jej wygląd sugerujący zatrucie metalami ciężkimi. W takie dni nawet jego pizama sprawiała wrażenie zarazonej. Wyglądał jak sterta szmat. Próbował powiedzieć coś jeszcze, ale zdołał jedynie powtórzyć:

– Wszystko wyglądało inaczej.

– Chciałem o tym z tobą pogadać – rzekł ostrożnie Vic. – Coś tam się dzieje.

Stary wzruszył ramionami.

– Tam zawsze coś się dzieje – odparł. – Po tym właśnie poznajesz, że nie jesteś tutaj – dodał z logiką typową dla swego pokolenia. Vic potrzebował dłuższej chwili, by zrozumieć, o co mu chodziło. – Coś ci poradzę – ciągnął Bonaventure. – Nie bądź jak te dzieciaki, które wierzą, że mają wszystko zaznaczone na mapie.

– O jakich dzieciakach mówisz, Emil?

Bonaventure postanowił zignorować jego słowa.

– Nigdy nie słyszeli o tym, że trzeba być gotowym na wszelkie ewentualności – ciągnął. – Tak wygląda prawda. – Gapił się na etykietę, jakby próbował przypomnieć sobie umiejętność czytania. – Te dzieciaki? Pytasz, kim one są? To entradiści dla ubogich. Wydaje im się, że w tej robocie istnieje coś takiego jak ścieżka kariery. Mają mapę kupioną od wuja Suwaka i pistolet Chambersa, z którego nigdy nie wystrzelą. I całe szczęście, bo ta broń to koszmar każdego jeźdźca cząstek.

– Hej, Emil, daj butelkę – zażądał Vic.

– Ubierają się jak przewodnicy. Gadają jak marni poeci. Nigdy nic o sobie nie mówią, ale jednocześnie wściekają się, jeśli ktoś nie wie, kim są.

– O czym ty gadasz, Emil?

– Oni nigdy tam nie błędzą, Vic. Nigdy nie podejmują ryzyka.

– Mówisz o mnie? – zapytał Vic Serotonin.

Spróbował opisać, co go spotkało, kiedy ostatnio był w aureoli, ale miał już wrażenie, że to wydarzyło się w jakimś innym świecie. Być może rzeczywiście tak było. Klarowny, ale pozbawiony znaczenia incydent z innej rzeczywistości. Wszelka pamięć o nim była już zamkniętą księgą. Co gorsza, w tej księdze znalazły się też inne wspomnienia Vica. Uciekając od niego, klientka wbiegła na częściowo porośniętą zielskiem stertę gruzu. Rozpięła futro, nie zważając na rześisty deszcz. W tej samej chwili artefakt, który sprzedał Pauliemu DeRaadowi, zmierzał ku niemu zygzakiem, sunąc w dół stoku jak zwierzę, w którym ciekawość przeważała nad ostrożnością. To był jelen, kucyk albo może wielki pies. Bezwłose zwierzę o ludzkich oczach jak z filmu rysunkowego poruszało się chwiejnie, ale z gracją. Potem Vic wrócił do baru Liv Huli i groził Grubemu Antoyne'owi, że go

zastrzelili za to, że ten chciał mu coś powiedzieć.

– Strefa się rozszerza – próbował wytłumaczyć Bonaventure'owi. – Czekają nas zmiany, Emil, i nikt nie wie, co robić.

Pod słowem „nikt” Vic rozumiał siebie, bo w końcu kogo jeszcze znał? Nikogo, kto był tak głupi, by co dzień łązić do strefy. Dlatego właśnie potrzebował rady Bonaventure'a, ale gdyby poprosił go o nią otwarcie, czułby się tak, jakby oddał mu coś za darmo.

– Znowu jest w ruchu – podjął. – Po raz pierwszy od twoich czasów. – Granice odzyskały elastyczność. Jednocześnie w głębi strefy również coś się zmieniło i Vic odnosił wrażenie, że wszystko, co go tam spotkało, w rzeczywistości reprezentowało coś innego. Miał ochotę powiedzieć: „To jest jak metafora, Emil”, ale nadal żył w bojaźni przed pokoleniem Bonaventure'a i przed stworzonymi przez nie definicjami. Dlatego zdołał tylko wykrztusić: – Myślę, że sytuacja wkrótce się pogorszy.

Stary wolał tego nie wiedzieć. Znowu uniósł butelkę do ust, a potem pozwolił, by opadła na łóżko, i wpatrzył się we własne wnętrze. Jego ziemista, nieogolona twarz się zapadła.

– To było dawno temu – mruknął. – Każdy miał własne pomysły.

– Pamiętasz coś więcej, Emil. Nie udawaj, że tak nie jest.

Bonaventure potrząsnął głową.

– W tamtych czasach każdy miał własne pomysły – powtórzył. Potem jednak nieco złagodniał. – Byłeś kiedyś w Trójkacie? – zapytał Vica. – Doszedłeś tak głęboko? – Zobaczył, że Serotonin nie ma pojęcia, o czym mowa, i wzruszył ramionami. – Pytam dlatego, że Atmo Fuga przez pewien czas sądził, że tam właśnie znajduje się centrum. Dotarł tam kiedyś i wszędzie były buty. W nieruchomym powietrzu wisiało mnóstwo starych butów, krążących wokół siebie, jakby unosił je potężny wicher. Jakby miały własną grawitację. Atmo mówił, że przejawiały coś w rodzaju stadnego zachowania. Stare brudne buty, pomarszczone i popękane, z odpadającymi podeszwami. Widział też inne rzeczy. Był przekonany, że Trójkąt jest ośrodkiem wszystkiego. – Bonaventure wzruszył ramionami. – Ale jeśli nigdy tam nie byłeś...

– Dotarłem głębiej niż wszyscy, których znam – zapewnił Vic – i nigdy nie widziałem żadnych butów.

Bonaventure nie potrafił – a może nie chciał – tego zrozumieć. Obliznął wargi. Vic odnosił wrażenie, że starszy mężczyzna odmawia przyjęcia do wiadomości jakiegoś zasadniczego faktu, czegoś, o czym dobrze wiedział, ale nie chciał się podzielić ową wiedzą, woląc jej zaprzeczyć. Bonaventure przez chwilę wpatrywał się w dal, nad ramieniem gościa, Oczy wypełniły mu słabe łyzy.

– Żaden z tych dzieciaków nic nie wie – zwrócił się błagalnym tonem do ścian, jakby w pokoju był ktoś jeszcze oprócz Vica. – One tylko się popisują.

– A więc jednak mówisz o mnie – mruknął Vic. Choć miał dobre intencje, poczuł, że jego twarz przybrała twardy wyraz. – Chuj z tobą, starcze. – Wyjął pistolet Chambersa i rzucił go na łóżko. Broń wylądowała obok wątlej postaci Bonaventure'a rysującej się pod kołdrą. Jej magazynek stanowił rój matowoczarnych cząstek utrzymywanych w stanie zawieszenia przez jakiś rodzaj pola magnetycznego. – Mam już czterdzieści lat. Całuj mnie w dupę.

Bonaventure odsunął się trwożnie od pistoletu. Podkulił nogi i zasłonił oczy przedramieniem.

– Nie zostawiaj mnie, Atmo! – zawołał. – Nie tutaj!

– Masz u mnie przesrane – oznajmił Vic Serotonin. – Po co miałbym tu dalej przychodzić, jeśli mnie obrażasz? – Natychmiast pożałował swych słów. Podniósł i zabezpieczył pistolet. – Przepraszam, Emil – rzekł, kładąc rękę na ramieniu starszego mężczyzny. – Gdybyś tylko zechciał mi czasem pomóc – dodał. – Po prostu pomóc.

– Łatwo cię wystraszyć – mruknął po chwili Bonaventure.

– To mnie trzyma przy życiu – odparł ze śmiechem Vic. – No dobra, dokończ ten rum. Nikt nie kupuje rumu Black Heart po to, by zachować go na jutro!

Uspokoił starego i ułożył go do snu, a potem schował pustą butelkę pod łóżko, gdzie już leżało kilka podobnych, i zszedł na dół.

– On ci sprzedał swój interes, Vic – przypomniała mu cicho córka Bonaventure'a. – Ale to jeszcze nie znaczy, że jest twoim ojcem.

– A czy znaczy, że jest twoim? – warknął Serotonin.

Wzruszyła ramionami.

– Mów sobie, co chcesz. Masz za mało inteligencji, żebym się przejmowała twoimi słowami.

Była czarnowłosą kobietą o szerokich biodrach. Pomimo oliwkowej cery łatwo się rumieniła. Bez względu na opinię Vica, przebyła całe halo, wędrując z planety na planetę. Zaczęła drogę jako dwulatka niesiona na rękach przez Emila Bonaventure'a. Dał jej na imię Edith, nikt nie wiedział dlaczego, i choć w ogóle nie była do niego podobna, bardzo uważał, by jej nie upuścić. To było prawie czterdzieści lat temu. Nie miała pojęcia, skąd wyruszyli ani dlaczego opuścili owo miejsce, pamiętała jednak niekończącą się serię przysadzistych frachtowców z napędem dynaflow, niekorporacyjnych portów raketowych, popołudni spędzanych w barach o posypanych trocinami podłogach. Mony i barmanki zachwycały się nią, pasły ją kiepskim, barowym żarciem i mlekiem, które robiło się niebieskie z wysiłku wkładanego w to, by pozostać sobą bez względu na to, gdzie się znalazło. Ona w zamian wypełniała dla nich pustkę – w dzień spotkania i być może także później, jako tanie, zamazane, uśmiechnięte wspomnienie, które mogły zachować, nim wreszcie dopadnie je to, co próbowały odrzucić.

W owych czasach Edith była ładna i utalentowana. Miała zgrabne stopy. Szybko nauczyła się grać na akordeonie, tańcząc przy tym na stole.

Jej energia była niewyczerpana, zwłaszcza gdy chodziło o publiczne występy.

– Mów sobie, co chcesz, Vicu Serotonin, ale znano nas wszędzie. Emil Entradista i jego Mała Akordeonistka.

– Nigdy o was nie słyszałem.

Czasami, gdy to mówił, reagowała śmiechem. Dziś jednak te słowa przywołały wspomnienie czasów, gdy miała jedenaście lat.

– Hej, rozgość się – zaproponowała. – Chcesz się napić? A może rum ci wystarczył? – Vic odwrócił wzrok. – Myślisz, że nie zauważyłam? – zapytała. – Nie powinieneś go zachęcać do picia. – Słyszał to od niej już nie raz i dlatego się zdziwił, gdy nagle podeszła bliżej, mówiąc: – Czy zostawiłbyś go w spokoju, gdybym ci dała jego książkę, Vic?

– Nie żartuj, Edith – odparł.

Trzydzieści lat temu, gdy Emil Bonaventure przybył do Saudade, wszyscy pisali na papierze.

Takie rzeczy się zdarzały. Wszyscy niespodziewanie pokochali papier. W sklepach z artykułami retro nagle było go pełno, białego i w kremowych odcieniach, czystego, w linię, albo podzielonego na jasnoszare kwadraciki, lśniące w padającym od okna świetle, jakby były klasztornymi celami czy niszami. Można tam było dostać wszelkie możliwe rodzaje notatników, papier oprawny w niewiarygodne okładki, od kory, poprzez szare sztuczne futro aż po holograficzne obrazy z dziejów religii Starej Ziemi. Gdy nabywca obracał notatnik w rękach, oglądając go w świetle sklepu retro, religijne postacie wznosiły ku niebu palce i krowie oczy bądź też dźwigały z uśmiechem krzyż.

Notatniki były tak samo sztuczne jak sam papier – produkt wuja Suwaka, na licencji pochodzącej

z jakiejś rzeźni genetycznej na innej planecie. Sprzedawano je we wszystkich rozmiarach i zamykane w dowolny sposób – zapinki, klamerki, magnesy, zamki szyfrowe albo kawałki mechatycznego sznurka zawiązywane w elegancki węzeł. Stosowano też nowocześniejsze metody i niekiedy można było zobaczyć lekkie migotanie powietrza przy brzegach kartek. Nieupoważnione osoby niech trzymają palce z daleka!

Wszyscy kupowali te książeczki, ponieważ moda nakazywała zapisywać w nich swe myśli – myśli, listy zakupów i inne takie rzeczy.

Ludzie pisali: „Kim chcę dzisiaj być?”.

Prowadzili pamiętniki.

Wszyscy nagle pokochali papier, nikt nie potrafił powiedzieć, dlaczego. Wkrótce przerzucili się na coś innego, ale dla niektórych papier okazał się bardziej użyteczny niż dla innych. Emil Bonaventure nadal z niego korzystał, gdy inni porzucili już ten nawyk. Zapisywał wszystko aż do dnia, gdy po raz ostatni udał się do strefy zdarzenia Saudade. Wtedy już nie ufał własnej pamięci. Poszedł do strefy o jeden raz za dużo. Informacje, które musiał zapamiętać, były skomplikowane – kierunki, współrzędne, instrukcje dla samego siebie. To były dane. To były wskazówki. To było wszystko, czego nie mógł się odważyć zapomnieć. Wszystko, czego nie mógł powierzyć operatorom. Zwykł mawiać, że jeśli pracuje się z chłopakami-cieniami, nie można ufać żadnym algorytmom. Nawet tym bezpiecznym. Oprócz danych zapisywał też relacje o swych osiągnięciach – a trochę ich miał – a także informacje takie jak „W Sektorze 7 zawsze pada śnieg, bez względu na porę roku w strefie i poza nią”. Podzielił cały obszar na sektory. Bez względu na to, co twierdził obecnie, w owych czasach entradiści musieli wierzyć w fakty. Musieli być przeświadczeni, że wiedzą o rzeczach nieznanych nikomu innemu.

Emil opisał to wszystko w swym zamoczonej dzienniku, jakby musiał o czymś przekonać samego siebie, pochyłym, bezładnym pismem, nieharmonizującym z jego osobowością. Potem ukrył gdzieś notes. Stary był skryty jak wszyscy entradiści i gdy Vic Serotonin kupił od niego interes wraz z jego renomą, książka nie weszła w skład pakietu.

– To nie żart, Vic. Przypominasz mi o zbyt wielu sprawach. Czy zostawisz go w spokoju, jeśli dam ci książkę?

– I tak nie przestałbym tu przychodzić.

Podeszła bliżej, aż poczuł jej ciepło.

– Nie mów – zadrwiła. Spróbował ją pocałować, ale była dla niego za szybka. – Vic, gdybyś dostał tę książkę, nigdy już byśmy cię nie zobaczyli. Zresztą, zginąłbyś przez nią. Emil omal przez nią nie zginął. Chodź, Vic. – Skinęła dłonią. – Przyjrzyj się temu.

Dwa albo trzy stroje dziecięcej gwiazdy z krótkimi, sztywnymi spódniczkami z imitacji ałasu wściekle szmaragdowej barwy. Pary czarnych butów ze sztucznej skóry, w coraz większych rozmiarach. Akordeony i ich części. Na niektórych instrumentach grała, aż się zepsuły albo zrobiły za małe, inne zaś kupiła w późniejszym okresie życia, po prostu dlatego że je lubiła. Miały najróżniejsze kolory – metaliczny błękit, jadowita zieleń harmonizująca ze strojem, a wreszcie głęboki kasztanowy brąz. Wszystkie były zrobione na wysoki połysk i zdobiły je metalowe emblematy wyobrażające statki rakietowe, gwiazdy spadające albo ośnieżone szczyty. Na wszystkich uśmiechniętych klawiaturach szczyrzyły się klawisze z cennych kości pozaziemskich zwierząt. Edith była zmuszona przyznać, że na widok małych bucików chce jej się teraz płakać. Wszędzie, gdzie mieszkała, układała te pamiątki na półkach albo w gablotach o szklanych drzwiach, na których wytrawiono egzotyczne sceny ze Starej Ziemi. Dzisiaj miała mu do pokazania coś nowego.

– W tym występowałam na Pumal Verde. – Owinięty w poźółkłe opakowanie strój przypominał uniform jakiejś orkiestry marszowej. Szczerze mówiąc, Edith nie pamiętała, by go nosiła. – Miałam wtedy czternaście lat. – Ukryła twarz w bolerku, czując zapachy, których nie poznawała. – Podobałabym ci się wtedy. Byłam taka niewinna, Vic. Chcesz też poczuć ten zapach?

– Jesteś niesprawiedliwa – poskarżył się Serotonin. Nie podobał mu się jej ton.

Edith uśmiechnęła się dobrodusznie. Doszła do wniosku, że teraz obejrzy spódniczkę. Kiedy ją rozkładała, coś wypadło na podłogę.

– Hej, Vic – zdziwiła się. – Co to jest?

To był stary notes w skórzanej okładce.

– Jezu! – zawołał Vic Serotonin.

Sięgał już po notatnik, gdy na górze, w pokoju Bonaventure'a, coś przewróciło się z łoskotem. Vic mimo woli spojrzał na sufit, co pozwoliło Edith zabrać mu książkę spod ręki. Spojrzeli sobie w oczy.

– Emil się obudził, Vic – odezwała się kobieta. – Powinieneś sprawdzić, czy nie potrzebuje pomocy.

– Musimy jeszcze o tym pogadać – ostrzegł ją, oglądając się przez ramię, i wyszedł z pokoju.

Edith odprowadzała go wzrokiem. Zawsze będzie się opiekował starym. Jeśli zaś chodzi o nią, w jej głowie Mała Akordeonistka nadal występowała w nabitych publicznością salach. Z jej twarzy barwy glinki kamionkowej wuj Suwak uczynił wierną kopię buzi Shirley Temple. Jeden instrument następował po drugim, coraz większe i droższe, zdobione chromem i kosztownym, pokrytym laką drewnem. Mijały lata, a ona wędrowała przez halo, aż wreszcie nadszedł wiek młodzieńczy i kariera wykonawczynie New Nuevo Tango. Zawsze starała się opiekować Emilem, ponieważ on tak pięknie zadbał o nią. Wyhodowała w sobie dogodne poczucie winy, aż wreszcie sytuacja stała się permanentna, ponieważ Emil nigdy już nie będzie w stanie zadbać o nią ani o siebie. Gdy tylko zamknęła oczy, akordeon tańczył i czuła się jak kultywar – seria doskonałych ciał małych dziewczynek w błyszczących spódniczkach z sięgającymi kostek halkami z falbanami, białych skarpetkach i sandałach z zaokrąglonymi noskami, wykonanymi ze sztucznej skóry.

Poszła za Vikiem Serotoninem na górę, wyobrażając sobie te sceny.

CV Emila Bonaventure'a przedstawiało się następująco: zaczął jako kontraktowy pracownik którejś z filii Earth Military Contracts – w tym przypadku był to projekt znany jedynie pod numerem „121”. Nigdy o nim nie mówił. Potem wędrował przez całe halo, wdając się w bójki, pijąc i rżnąc wszystko, co się rusza. Cały czas włókł za sobą córeczkę, aż wreszcie wylądował w Saudade, a dziewczynka dorosła. To kazało mu się zatrzymać. Przyciągnęło jego uwagę. Przedtem był taki sam jak inni młodzi mężczyźni. Miał mnóstwo pragnień, ale przed Saudade nie miał pojęcia, kim naprawdę jest. A teraz, po tak wielu latach, górna połowa jego steranego, białego ciała spadła na podłogę pokoiku na najwyższym piętrze domu na skraju portu dla turystów. Tułów spowijała mu przepecona kołdra. Na skórze miał mnóstwo różnobarwnych siniaków, pozostałych po podobnych wypadkach. Twarz wciskał w ścianę, unieruchomiony własnym ciężarem.

– Pomóż mi, Edith – poprosił.

– Jestem Vic.

– Rusz się, pomóż mu! – zawołała Edith.

Wspólnie zdołali wtaszczyć go na łóżko.

– Dobra, niech dwaj dzielni entradiści porozmawiają sobie na osobności – oznajmiła i podeszła do okna, by spojrzeć na port. Strugi deszczu lśniły w halogenowych światłach.

– Vic – wyszeptał Bonaventure, gdy tylko się oddaliła. – Chodź tu. Usiądź. Myślałem o tym, co mi powiedziałeś.

– To znaczy, o czym, Emil?

– Posłuchaj, Vic, wszystkim, których tam zabrałem, obiecywałem więcej niż mogli...

– Oni tego chcą, Emil. Wszyscy tego chcą.

– Nie! Posłuchaj! – Złapał Vica za ramię. – Wiedziałem o tym. Zawsze o tym wiedziałem. Tam coś jest, ale to nic nie znaczy. W końcu zawsze to widzą. Rozumieją, że ich oszukałeś.

– Do czego to prowadzi, Emil? Do tego samego syfu co zawsze?

Bonaventure potrząsnął ze znużeniem głową.

– Chcę się tylko dowiedzieć, gdzie byłeś, Vic. Chcę wiedzieć, które miejsca odwiedziliśmy obaj.

– Chcesz się pochwalić, że masz dłuższego fiuta – skwitował Vic.

– Na pewno byłeś w Sektorze Siódmym i widziałeś ten ogromny biały obiekt przypominający twarz, który wisi nad dachami...

– Daj sobie z tym spokój, Emil.

Bonaventure nie pozwolił się jednak uratować.

– Wysłuchaj mnie! – zażądał. – Ten jeden raz! – Osłabiały go rozkładające się wspomnienia, które nim zawładnęły. Wszyscy w jego pokoleniu czuli tę samą potrzebę snucia szczegółowych opowieści, porównywania przeżytych przygód, zachowywania pamięci o tym, co kiedyś wzbudziło w nich przerażenie. Vic czuł, że całe ciało starca drży pod wpływem tego pragnienia. – Dalej wszystkie domy są tylko stertami cegieł. Jedno pierdolone pustkowie wypełnione cegłami. Gdy tylko spadnie dachówka, wszędzie rozlegają się echa, a twarz patrzy na ciebie... – Zauważył minę Vica i nagle odplynęło zeń napięcie. Westchnął. – Po co zawracam sobie tym głowę? – zapytał i wzruszył ramionami. – Jeśli tego nie widziałeś, to co w ogóle mogłeś widzieć? Nic.

– Zaraz znowu zaczniesz – przepowiedział Serotonin.

– On tylko chce sobie pogadać, Vic – sprzeciwiła się ze znużeniem w głosie stojąca pod oknem Edith.

– Trzymajcie się bezpiecznego skraju – poradził Bonaventure całemu światu, ze szczególnym uwzględnieniem Serotonina. – Bądźcie turystami, tak samo jak wszyscy.

Vic wzniosł ręce nad głowę.

– Mógłbym pójść gdzie indziej. – Spojrzał na córkę Bonaventure'a. – Na pewno wszędzie bawiłbym się lepiej. Nawet w Semiramide Club.

Edith wzruszyła ramionami i obrzuciła go spojrzeniem, które mówiło, że jeśli teraz odejdzie, może już nie wracać. Potem znowu wyjrzała na ulicę, jakby działało się tam mnóstwo rzeczy, może nieszczęśliwie interesujących, ale z pewnością ciekawszych od Vica.

– Jezu! – zawołał Serotonin. Nagle ujrzał oczyma wyobraźni obraz chłopaka-cienia przysłanego przez Pauliego DeRaada. Twarz pechowego pośrednika rozświetlał blask towarzyszący przeprowadzanej na Przylądku Samobójców operacji. – Wszystkich chuj obchodzi, na co się narażam – warknął i wstał, gotowy wyjść.

– Przepraszam – mruknął Bonaventure. – Vic, to wielki obszar. Może po prostu widzieliśmy różne rejony.

– Nie sędzę – odpowiedział Serotonin, zatrzymując się w drzwiach.

– Vic, nie mogę śnić! – zawołał Bonaventure. – Nie mogę śnić!

– Wiedziałeś, że do tego dojdzie – odparł młodszy mężczyzna. Nie potrafił mu pomóc. – Zawsze o tym wiedziałeś.

– Tylko zaczekaj, aż to spotka ciebie.

– Cicho! – odparł Vic nieobecny głosem. – Cicho, starcze.

Edith Bonaventure znalazła go na dole. Vic beznamytnie przerzucał karty notatnika.

– Myślałam, że znowu go schowałam – stwierdziła ze spokojem.

– Nic w nim nie zapisano.

– Naprawdę? To znaczy, że to nie ten notatnik.

– Wiedziałaś o tym od początku – oskarżył ją Serotonin.

Uśmiechnęła się, przyznając mu rację.

– Nawet te, w których coś zapisał, niekoniecznie muszą być tym właściwym – wyjaśniła. – Emil w swoim czasie prowadził mnóstwo zapisków. Chcesz się napić?

Serotonin upuścił notatnik na podłogę i ziewnął szeroko.

– Powiniennem już iść – stwierdził, ale Edith i tak napełniła mu szklaneczkę.

Zatrzymała się przed nim, czekając, aż przełknie trunek.

– Co to miało być? – zapytał.

– Dobry rum wypiliście – przypomniała mu.

Otarł usta i rozejrzał się po pokoju. Półki były pełne pamiątek z jej młodych lat. Nie potrafił pogodzić obrazu Edith, którą znał, z tą, która przechowywała to wszystko. Odstawił szklaneczkę i przyciągnął kobietę do siebie, aż była zmuszona usiąść mu na kolanie.

– Potrzebne mu pieniądze? – zapytał.

Edith odwróciła z uśmiechem twarz. Potem pociągnęła w dół głowę Vica, by pocałował ją w kark.

– Zawsze potrzebujemy forsy – odparła. – Mm. To było miłe.

Kiedy sobie poszedł, leżała na sofie, myśląc o nim. Serotonin przypominał jej wszystkich mężczyzn, których poznała podczas wędrówek po halo. Każdy z nich uganiał się za jakimś marzeniem, nierealnym już wtedy, gdy mieli szesnaście lat.

Jeśli miała być szczerą, musiała przyznać, że niczym się od nich nie różniła. Na przykład, na Puma Verde naćpała się doktora Spragnionego i przez jedenaście godzin z rzędu miała wizje wielkiego białego ptaka lecącego przez próżnię, powoli i ekstatycznie. Jej ówczesny chłopak powiedział:

– Edith, ten ptak to twoje życie. Postąpiłabyś rozsądnie, gdybyś podążyła za nim.

Sam jednak nie zrobił z własnym życiem zbyt wiele. Zaciągnął się do EMC, razem z całą resztą, i został pilotem myśliwca. W tym celu wojskowy krawiec musiał mu zamontować przewody prowadzące z ust do sterownicy. Rzekomo mieli mu stłumić odruch wymiotny, ale czasami i tak czuł druty jako włóknistą, ścięgniętą masę, której nie był w stanie przełknąć. Kiedy wpadał w panikę albo zapominał o koncentracji, słyszał w kabinie głos matki, spokojny i stanowczy. Kazała mu robić różne rzeczy i trudno było jej nie usłuchać. Mówiła, żeby się uspokoił. Żeby się nie gniewał. Żeby się skupił i zrobił to jak trzeba. Wtedy wszystkich ocali. Dla Edith równie dobrze mógłby umrzeć.

Przed świtem wróciła na górę, by sprawdzić, jak się ma Emil.

Nadal nie spał. Gapił się przed siebie, jakby oglądał jakieś wydarzenie niewidoczne dla nikogo poza nim. Z pewnością jednak zauważył, że przyszła, ujął ją bowiem za rękę, mówiąc:

– Najgorsze rzeczy, jakie stamtąd przynosiliśmy, zwaliśmy „córkami”. Jeśli ktoś przyniósł ze strefy córkę, to zawsze oznaczało kłopoty. Córka potrafiła nagle zmienić postać. Nie była żywa, ale nie była też maszyną. Nikt nie wiedział, jak działa ani do czego służy.

Edith uściśnęła jego dłoń.

– Już mi o tym opowiadałeś – rzekła.

Zachichotał.

– To ja wymyśliłem tę nazwę. Cokolwiek tam znaleźliśmy, lepiej, żeby to nie była córka.

– Mówiłeś mi to sto razy.

Znowu zachichotał, a ona raz jeszcze uścisnęła mu dłoń. Po chwili zasnął.

Została z nim. Od czasu do czasu rozglądała się wkoło, patrząc na malowaną boazerię, mającą w słabym świetle ciepły, kremowy kolor, na stare łóżko zasłane kolorowymi poduszkami i niedobranymi łachami, które się jej podobały albo mogły według niej spodobać się staruszkowi. Widzieliśmy już gorsze miejsca, pomyślała. W porcie raketowym rozbłysła luna, a potem druga. Jej mocny profil rozświetlał się w blasku, rzucając na ścianę ostry cień.

CZTERY

W SEMIRAMIDE CLUB

Liv Hula otwierała bar późnym rankiem. Choćby wypić nocą nie wiadomo ile, nigdy nie mogła przespać więcej niż dwie, góra trzy godziny. Potem budziła się raptownie ze snu wypełnionego koszmarami o wsysaniu pod powierzchnię i wyteżała słuch w oszołomieniu. Nie słyszała jednak nic poza zwyczajowymi odgłosami dobiegającymi ze Straint Street. Stukot rikszy mknącej w dół po nierównej nawierzchni albo kobiecy śpiew. Czasami śniła się jej też jakaś inna planeta. Zawsze budziła się wtedy, myśląc: co to za miejsce? Tam było mi lepiej niż tutaj. Te krótkie, wyraziste wizje przeszłości nie układały się w żadną całość, nic też nie łączyło ich z tu i teraz. Kobieta rozglądała się, patrząc na nagie białe ściany, a potem wstawiała, rozrzucając kopniakami wczorajsze ubranie.

Na dole było jej łatwiej. Zamiatła, przesuwała stołki, myła szklanki, oddychała nieświeżym powietrzem, przemywała twarz zimną wodą z barowej umywalki. Gdy otworzyła drzwi, do środka wpadały skośne promienie słońca. Operatory-cienie wierciły się minutę czy dwie jak ryby koralowe, a potem wracały do swych kątów. Mniej więcej w tej samej chwili Liv Hula wycofywała się za bar. Zawsze stała w tym samym miejscu, wycierając łokciami cynkowy blat i poruszając machinalnie szufladą na pieniądze. W sprężystych deskach zrobiły się już zagłębienia od jej stóp. Wolała nie pamiętać, ile lat przestała za kontuarem Czarnego Kota, Białego Kota.

Sprawdzała, czy wszystko jest na swoim miejscu, zamawiała produkty żywnościowe, obserwowała ruch w rzeźniach genetycznych, gapiła się na przesuujące się powoli wokół sali światło, aż wreszcie, wczesnym popołudniem, zjawiał się pierwszy klient. Cieszyła się na widok ludzkiej twarzy. Najczęściej był to Gruby Antoyne, ale od czasu śmierci Joego Leone nie przyszedł tu ani razu. A jeśli nie Antoyne, to Vic Serotonin, przewodnik wycieczek, który o tej porze wcale nie wyglądał lepiej niż Liz.

Dziś jednak nie był to żaden z nich.

Gdy Vic Serotonin w końcu się zjawił, sprawiał wrażenie czymś zaprzątniętego – ręce trzymał w kieszeniach, co chwila wzruszał ramionami, odwracał od wszystkiego łapczywe spojrzenie, jakby zastanawiał się nad swym życiem tak intensywnie, że zapomniał, w której części miasta się znajduje.

– Rum – zażądał, opierając się o bar.

– Cześć, Vic – odparła Liv Hula. – Cieszę się, że cię widzę.

– Ja też się cieszę, że cię widzę, Liv – odpowiedziała po chwili, całkiem nieźle naśladowując głos Serotonina.

– Przestań – burknął Vic.

– Zrobię to, gdy tylko spłacisz rachunek – odparła słodko. – Black Heart z lodem? Ciekawe, skąd to wiem? – Odsunęła się nieco od baru i zaczęła, aż wypije trunek, przyglądając mu się z czymś pomiędzy satysfakcją a wesołością w oczach. – Twoja klientka wróciła, Vic – oznajmiła potem.

Mężczyzna rozejrzał się wkoło i zobaczył, klientkę siedzącą na jednym ze stołków przy oknie. Kobieta spoglądała przez zaparowaną szybę na ulicę. Przechylała głowę, tak że światło padało prosto na twarz. Blask nadawał jej mleczną, przejrzystą barwę, nie odsłaniając niczego. Na stoliku stała filiżanka gorącej czekolady, ale nic nie wskazywało na to, by kobieta ją piła. Gdy tylko Vic ją spostrzegł, zauważył emanujące od niej obrazy. Były zbyt ulotne, by mógł się im przyjrzeć dokładnie. Ujrzał wizje biegu, a potem zielony od porostów drewniany płot w strugach deszczu. Opustoszała ulicę widzianą pod niewłaściwym kątem.

Vic na ogół miał zwyczaj unikać trudnych sytuacji. Klienci przychodzili do niego, a on poddawał

ich ocenie. Potrafił rozpoznać tych, którzy tylko zmarnują jego czas.

– Nie chcę cię tu już więcej widzieć – mawiał wtedy.

Zakradł się do niej po cichu od tyłu i pochylił się, zbliżając usta do jej szyi.

– Nie chcę cię tu już więcej widzieć – powiedział z pasją, która go zdumiała.

Kobieta gapiła się na niego przez chwilę, jakby próbowała zrozumieć coś powiedzianego w obcym języku. Potem wstała i zaczęła grzebać w torebce. Po chwili wydobyła stamtąd wizytówkę.

– Oto, gdzie mieszkam – oznajmiła. – Żałuję, że nie chcesz mi pomóc. Jeśli zmienisz zdanie, mam wrażenie, że nadal chcę tam pójść.

– Na tym właśnie polega problem – skwitował Vic.

– Słucham?

– Ja wiem, czego chcę. Ty tego nie wiesz.

Stał w drzwiach, odprowadzając ją wzrokiem. Tym razem miała na sobie czarną spódnicę tulipan, sięgającą do połowy łydek, i mały wieczorowy żakiet ze srebrnego futra, o lekko wyściełanych ramionach, a do tego toczek z tego samego materiału. Zatrzymała riksę i odjechała.

– Ona żałuje, że nie chcesz jej pomóc, Vic! – zawołała zza baru Liv Hula.

Powiedział jej, żeby znowu mu nalała.

Adres z wizytówki znajdował się w Gorących Murach. Vic przypominał sobie, że to wysokie, staromodne bloki mieszkalne, które nie zdołały osiągnąć statusu korporacyjnych. Dwadzieścia lat temu popadły w zaniechanie, gdy nowe pokolenie kadry kierowniczej zamieniło je na wybudowane specjalnie w tym celu kompleksy Doko Gin. Żałował, że w ogóle się do niej odzywał. To stworzyło więź między nimi.

– Dlaczego turystka miałaby mieć adres w Gorących Murach? – zapytał Liv.

– Ja raczej bym zapytała, skąd znała twoje nazwisko, Vic.

– To też.

Podarł wizytówkę i wysypał kawałki na bar. Potem jednak zgarnął wszystkie i schował do kieszeni.

Paulie DeRaad znowu połączył się z Vikiem.

Sprawiał wrażenie poirytowanego, lecz w jego głosie pobrzmiwała też dezorientacja. Wyrażał się niejasno. Mówił, że chce porozmawiać o nabytym przez siebie artefakcie. Powiedział, że jest zdziwiony. Napomknął również, że nie jest pewien, z czym ma do czynienia. Ale gdy tylko Vic pytał, w czym problem, uwaga tamtego zaraz gdzieś umykała.

– Czy coś się dzieje tam, gdzie jesteś? – zapytał Serotonin. – Jeśli tak, to może powinieneś się tym zająć, zwłaszcza że nie masz mi nic do powiedzenia.

– Hej, bądź uprzejmy, Vic – skarcił go Paulie. W końcu zażądał, by Serotonin przyszedł do jego klubu, Semiramide. Uważał, że to będzie najlepsze rozwiązanie. Miał coś, co Vic powinien zobaczyć. Powinien to zobaczyć na własne oczy.

– Mam inne zajęcia – sprzeciwił się Serotonin.

– Z pewnością nie są ważniejsze niż to – odparł DeRaad. – Hej, Vic, oszczędzę ci wysiłku i przyślę kogoś, żeby cię podwiózł.

– Nie potrzeba.

Semiramide znajdował się w środku miasta. Klub wyglądał jak statek wycieczkowy cumujący w porcie. Przyciągał mieszankę turystów i miejscowych graczy. Paulie osobiście określał klasę i dochody akceptowanych gości. Vic dotarł na miejsce w pół do siódmej wieczorem i nadział się na kłopoty. W lokalu nie było nikogo poza zawsze tam obecnymi żołnierzami DeRaada. Dwunastka

zakontraktowanych dzieci-śmieciami siedziała za stolikami w głębi, z ożywieniem porównując broń i grając w kości. Część mebli przewrócono na podłogę, a parę wypalonych w ścianach dziur świadczyło, że niedawno dostał się tu ktoś uzbrojony w pistolet odrzutowy. Ludzie Pauliego sprawiali wrażenie dziwnie zdeorientowanych.

– Paulie nie ucieszysz się na twój widok – poinformowała Vica jedna z dzieci-śmieciami, gdy skierował się do gabinetu.

– Nie pierdol – warknął mężczyzna, spoglądając z góry na dziewczynkę.

Nazywała się Alice Nylon i miała osiem lat. Była ubrana w niebieski sztormiak z tworzywa sztucznego, zapięty pod szyję. *Café electrique* przeżarła przednie zęby Alice, nim dziewczynka skończyła siedem lat, co doprowadziło do ciekawej wady wymowy. Lubiła gotować, ćwiczyć aquacise[1] w miejscowym basenie, a w wolnym czasie uczyła się księgowości, by sobie radzić w tym zakresie.

– Vic, nie uwierzyłbyś, jaką tu mieliśmy akcję – poinformowała go. – Nie, naprawdę! Tutaj, w Semiramide Club. – Pokręciła z niedowierzaniem głową. – Frajerzy z Wydziału Przystępstw Strefowych wpadli do środka jak na tanim holo przedstawiającym Trakt Kefahuchiego. Ten gostek podobny do Alberta Einsteina? Paulie powiedział, że musimy być twardzi i nie zrobić tego, co dla nas naturalne. Że musimy wziąć na wstrzymanie.

– Szkoda, że tego nie widziałem, Alice – odparł uprzejmie Vic.

Dziewczynka wzruszyła ramionami. Była profesjonalistką. Takie sprawy jej nie ruszały.

– Mogliśmy ich załatwić, Vic, ale co na to poradzisz? – Obdarzyła go swym znużonym, wymęczonym uśmiechem. – Może lepiej by było, gdybyś zaczekał tutaj? Na Pauliego?

Zgodził się i podszedł do jednego ze stolików.

– Hej, Vic! – zawołała za nim Alice. – Dziś rano sama upiekłam ciastka czekoladowe!

Serotonin nie cierpiał Semiramide.

Jako przykrywka lokal stanowił zniewagę dla inteligencji.

Jako spelunka też nie był nadzwyczajny.

Każdy, kto wszedł do środka, natychmiast mógł zauważyć, że Paulie DeRaad zarabia pieniądze na czymś innym. Było tu czterdzieści stolików, każdy na cztery osoby, a w okrągłej sali mieścił się kiedyś łatwy do przejrzenia przekręt w dziedzinie handlu technologią obcych, używający nazwy FUGA-Orthogen. (Kapitał zakładowy firmy stanowiły trzy maszyny górnicze, parkujące nad jakimś nieznanym emiterem promieniowania gamma, gdzieś w Zatoce Radiowej. Według ocen ekspertów, tkwiły tam już milion lat i nikt nie miał pojęcia, jak nimi kierować. „Co te cwaniaczki miały zamiar wydobywać też nie było do końca jasne”, mawiał z bladym uśmiechem Paulie. „Dlatego musieliśmy ich spławić”). Wprowadziwszy się tutaj, kazał pomalować ściany białą farbą wapienną i oświetlić je wybranymi częstotliwościami nadfioletu. Lubił światło o wysokiej częstotliwości, ponieważ przypominało mu dni jego chwały. Po sali krążyły hologramy zachwalające produkt, a także Mony przyjmujące rezerwacje na pokój na zapleczu, gdzie goście mieli szansę poczuć się swobodniej. Klienci Pauliego mogli coś zjeść i trochę pograć w kości. Miał też orkiestrę, więc mogli posłuchać muzyki. Stawiał tylko jeden warunek: powinni się elegancko ubierać. Sam przyznawał, że ma słabość do śmietanki towarzyskiej.

Vic zamówił sobie kolejkę.

Dla zabicia czasu złożył w całość wizytówkę, którą zostawiła mu klientka wyrzucona z Czarnego Kota, Białego Kota. Zdziwiło go, że turystka ma mieszkanie w Saudade. Gorące Mury były zbyt eleganckie, by lokum tam mogło kosztować tanio, ale nie na tyle, by zaliczały się do korporacyjnych.

Była już siódma i lokal zaczynał się wypełniać, głównie parami, które wypijały po koktajlu, a

potem szły gdzie indziej. Dziesięć po siódmej Vic ze zdziwieniem zauważył Antoyne'a Messnera. Grubas wszedł do lokalu i ruszył ku stolikom ustawionym w głębi.

– Antoyne! – zawołał, ale choć grubas pozdrowił go skinieniem głowy, nie podszedł do jego stolika, lecz usiadł obok dzieci-śmiec i zaczął grać z nimi w kości.

– Niech cię chuj, Gruby Antoyne – mruknął pod nosem Vic. W tej samej chwili drzwi gabinetu się otworzyły i dobiegł zza nich głos Pauliego DeRaada:

– Hej, Vic, ty niekompetentny pojebie! Gdzie jesteś?

Paulie DeRaad był młodszy od Vica Serotonina. Miał ostry nos, a jego jasnoblonde czupryna układająca się na linii czołowej w kształt litery V stanowiła pamiątkę po sławnej fryzurze z lat, gdy służył w armii. Najchwalebniejsze chwile z tamtych czasów często pokazywano jako hologramy w głównej sali Semiramide Club.

Paulie był pod Cor Caroli. Miał wtedy czternaście lat. Później był jedną z trzech osób, które uszły z życiem z *El Rayo X*, po tym, jak statek zderzył się na orbicie z ciężkim krążownikiem Nastyków, *Dotknięciem Pustki*. Od tej pory zawsze był szorstki, skupiony i pełen energii, a gdy się podeksycywał, skóra na jego twarzy wydawała się cienka i błyszcząca, jakby naczynia krwionośne leżały za blisko powierzchni. To była pamiątka po oparzeniach popromiennych, a także efekt ogólnego zużycia skóry, którego nie naprawił, uważając je za powód do chwały. Paulie nigdy się nie zatrzymywał. Lubił wszystko. Pragnął wszystkiego. Takie przynajmniej wrażenie wywierał w pierwszej chwili. Niemal natychmiast można jednak było zauważyć, że przede wszystkim chce przetrwać i osiągnąć sukces.

– Chcesz się temu przyjrzeć? – zapytał Vica.

Mówił o swym gabinecie, który ucierpiał bardziej niż reszta klubu. Śmierdziało w nim jonizacją i spalenizną, a meble wały się po podłodze. Doszło tu do walki. Pomieszczenie było na to stanowczo za małe. Co gorsza, ekipa Aschemanna sprowadziła sprzęt, który przebił się przez operatory-cienie Pauliego jak przez drewniane szalki na dokumenty. Wszystkie schowały się w kątach sufitu, zwinięte w tak ciasne kłębki, że minie wiele dni, nim będzie je można namówić do zejścia na dół. Były w szoku. Czuli się, jakby je zgwałcono. Nie zostało im już nic do odsłonięcia. Paulie również czuł się kiepsko. Zlewał go pot, a jego twarz przybrała ostry kolor mięsa.

– Wiesz coś na ten temat?

Vic odpowiedział, że nie wie.

– A powinieneś, do chuja.

Serotonin znalazł sobie krzesło, postawił je na nogi i usiadł. Ten gest pozwolił Pauliemu zrobić to samo. DeRaad otarł twarz.

– Ze strefy wydostaje się jakiś nowy rodzaj artefaktów – zaczął. – Tak przynajmniej twierdzi Aschemann. Chce nas w to wrobić. – Włożył palce do ust, a potem je wyjął i przyjrzał się im uważnie. – Popatrz na moje usta, Vic. Czy dżiąsła mi krwawią?

– Pierdol się, Paulie.

DeRaad wybuchnął śmiechem.

– Prawie mi się udało cię złapać, Vic. Już wstawaleś z krzesła. – Uspokajał się powoli, miał wesołą minę. Znowu cieszył się życiem. – Znasz lokal o nazwie Café Surf? – zapytał.

– Nigdy o nim nie słyszałem – odparł Serotonin.

– Hej, ze mną możesz mówić szczerze – obruszył się Paulie. – Jestem twoim kumplem.

Zapewnił, że Vic nie musi się obawiać nanokamer. Sprzęt ludzi z Wydziału Przestępstw Strefowych reprezentował beznadziejny poziom. Pochodził sprzed dziesięciu lat i był absurdalnie

drogi w obsłudze. W dziewięćdziesięciu przypadkach na sto nie funkcjonował. Co więcej, Paulie zasugerował, że dysponuje osłonami stosowanymi przez EMC.

– Dopóki jesteś ze mną, pozostajesz niewidzialny – zapewnił. Vic, który do tej pory nie czuł się nawet w najmniejszym stopniu zaniepokojony, wlepił w niego zdumione spojrzenie. Potem wzruszył ramionami.

– Czy dlatego mnie tu ściągnąłeś?

Z twarzy Pauliego zniknął wyraz wesołości.

– Nie. Chciałem ci coś pokazać. – Wstał z krzesła. – No to ruszajmy. Chyba nie myślisz, że trzymam to tutaj?

– Nie mam pojęcia, Paulie.

DeRaad wezwał swoją riksarkę.

– To niedaleko, ale po co iść na piechotę? – zapytał, mrugając znacząco do Vica.

Wieczór był chłodny. Bryza przyniosła do miasta morskie powietrze. Na stojących na ulicy obiektach i na dyszlach rikszy osadzała się rosa. Z wojskowych stoczni dobiegały odgłosy prac remontowych. Co chwila w górę wzbijał się K-statek, mknący z prędkością czterdziestu machów ku orbicie parkingowej. Jaskrawy blask jego dysz padał na wszystko od Straint Street aż po Corniche, rozświetlając ostry profil Pauliego DeRaada tak mocno, że przez krótką chwilę odnosiło się wrażenie, że widać kryjące się pod skórą mięśnie. Paulie wychylał się z rikszy, by obserwować statki. Uwielbiał wszystko, co wiązało się z armią.

– Spójrz na tego skurwysyna, Vic! Tylko spójrz!

Na widok Pauliego nie sposób było powstrzymać uśmiechu. Nawet rakietą na wodę mogła go wprawić w dobry humor.

– Hej! – zawołał do riksarki, ze wszystkich sił ciągnącej za dyszle. – Nie musisz się dla nas zabijać.

– Mam więcej niż jeden bieg, Paulie.

– To twój pogrzeb, mała – odparł. – To tutaj – poinformował Vica Serotonina.

Paulie miał wiele kryjówek w całym Saudade. Ta była ponurym jednoizbowym mieszkaniem pośród niekorporacyjnych zaułków nieopodal Voigt Street. Melina nie różniła się od innych niczym, poza tym, że Paulie trzymał w niej łóżko polowe, które zawsze ścielił sam, a także kilka cenionych przez siebie pamiątek z czasów, gdy był próżniowym komandosem. Nawiązywał też stąd kontakty za pośrednictwem rozmaitych łączy nadświetlnych i routerów orbitalnych, zapewniających mu ogólnoplanetarny zasięg. Gdy tylko otworzył drzwi, ze środka buchnął obrzydliwy smród, przypominający fetor kału, moczu i stojącej wody.

– Jezu, Paulie – poskarżył się Vic.

DeRaad powiedział mu, że to jeszcze nic. Odorowi towarzyszył dźwięk przypominający bulgotanie. Na łóżku Pauliego spoczywało częściowo rozebrane jestestwo posługujące się imieniem „Pogoda”. Gdy Vic widział je ostatnio, byli razem na Przylądku Samobójców. Można powiedzieć, że udławiło się artefaktem Vica, sklepiło się z nim w jedną całość w jakiś sposób, którego nie mógłby zrozumieć nikt poza drugim chłopakiem-cieniem. Zawarto ślub. Ten, kto zawiązał węzeł, poślubił oboje z pośrednikiem. Wszyscy troje połączyli się w całość, aczkolwiek – sądząc po fatalnym stanie chłopaka z Przylądka – nie na długo. Dzieciak wyglądał na chorego i przerażonego. Szorty miał opuszczone do połowy nóg, a jego skóra w słabym oświetleniu wydawała się biała jak rybi brzuch. Co chwila targały nim konwulsje, otwierał szeroko usta i wymiotował czymś, co wyglądało jak zimna tapioka.

– I co to jest, Vic? – zapytał Paulie DeRaad.

Dzieciak usłyszał jego głos. Usiadł z drzeniem, przenosząc wzrok z jednego mężczyzny na drugiego. Spojrzał w oczy Vicowi. Poznawał go. Mężczyzna widział ukrytego w głębi operatora chłopaka z Przylądka. Razem z nimi był tam artefakt, nadal biały i nieznan, coś podobnego do zwierzęcia, co biegło w stronę Vica przez strefę. Nie sposób było zaprzeczyć, że dzieje się tu coś nieprzyjemnego. Vic i Paulie próbowali się przemieszczać, ale nigdzie nie było schronienia. W każdym punkcie pokoju dosięgały ich przebliski niesamowitego uroku chłopaka-cienia. Na krótką chwilę cuchnącą izbę wypełniły strugi deszczu rozświetlone promieniami słońca oraz zapach morza. Przez jęki pośrednika i przypominające muzykę impulsy kodu przebił się głos obiektu:

– Czy tu jestem? – zapytał Pauliego. – Nie widzę siebie.

– To się zdarzyło dwa albo trzy dni później – wyjaśnił Vicowi Paulie. – Nie mogę wepchnąć nabywcy czegoś takiego. Sam też nie zrobię z niego użytku, nawet gdybym wiedział, co to jest. To nie jest dobry interes, Vic.

– Widzę to – zgodził się Serotonin. – Czy możemy stąd wyjść?

Chłopak z Przylądka roześmiał się w głos.

– Nikt stąd nie wyjdzie – wyszeptał trzema odrębnymi głosami jednocześnie.

– Brzydzą się tego – oznajmił Paulie DeRaad.

Zamknął chłopaka i obaj wrócili riksą do Semiramide. Atmosfera w klubie rozgrzała się nieco. Słychać było muzykę i rozmowy. Przy stolikach siedziało mnóstwo ludzi. Mony krążyły między nimi w poliuretanowych butach na dziesięciocentymetrowych obcasach. Większość pachniała miętą albo olejkiem waniliowym, choć niektóre, kupując pakiet, wybrały cynamon. Po ścianach przemykały hologramy z akcji EMC pod Cor Caroli albo na Motelu Splendido, a także obrazy starego statku Pauliego DeRaada, *Piekielnego Kwiatu*, rozrywanego dwuwymiarową eksplozją po trafieniu przez jakąś superbroń Nastyków. Vic i Paulie wrócili do gabinetu. DeRaad kazał Alice Nylon zamknąć drzwi z uwagi na hałas. Wzięli sobie coś do picia.

– Widzisz, w jakim kierunku zmiernają moje myśli – zaczął Paulie. – Muszę cię zapytać, czy przyniosłeś stamtąd coś paskudnego, Vic?

– Tam wszystko jest paskudne – odparł Serotonin. – Znasz ryzyko.

– Ja jestem nabywcą – przypomniał mu Paulie. – To ty masz profesjonalne umiejętności. – Wydawało się, że ma trudności z odruchem połykania. Vic Serotonin nigdy też nie zauważył u niego podobnego drżenia rąk. – To ty podejmujesz ryzyko – ciągnął Paulie. – Nie ja. Co, jeśli czymś się od tego zaraziłem?

– W takim przypadku zacząłbyś już czuć się źle. Jak dla mnie jesteś w porządku, Paulie.

– Nie jestem w porządku – sprzeciwił się młodszy mężczyzna. – Odkąd to się zaczęło, mam gorączkę. Nie chce mi się jeść. Gdybyś przyprowadził tu Monę, mógłbym nawet na moment zapomnieć o jej obecności. Płacze mi się w głowie. Co to za życie?

– Coś ci powiem – odparł Vic. – Powinieneś go zastrzelić.

Paulie wbił w niego zdumione spojrzenie.

– Tego spróbowałem najpierw. Ale on się scala z powrotem, Vic. Białe światła zbiegają się w kupę ze wszystkich stron pokoju. Niesamowite skurwysyństwo. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Cały czas przy tym jęczy i płacze. Swoją drogą – dodał, gdy Vic wstał i ruszył ku wyjściu – twój chłopak Antoine pracuje teraz dla mnie. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu?

Była jedenasta wieczorem – za późno, żeby dokądś pójść, za wcześnie, by wracać do domu. Vica dziwiło wszystko, co zobaczył i usłyszał. Zastanawiał się nad odwiedzeniem Emila i Edith. Zastanawiał się nad pójściem spać. Na koniec jednak nie zrobił żadnej z tych rzeczy. Zatrzymał się

obok stolika, przy którym siedział Gruby Antoyne Messner. Miał na sobie nowy, szafirowy garnitur i żółtą koszulę. Przysiadła się do niego jedna z klubowych Mon. Z bliska okazało się, że to dawna dziewczyna Joego Leone, Irene. Pochylała się tak blisko Antoyne'a, że mógł zajrzeć w obiecującą szparę nad jej meksykańską bluzą jaskrawej barwy ochry. Zaciśkała palce na jego nadgarstku, jakby mierzyła mu tętno. Oboje pili te różowo-żółte drinki, które lubił Antoyne.

– Cześć, Irene – odezwał się Vic. – Świetny garnitur, Gruby Antoyne! – Musiał krzyczeć, by przebić się przez gwar tłumu. – Może usiądę z wami – zasugerował. Popatrzyli na siebie nawzajem, a potem na niego, nie odzywając się ani słowem. Vic wykonał gest, oznaczający: „Co na to poradzę?”, jakby panujący w lokalu zgiełk nie pozwalał mu dokładnie usłyszeć ich słów, a potem i tak usiadł i zamówił drinki.

– A więc wszyscy pracują teraz dla Pauliego?

– To tylko tymczasowe, Vic – odpowiedział pośpiesznie Antoyne, jakby spodziewał się tego pytania.

– To robota – poprawiła go Irene, spoglądając jednocześnie na Vica. – Każdy potrzebuje roboty. Nie przejmuję się, mówię to prosto z mostu.

Wyjaśniła, że ktoś posiadający takie umiejętności jak Antoyne rzecz jasna szukał pracy w porcie albo w stoczni, ale cywilne porty wcale nie prosperowały tak dobrze, jak się wszystkim zdawało.

– Szukał wszędzie, ale w końcu to ja znalazłam mu tę szansę.

Przypomniała Vicowi, że sytuacja jest ciężka, rynek pracy się kurczy i nie zawsze można dostać to, czego się chce. Na szczęście, Paulie DeRaad wypełnił lukę. Zawsze uważała go za uczciwego pracodawcę. Wszyscy też wiedzieli, że dobrze płaci. Wystarczy, by Vic spojrział na elegancki ubiór Antoyne'a, by się o tym przekonał.

Vic musiał przyznać, że to zapewne prawda.

– Tam właściwie nie było dla mnie miejsca – odezwał się nagle Antoyne, mając na myśli bar Liv Huli. Jego zdaniem na tym właśnie polegał problem. – Chciałem tylko, by mnie akceptowano, Vic.

– Ale czy nie żał ci tych wieczorów, kiedy chlaliśmy z Liv? – zapytał Serotonin.

– Druga zaleta to, że wołają mnie tu po imieniu. Tak jest lepiej. Nie „Gruby Antoyne”, jak w innych lokalach.

– To świetnie, że straciłeś na wadze – skwitował Vic.

Dla Irene, z jej wyostrzonymi instynktami Mony pozwalającymi lepiej się orientować w uczuciowej stronie życia, Vic Serotonin miał twarz kogoś, kto często wędruje po mieście sam. Kiedy dopił drinka, pożegnał się z nimi uprzejmie i na dodatek powiedział Irene: „Pamiętajcie, że macie się świetnie bawić”, odniosła wrażenie, że jej nerwy wypełnia wibracja wszystkiego, czego Vic o sobie nie wiedział. Śledziła go wzrokiem, gdy przepychał się przez tłum gości, zatrzymując się na chwilę przy drzwiach, by pomówić z Alice Nylon, i powiedziała ze smutkiem:

– Znałam milion mężczyzn takich jak on.

Musiła też przyznać, że ze swymi czarnymi włosami i oczyma o twardym, smutnym wyrazie wyglądał jak samo New Nuevo Tango. Mimo to, nic nie wiedział o innych, a jeszcze mniej o sobie. Nie potrafiła tego wyrazić w żaden inny sposób. Człowiek, który często wędruje sam, a mimo to zna siebie gorzej, niż inni znają jego. Dotknęła dłoni Grubego Antoyne'a.

– Vic Serotonin za późno się zorientuje, że świat jest realny i nikomu z nas nie jest dane przebywać na nim zbyt długo.

Grubas wzruszył ramionami.

– Nie musimy o nim myśleć.

To był sygnał, mówiący, że powinni wrócić do rozmowy, którą przerwał im Vic. To była ta sama

rozmowa, którą prowadzili co wieczór od śmierci Joego Leone. Jej metodologia[2] brzmiała następująco: wkrótce opuszczą Saudade i znowu ruszą w podróż po halo, ale tym razem we dwoje. Irene wskazała, że to z pewnością najprostszy i najbardziej bezpośredni ze wszystkich gestów, ponieważ z samej definicji to podróż sprowadziła ich tutaj i dzięki niej się spotkali.

– Spłukałam już z włosów pył bardzo wielu planet, czemu by nie tej również! – stwierdziła. – Tego właśnie pragnąłby dla mnie Joe. Wiem, że to prawda! – W jej oczach pojawił się błysk brawury. – Och, Antoyne, czy to by nie było fajne?

Grubas nie był tego taki pewien, ale i tak się cieszył, kiedy tak mówiła. Za każdym razem czuł się zobowiązany ostrzec Irene, że mogłaby znaleźć lepszych towarzyszy podróży. A także lepszych mężczyzn, choć z pewnością on również miał kiedyś swój dzień. W odpowiedzi zawsze słyszał od niej:

– Nie umniejszaj się, Antoyne!

Ostrzegła go, że mężczyźni, którzy się umniejszają, nie są dla niej. Uważała, że szczęście się do niej uśmiechnęło, ponieważ spotkała Antoyne'a w straszną noc śmierci Joego. Była znana z wiary w to, że życie polega na tym, by zawsze podążać za głosem serca i nigdy się nie umniejszać. Oboje mieli przed sobą jasną przyszłość, jakiej smutasy podobne do Vica nigdy nie odnajdą.

Nieświadomy surowego osądu, jakiemu go poddano, Vic Serotonin ruszył przez Moneytown na Corniche. Po półgodzinnym spacerze znalazł się w cieniu porzuconego pirsu. Zatrzymał się tam, spoglądając na plażę. Nie było ani przyływu, ani odpływu. Morze wypełniał blask, jakby tuż za horyzontem coś się działo. Na styku ze strefą zdarzenia przybój pieniał się gwałtownie. Miał też fiołkową barwę i cuchnął lekko utleniaczami oraz płynem po goleniu, jak wewnątrz pustej sali tanecznej.

Vic dobrze znał tego typu miejsca. Instynkt pozwalał mu oceniać punkty położone w połowie drogi między strefą zdarzenia a miastem. Tu jednak nie wyczuwał nic poza tym, że z pewnością nie chciałby niczego przenosić w tym miejscu przez granicę. Nie sądził, by to była dobra trasa wejścia. Albo wyjścia. Zapalił papierosa. Rozglądał się i nasłuchiwał. Za plecami słyszał dyszenie i tupanie rikszonek na wysypanym tłuczonymi muszelkami parkingu Café Surf. Para ich oddechów buchała w chłodne, nocne powietrze. Ludzie zmierzali pośpiesznie do baru, śmiejąc się i oganiając od wplątujących się we włosy reklam. Gdy tylko ktoś otworzył drzwi, z wnętrza dobiegały dźwięki muzyki. Vic nie przepadał za taką, ale i tak poszedł do baru.

Opuścił lokal po godzinie, nie dowiedziawszy się niczego. Wnętrze udekorowano imitacją Sandry Shen. Mało miejsca. Przepelnione popielniczki, stoły pełne zmiętych serwetek, na wpół opróżnione talerzy i butelek piwa Giraffe. Woń pary dobiegająca z kuchni. A pod czerwonym neonem z napisem *Co noc muzyka na żywo* tani dwuosobowy zespół smęcący bez końca bebopowe remiksy zeszlorocznych sentymentalnych przebojów. Do toalety nie sposób się było dopchać z uwagi na ciągły strumień wychodzących z niej ludzi. Vic oparł się o bar i przez chwilę słuchał muzyki, potrząsając głową. Nagle odwrócił się na pięcie i przepchnął do drzwi. Nawet jeśli coś tu się działo, nie miał pojęcia, co to mogło być.

Wrócił riksą do miasta i kazał dziewczynie zatrzymać się pod śródmiejskim posterunkiem policji na skrzyżowaniu ulic Uniment i Poe. Tam właśnie Lens Aschemann miał swoje biuro. Minęła już północ i wilgotna bryza niosła papiery po pustej ulicy. W jednym z okien na drugim piętrze paliło się światło. Za żaluzją poruszały się pochylone sylwetki. Nietrudno było sobie wyobrazić, że Aschemann siedzi tam, popija rum i metodycznie próbuje wrobić Vica w jakąś sprawę, o której ten nie miał bladego pojęcia. Co odkryli w Café Surf ludzie z Wydziału Przystępstw Strefowych? Może

chodziło o powiązania Pauliego DeRaada z EMC?

Może handlowali artefaktami na własną rękę? Czemu jednak mieliby się czepiać Vica Serotonina za zły gust Pauliego?

– Hej – przypomniała mu się riksarka. – Koniowi płaci się za bieganie.

– To biegnij – odparł Vic.

– Wiesz, że muszę się wytrzeć, jeśli za długo stoję bez ruchu? Ludzie tego nie rozumieją.

– Przepraszam.

– Życie jest za krótkie na żale, kochanie.

Vic zapłacił riksarce na skraju porośniętego zieleńcem placu kilka przecznic od jego mieszkania w South End, a potem wrócił do domu okrężną drogą. Nikt za nim nie szedł, ale kiedy znalazł się w korytarzu swego mieszkania, nie potrafił uwierzyć, że jest sam. Zostawiono dla niego paczkę. Otworzył ją i znalazł w środku małą, oprawną w skórę książeczkę. Na jej okładce narysowano kreskami dłoni trzymającą kwiaty. Choć wszystkie wyrastały z jednej łodygi i miały taki sam kształt, różniły się kolorami. Przez chwilę myślał, że Edith Bonaventure znalazła dziennik ojca i go przyniosła. To jednak nie było pismo Emila. Pierwsze przeczytane przez Vica zdanie zaczynało się: „Czy błędem, gdy sobie przypominam, albo próbuję sobie przypomnieć, czasy poprzedzające moje dzieciństwo?”. Serotonin gapił się na to z irytacją. Potem pobiegł na górę, do swego pokoju. Zamiast zapalić światło, podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Po przeciwnej stronie ulicy, dziesięć albo dwadzieścia metrów od domu, ktoś na niego patrzył. To była kobieta z baru Liv Huli. Jej wtulona w futrzany kołnierz twarz była w rtęciowym świetle zupełnie biała. Nim zdążył otworzyć okno i ją zawołać, kobieta zniknęła.

Kilka godzin później, na drugim końcu miasta, mężczyzna podobny do Einsteina wszedł do zbudowanego nad morzem bungalowu swej zmarłej żony.

Drzwi frontowe nasiąkły słoną wodą i trzeba je było unosić przy otwieraniu. Linoleum w korytarzu pokrywała warstewka piasku. Zamiast zapalić światło, Aschemann zatrzymał się i zaczekał, aż jego oczy przyzwyczają się do słabego, odbitego od morza blasku padającego na każdą powierzchnię. Przeszedł ostrożnie do kuchni, wytarł okno i spojrzał na ocean.

– Jak się masz? – przywitał go głos żony. – Widzisz ten statek?

To była kuchnia pustego domu: puste szafki, puste półki, cienka warstewka kurzu i piasku na wszystkim. Aschemann odkręcił kran z ciepłą wodą, nabrał jej trochę w złożone dłonie i ochlapał sobie twarz. Potem wrócił do korytarza i zdjął płaszcz przeciwdeszczowy.

– Czy widzisz statek tak samo jak ja? – pytał głos jego żony. – Te światła na prawo od Przylądka?

Za życia ciągle zadawała mu podobne pytania, bez względu na to, czy stał obok niej, czy też leżał w łóżku z inną kobietą w jakiejś odległej części miasta. Nigdy nie ufała własnym oczom.

– Widzę go – zapewnił. – To tylko statek. – Wracaj do łóżka.

Pocieszony tym urywkiem rozmowy, której reszta spoczywała gdzieś w nieosiągalnych głębinach pamięci, usiadł w fotelu w salonie, rozpiął kołnierzyk koszuli i połączył się z asystentką.

– Mam nadzieję, że znalazłaś dla mnie coś ciekawego, bo ostatnio nie idzie nam najlepiej – oznajmił. Wiedział, że to zabrzmiało niejednoznacznie, ale doszedł do wniosku, że nie będzie niczego uściślał.

Po akcji w Semiramide Club pokłócili się w samochodzie.

– Nie lubię, jak padają strzały – poinformował ją. – Będę teraz musiał przeproszać Pauliego.

– Paulie to skłonny do przemocy śmierdziel.

– Wszystko jedno. Strzały nie są w moim stylu. Nic nie znaleźliśmy. Jedyne nasze sukcesy to parę dziur w ścianie. Zastraszaliśmy kilkoro dzieci! Z DeRaadem zawsze będziemy mieli taki sam problem. Brakuje mu inteligencji, by mógł osiągnąć swe cele, ale nie jest aż taki głupi, byśmy my mieli szansę zrealizować swoje. To cały Paulie. – Dotknął jej ramienia. – Jedź wolniej. Nie chciałbym stracić tego pięknego samochodu. Albo zrobić komuś krzywdy.

Cały czas gapiała się przed siebie i chyba jeszcze przyspieszyła. Mknęli przez Moneytown i ze wszystkich stron otaczali ich piesi i riksze. Cadillac to grzęznął w porannym ruchu, to wydostawał się z niego. Stop, start, stop, start. Aschemannowi robiło się od tego niedobrze.

– To nie są dzieci – stwierdziła.

– Jesteś wściekła. Rozumiem to.

Nie zdobyli w Semiramide żadnych informacji. Właściwie nie liczył na to. Któż w końcu przechowywałby zakazane artefakty w pokoiku na zapleczu klubu tanecznego? Nawet Paulie DeRaad by tego nie zrobił. Od tej pory, nie bardzo wiedząc dlaczego, Aschemann zaczął regularnie odwiedzać Café Surf. Powtarzał sobie, że tu właśnie jest początek wszystkiego.

Kiedy nie ma się żadnej teorii, najlepiej jest obserwować. Śledził bebopowe golemi odchodzące w noc, przyglądał się, jak odłączają się od grupy i znikają w tłumie w centrum Saudade. To było jak sztuczka z kartami. Co dziesiąty wytrzymał nieco dłużej, niekiedy posuwał się nawet do tego, że szukał dla siebie noclegu.

– To musi coś znaczyć – oznajmił teraz asystentce. – Dziesięć procent wykazuje ponadprzeciętny niepokój. Chcą czegoś. Czy w ogóle są artefaktami w naszym rozumieniu tego słowa?

Odpowiedziała mu, że to wszystko tylko potwierdza to, co już wiedzą. Aschemann wzruszył ramionami.

– Jest trzecia nad ranem – stwierdził. – Nie rozumiem, dlaczego marnujesz czas na gadki z takim starcem jak ja.

– Vic Serotonin przyszedł dziś do Café Surf pół godziny po tym, jak stamtąd wyszedłeś. Cały czas próbowałam się z tobą połączyć.

PIĘĆ

DZIEWIĘĆDZIESIĘCIOPROCENTOWY NEON

— Rozumiem – mruknął Aschemann.

– Nie mogę ci o niczym meldować, kiedy jesteś rozłączony.

– Pewnie masz rację.

– Rozłączasz się i łazisz sam po mieście – poskarżyła się. – Mamy trochę materiału – dodała, gdy stało się jasne, że nic jej nie odpowie. – Chciałbyś go teraz zobaczyć?

Mężczyzna powiedział, że chciałby.

Dom przechylił się nagle, a potem zniknął wokół niego. Aschemann patrzył na zapis nanokamery, urywane ruchy ludzi tłoczących się w jakimś pomieszczeniu. Przez to wszystko przebijał się głos asystentki. Jego głuche, pogłosowe brzmienie było artefaktem transmisji. Odnosił wrażenie, że kobieta jest blisko, ale nie przebywa w tym samym pokoju.

– Masz dobry odbiór? – zapytała. – Przekazują teraz jakieś dane EMC o niskim priorytecie i nasz sygnał spadł na samo dno.

– Odbiór jest w porządku, tylko materiał do chrzanu.

– Z tym też mieli jakiś techniczny problem.

Nie można było tego porównywać z przebywaniem na miejscu. Obraz chwiał się, zatrzymywał, przechodził nagle w czarno-biały. Pojawiały się czarne pasy, przesuwane się powoli w dół przez pole widzenia. Nawet najbardziej doświadczonego użytkownika musiało to w końcu doprowadzić do wymiotów. Niemniej Aschemann wyraźnie widział Vica Serotonina. Mężczyzna stał oparty o Długi Bar w Café Surf, niespełna trzy metry od niego. Gabardynową kurtkę miał rozpiętą, a kapelusz przesunięty na tył głowy. Otaczający go ludzie prowadzili urywane rozmowy albo biegali w przyspieszonym tempie, jakby żyli w innym świecie.

– To wygląda tak, jakby na kogoś czekał – stwierdził Aschemann, potrząsając z irytacją głową, jakby coś mu się do niej przykleiło. Co chwila skupiał na mgnienie oka wzrok na wybranym punkcie pustego pokoju. Ludzie często tak robili, próbując poprawić jakość odbieranego obrazu. Widziało się, jak mrużą powieki albo walą się w skroń nad okiem. To była pospolita reakcja, która jednak nigdy nie skutkowałą.

– Odbierasz ten sam przekaz co ja? – zapytała podekscytowana asystentka. – Mniej więcej z wysokości pasa? Po prawej stronie baru jest kobieta w czerwonej sukni?

– Tak, to ten sam przekaz.

– Tam jest. Widzisz go? Mówił, że nigdy nie słyszał o Café Surf, ale przyszedł tam! Tego właśnie nam potrzeba!

Aschemann nie był przekonany. Kazał asystentce wyłączyć przekaz.

– Widzę tylko faceta, który pije w barze – stwierdził, gdy jego wzrok powrócił do normy. – Gdyby to było zabronione, wszyscy siedzielibyśmy w orbitalnej instytucji poprawczej. Gdzie Vic poszedł później?

– Nie wiedzą tego.

– To bardzo pomocne.

– Obejrzyj całość. Po jakichś dwustu osiemdziesięciu sekundach zakłócenia wyrywają się spod kontroli. Musieli wszystko rozłączyć, żeby to naprawić.

Aschemann podziękował kobiecie za przekaz.

– Wracaj do domu – poradził. – Prześpij się trochę. Mamy mnóstwo spraw do przemyślenia.

Potał powieki i rozejrzał się po pokoju, w którym umarła jego żona. Aż do rana będzie siedział w poplamionym żółtym fotelu, otoczony jej rzeczami. Będzie słyszał jej głos, pytający go o datę albo proponujący mu drinka. Nigdy nie przyznałby się swej asystentce, ile czasu tu spędzał. Nie przyznawał się sobie, jak bardzo brakowało mu żony.

Coś w materiale z Café Surf przyciągnęło uwagę Aschemanna, nie potrafił jednak określić, co to było. Wieczorem następnego dnia, gdy siedział w Długim Barze, słuchając muzyki, jakaś młoda kobieta usiadła na stołku obok i zamówiła koktajl o nazwie Dziewięćdziesięcioprocentowy Neon. Była Moną, tak przynajmniej pomyślał w pierwszej chwili, sobowtórem Marilyn Monroe ubranym w czerwoną suknię wieczorową. Na nogach miała buty na wysokich obcasach, w tym samym kolorze.

– Już cię tu widziałem – stwierdził Aschemann.

Pochyliła się ku niemu, gdy wypowiadał te słowa, i poprosiła o zapalniczkę. Wygięła się lekko w talii, odchylając głowę do tyłu, demonstrując ciało spowite w jedwab, jazz i światło z neonowego napisu *Co noc muzyka na żywo*. Do uzupełnienia wizji czegoś zapisanego w pamięci, a zarazem nierealnego, brakowało tylko ramki z matowego aluminium. Aschemann widział tę suknię na obrazie zarejestrowanym przez nanokamerę śledzącą Vica Serotonina. Co być może ważniejsze, widział ją również czternaście dni temu, gdy kobieta wyszła z toalety Café Surf, zdezorientowana światłem neonu i muzyką, jakby była nowa na świecie. Nadal sprawiała wrażenie nieufirmowanej i labilnej. Jej uśmiech wyrażał ostrożność, choć suknia oferowała wszystko.

– Przychodzę tu bardzo często – wyjaśniła. – Lubię tych muzyków. A tobie się podobają?

Poświęcił chwilę na zapalenie fajki. Potem przełknął odrobinę rumu.

– Są tak samo winni jak zawsze – odparł wreszcie.

– Winni?

– Pod zręcznością pianisty nie ukrywa się intelekt ani serce, a jedynie przymus. Jeśli nie ma pod ręką nikogo innego, będzie grał przeciwko sobie, a potem przeciwko stworzonej w ten sposób osobowości i przeciwko następnej, aż wreszcie samo pojęcie tożsamości rozproszy się całkowicie i będzie mógł odprężyć się na chwilę w jaskrawym świetle i obłokach papierosowego dymu, jak ktoś uwieczniony na starożytniej, czarno-białej fotografii.

– Przecież to tylko muzyka – zauważyła kobieta.

– Być może – przyznał Aschemann, myśląc, że dla detektywa nic nie jest tylko tym, czym się wydaje. Zaproponował, że postawi kobiecie kolejny koktajl, ale spojrzała tylko na niego dziwnie, jakby go nie usłyszała, wrócił więc do tematu muzyków: ten starszy wyrobił sobie inny pogląd na sprawy, taki, który jego kolega mógłby uznać za banalny i oczywisty.

Wierzy, że muzyka może istnieć tylko dzięki temu, że jakakolwiek muzyka jest niemożliwa. – Aschemann uśmiechnął się, zadowolony z własnej błyskotliwości. – W rezultacie wszechświat nieustannie stwarza się dla niego na nowo w oparciu o dwie albo trzy niezmiennie zasady i przestarzały instrument muzyczny zwany saksofonem.

– Ale winni? Czy to wystarczy, by mówić o winie?

Detektyw wzruszył ramionami.

– Powiedzmy współwinni. To tylko sformułowanie. Osobiście wolę New Nuevo Tango. Ma w sobie więcej serca.

Wlepiła w niego spojrzenie, zsunęła się ze stołka i roześmiała nerwowo, odsłaniając plamki szminki na białych zębach. Poczł przez chwilę jej zapach: mocny, ciepły, trochę niedomyty, nieco tani, pod jakimś względem uspokajający.

– Do widzenia – powiedziała. – Może się jeszcze spotkamy.

Aschemann odprowadzał ją wzrokiem. Osuszył szklankę i ruszył nieśpiesznie za kobietą w ciepło czarnego serca miasta. Czuł zapach podniecenia i poczucia winy, buchający ze studzienek kanalizacyjnych. Czuł również jej ekscytację wywołaną myślą, że żyje tutaj, w pełnym wspaniałych widoków Saudade. Czy wiedziała, że za nią idzie? Nie wiedział, jak kobieta widzi rzeczywistość, ale nie wątpił, że o nim nie zapomniła. Nie był jednak pewien, jak bardzo jest niebezpieczna. Dotarł za nią do pozbawionego windy i ciepłej wody budynku za sklepem z butelkowanym mlekiem za Tiger Shore. Wbiegł na kilka ostatnich metalowych stopni zewnętrznej klatki schodowej, by dogonić kobietę i położyć dłoń na jej ciepłym ramieniu. Stopnie dźwięczały i zgrzytały pod jego stopami, kobieta szarpała się z zamkiem. Upuściła klucz. Podniosła go.

– Zaczekaj – rozkazał. – Policja. Nie wchodź do środka beze mnie.

Gapiała się na niego z rozpaczą. Potem spojrzała w dal nad jego ramieniem. Sprawiała wrażenie, że raczej patrzy na samo miasto, niż liczy na to, że kogoś tam zobaczy.

– Proszę! – zawołała. – Nie wiem, co złego zrobiłam.

– Ja też nie wiem.

Cokolwiek miało się zaraz wydarzyć, Aschemann chciał się upewnić, że będzie przy tym obecny.

W środku była naga podłoga z szarych desek, nieosłonięta żarówka i jedno gięte krzesło. Na ścianie naprzeciwko okna cień żaluzji padał na plakat z logo *Surf Noir*.

– Hej – odezwała się kobieta. – Wiem: czemu sobie nie siądziesz? – Zgięła się w pół i czerwona suknia odsłoniła jej piersi, widoczne w migotliwym świetle. Kobieta uklękła i Aschemann usłyszał jej oddech – spokojny i lekko nieżytowy. Potem uniosła suknię i dosiadła okrakiem siedzącego detektywa. Z tak bliska zobaczył, że jej sposób chodzenia, cienie wokół oczu, baza pod podkład zaschnięta na maleńkich włoskach w kącikach ust – wszystko to w blasku neonu Café Surf sprzysięgło się, by nadać jej wygląd starszej, niż była w rzeczywistości.

– Tak. Tak, teraz – wyszeptwała, gdy osiągnął szczyt. Cały miesiąc chodziła w tej samej sukni. Była ofiarą, ale czego? Nie miał pewności. Nie miał pojęcia, kim była. Jak to możliwe, że czuł zapach jej podniecenia, ale nie własny? Czuł się osłabiony z tego powodu.

– Gdzie śpisz? – zapytał ze zdziwieniem. – Tu nie ma łóżka.

Ta kwestia spowodowała chwilową dezorientację. Trwało to bardzo krótko, ale gdy potrząsnął głową i odwrócił się, by zapłacić kobiecie, stała w rogu pokoju, znieruchomiała z paniki, wciskając twarz w kąt między ścianami. Nauczyła się wystarczająco wiele, by wiedzieć, czego pragnie miasto, ale nic więcej. Nowe ubrania walały się po podłodze. Były czyste, lecz porozrzucane przypadkowo, jakby próbowała je włożyć, ale nie była pewna, jak to się robi. Zgromadziła też kilka przedmiotów: kolorowe pióra na kiju, zamkniętą butelkę Dziewięćdziesięcioprocentowego Neonu. Zaczęła zanikać na jego oczach, ale wybiegł na żelazne schody na długo przed tym, nim proces dobiegł końca. Wrócił do Długiego Baru i pił tak długo, aż drzenie ustąpiło. Odpoczywając dzięki muzyce i światłom, myślał: czy to ważne, kim była, jeśli co noc coś tutaj dotyka świata? Poczucie winy kazało mu połączyć się z asystentką.

– Chyba zaczynam rozumieć, co tu się dzieje – powiedział jej.

Dwa dni później, wsadziwszy ręce do kieszeni na zakończenie popołudnia spędzonego ze swą przyjaciółką, butelką, Vic Serotonin usiadł wygodnie w drzwiach baru Liv Huli, obserwując koty wracające do strefy zdarzenia. Siedział tu już pięć minut, a na ulicy nadal było ich pełno.

– Możesz zapłacić rachunek kiedy chcesz – przypomniała mu stojąca za barem Liv Hula.

– Jasne – zgodził się Vic.

Stał tam jeszcze minutę albo dwie, nie odzywając się ani słowem, po czym postawił kołnierz i

wyszedł.

Liv Hula potarła płamę na kontuarze. Potem rzuciła szmatę do zlewu.

– Zawsze się cieszę na twój widok, Vic – mruknęła cicho. – Wróc szybko.

Poszła na górę i włączyła Radio Retro, ale zapowiadali w nim wieczorne walki i przypomniało jej to o Joem Leone.

Na zewnątrz było Saudade.

Na jednym końcu miasta rysowały się wysokie, czarno-złote biurowce i hotele dla turystów. Światła zapalające się w ich oknach układały się w kanciaste symbole. Na drugim końcu pastelowe barwy ulicy Corniche blakły w blasku zachodu o nieczystej, gorącej barwie rózu i zieleni. Między nimi było morze i – gdzieś w dali, za potężnymi grzywaczami – horyzont niby zagięcie w kartce papieru gołębiego koloru. Wiejąca od morza bryza, uporczywa jak dłoń dotykająca ramienia, przemykała przez ulice, przynosząc ze sobą intensywną woń owoców morza i tanich, mieszanych drinków. Hotele się opróżniały, a bary wypełniały. Ze wszystkich otwartych drzwi dobiegały basowe dźwięki surf noir.

Vic Serotonin mijał to wszystko, nieustannie wzruszając ramionami.

Czuł się zdziwiony. W jednej kieszeni miał oprawiony w skórę dziennik, a w drugiej pistolet Chambersa.

Dotarł do skrzyżowania Straint Street z końcem ulicy Neutrino. Dwie riksarki i ich klienci wdali się już w spowodowaną kolizją kłótnię. Potem skręcił w ulicę Cahuenga, która zaprowadziła go do Wysokich Murów. Po pięciu minutach odnalazł mieszkanie, którego szukał. To był jeden z wysokich, wąskich bloków, sześć pięter podzielonych na mieszkania. Vic zadzwonił domofonem. Nastąpiła długa cisza. Zadzwonił jeszcze dwa razy.

– Kto tam? – usłyszał wreszcie niepewny głos.

– Pamiętasz mnie? – zapytał Vic. – Chciałaś się ze mną widzieć. Prosiłaś mnie o pomoc.

– Proszę, panie Serotonin.

Wbiegł na górę, pokonując po dwa stopnie przy każdym kroku.

Dziennik kobiety stanowił niepokojącą lekturę, ale Vic nie potrafił się od niej oderwać. Napisała: „Boję się nieznanego, ale strach przed znanym jest znacznie gorszy”.

Podobne sformułowania wypełniały wiele stron. Można tam było też znaleźć listę wydatków – riksza do śródmieścia, posiłki w drogich lokalach, jak Els i Encientum, bielizna od Uoesta, modne książki z wydawnictwa Parker Bright. Potem były opisy walk. Latarnie naftowe rzucały na arenę coś w rodzaju antyiluminacji, w powietrzu unosiła się woń palonego cynamonu, kultywary paradowały dumnie, popisując się kłami i tatuażami, wzwiedzione kutasy wielkie jak u koni, nagły rozbłysk długiej na dwadzieścia centymetrów ostrogi, a potem coś lepkiego i parującego, co znikało w cieniu. Kobieta doszła do wniosku, że walki mają w sobie wymiar moralny, którego najwyraźniej nikt nie dostrzega. Jej spostrzeżenia były w porządku. Ledwie dotykały powierzchni, ale można to było zrozumieć. Po dzienniku podróży nie należało się spodziewać więcej. Potem jednak zaczynała znowu:

„Znane pokrywa wszystko niczym warstwa tłuszczu. Zrobilibyśmy wszystko, by uniknąć tego, co już znamy”.

Z tego powodu trudno ją było sklasyfikować. Sprawiała wrażenie kogoś, kto spędził w Saudade długi czas, a zaraz potem kogoś, kto przybył tu niedawno. Jeśli jednak jej miejsce było gdzie indziej, niczym nie zdradzała, gdzie mogłoby się ono znajdować. Robiła wrażenie zależnej od przywilejów kobiety, która zawędrowała o jedną planetę za daleko i była teraz zagubiona w przestrzeni.

Wychodziła z domu tylko na posiłki, zakupy i przejażdżki po mieście. Poza tym siedziała u siebie, pogrążona w napięciu. Mówiła, że kocha swoje mieszkanie, ale związek łączący ją z miastem jest niepełny i niekonstruktywny. Mimo to nie wsiadła na pokład statku i nie odleciała, jak postąpiłyby każdy turysta.

– Czy takie życie jest mi przeznaczone? – pytała samą siebie. – Czy tak samo wygląda to dla wszystkich pozostałych istot? Czy tak się tu patrzy na sprawy?

Jako jedna ze wspomnianych istot Vic również chciałby to wiedzieć.

Odpowiedzi nie chciały jednak nadejść, a język dziennika niczego nie wyrażał, ponieważ jego prawdziwy temat – dręczący kobietę lęk – pozostawał obecny, lecz niewypowiedziany. Dlatego każde spostrzeżenie sugerowało coś więcej, niż mogły wyrazić słowa. W rezultacie nawet fizyczne przedmioty niekiedy wydawały się skompresowane i możliwe do odkodowania. Gdy Vic przysunął stronicę do nosa, poczuł wonie miasta: zapach kawy, perfum, polerowanego drewna. A potem bardzo słabą nutę ludzkiego seksu. To z pewnością nie był wytwór wyobraźni. Słowa wyłaniały się z tych zapachów, jakby one również były wrażeniami. „Moje sny w całości składają się tu z maleńkich, szalonych malowideł. Mężczyzna wymiotujący węzłem. Ktoś mu pomaga. Dach ich domu płonie. Obie postaci odsuwają się od siebie, ale pozostają nierozzerwalnie splątane kształtami języka ciała, pozbawionymi już wszelkiego znaczenia”.

„Czy to właśnie stanie się ze mną wewnątrz strefy? Czy moje sny to opisują? Nie chcę tam iść, ale muszę to zrobić”. Vic nigdzie nie znalazł wyjaśnienia owej kombinacji potrzeby i paraliżu, dlatego raz po raz wracał do fragmentu, który najpierw przyciągnął jego uwagę: „Czy błędę, gdy sobie przypominam, albo próbuję sobie przypomnieć, czasy poprzedzające moje dzieciństwo?”. Jakby tego było mało, dalej kobieta pisała: „Ogromne komarnice, *libellulinae* i szarańcze, które z jakiegoś powodu wypełniały moje życie, nagle nabrały emblematycznego charakteru. Były obcym gatunkiem, symbolami odmienności, w równym stopniu niepewnymi i lęklivymi, jak przerażającymi. Z reguły próbowały coś powiedzieć, za pośrednictwem kobiety, którą znałam jako Dziewczynę Spod Ważki. Służyła im jako tłumaczka, ich pragnienie elektryzowało ją, wypychało z siebie, przejmowało nad nią kontrolę. Nie miała własnego życia. Była radiem, radiem retro. Leżała na czarnym, wilgotnym popiele. Była mną. Stanęli nad nią z drżeniem. Próbowali jej wytłumaczyć, że wszystko poszło bardzo źle. Rzuciły ich tu okoliczności, na które nie mieli wpływu. Nie chcieli tu przebywać. W pewnym sensie byli moimi rodzicami, ale nie powinni znajdować się tutaj, w świecie, jaki wówczas znaliśmy”.

„Insekt i incest brzmią bardzo podobnie”, skonkludowała.

Ostro powiedziane, nawet jak na dzieciństwo spędzone na innej planecie.

W końcu zdołał poznać jej nazwisko. Wielokrotnie wypisała je na pierwszych dwóch albo trzech stronach, literami z początku niekształtnymi, lecz z biegiem czasu coraz bardziej wprawnymi i płynnymi. Nazywała się Kielar. „Pani Elizabeth Kielar”, pisała raz po raz, jak dziewczynka wypróbująca swe przyszłe tożsamości pod bezpieczną osłoną jakiejś drogiej szkoły w Nowym Wenusporcie. „Elizabeth Kielar. Pani Kielar”. Vic nigdy by się tak do niej nie zwrócił, ale zawsze było to jakieś nazwisko. Stała w drzwiach, przyglądając mu się niepewnie. Futro, które tak podziwiała Irene, luźno zarzuciła na atłasową koszulkę perłowej barwy.

W wypełniającym korytarz świetle w zagłębieniach za jej cienkimi obojczykami tworzyły się sine cienie.

– Przepraszam – odezwała się. – Ja nie...

– W końcu zawsze się okazuje, że przeprosiny to za mało – przerwał kobiecie Vic.

Odepchnął ją i wszedł do środka. Było tu siedem albo osiem pokoiów w amfiladzie. Wszystkie drzwi zostawiono otwarte i było widać całą długość mieszkania. Po lewej stronie znajdował się szereg identycznych okien i oświetlenie nadawało mieszkaniu wygląd jednej, sztucznie podzielonej przestrzeni, jakiejś restauracji albo galerii. Vic czuł, że kobieta stoi za nim. Zasłoniła piersi futrem i przyglądała mu się z typowym dla siebie bezustannym, mdłym zdziwieniem. Pachniała Anad's-Anad's, a także jakimś drogim mydłem kwiatowym.

– Wiedziałaś o tym – zaczął, nie oglądając się za siebie – ale do tej pory nie chciałaś tego przyznać. – Uniósł dziennik. – Dlaczego mi to dałaś?

Zamknęła cicho drzwi.

– Gniewasz się – zauważyła. – Nie wiem, czemu tak się gniewasz.

– Nie mogę pracować, gdy po tej stronie nie wszystko jest pewne.

– Chcesz się napić? – Ten pomysł wyraźnie dodał jej energii. – Spałam, kiedy zadzwoniłeś – wyjaśniła. – Chodź, napijesz się czegoś.

– Chciałbym się dowiedzieć, co twoim zdaniem mogę ci dać.

– Nie udało się, bo byłeś taki rozgniewany. Bałam się ciebie bardziej niż tamtego miejsca.

– Może teraz tak na to patrzysz – stwierdził Vic.

W ostatecznym rozrachunku, cóż mu pozostało poza wzruszeniem ramionami? Podążył za kobietą wzdłuż osobliwego, liniowego mieszkania, przyjął drinka i usiadł na końcu sofy nakrytej zieloną szenilową narzutą. Kobieta usiadła na drugim końcu, tak daleko od niego, jak tylko mogła. Podciągnęła kolana. Pozwoliła, by futro opadło luźno, i wbiła wzrok w również gapiącego się na nią Vica. Mężczyzna ostentacyjnie położył dziennik na stoliku. Być może chciał w ten sposób dać do zrozumienia, że uważa sprawę za zamkniętą. Na tym samym stoliku stał smukły szklany wazon. Rankiem padał na niego ostry blask słońca i wazon rzucał przejrzysty cień, uwięziony w cieniu okiennej ramy.

– Lubisz ten trunek? – zapytała kobieta. – Czy tak należy go podawać?

– Kiedy przyszedł do baru Liv Huli, wziąłem cię za turystkę – zaczął po chwili Vic. – Myliłem się. To naraziło nas oboje na niebezpieczeństwo.

– Panie Serotonin, ja...

– Spójrz na mnie – nalegał Vic. – Posłuchaj. Chcę ci coś powiedzieć. Tam największe zagrożenie stwarzają ludzie, którzy czegoś szukają. Tacy, których życie było za trudne i nie potrafili znaleźć rozwiązania. Mają nadzieję, że wreszcie spotka ich coś dobrego, ale ta nadzieja żyła w nich zbyt długo. Dlatego są niebezpieczni. Nigdy nie wiadomo, co może ich tam spotkać. Sądziłem, że chcą coś odnaleźć, ale lepiej by było, gdyby zostali po tamtej stronie.

To była jego standardowa przemowa do tego typu kobiet. Z reguły wygłaszał ją w kącie baru Liv Huli albo w apartamencie jednego z turystycznych hoteli.

Przełknął trunek i pochylił się.

– Rozumiesz? – zapytał.

Zadrżała i nagle znowu otuliła się futrem.

– Gniewasz się dlatego, że się wszystkiego boisz – skwitowała.

Vic wzruszył z uśmiechem ramionami.

– To dobrze, że się ze sobą zgadzamy – rzekł uprzejmie.

Wydeła usta i odwróciła od niego głowę, uwydatniając długie ścięgna szyi. Vic widział wypełniające je napięcie. Skórę miała nieco ciemniejszą, niż to pamiętał.

– Dziś rano siedziałam tu bez ruchu całą godzinę – zaczęła. – Cierpię. Czekam, aż coś się wydarzy, a nawet nie wiem, której części mojego życia ma dotknąć. – Nagle zwróciła się ku niemu. –

Czy zgubiłeś kiedyś drogę?

Oczy o osobliwym zielonobrazowym kolorze otwierała tak szeroko, że nie ważył się w nie spojrzeć, bojąc się, że rozczaruje ją w jakiś nieokreślony sposób.

– Skąd miałbym to wiedzieć? – zapytał.

– Ludzie gubią drogę w akcie samoobrony. Potem wpadają w panikę i decydują, że muszą ją znaleźć na nowo.

Wstała z sofy i stanęła naprzeciwko niego z uśmiechem na twarzy.

– Przekonaj się sam. Chodź, wyjrzyj przez okno.

Nie zareagował, ale ona i tak podeszła do okna.

– Nie będę na ciebie czekała – oznajmiła.

– Popatrz! – zawołała nagle.

Za oknem było Saudade, dachy i ulice niknące w wypełnionym mżawką mroku. Linie światła. Pojazdy i piosi migoczący w neonowym blasku, strumienie reklamowe przypominające migrację pastelowych ciem.

Z oddali dobiegały krzyki i śmiech. Za tym wszystkim, za portem dla turystów i wojskowymi hangarami na samej granicy wzroku, coś się rysowało – białawy, skłębiony pas przypominający fale przyboju. Granica strefy zdarzenia, nieruchome opary niepewnej fizyki. Piękne, ale bardzo niezwykle. Nad granicą rozciągał się Trakt Kefahuchiego, przesywający czarne, uległe niebo niczym zasada generatywna jakiejś prastarej kosmologii. Vic Serotonin podszedł do pani Kielar. Zmarszczył lekko brwi, jakby zobaczył tam coś, czego chciałby być pewien. Potem spojrzął na kobietę.

– Noc jest spokojna – stwierdził.

Uśmiechnęła się.

– Naprawdę? – zapytała. – Dlaczego tu przyszedłeś?

– Nie wiem.

– Powtarzaj to sobie, jeśli chcesz. To nic nie pomoże.

Futro znowu się rozchyliło. Na zagłębienia nad obojczykami padło światło miasta. Tam, gdzie biegł skraj atłasowej koszulki, skóra kobiety miała kolor kremu balsamicznego. Biło od niej niespodziewane ciepło. Gdy tylko to zauważył, uświadomiła sobie prawdę. Roześmiała się cicho i odsunęła o krok albo dwa.

– Nie musiałeś do mnie przychodzić. Co znaczy dla ciebie jakaś turystka? Nie chodziło o dziennik, tylko o mnie.

Vic złapał ją już za ramiona, drobne i zaokrąglone.

– Co to jest? – zapytał. – Co się dzieje?

Zaczął ją całować.

Gdy jego usta spoczęły bezpiecznie na jej ustach, cofnęła się na sofę i pociągnęła go za sobą. Vic zdjął z niej futro i podciągnął koszulkę do talii. Czuł żar na jej twarzy; dostrzegał przelotnie, przez własne podniecenie, blask padający na jej skórę. Była jedną z tych kobiet, które wiją się i szarpiają. Jakiś wewnętrzny konflikt – równie gorący jak ich cienkie kości i opinająca mięśnie skóra – każe im się pocić, gdy tylko dotkną twojego ubrania. Wszystko stoi im na drodze. Nie wiesz, czy cię pragną, czy nie, ale coś w nich nie chce się zatrzymać. Ugryzła Vica w ramię. Jedną stopą odepchnęła niecierpliwie futro, a potem położyła się i wepchnęła go w siebie.

– Jezu – mruknął Vic.

– Lubisz to – powiedziała. – Lubisz to. – Wydała z siebie cichy jęk rozkoszy, jakby ona również to lubiła. Przez chwilę uśmiechała się do sufitu, a potem uniosła nogi i zaczęła powtarzać w rytm ruchów Vica „tak” głosem pełnym determinacji, lecz zarazem brzmiącym medytacyjnie. – Tak. Tak.

Tak. Tak. Tak.

Nie umilkła, dopóki nie skończył.

– Jak chciałeś to zrobić? – zapytała wtedy.

Vic, zdumiony jak chyba nigdy w życiu, spróbował stoczyć się z niej i usiąść, ale oplotła go nogami i złapała za barki, aż musiał spojrzeć jej w oczy.

– Zabierzesz mnie do strefy, panie Serotonin? – zapytała.

Nie odrywając od niej wzroku, potrząsnął głową i uwolnił się.

– Mów mi Vic – wymamrotał. Usiadł na brzegu sofy i wyjrzał przez okno. – Jestem Vic – dodał, mówiąc zarówno do siebie, jak i do niej. Czuł się wykorzystany. Nie wiedział, co właściwie czuje. Siedział tak przez pół godziny, zwrócony do niej plecami i pochylony w obronnym geście. Żadne z nich się nie odzywało, aż wreszcie odwrócił się i wziął ją po raz drugi.

– Nie masz pojęcia, kim jesteś – wyszeptała, odwracając się od niego, by wyglądać atrakcyjniej.

Kiedy Vic się obudził, była jeszcze noc. Został sam.

Przeszedł przez całe długie mieszkanie, szukając kobiety. Białe boazerie i grube warstwy egzotycznych dywanów ustąpiły miejsca marmurowym płytkom pokrywającym ściany do wysokości jego ramienia oraz wielkim, czarnym i białym, kwadratami linoleum. Dalej były zielone jedwabne tapety i ciemny parkiet, wytarty, ale zapastowany na wysoki połysk. Wszędzie było pełno przedmiotów – pióra martwego obcego, instrumenty muzyczne rzucające kanciaste cienie, trzy szkice przedstawiające czyichś przodków, w wąskich, czarno kreskowanych obwódkach. Ceramika z jakiejś kultury o nieznanej nikomu nazwie, istniejącej przed milionem lat tysiąc światła stąd wzdłuż Plaży. Od pokoju do pokoju zmieniało się wszystko oprócz okien. Czyste, miejskie światło wpadało do środka przez szyby, redukując kolory, podkreślając muzealną wartość przestrzeni, czyniąc wszystko pustym. Ucieszył się, gdy jego skóry dotknął chłodny powiew. To mu przypomniało, że żyje.

– Pani Kielar?! – zawołał.

Tam była. Przycupnęła naga na ławeczce w oknie wykuszowym, podciągnęła nogi pod siebie i wykręciła ciało, by móc wyglądać na zewnątrz. Wsparła na parapecie ostre, kruche łokcie, a dłonie splotła przed twarzą. Kołysała się lekko w przód i w tył. Vic jej dotknął.

– Pani Kielar?

Nie odpowiedziała. Język jej ciała sugerował, że czeka na najgorsze.

– Cierpię – mówiła mu przedtem. – Cierpię.

– Zabiorę cię tam – obiecał. – Niedługo.

W innej części miasta mężczyzna podobny do Einsteina possał z satysfakcją pustą fajkę i pokiwał głową.

– Choć raz ta technologia zadziałała – oznajmił asystentce. – Teraz go mamy.

– Nie rozumiem, dlaczego tak uważasz – sprzeciwiła się kobieta.

Zbliżał się świt i była głodna. Siedzieli w biurze Aschemanna już od dziesięciu godzin, podczas gdy ekipa ekspertów opiekowała się przestarzałymi nanokamerami, które Vic Serotonin nieświadomie przyniósł do mieszkania klientki, gdzie dołączyły do pokrywającego podłogę kurzu, unoszących się w powietrzu drobin potu i ciepłego oddechu oraz maleńkich płatków delikatnej, kremowej skóry Elizabeth Kielar. W końcu seria nieuniknionych zakłóceń przerwała transmisję. Na ostatnim obrazie kobieta siedziała przy oknie w nienaturalnej pozie, a nagi przewodnik wycieczek pochylał się nad nią troskliwie. Jego otwarte usta coś powtarzały, a dziwnie nieodpowiedni błysk odbijający się w jednym oku nadawał mu wygląd niezastępowalnego na zaufanie psa.

– Odwieź mnie do domu, a może ci powiem – odparł Aschemann.

Gdy wsiedli do samochodu, zmienił zdanie i zaczął opowiadać o swej żonie. Asystentka nie miała pojęcia, co go do tego skłoniło. Uparł się, żeby podczas jazdy dach był złożony. Sprawiał wrażenie zmęczonego, nieco bardziej słabowitego niż zwykle, był jednak w dobrym humorze. Jego białe włosy rozczochrał powiew zimnego, porannego powietrza przeszywanego przez cadillaca. Gdy zasugerowała, by zatrzymali się gdzieś i zjedli śniadanie, machnął z irytacją dłonią.

– Moja żona cierpiała na agorafobię – oznajmił. – Nie wiedziałaś o tym?

Asystentka nie odpowiadała, wykorzystując cały swój repertuar spokojnych, rzeczowych czynności – popatrzyła we wsteczne lustro, zmieniła bieg, zwolniła, by przepuścić grupę przechodzących przez ulicę kultywarów, pijanych, naćpanych i krwawiących radośnie z odniesionych na arenie ran.

– Przyda ci się ta wiedza – odezwał się wreszcie Aschemann. – Powinnaś tego wysłuchać, jeśli chcesz zrozumieć, co znaczą morderstwa Neonowego Serca.

– Mogę słuchać i prowadzić – zauważyła.

– Skoro tak mówisz.

Na chwilę zapadła cisza.

– Dla niektórych agorafobów nawet pukanie do drzwi równa się nadmiernemu kontaktowi ze światem zewnętrznym – podjął detektyw. – Ktoś inny musi otwierać je za nich. A gdy tylko wejdiesz do środka, zamieniają się w potwory.

Opowiedział o tym, że w pokojach jego żony każdy cal przestrzeni na podłodze i na meblach zajmowały przedmioty. Nie można było znaleźć drogi od drzwi do sofy.

– A gdy już ktoś dotarł na miejsce, mógł się poruszać tylko z największą ostrożnością. Ten labirynt uniemożliwiał wszelkie szybkie ruchy... – Roześmiał się. – Był tam nawet specjalny kod. Trzy albo cztery szybkie pociągnięcia za sznurek, żeby zapalić światło w toalecie. Rozumiesz, chodzi nie o to, że oni źle się czują w miejscu publicznym, tylko o to, że tylko na własnym terenie czują się pewnie.

Najwyraźniej oczekiwał jakiejś odpowiedzi, ale asystentce nic nie przychodziło do głowy.

– Biedna kobieta – odezwała się wreszcie. – Gdzie chciałbyś coś zjeść?

Aschemann splótł dłonie, patrząc przed siebie.

– To wszystko, co masz do powiedzenia? „Biedna kobieta”? Takie problemy łatwo można wyleczyć. Nikt nie powinien cierpieć z ich powodu. Tak właśnie uważasz?

– Myślałam, że możesz być głodny.

– Agorafobia to agresywnie terytorialna strategia. Odmowa opuszczenia własnego terenu zmusza świat zewnętrzny do wejścia do środka, gdzie można nad nim zapanować. Gdy wkraczasz na terytorium agorafoba, wędrujesz po jego labiryncie.

– Nie rozumiem, co to ma wspólnego z morderstwami.

– Brak ci cierpliwości.

Inne zbrodnie przychodziły i przemijały, ale morderstwa trwały bez końca.

– I trwają po dziś dzień – dodał z gorzką satysfakcją. Każdy mord dodawał do poematu kolejne linijki. Ofiar nie łączyło ze sobą nic poza wygolonymi pachami i tatuażami w stylu ulicy Carmody. – I oczywiście samym śledztwem – przypomniał jej Aschemann.

Już dawno zabronił wydziałowi śledczemu pracować nad tą sprawą. Pozwoliły mu na to starszeństwo i odniesione sukcesy, potężna masa rozwiązanych spraw i poprawnie wypełnianych papierów. Mówiono, że to prywatne śledztwo Aschemanna. Większość policjantów uważała, że może je sobie zatrzymać.

– I co?

– Stań – rozkazał Aschemann. – Tu dają niezłe śniadania.

Wjechali na krawężnik pod E Pellici.

Pellici, sławetna cholesterolowa spelunka usytuowana w połowie długości ulicy Neutrino, oferowała ściany w stylu *art deco* oraz *Café électrique*. Co ważniejsze, słyszało się tu odgłosy smażenia na zwierzęcym tłuszczu, wyjaśnił Aschemann. O tak wczesnej porze w środku roiło się tu od riksarek odzianych w różowe i czarne kostiumy z lycry, obżerających się prostymi węglowodanami. Zażenowane dziewczyny stały przy kontuarze, nie mogąc usiąść przy stolikach, i niepotrzebnie pochylały głowy, wstydząc się tego, że otaczają je ludzie o normalnych rozmiarach. Aschemann uśmiechał się do wszystkich i parę z nich odwzajemniło mu się tym samym. Gdy tylko zaczął jeść, zdołał zapomnieć o żonie i o morderstwach. Ucieszona tym asystentka wróciła do tematu Vica Serotonina.

– Nasz tak bardzo ważny Vic – rzekł Aschemann. Gdy tylko wzrósł mu poziom cukru we krwi, odzyskał dobry humor. – Och, Vic – dodał pełnym nagany tonem, jakby Serotonin siedział przy stoliku razem z nim. – Vic, Vic, Vic. – Machnął lekceważąco ręką. – Vic nie tylko uprawiał z tą Kielar raczej konwencjonalny seks, lecz również zawiązał z nią spisek mający na celu popełnienie przestępstwa. Możemy to udowodnić. To sprawa dla Wydziału Przestępstw Strefowych. Będziemy mogli go zatrzymać i porozmawiać z nim.

– Nie rozumiem, w czym nam to pomoże.

– Wytłumaczmy mu to tak: czemu miałby swobodnie prowadzić swoje interesy, skoro nie chce nam dać tego, czego chcemy?

– To mogłeś zrobić zawsze.

Aschemann wzruszył ramionami, z uśmiechem sugerującym, że choć zasadniczo miała rację, jej uwagi umknął pewien ważny szczegół, z którym za chwilę ją zapozna z czystej dobroci serca.

– Vic był nikiem – zauważył. – A teraz jest kimś.

Zapalił fajkę i oparł się wygodnie.

– Jedz, bo zaraz wystygnie – poradził. Przyglądał się jej przez chwilę, kiwając zachęcająco głową i uśmiechając się za każdym razem, gdy uniosła widelec do ust. – Cały ten czas ludzie tacy jak ja byli w błędzie – odezwał się nagle. – Baliśmy się strefy, ale z niewłaściwych powodów. – Asystentka nie dała się skusić. Uparcie wpatrywała się w talerz. – Przez sześćdziesiąt lat staraliśmy się kontrolować wszystko, co stamtąd wychodzi. Nowe kody, nowe rodzaje artefaktów, które naszym zdaniem mogły się wyrwać na swobodę. Cały ten nieludzki syf. Nie potrafiliśmy przewidzieć jego zachowania, a w wielu przypadkach nie mieliśmy nawet pojęcia, z czym mamy do czynienia. Ale nigdy nie przyszło nam do głowy, że ruch może się odbywać w dwie strony.

Zaskoczona kobieta przestała jeść i spojrzała na niego.

– Nic nie wchodzi do środka – sprzeciwiła się.

Aschemann pokiwał z uśmiechem głową.

– Bardzo dobra odpowiedź. Jesteś tego pewna, tak? – Podał jej oshibori. – Wytrzymaj sobie tym usta.

Wieczorem następnego dnia Vic Serotonin poszedł obejrzeć walki.

Nie lubił ich zbytnio. Można twierdzić, i wielu ludzi to robi, że każda walka jest inna, ale różnice między nimi mieszczą się w wąskim zakresie powtarzalności, co znaczy, że ten, kto widział jedną walkę, właściwie widział już wszystkie. Tak przynajmniej uważał Vic. Myśl o ponownej wyprawie do strefy z panią Kielar niepokoiła go jednak tak bardzo, że doszedł do wniosku, że lepiej będzie podjąć jeszcze jedną próbę zdobycia dziennika Emila Bonaventure'a. Wbrew rozsądkowi liczył na to,

że znajdzie tam opisy bardziej szczegółowe i mapę strefy wierniejszą niż wszystko, co sam zdołał sporządzić. To mogło ułatwić mu zadanie. Dlatego połączył się z Edith Bonaventure i zaprosił ją do Preter Coeur.

– Wiem, że chętnie byś tam poszła – oznajmił.

– Gdybym tylko mogła, Vic – odparła. – Ale Emil, no wiesz, kiepsko z nim. Straszliwie cierpi za wszystkie swoje grzechy! Poza tym miałam umyć włosy. Miłej zabawy.

Przerwała połączenie.

Vic westchnął i nawiązał je na nowo.

– Przyda ci się wolny wieczór, Edith – spróbował raz jeszcze.

– Zresztą – podjęła kobieta, jakby rozmowa między nimi trwała bez chwili przerwy – po śmierci Joego Lwa straciłam zainteresowanie walkami. – Zaśmiała się ochryple. – Pokaż mi dziewczynę, która go nie straciła – dodała cicho, jakby mówiła do kogoś niewidocznego dla Vica. W jej ograniczonym przez tani, publiczny kanał głosie zabrzmiała nuta ironii. W tle grała akordeonowa muzyka, New Nuevo Tango, którego manieryczną precyzję zdekonstruowano, wprowadzając do niej surową absurdalność żywego tanga. Vic mógłby się założyć, że grała sama Edith, zarejestrowana w swych najlepszych czasach. Miała trzynaście lat i już została hologramem.

– Hej, przepraszam, Vic. Wiesz, jak to jest.

Tym razem to on przerwał połączenie.

– Skoro tak mówisz – rzekł na koniec. – Pewnie wiesz, czego chcesz.

Natychmiast odezwała się do niego znowu.

– Może przyjdę – zapowiedziała.

Walki urządzano wszędzie, po szóstej wieczorem można je było obejrzeć na każdym rogu ulicy, ale najlepszym miejscem w Saudade było Preter Coeur. Pełen cuchnących zanieczyszczeń i karmiącej się nimi miejscowej flory gmach, składający się z ogromnych sal, kopulastych sklepień, umieszczonych w wykopach aren i zadaszonych, wybetonowanych placów, ciągnął się na przestrzeni kilku akrów, na końcu linii stanowiącej przedłużenie Cahuenga Boulevard. Jego tylna ściana graniczyła z aureolą zdarzenia. Za dnia między kolumny licznych pozbawionych dachu sekcji wnikał niesiony wiatrem deszcz, a pochyłe snopy słonecznego światła padały na ciała zagubionych, śpiących, oszołomionych i martwych. Kiedyś, nim EMC przeniosło się w obecnie zajmowane miejsce, znajdowała się tu wojskowa stocznia. Obecnie gmach budził się do życia każdego dnia o zmierzchu, wielki jak dzielnica miasta. Stworzył się sam i sam zdobył majątek, sam sobą rządził i sam dbał o porządek na swym obszarze. Wokół każdego ringu było pełno straganów z żywnością, noclegowni, pchlich targów, bukmacherów, prowizorycznych rzeźni genetycznych oraz salonów tatuażu. Kręciły się tu najróżniejsze kultury i zjawy. Głosy spikerów Radia Retro, płynące z pustego powietrza dzięki zaawansowanej technologii porwanej przez strumień fali, podawały notowania bukmacherów. Przy szeregach riksów pracowały skupione w rozchichotane grupki Mony. Seksualnie podnieceni Nowi Ludzie, oszołomieni Nocnym Pociągiem, przechodzili obok w poszukiwaniu cichego kąta, by się onanizować. Na wszystko to padało mieszane, migotliwe światło naftowych latarń, jednorodny, bezlitosny blask halogenów albo coś, co leżało między tymi dwiema skrajnościami. W Preter Coeur cień kolumny padał na ciebie z całym ciężarem samego filaru, w następnej zaś chwili traciłeś równowagę, otoczony nieprzewidywalnym tańcem kopających się iskerek, przypominających ławicę ryb. W powietrzu unosiły się niezliczone strumienie reklamowe. Ich nieznośna lekkość bytu, ich proste obietnice przyciągały twoją uwagę, aż wreszcie korona motyli otaczająca twoją głowę zmieniała się w koronę cierniową i zdawałeś sobie sprawę, że przekazałeś swe osobiste dane jakiejś twinkowej farmie, położonej czterdzieści przecnic stąd, na Pierpoint

Street.

Przez ten strumień światła, dymu, ludzi oraz wydarzeń, który w każdej chwili można było opisać, lecz nigdy nie dawało się przewidzieć jego stanu w następnym momencie, przepychali się uczestnicy walk. Poruszali się z wystudiowaną, złowrogą, nakazującą spierdalać gracją, starannie nastrojone wewnętrzne łaty hormonalne zmieniały ich mowę w nieartykułowany, pełen połączonej z pewnością siebie wesołości warkot tych, którzy są niezwyknięci w tym, czym się zajmują, nigdy nie staną się czymś mniej niż są teraz i zawsze będą czymś więcej od ciebie. Światło padało na ich nogi przypominające kończyny puszających się kogutów, pazurzaste i pokryte mosiężnymi łuskami. Nagle mogłeś ujrzeć, że nogi dziwnie się zginają w kolanach i biodrach, a ze skórzanych portek sterczą nieustannie wzwiedzione kutasy. Drugie kciuki również były mosiężnymi ostrogami, na poczerńniętych torsach pełnych blizn i strupów tańczyły żywe tatuaże przypominające świetliste mapy ukrytych skarbów. Mieli za sobą tylko jeden dzień życia, a już stali się mitem, już byli martwi.

Turyści uwielbiali te widowiska. Gdyby nocą ktoś spojrział na miasto z wysokości jakichś dwustu metrów, zobaczyłby, że wszystkie riksze w Saudade zbiegają się w jeden punkt niczym limfocyty T śpieszące do miejsca zakażenia. Wabił je neon z napisem *Prefer Coeur wuja Suwaka*.

Edith Bonaventure również kochała walki.

– Och, Vic – mówiła. – Spójrz na to wszystko! Popatrz na światła! – Jej zwykle szorstkie zachowanie łagodniało pod wpływem zachwytu. Każdy przechodzący zawodnik porywał jej serce. – Spójrz na tego monstrualnego kutasa!

– Żaden z nich nie jest żywy w takim sensie, jak my – odparł Vic. Ze zdziwieniem uświadomił sobie, że to prawda. – To tylko zabawki.

– Oho! – zawołała ze śmiechem Edith. – Czyżbym słyszała zawiść? Czy im zazdrościsz, Vic? Sądzę, że tak!

Serotonin jednak czuł nie tyle zazdrość, ile szczere zdziwienie. Jak sobie radzili z siekaniem marchewki, gdy kutas ciągle im przeszkadzał? Z wchodzeniem do wanny i wychodzeniem z niej? To prawda, pomyślał, że pomimo swej witalności – emanującej od nich niczym siła życiowa konia albo innego wielkiego zwierza – walczący na arenie zawodnicy nie byli w pełni rzeczywistości. Ich prywatne marzenia splotły się w bezsensowny węzeł z publicznym wyobrażeniem tego, jak powinien wyglądać ktoś taki. Zresztą, słowo „marzenia” chyba nie było tu odpowiednie. Marzenia były stereotypowe. Były tanie. Podobnie jak wszystko w halo, produkował je wuj Suwak. W dzisiejszych czasach nikt oprócz Mony za nic w świecie nie przyznałby się do ich posiadania. Edith, szeroka w biodrach i odziana w swój najlepszy strój dla dorosłych, pełna życia, odkąd ukończyła trzynaście lat, nie chciała o tym nawet słyszeć. Oznajmiła, że przyszli tu po to, by się zabawić, a nie prowadzić polityczne debaty. Z błyskiem w oczach uczepliła się jego ramienia. To poprawiło mu nieco humor.

– To cię podnieca – stwierdził.

Spojrziała na niego z ukosa. W jej oczach tajemniczość mieszała się z pragmatyzmem.

– Wyczuwasz to, prawda? – zapytała. Nagle otoczyła ich woń cynamonu i adrenaliny niesiona przez strumień reklamowy. Omijała korę mózgu i wnikała prosto do pnia. Edith pisnęła z zachwytu.

– Chcę coś postawić! Chcę coś postawić!

Na dzisiejszą noc zapowiedziano stosunkowo atrakcyjne walki. Formalnie rzecz biorąc, wyniki były przewidywalne, ale można było liczyć na dramatyczne widowiska. Nad ringiem unosił się zapach hemoglobiny, gęsty jak poranna mgła. Przesycały go chemiczne sygnatury przypisane każdemu z zawodników. Zgodnie z tradycją były to aromaty alkoholizowanych napojów ze Starej Ziemi, takich jak Two Dogs, JopaLume, Decoda, Yellow Fever, czy wielki standard spopularyzowany przez samego Joego Lwa, Alcola. Edith była zachwycona. Dwaj pierwsi zawodnicy, na których postawiła,

wygrali po trzech i pół i po czterech minutach. Trzeci nie radził sobie za dobrze, ale na razie tego nie zauważyła.

– Widziałaś gdzieś może ten dziennik? – zapytał Vic, dopóki była w dobrym nastroju. – Stary dziennik Emila?

Spojrzała na niego z roztargnieniem. Jej twarz o delikatnych rysach lśniła w blasku naftowych latarń.

– Jezu, Vic, nie jestem pewna. Czemu ci na tym zależy?

– Wybieram się do strefy.

– Vic, chodzisz tam co tydzień. To twój zawód.

Faworyt Edith potknął się o pętlę własnego jelita grubego i to był koniec jego dzisiejszej walki. Sprawiał wrażenie zachwyconego odniesionymi obrażeniami. Gdy trener odciągnął pokonanego w sine cienie po drugiej stronie ringu, publiczność zęgnęła go dobrodusznymi gwizdami. Edith potrząsnęła głową, jakby chciała w niej sobie przejaśnić, i przyjrzała się z uwagą Vicowi.

– Zaprosiłeś mnie tutaj dlatego, że chciałeś zdobyć dziennik Emila? o to ci chodziło? – Roześmiała się. – Jezu, Vic, niepotrzebnie wydawałeś forszę. Mogłam ci odmówić w domu. Spędzilibyśmy cichą noc, tylko we dwoje, aż do chwili, gdy Emil wyleciałby z łóżka, porzygał się albo zakrztusił przez sen. Ostatnio zdarza mu się to bardzo często. – Pokręciła z niedowierzaniem głową. – Frajer z ciebie, Vic.

– Posłuchaj – zaczął mężczyzna. – Ja...

– Ominęło cię świetne rżnięcie.

– Edith...

Oddaliła się pośpiesznie, roztapiając się w tłumie. Zobaczył ją jeszcze przelotnie, ale zaraz zniknęła mu z oczu. W Preter Coeur widoczność zawsze była kiepska. Gdy światło nagle się zmieniało w kąciku twojego oka, nigdy nie wiedziałaś czy to cień, czy chłopak-cień, jakiś gangsterski algorytm, którego poczucie humoru skurczyło się, przechodząc w żądzę zysku. Vic Serotonin wzruszył ramionami. Nie mógł mieć pretensji do Edith. Skupiała się na własnych potrzebach, w stopniu być może nieosiągalnym dla nikogo innego. Z czasem mu wybaczy. Z programu walk, który kupił, Vic dowiedział się, że w następnej walce wystąpi ktoś, kogo znał. Chłopak ze Straint Street, korzystający z usług rzeźni genetycznej położonej dwa domy od baru Liv Huli. Na papierze robił wrażenie szybkiego i chyba warto było na niego postawić. Minęło dwadzieścia minut i próbujący ocalić godność Vic obejrzał trzy kolejne walki, gdy nagle ktoś pociągnął go za rękaw. Obejrzał się za siebie. To była Alice Nylon, dziewczynka od Pauliego DeRaada. Miała na sobie mały plastikowy sztormiak i czerwone wellingtony.

– Hej, Alice – odezwał się. – Przyszłaś przynieść mi farta?

Alice przyszła z obstawą w postaci dwóch albo trzech żołnierzy Pauliego. Na użytek Vica wszyscy wykrzywiali twarz w grymasach młodzieńczej groźby. Dziewczynka wyciągnęła szyję, by zobaczyć, co się dzieje na ringu. Skrzywiła się.

– Na kogo postawiłeś w tej żalostnej farsie, Vic? – zainteresowała się. Kiedy jej odpowiedział, potrząsnęła głową z profesjonalnym niedowierzaniem. – Chyba przyszliśmy za późno, by cię uratować przed sobą samym – skwitowała.

Vic zrobił z palców pistolet i wycelował w dzieciaki.

– Nie próbujcie niczego głupiego – ostrzegł.

Alice westchnęła.

– Paulie chce, żebyś z nami poszedł – oznajmiła współczującym tonem. – Nie jest dziś w zbyt dobrym humorze.

Stojąca nieopodal w tłumie Mona Irene obserwowała te wydarzenia z lekkim rozbawieniem. Spojrzenie miała skupione. Głos jej intuicji brzmiał wyraźnie. W niepewnym świetle wypełniającym Preter Coeur jej twarz wydawała się starsza. Każdy, kto znał oryginalną Irene – stylistyczną uciekinierkę z planety, którą tylko nielicznym chciało się odwiedzać – poznałby ją, ukrytą niczym płyta tektoniczna pod lepiej widocznymi krzywiznami i powierzchniami pakietu Mony. Być może to właśnie tamta Irene zauważyła, że Edith Bonaventure oddaliła się gniewnie i bezzwłocznie zastąpiła ją Alice Nylon, jakby obie reprezentowały sobą jakiś fundamentalny wybór w życiu Vica, rozstaje dróg w jego samotnej podróży. Być może to właśnie tamta Irene pomyślała: łatwiej jest wejść w ten strumień, niż z niego wyjść, dziewczyno. Do Grubego Antoyne'a Messnera powiedziała:

– Vic Serotonin nigdy nie zdoła uciec przed komplikacjami.

– Muszę się zgodzić z tą opinią.

W Preter Coeur zgadzał się z większością słów Irene. Musiała przyznać, że jest człowiekiem o słabym temperamencie. Mimo to, walki sprawiały, że obejmował ją i kupował jej tanie rzeczy. Sprawiały, że pragnął seksu. W seksie z Antoyne'em najbardziej podobało jej się to, że grubas był tak bardzo niepewny i niewprawny. Tak bardzo nieprofesjonalny. Wciskała jego głowę w swe piersi, kiedy kończył i wciąż leżał na niej, dysząc i powtarzając „Przepraszam”.

– Sza, sza – uspokajała go. – Lubię każdy rodzaj pieprzenia. Tak jestem skonstruowana.

Bliskość Antoyne'a w podobnej sytuacji sprawiała, że jej serce wypełniało ciepło i wyobrażała sobie, że jest jedną z samic alfa ze Starej Ziemi.

Śledziła wzrokiem Alice Nylon odprowadzającą Vica i nagle złapała Grubego Antoyne'a za ramię.

– Hej, wiesz co? Może Vic mógłby nam pomóc?

– Nie będę go o nic prosił – burknął Gruby Antoyne.

– W takim razie będziemy musieli znaleźć forszę gdzie indziej – stwierdziła. – Może coś sprzedamy?

– Nic nie mam.

– Każdy ma coś, co można sprzedać, kochanie. Och, Antoyne, niedługo osiągniemy sukces i będziemy szczęśliwi! Ale realni. Wszędzie, dokąd dotrzemy, pozostaniemy realni i będziemy podejmować najlepsze decyzje pośród miliona gwiazd. Będziemy mówili: „Kocham miłość! Kocham moje życie, bo jest takie realne, kiedy je pokazują w telewizji!”.

W myślach jednak doradzała sobie nie bez racji: najpierw musimy go zaprowadzić do wuja Suwaka. Niech sobie kupi pakiet, który nada mu wygląd ostrego jak brzytwa, a zarazem wrażliwego faceta o zręcznych dłoniach. Pod spodem nadal pozostanie Antoyne'em, którego znam i kocham. To nigdy się nie zmieni. Dla mnie zawsze pozostanie Antoyne'em, który spuszcza się za szybko i nie potrafi zrozumieć, że mogę mu wybaczyć, bo widziałam już wszystko.

SZEŚĆ

W TANKU NA C-STREET

Po godzinie Alice Nylon i jej dzieciaki odprowadzili Vica do gabinetu na zapleczu Semiramide Club. Paulie DeRaad siedział na tym samym krześle, na którym Vic widział go ostatnio, jakby od tego czasu nie ruszył się z miejsca, a tylko zachorował. Alice była przekonana, że tkwi tam już co najmniej dobę. Mówiła, że przynosiła mu drinki z baru, ale nie był nimi zainteresowany w takim stopniu jak zwykle. Szczerze mówiąc, w ogóle nie był zainteresowany.

– No wiesz, nie jest sobą – poinformowała Vica. – Kiedy przynosiłam mu Nocny Pociąg, na ogół pochłaniał całą puszkę, a potem miażdżył ją sobie o skroń, wszystko to jednym płynnym ruchem. Dzisiaj w ogóle nic nie wypił. Nagle się ocknął i zapytał o ciebie.

– Jakimi słowami?

– Wiesz co, powiedział, przyprowadź tu tego skurwysyńskiego skurwiela Vica – przypomniała sobie. – A potem wrócił do poprzedniego stanu – dodała. – Sam zobacz.

Paulie siedział z wyprostowanymi nogami i odrzuconą do tyłu głową, jakby mebel miał podglówek, choć przecież nie tylko go nie miał, lecz również był zupełnie zwyczajnym, niewygodnym, giętym krzesłem. Ciało mężczyzny spoczywało w sztywnej pozycji. Tam, gdzie jego skóra nie miała niebieskawego koloru mleka, nabrała intensywnie metalicznego odcienia, szczególnie wyraźnego na policzkach i czole. Oczy miał zamknięte, choć z jakiegoś powodu można było odnieść wrażenie, że w każdej chwili mogą się otworzyć. Trudno było określić, jak ciężko jest chory. Jego wygląd również w tym nie pomagał. Paulie uśmiechał się radośnie jak dziewczyna. Niektóre z tych uśmiechów wzbudzały zdziwienie, wyglądały nadspodziewanie seksownie. To było tak, jakby chciał się czymś z nimi podzielić. Czasami pragnął tego tak mocno, że wręcz mrugał do nich znacząco. Vic Serotonin wolał nie wiedzieć, co to właściwie było. Widział, że to nie są prawdziwe uśmiechy, lecz coś, co pozostaje, gdy nie ma już do nich powodów.

– Pierdol się, Paulie – mruknął.

– Czasami się budzi, ale nie rozumiemy, co mówi.

Vic podszedł do drzwi gabinetu, uchylił je lekko i zajrzał do Semiramide Club. Jak co dzień, wewnątrz wypełniał dym papierosowy, muzyka i opary alkoholu. Nikt nie spoglądał w stronę gabinetu. Vic zamknął drzwi.

– Czy ktoś jeszcze o tym wie? Któryś z jego kontaktów w EMC? – Alice nie sądziła, by tak było. – Postarajcie się, żeby tak zostało – poradził jej. – Te dupki nie potrzebują o niczym wiedzieć. Możemy się w tej sprawie zgodzić? – Alice odparła, że jej zdaniem mogą. – Świetnie – ucieszył się Vic. Odwrócił się w stronę Pauliego i przekonał się, że ten się obudził, wstał z krzesła i stanął niepokojąco blisko niego. Przysunął twarz – tak bardzo przekrwioną, że nabrała jaskrawoczerwonego koloru – do twarzy Vica, wybałuszając niebieskie oczy tak szeroko, jak tylko zdołał.

– Co mi zrobiłeś, ty skurwysynu?! – wrzasnął.

Vic poczuł, że włoski na karku stają mu dęba.

– Jezu, Paulie! – zawołał. – Nie mam pojęcia.

Nim zdążył dodać coś więcej, Paulie odepchnął go na bok i klęknął przed Alice Nylon.

– Czy jesteś moją ładną dziewczynką? – zapytał.

– Tak – odparła Alice.

– To obdarz mnie swym najpiękniejszym uśmiechem – poprosił. – Widzisz? Już się poczułaś lepiej!

Wstał i zaczął się kręcić nerwowo po pokoju. Nogi miał zupełnie sztywne w kolanach. Wydawało się, że coś go zainteresowało, ale potem zatrzymywał się nagle i gapił na ścianę, nie robiąc zupełnie nic. Łaził tak przez pewien czas, przyglądając się przechowywanym przez siebie w gabinecie przedmiotom, jakby starał się zrozumieć, kim jest, aż wreszcie zatrzymał się przed hologramem przedstawiającym jego samego w towarzystwie innych facetów, którzy przeżyli zniszczenie *El Rayo X*. Wszyscy wyglądali jak ofiary lekkiego poparzenia słonecznego, ale uśmiechali się szeroko. Nie zdjęli jeszcze dolnych części skafandrów próżniowych. Unosili kciuki, w drugiej ręce zaś trzymali różnego rodzaju broń albo narzędzia.

– Kim są ci ludzie? – zapytał Vica, ale kiedy ten mu odpowiedział, nie skomentował tego ani słowem.

Vic popatrzył na Alice, a ta wzruszyła ramionami.

– To nie jest Paulie, którego znamy.

Za drzwiami dobiegały słabe odgłosy śmiechu i braw. Artyści rozpoczęli drugą część występu od klasycznego, modernistycznego utworu *Jordan V-10*. Serotonin zastanawiał się przez chwilę.

– Czy jest stąd drugie wyjście? – zapytał.

– Tylne drzwi prowadzą do zaułka.

– Sprowadź jego riksarkę – polecił Vic. – Nie rozmawiaj z nikim poza nią.

Po wyjściu Alice przerzucił ubrania Pauliego i znalazł klucz do pokoju, w którym DeRaad trzymał nabyty od Vica artefakt. Każdego człowieka podobna sytuacja z pewnością by zaniepokoiła, ale Paulie stał bez ruchu, unosząc lekko zwróconą w stronę hologramu głowę. Znowu zamknął oczy. Po kilku minutach riksarka weszła do pokoju przez tylne drzwi.

– To jest Annie – przedstawiła ją Alice, wchodząc za nią.

– Ojej, nie wyglądasz za dobrze – poinformowała Pauliego Annie.

Wywlekli we troje DeRaada z pokoju. Wsadzenie go do rikszy wymagało dalszych wysiłków. Alice Nylon usiadła Vicowi na kolanach. Serotonin siedział ściśnięty obok Pauliego, próbując się zorientować, w jakiej właściwie sytuacji się znalazł. Żałował, że nie potrafił lepiej podejść Edith Bonaventure. Może z książki jej ojca dowiedziałaby się czegoś na temat choroby Pauliego. Zadawał sobie pytanie, czy wkrótce popełni kolejny błąd.

– Nie potrafię uwierzyć, że to Paulie DeRaad – odezwała się riksarka po dwóch, może trzech kilometrach. – Czy on nie żyje?

– Skręć w Voigt Street – polecił Vic.

– Hej, zapomnij, że o to pytałam.

– Jesteśmy już na miejscu? – zapytała Alice.

W pokoju na Voigt Street nie zmieniło się wiele. Nadal utrzymywał się silny fetor. Paulie ocknął się, gdy tylko się zbliżyli, i poczuł smród z odległości dwudziestu metrów. Uniósł głowę i rozwarł nozdrza. Stał spokojnie na schodach, gdy Vic borykał się z zamkiem, a riksarka roztopiła się w mroku niekorporacyjnych zaułków, ale był wyraźnie zainteresowany.

Z pewnością to samo można było powiedzieć o zamkniętym w pokoju chłopaku. Gdy tylko weszli do środka, zwlókł się z łóżka i wcisnął w kąt. Był nagi. Przyglądał się im z łagodnym uśmiechem i unosił ręce w stronę Pauliego, wykonując nimi nieśmiałe, odpychające gesty. Paulie również się uśmiechnął. Ciało chłopaka zdrzało jeden raz, od głowy aż po stopy. Pod warstwą brudu skóra przybrała barwę wosku, zapadł się też nieco w siebie, jakby zużywał jakieś ukryte wewnątrz zasoby.

– Nie chcę cię – odezwał się trójtonowym głosem, brzmiącym raczej jak akordy elektroniki niż produkt ludzkiego gardła. Z jednego oka wypłynęło mu kilka błyszczących pyłków. Rzucił się nagle ku drzwiom, ale Paulie wyciągnął rękę i złapał go za ramię. Obaj zakręcili się wkoło pod wpływem

impetu skoku chłopaka.

– Hej – powiedział DeRaad, jakby do siebie. – Nieładnie, nieładnie.

Szarpali się ze sobą jeszcze przez chwilę, a potem zwalili się zdyszani na łóżko, zwrócenie twarzami do siebie. Paulie rozciągnął usta w szerokim, łagodnym uśmiechu, przytulił policzek do policzka chłopaka i wyszeptał coś do niego. Tamten przez chwilę wpatrywał się pustym wzrokiem w sufit, a potem również się uśmiechnął.

Vic nie miał pojęcia, co tu się dzieje.

– Musimy to powstrzymać! – oznajmił.

Alice jednak nie uważała tego za konieczne.

– Paulie już nie robi mu krzywdy – zapewniła. – Popatrz. Zostali przyjaciółmi.

– Tego właśnie się boję – odparł Vic.

Przez jakieś dwie minuty sytuacja się nie zmieniała. Potem twarz chłopaka się rozświetliła, jakby ktoś zapalił lampę wewnątrz jego czaszki. Otworzył powoli usta i światło wydostało się na zewnątrz, wypełniając cały pokój. Padło na Pauliego DeRaada, jasne i ostre jak promieniowanie, które przed laty pozbawiło go skóry. To światło było słyszalne. Brzmiało jak organy. Wyływało z ust chłopaka, ale odbijało się od ścian i wydawało się, że pada ze wszystkich stron jednocześnie. Vic i Alice zasłonili oczy, ale nadal widzieli je tak samo jak przedtem. Wydawało im się też, że czują żar, choć w pokoju nie było gorąco. Potem światło zgasło, wróciły półmrok i cisza, a leżący na łóżku chłopak znowu był po prostu dzieciakiem z Przylądka, leżał, nagi i zdezorientowany, na własnych odchodach i zmiętoszonych ubraniach. Paulie DeRaad spoczywał obok niego i wybałuszał oczy, wrzeszcząc na swego starego kumpla Vica.

– Ty skurwysynu! Ty skurwysynu!

– Paulie, ja...

– To kod potomny, Vic. Kod córka, jak to mówią. Ty pierdolony nieprofesjonalny skurwielu, przyprowadziłeś mi córkę! Jestem chodzącym trupem!

Nigdzie nie chodził, tylko leżał na plecach, całkowicie nieruchomy, pomijając jedynie twarz, a właściwie oczy i usta. Oczy wręcz wyłaziły z czaszki z wysiłku towarzyszącego próbom zatrzymania czegoś wewnątrz. Szczęki zaciskał tak mocno, że jego głos brzmiał jak kiepski przekaz z jakiegoś punktu orbity parkingowej. Było słychać trzask pękających zębów. Łapał się dłońmi za ubranie.

– To nie ja – mówił. – Czy to jestem ja? – Nagle parsknął swym charakterystycznym śmiechem, który słyszano wszędzie od Cor Caroli aż po Motel Splendido, gdy tylko zbliżały się trudne chwile. – Hej, Vic! Całkiem jak za dawnych czasów!

Wyraźnie się uspokoił na tę myśl. Westchnął i odwrócił się w stronę chłopaka. Kod zaczął wypływać z ust tamtego na podobieństwo zimnej tapioki. Vic i Alice odciągnęli ich od siebie. Chłopakiem targnęły konwulsje. Odotoczył się na bok i zwinął w pozycji płodu, rozmawiając szeptem ze sobą trzema różnymi głosami. Paulie DeRaad znowu stracił przytomność. Udało mu się ściągnąć część ubrania. Skóra na jego ramionach zrobiła się miękka i przybrała barwę wosku, zupełnie jak u chłopaka.

– To był pierdolony błąd – mruknął Vic. – Powinniśmy go zabrać z powrotem do klubu.

Alice potrząsnęła głową.

– Zostaw to mnie – odparła. – Potrzebne mu bezpieczne miejsce. Nie chcę, żeby ludzie z Semiramide się dowiedzieli.

– Nie mam pojęcia, o czym myślisz, Alice.

Dziewczynka uśmiechnęła się tajemniczo.

– Zaopiekuję się nim – zapowiedziała. Jej oczy spoglądały do wewnątrz i Vic zorientował się, że

połączyła się z kimś. Alice miała osiem lat, ale to wcale nie znaczyło, że nie była zaradna. W takim przypadku nie mogłaby zostać najlepszą dziewczynką Pauliego DeRaada. Już wzięła się do roboty. Czyniła przygotowania.

– Ehe – odezwała się. – Dziesięć minut, Mapa. Z powrotem na Voigt Street. Swoją drogą, riksza nie wystarczy. Hej, nie próbuj zrobić mnie w chuja. I nie wchodź do środka... – z jej ust wyrwał się pozbawiony wyrazu śmieszek – ...chyba że masz za mało własnych problemów. Tak, tak, pierdol się, już to wszystko słyszałam. – Żartowała jeszcze przez chwilę z Mapą, potem z powrotem skupiła wzrok. – Jeszcze tu jesteś, Vic? Szczerze mówiąc, już cię nie potrzebuję.

Serotonin wzruszył ramionami i skierował się ku drzwiom.

– Lepiej, żebyś wiedział, jak to naprawić, Vic! – zawołała, kiedy pokonał połowę drogi.

Była druga w nocy i odnosił wrażenie, że nie jest ważny dla nikogo, a już zwłaszcza dla Pauliego. DeRaad zawsze uważał go za jednego ze swych rówieśników. Choć nic nie mogłoby być dalsze od prawdy, bo – o ile Vic wiedział – dzieliło ich dziesięć lat, zawsze sądził że to komplement, na który może pewnego dnia zasłużyć, jakby w opinii Pauliego człowieka można było przyjąć w szeregi pokolenia słynącego z wyjątkowego szaleństwa i braku rozsądku. Na początku ich znajomości lechtało to próżność Vica, ale minęło już trochę lat i nie miał zamiaru skończyć jak Paulie czy któryś z jego kumpli. Sytuację komplikował też fakt, że czuł się odpowiedzialny za to, co spotkało DeRaada.

Ulice były opustoszałe. Delikatna słona mgielka unosząca się w powietrzu mogła do rana przerodzić się w deszcz. Vic stał około minuty niezdecydowany na rogu Voigt Street i Altavista. Potem postanowił, że nie wróci do Semiramide Club, postawił kołnierz płaszcza i ruszył w stronę Straint Street. Gdy dotarł do baru, Liv stała, ziewając, po swojej stronie kontuaru, naprzeciwko pani Elizabeth Kielar, która mówiła coś do niej urywanym głosem.

Mniej więcej w tym samym czasie, w swym gabinecie w innej części miasta, Lens Aschemann, człowiek uderzająco podobny do podstarzałego Alberta Einsteina, tłumaczył swej asystentce:

– Wygląd powierzchni może ci powiedzieć, kiedy woda jest głęboka. Już jako dziecko uczysz się interpretować jej kolor, ruchy, sposób, w jaki światło odbija się od tafli. – Na powierzchnie ciała Aschemanna padał ostry pomarańczowy blask świateł ulicznych. Operatory-cienie należące do detektywa, niewykorzystane i niekochane, wierciły się smętnie w kątach pokoju. – Jako gatunek musimy być zdolni oceniać podobne fakty. Zbrodnia, sugerując istnienie wszystkiego, czego nie widać w samej sprawie i w świecie, z którym wydaje się powiązana, budzi w detektywie podobne pragnienia – ciągnął mężczyzna. – Rozumiesz? Nie. W takim razie zastanów się nad tym, a ja pójdę pogadać ze swym starym znajomym, Emilem Bonaventure'em.

– Podwiozę cię – zaproponowała asystentka.

– To już nie można odwiedzić dawnego przyjaciela bez policyjnej eskorty? – zachnął się Aschemann. Machnął lekceważąco dłonią. – Weź sobie wolną noc. Wróć do domu i umyj włosy.

Spojrzała na niego ze zdumieniem, jakby widziała go pierwszy raz w życiu.

– No tak, znowu cię uraziłem. W takim razie idź do baru albo gdzie chcesz. Mogę ci podać listę miłych lokali. Tylko nie daj się złapać na próbie uprawiania seksu na zapleczu.

– Dziękuję za cenną radę – mruknęła kobieta.

To go rozbawiło.

– Wreszcie zaczynamy się nawzajem poznawać – przyznał, wręczając jej klucze do cadillaca. Po akcji w Semiramide Club zabronił jej chodzić samej do tego lokalu i do Café Surf.

Gdy tylko wyszedł, kazała operatorom-cieniom otworzyć połączenie z jego aktami. Ten niestosowny rozkaz wyraźnie je zakłopotał.

– Czy możemy w czymś pomóc, skarbie? – szeptały, wierząc się w kątach.

Kobieta rozparła się wygodnie w skórzanym fotelu Aschemanna i wpatrzyła w pustkę, jak ktoś we wczesnej fazie podniecenia. Poruszała delikatnie ustami, gdy nieprzetworzone dane spływały po wewnętrznej powierzchni jej przedramienia. Znalazła informację dotyczącą śmierci jego żony. Wracała do niej co chwila. Była przekonana, że to klucz do zagadki jego osobowości, ale nie miała pojęcia, jak obrócić go w zamku.

– Na pewno jest ci wygodnie? – pytały operatory-cienie. – Siedzisz w bardzo uciążliwej pozycji.

– Nic mi nie będzie – zapewniła. Potem wsiadła w cadillaca, pojechała na ulicę Corniche i zaparkowała nad brzegiem morza.

Noc była spokojna. Chmury wisiały nisko na niebie, a tuż nad horyzontem lśniła linia zielonkawego światła. Wiatr od morza unosił chmury piasku, targał palmami mopiankami i owiewał ze świstem karoserię samochodu. Kobieta ruszyła drogą dojazdową w stronę bungalowu, w którym ongiś mieszkała żona Aschemanna. Było tu wilgotniej. Bungalow wypełniał zapach stęchlizny, pochodzący nie tylko od żywności i ludzi. Kobieta zajrzała do kuchni, do korytarza, do jedynej tu pokoju gościnnego. W każdym z tych miejsc przystawała na moment w kobaltowej ciemności i zamykała oczy, słuchając szumu morza. Czekwała, aż Aschemann i jego żona zmaterializują się przed nią, nic takiego się jednak nie wydarzyło. Jedno z nich było nieobecne, a drugie nie żyło. Nie zdradzą jej swych tajemnic. Będzie musiała sama je odkryć w starych meblach i butwiejących dywanach. Postanowiła, że zacznie od stert listów zgromadzonych w imitacji biura.

„Nigdy się nie spodziewałem”, napisał detektyw do swej żony wkrótce po ich pierwszym spotkaniu, „że mogę być tak szczęśliwy, tak się otworzyć na kogoś innego”. Ten brak zdecydowania okazał się proroczy. Aschemann nigdy nie czuł się usatysfakcjonowany związkiem. Zdradzał żonę już od chwili ślubu, popołudniami w hotelach, a nocami na zapleczach barów. Wybaczała mu to przez lata, ale on nie potrafił sobie wybaczyć. Nagle można było zobaczyć, jak jej mówi: „Część mojej osobowości straciła cierpliwość do nas dwojga. Pragnie wrócić do normalnego życia. W każdym związku jedna osoba daje więcej niż druga i w końcu czuje się rozczarowana”. Porzucił ją, ponieważ nie potrafiła się przed nim bronić, ale w rezultacie stał się tak samo nieszczęśliwy jak ona. „Późnym popołudniem padał deszcz”, pisał z mieszkania na Third Street. „Bez ciebie czułem się totalnie samotny i wyprowadzony z równowagi. Przez krótką chwilę pragnąłem tylko wrócić do domu, do rzeczy, które znam, jakby życie, której tutaj prowadzę, było jedynie krótką wizytą, którą złożyłem bez ciebie”.

Miała na imię Prima, ale z niezrozumiałych dla asystentki powodów często zwał ją Utz albo Utzie. Droga Utz. Cześć, Utzie. Po separacji przestał pisać o sobie i przerzucił się na temat miasta. Opisywał w listach zwyczajne sprawy. Pisał o pracy. Twierdził, że, by złapać przestępcę, trzeba głęboko wniknąć w jego psychikę, tam właśnie się go odnajdzie.

Przez cały okres prowadzenia korespondencji, jeśli można to było tak nazwać, Aschemann wybierał cienki, prawie przezroczysty papier jasnyniebieskiego koloru, wstępnie złożony tak, by można było z niego zrobić kopertę. Najwcześniejsze listy, pełne czułych słówek i szczegółowych opisów ich aktów miłosnych (jakby w ten sposób mógł udowodnić samemu sobie, że rzeczywiście uczestniczył w czymś takim), kruszyły się, ale były nietknięte, natomiast późniejsze, choć okrutne w treści, rozpadały się, jakby czytano je codziennie.

Dlaczego pisał do niej listy, skoro mieszkali w tym samym mieście, w tym samym domu? Czy Prima w ogóle na jakiś odpowiedziała? Nie sposób było sprawdzić.

„Mam coraz słabszy wzrok” – napisał trzy dni przed jej śmiercią – „ale moje sny mają konstrukcję zwięzłą jak reklamy”.

Asyistentka Aschemanna raz jeszcze przeczytała wszystkie listy, a potem wyjrzała przez okno. Na zewnątrz był szum fal, zapach soli i trawy wydmowej, niesiona wiatrem mgła, wszystko to skondensowane w jedną substancję niby blok przydymionego plastiku. Mimo to, kobieta odnosiła wrażenie, że słyszy coś w oddali – płacz albo śmiech. Gdy wracała do samochodu, z mroku wynurzyła się banda przygarbionych chłopaków, odzianych w błyszczące płaszcze przeciwdeszczowe noszone przez dzieci-śmieci. Szeptali coś do siebie od niechcienia i tręcili się nawzajem, gapiąc się na nią.

– Tylko spróbujcie – rzuciła tonem tak zachęcającym, że zniknęli we mgle, potrząsając głowami.
– Widzicie? – wyszeptwała.

Po drodze do domu co chwila zerknęła w lusterko wsteczne i ostrożnie zmieniała biegi. Policjantka powinna być praktyczna i spokojna, ale zawsze pozostawać w ruchu. Zadawała sobie pytanie, dlaczego nie rozumie Aschemanna ani jego żony. Choć oboje od samego początku wiedzieli, że ich związek jest skazany na katastrofę, beztrudno pomknęli jej na spotkanie, a nawet starali się ją przyspieszyć. Być może włożyła w to zadanie tylko połowę swej osobowości.

Aschemann zawsze opisywał związek łączący go z Edith Bonaventure jako niejednoznaczny.

– Chce powiedzieć, że go nie lubię – dodawała w takich przypadkach Edith.

Detektyw i jej ojciec byli przyjaciółmi i przeciwnikami od pierwszych dni walki z handlem artefaktami w Saudade. Zaraz po tym, jak Emil wylądował w niekorporacyjnym porcie w towarzystwie córki, kandydatki na gwiazdę akordeonu, opalony jak każdy podróżnik po halo, Aschemann go aresztował.

– To były stare, dobre czasy – zawsze powtarzał córce Bonaventure, jakby w wieku trzynastu lat nie była wystarczająco dojrzała, by wyrobić sobie własne zdanie. – Nie traktowano wszystkiego aż tak poważnie.

Nawet w tak młodym wieku Edith miała co do tego wątpliwości, zawsze jednak była lojalna.

– Nie mogę lubić kogoś, kto aresztował mojego ojca – oznajmiła teraz Aschemannowi. – Bez względu na powody.

Detektyw siedział na drewnianym krześle w jej pokoju, przyglądając się z uśmiechem hologramom i nagrodom, a także przypiętym na ścianie kostiumom. Ich ładne spódniczki rozpościerały się szeroko, jakby Edith nadal była w środku. Akordeony przypominające stare psy, pozbawione tchu, odsłaniające w uśmiechach zęby falujące w rytm tanga, łypały na niego złowieszczą z półek i oszklonych gablot.

– Niemniej – ciągnęła, nalewając mu rum Black Heart – łyknij sobie, zanim pójdziesz na górę. Vic Serotonin przyniósł nam flaszkę zaledwie przedwczoraj.

Aschemann, który widział przekazaną przez nanokamery relację z kłótni Edith z Vikiem pod ringiem w Preter Coeur, nie uwierzył w jej słowa, ale ucieszył się, że nazwisko Vica padło już na samym początku rozmowy.

– Ach, ten Vic – stwierdził z uśmiechem i potrząsnął głową, jakby charakter przewodnika był brzemieniem, które mogli ze sobą dzielić.

– Jest szczodry dla starych przyjaciół, tak samo jak ty – odparła Edith, spoglądając ze spokojem na detektywa.

– Emila wszyscy kochają – zauważył Aschemann. – To przywilej tych, którzy w swoim czasie byli sławni. – Pociągnął łyk. – To ten jego świetny rum – pogratulował kobiecie.

– Nalej sobie jeszcze.

– Dziękuję.

– Może po drugiej szklaneczce wystarczy ci odwagi, by dać Emilowi w ucho. Siedzi na górze, jak zawsze. Dzisiaj jest trochę słabszy, więc nie sprawi ci kłopotu.

Aschemann nie pozwolił, by odwróciła jego uwagę.

– Szkoda, że Vic wplątał się w coś niedobrego – zaczął.

– Wszyscy jesteśmy wplątani w coś niedobrego.

– Otworzył drzwi. Nie wiem, czy zrobił to celowo, ale wychodzą przez nie artefakty nowego rodzaju.

– A cóż jest nowego w nowości? – zapytała ze znudzoną miną Edith.

– One łążą po mieście, jakby było ich własnością.

Aschemann sam się zdumiał, usłyszawszy, co jej powiedział.

Edith nadal myślała o nowości. W dzisiejszych czasach wszystko prezentowano jako nowe. Wielu twierdziło, że w rezultacie nie ma nic nowego. Widziała to napisane na murze. Jej opinia brzmiała tak, że każdy miał szansę być nowym w swoim czasie.

– Może rzeczywiście nią jest – zauważyła.

– Coś jeszcze: Paulie DeRaad również się w to wplątał i nagle nie możemy go znaleźć. Nasz sprzęt go nie wykrywa. To dobry sprzęt, może odrobinę przestarzały, ale ktoś przemówił do niego w języku, na który nie możemy sobie pozwolić. Może to wojskowy język. Może jego znajomi z EMC zaczną nam wkrótce zadawać pytania, na które nie znamy odpowiedzi. – Aschemann doszedł do wniosku, że jednak wypije jeszcze jedną kolejkę. – Nie odważę się puścić Vica do strefy, dopóki się nie dowiem, co jest grane – oznajmił, nalewając sobie. – Edith, czy wiesz coś, o czymś powinnaś mi powiedzieć? Tu nie chodzi o zwykłą turystykę. Ekscytującą wycieczkę dla pozaświatowej dziewczyny, która ma za dużo wolnego czasu.

W ciągu krótkiej chwili twarz kobiety parę razy zmieniła wyraz. Można z niej było wyczytać rozmaite uczucia, dominowała jednak pogarda.

– Z pewnością wiesz wszystko na ten temat – oskarżyła go.

Wyjęła szklaneczkę z rąk Aschemanna, wlała zawartość z powrotem do butelki i ją odstawiła.

– Mój ojciec jest na górze – poinformowała detektywa. – Pamiętasz go?

– Miałem nadzieję, że mi pomoże.

– Niby jak? Już dawno dał za wygraną. Ty i Vic to wszystko, co mu zostało, ale kiedy przychodzisz, tylko pogarszasz sprawę. – Spojrzała na wystawione na pokaz instrumenty muzyczne, jak ktoś, kto zdecydował się na kolejną konfrontację z warunkami brzegowymi swego życia.

– Nie wydam ci Vica – oznajmiła wreszcie znużonym tonem. – Zapomnij o tym.

Aschemann nie liczył na nic więcej.

– Chodźmy zobaczyć Emila – zasugerował, jakby to był nowy pomysł.

Bonaventure spoczywał w pozycji półsiedzącej, wsparty o białą ścianę. Poduszki wysunęły się spod niego i wychudzony tułów wygiął się na kształt litery S. Puste spojrzenie kierował w najdalszy kąt pokoju. Unosił górną wargę w lewym kącie ust, odsłaniając zęby, ale jego miny nic chyba nie łączyło z tym, o czym mógł myśleć. Na widok Aschemanna jego oczy rozblęły.

– Cześć, Vic! – zawołał.

– Nie jestem Vic – odparł detektyw.

Z twarzy Emila zniknął wyraz ożywienia.

– No to mnie aresztuj – mruknął słabym głosem, a potem zasnął.

– Czy to coś nowego? – zapytał kobietę Aschemann.

– Nie – odparła krótko. – To ciągle to samo. Lens, twój przyjaciel umiera. – Rosły w nim raki, których lekarze nie potrafili nawet opisać, nie wspominając już o ich wyleczeniu, jakby jego ciało

próbowało się zmienić w coś innego, ale nie miało potrzebnego do tego planu. Jego narządy włączały się i wyłączały w nieprzewidywalny sposób, a kości nie produkowały już trombocytów. Edith poinformowała Aschemanna, że ostatnią nowością był hybrydowy wirus, składający się w całość w jego komórkach z trzech albo czterech rodzajów RNA i jakiegoś sztucznego genu, którego nikt nie potrafił zidentyfikować. – Najgorsze jest to, że nadal nie może śnić. Zostawię cię z nim. Mam dość jego towarzystwa przez cały dzień. To dla mnie ulga, gdy ktoś go odwiedza.

– Nie cieszę się, że widzę go w takim stanie – odparł detektyw.

Siedział przez chwilę na twardym krześle przy łóżku, ale nic się nie wydarzyło.

– Muszę z tobą pogadać, Emil – odezwał się wreszcie. – Mamy problem ze strefą. – Przerwał na chwilę. – Mógłbyś mi w tym pomóc. To nieważne, że stoimy po przeciwnych stronach. Odkryłem coś, o czym żaden z nas nie wiedział.

Bonaventure poruszył się nerwowo przez sen.

– Nie zbliżaj się z tym do mnie – mruknął.

Detektyw pochylił się nad nim, ale to było tylko bredzenie w gorączce. Oddech Emila cuchnął tak paskudnie, jakby pacjent już nie żył, jakby wszystkie koszmary, których nie mógł wyśnić, gromadziły się wokół niego niczym gaz.

– Przykro mi, Emil – rzekł wreszcie Aschemann. – Na pewno by cię zainteresowało, czego się dowiedziałem.

Zszedł na dół. Edith siedziała na podłodze, przeszukując w skupieniu pudło wypełnione notesami najrozmaitszych rozmiarów. Wszystkie wypełniało szalone pismo oraz schematy narysowane tuszem o różnych barwach. Ich okładki wyblakły i splamiła je woda. Najwyraźniej w ciągu lat nie obchodzono się z nimi zbyt ostrożnie. Wpychano je do kieszeni, upuszczano na ziemię i deptano po nich, plamiono je krwią, gubiono je i znajdowano. Wyjmowała kolejny notatnik, otwierała go w dwóch albo trzech przypadkowych miejscach, przerzucała jednym ruchem kartki, jakby miała nadzieję, że coś spomiędzy nich wypadnie, a potem chowała z powrotem do pudła. W powietrzu unosiła się woń prawdziwego kurzu. Na widok Aschemanna zamknęła pudło i odepchnęła je od siebie. Miał wrażenie, że jej nastrój się poprawił.

– Nie wstawaj – rzekł. – Muszę już iść.

– Nie chcesz tej drugiej kolejki?

– Nie. Masz. To dla ciebie.

Obrzuciła go pełnym złości spojrzeniem.

– To nie pieniędzy potrzebujemy. – Stała między Aschemannem a drzwiami. – Pamiętasz, jak siadałam ci na kolanach, kiedy Emil przywiózł mnie do Saudade? – przypomniała mu. – To były czasy! Siedzałam ci na kolanach w twoim prywatnym gabinecie. – Roześmiała się wzgardliwie, ale nie było jasne, z którego z nich się śmieje. – Niepotrzebnie dałeś się przebłagać. Trzeba go było zamknąć dożywotnio. W ten sposób uratowałbyś mu życie.

Aschemannowi nie przychodziła do głowy żadna odpowiedź.

– Wezwę riksę – oznajmił wreszcie.

Wzruszyła ramionami i zeszła mu z drogi.

– Jeszcze jedno! – zawołała, gdy wychodził. – Nie podoba mi się, że prześladujesz Vica. To kretyn, ale nigdy nikogo nie skrzywdził. Przynajmniej nie celowo – poczuła się zmuszona przyznać po chwili przerwy, ale detektyw zdążył już wyjść.

Aschemann zawsze podziwiał ludzi z pokolenia Bonaventure'a, choć z upływem lat owo uczucie straciło nieco nasile. Uważali się za nieoszlifowane diamenty, choć w rzeczywistości byli pijakami,

ćpunami, pilotami raket i entradistami. Strefa spadła na ziemię dopiero niedawno i sporządzenie jej map było w pewnym stopniu niewykonalne. Nikt nie znał bezpiecznej trasy przez aureolę, wówczas znacznie bardziej aktywną, a ci, którzy zdołali przez nią przejść, nie byli pewni, w jakim punkcie wnętrza strefy wylądują. Nie mieli nawet pewności, czy takie pojęcia, jak wewnątrz i zewnątrz, w ogóle mają w tym przypadku zastosowanie. Mimo to, wyruszali tam codziennie, na piechotę, drogą powietrzną albo wszelkimi rodzajami tanich, miejscowych pojazdów o napędzie benzynowym. Wracali – o ile w ogóle wracali – po trzech tygodniach, tylko po to, by się przekonać, że na zewnątrz upłynęło zaledwie dwanaście godzin. Równie często bywało na odwrót. Nie mieli żadnej perspektywy ani danych, nie mogli polegać na żadnych rachunkach.

Jeśli zaś chodzi o artefakty, zbierali leżące na powierzchni, z otwartym pogwałceniem zasad zdrowego rozsądku. Wykopywali je z ziemi, cuchnące jak ser pleśniowy, powstrzymywali w biegu za pomocą różnego rodzaju strzałek usypiających albo wiązek lekkich cząstek. W rezultacie ginęli masowo z powodu niezwykle chorób bądź niewytłumaczalnych wypadków w strefie i poza nią, pozostawiając testamenty spisane stylem zbyt kwiecistym, by można je było zrozumieć, oraz ostatnie wole wytatuowane na pośladkach. Ich mapy ukrytych skarbów, których psychiczna północ była powiązana z równie niepewnymi cechami charakterystycznymi Traktu Kefahuchiego na nocnym niebie, zawsze okazywały się bezwartościowe.

– Ale, hej – mawiał Emil Bonaventure głosem niedobitka, gotowego podzielić się sumą doświadczenia zebranego przez siebie i pozostałych, by po dłuższej przerwie wzruszyć ramionami ze zdziwioną miną, uświadomiwszy sobie, że zapomniał, o czym mówił.

Aschemann kazał rikszarce zawieźć się do bungalowu byłej żony.

– Przejedź obok niekorporacyjnego portu – polecił Annie. Ruch nie był zbyt intensywny. W porcie panowała uspokajająca cisza, jego oświetlone halogenowymi latarniami płoty były nietknięte. Gdy dojechali na Przylądek Samobójców, zaczęła już wiać nocna bryza od lądu, unosząca mgłę z powrotem nad morze. Woda zrobiła się lekko oleista, zza zakrętu brzegu dobiegały odgłosy towarzyszące ładowaniu czegoś na statek. Kilkoro dzieciaków z Przylądka, pobudzonych tanimi akceleratorami, biegało bez celu po plaży. Aschemann zamienił z nimi kilka słów i w rezultacie połączył się ze swą asystentką.

– Dziwię się, że przyszedł tu, nie pytając mnie – oznajmił.

Kobieta czuła się tak, jakby zwabił ją w zasadzkę. Czuła się ospała i zbita z tropu. Spędziła noc w farmie tanków na C-Street. Całkowicie zanurzona w roli gospodyni domowej w modernistycznym świecie roku 1956 zmywała podłogę mopem, potem wybrała się do wesołego miasteczka na przejażdżkę na karuzeli zwanej Meteorytem, a w niewytłumaczalnym trzecim odcinku przeglądała się w lustrze w drzwiach szafy, odziana tylko w luźne, przejrzyste slipki z atlasu. Piersi miała ciężkie, o wielkich brązowych sutkach, natomiast reszta ciała, według standardów jej rodzinnej epoki, była miękka i raczej pulchna. Po krótkiej chwili wsunęła dłoń w slipki i zaczęła ćwiczyć:

– Och, Robercie, tak miło, że jesteś we mnie. Czy mnie przerznieś, Robercie? Czy mnie rzniesz?

Po krótkiej chwili nadszedł orgazm, przez jej pole widzenia przebiegła linia ostrego, niebieskiego blasku. Potem kobieta poczuła się wyczerpana.

Spędziła wolną noc w nietypowy sposób, ale nie bawiła się tak dobrze, jak na to liczyła. To było raczej „artystyczne” przeżycie. W ostatecznym rozrachunku wolała Meteoryt, który był kołem przypominającym wielki, płaski, ażurowy bęben, zamontowany na jaskrawoczerwonym ramieniu, mogącym się odchylić siedemdziesiąt, a nawet osiemdziesiąt stopni od poziomu. Gdy zajęła miejsce, Meteoryt zaczął się obracać coraz szybciej i szybciej. Proste, ale nieubłagane fizyczne siły wciskały ją w zewnętrzną ścianę.

– To była pomyłka – tłumaczyła się Aschemannowi. – Zdawało mi się, że powiedziałeś, że tu będziesz. – Zerknęła na dane spływające bez końca po jej przedramieniu. Bez względu na wykszolenie przez chwilę nie mogła nic w tej sprawie zrobić. „Próbowałam cię zrozumieć”, zapragnęła mu wytłumaczyć, ale w końcu poradziła mu tylko: – Powinieneś się trochę przespać.

Potem przerwała połączenie.

Po wyjściu Aschemanna Edith Bonaventure poszła do pokoju ojca, gapiała się przez minutę albo dwie na sine dołki nad jego obojczykami, a potem złapała go za ramiona i zaczęła nim potrząsać, aż wreszcie się obudził.

– Wysłuchaj mnie, Emil – mówiła. – Wysłuchaj mnie. Spójrz na mnie i pomóż mi. – Rozkastał się nagle. – Przykro mi, że ci to robię, Emil – zapewniła. Pochyliła go, aż oparł się o nią bezwładnie, lekki i cuchnący. Podbródek wsparty o jej ramię dźwigał cały ciężar jego głowy, jak u niemowlęcia. Najpierw obmacała łóżko pod poduszkami, a potem pod chudymi, gorącymi pośladkami Emila. – Potrzebuję go. Musi gdzieś tu być. Nagle odepchnęła go od siebie i zaczęła okładać pięściami jego pierś. – Mówię poważnie. Mówię poważnie, Emil.

Bonaventure wykonał kilka niezgrabnych, obronnych ruchów.

– Hej – mruknął niewyraźnie. – Nie musisz tego robić.

– Gdzie on jest?

Nastała długa przerwa. Edith pomyślała, że stary znowu zasnął. Potem się roześmiał.

– Pod łóżkiem.

– Emil, ty skurwysynu. Ty pojebie.

– Jest pod łóżkiem razem z butelkami. Zawsze tam leżał. W każdej chwili mogłaś tam zajrzeć. – Jego śmiech cichł stopniowo, aż wreszcie Emil umilkł całkowicie. – On w niczym nie pomoże Vicowi Serotoninowi – ostrzegł. – Nie ma sensu mu go dawać. – W jego głosie zabrzmiała nuta pogardy. – A dlaczego? Dlatego że to turysta. – Wychylił się ostrożnie z łóżka i zwymiotował na podłogę wąską strużką żółci. – Przepraszam – mruknął. Znieruchomiał z wyczerpania. Jego twarz wisiała jakieś trzydzieści centymetrów nad podłogą. Inteligentne tatuaże szukały schronienia między ranami i cieniami żeber, jakby były wszami. Od jego skóry bił smród, którego pochodzenia Edith nie potrafiła wyjaśnić. Wciągnęła go z powrotem na łóżko i wytarła mu twarz, która ongiś miała moc rozwiązywania wszystkich jej problemów, ale teraz sprawiała wrażenie złożonej wyłącznie z kości i szczeciny. Jego oczy były pełne bólu, jak u małego chłopca. To była twarz, która od sześćdziesięciu lat potrafiła wyrażać pożądanie, ale nie zaspokojenie. Zawsze pozostawał w ruchu, nigdy nie szukał schronienia i w rezultacie nie potrafił go znaleźć. Uścisnęła go mocno i zaczęła kołysać.

– Nigdy nie było z ciebie pożytku – oznajmiła mu. – Jako ojciec nie zdałeś mi się na nic. – Rozpłakała się. – Nie wiem, co zrobić – wyznała.

– Przykro mi, że miałaś takie życie – wyszeptał Emil.

Wypuściła go i usiadła na krześle.

– Nawet teraz nie potrafisz dorosnąć?! – krzyknęła.

Dziennik był pod łóżkiem, wepchnięty tak daleko w ciemność, jak tylko Emil zdołał sięgnąć. Była zmuszona stłumić niesmak i poruszać rękami na oślep, aż wreszcie dotknęła go jedną z nich. Co jeszcze tam się kryło? Woląta tego nie wiedzieć.

– Jeśli na mnie narzygasz, kiedy tu siedzę, zabiję cię – ostrzegła.

Nie odpowiedział, ale gdy tylko znalazła notatnik i wstała, by odejść, złapał ją za rękę i pociągnął ku sobie. Zdumiała ją jego siła. Po raz pierwszy uświadomiła sobie, że zdumiewała ona wszystkich, których spotkał.

– Gdzie Vic? – zapytał.

– Tu go nie ma, Emil.

– Nigdy nie zapuściłem się głębiej. Tu jest cała relacja. Cały rok w strefie i ta książka to wszystko, co zdołałem ocalić.

– Emil...

– Wyruszyło nas pięćdziesięciu, a wróciło dwóch. Dotarliśmy do samego serca. A gdzie był Vic Serotonin? Nigdzie.

– Emil, to boli.

– Warto było tam iść – stwierdził.

Jego oczy straciły nagle wyraz. Puścił jej rękę.

– Tam minął rok, Billy Boy! – zawołał. – A tutaj nawet nie dzień. I co na to powiesz?

Gdy wreszcie zdołała go uspokoić, zabrała dziennik do swojego pokoju. W lepszym świetle prezentował się gorzej. Przygody jej ojca postarzyły notatnik w takim samym stopniu jak samego Emila. Okładki były brudne i zatłuszczone. Grzbiet przegnił, podobnie jak kręgosłup autora. Wszystkie strony były zaplamione, zmoczone i poprzecinane, niektóre oderwano pionowo w połowie szerokości, pozostawiając tylko osobliwe skupiska słów „emergenty behavior”, „zachód słońca w ciele migdałowatym” i „dane wyjściowe zaakceptowane jako wejściowe”. To jednak była tylko kwestia czytelności. Ponieważ strefa była jednym wielkim elektromagnetycznym koszmarem, ręczne pismo było jedynym sposobem zarejestrowania czegokolwiek, jak jednak można pisać niby-książkę o miejscu, które nieustannie zmieniał używany do tego celu atrament, nie wspominając już o wszystkim, co się widziało? Pismo jej ojca brnęło pod potężną wicherę, docierało do końca strony i dzięki czystemu fartowi spadało na następną.

Emil starał się zachować spokój. Katastrofalną próbę przedostania się do strefy od strony morza za pomocą pontonów opisał następująco: „Trzy kilometry od Przylądka [nieczytelne] odpływ odsłonił wraki”. Dalej pisał: „Nawigacja satelitarna i obliczeniowa nie dają pewnych rezultatów, ale pamiętaj, by Barani Sztylet pozostawał w jednej linii z ruinami rafinerii, a może ci się udać ominąć ławicę. Ben Moran mówi, że popłynął prosto przed siebie i miał dwie stopy pod kilem przy szczycie odpływu”. Na tych słowach nabazgrano pismem tak oszalałym, że wyglądało, jakby pochodziło od kogoś innego: „Zapomnij o tym”. Niżej napisał: „Coś zeżarło Billy’ego we mgle. Straciliśmy [nieczytelne] musieliśmy się wycofać. Cztery dni tutaj, na zewnątrz minął tydzień”.

Jeszcze niżej: „Skąd wiemy, czy to, do czego wrócimy, będzie tym samym?”

W tym miejscu Edith zamknęła książkę. Gdyby czytała dalej, dowiedziałaby się o Emilu zbyt wiele. „Skąd wiemy, czy to, do czego wrócimy, będzie tym samym?”. To był krzyk nie tyle grozy, ile triumfu. Czysta prawda wyglądała tak, że jej ojciec czuł się żywy tylko wtedy, gdy przebywał w strefie, gdzie wszystko było toksyczne, niezdefiniowane, do wzięcia. Bez względu na to, co o tym mówił – i co mówił o sobie – kochał niepokój towarzyszący wyprawom. Uwielbiał cienie, padające pod bolesnymi kątami światło, nieprzewidywalność tego wszystkiego. To, co pisał w dzienniku, w niczym nie przypominało spokojnej twarzy, jaką pokazywał światu, ani nawet tej, którą pokazywał samemu sobie. Dlatego właśnie jego pismo wyglądało jak chaotyczne, pośpiesznie mazane bazgroły. Vic Serotonin był taki sam. Mimo że Emil miał o nim kiepskie zdanie, Vic był taki sam jak on. Niewykluczone, że książka faktycznie na coś mu się przyda. Pomoże mu uporać się z tą sytuacją z Lensem Aschemannem i Pauliem DeRaadem, na czymkolwiek mogła ona polegać.

– Vic, ty kretynie – rzekła wyrozumiałym tonem, jakby był z nią w pokoju.

Gdy uniosła wzrok, zobaczyła łypiące na nią z półek akordeony. Za oknem widziała ulicę pełną kotów. Ich czarnych i białych futer nie dotykały strugi ulewy, którym blask latarni nadawał złocisty

kolor. Nie zważając na te omeny, Edith schowała notatnik, wdziała czerwonawobrazowy płaszcz z wełny i znalazła parasolkę.

– Wychodzę! – zawołała do ojca.

Nie odpowiadał jej przez bardzo długi czas. Wreszcie, gdy już miała zatrzaskać drzwi wyjściowe, Emil, który od chwili, gdy zabrała dziennik, leżał w łóżku, czujny i inteligentny z osobliwym, okrutnym uśmiechem na twarzy, zawołał:

– To mu w niczym nie pomoże! Coś ci poradzę. Daj dziennik Aschemannowi. Jemu przynajmniej można zaufać.

– Emil, ty kochasz Vica!

Jej ojciec wybuchnął śmiechem, który szybko przeszedł w kaszel.

– I co z tego? – zapytał sufitu Emil Bonaventure, gdy już odzyskał zdolność mowy. Można kochać rozczarowanie.

Wcześniej tego samego wieczoru Vic Serotonin wszedł do baru Liv Huli i usłyszał, jak Liv mówi do pani Kielar:

– Czasami myślę, że mogłabym się bez tego obejść.

Nie miał pojęcia, o czym rozmawiają. Między dwiema kobietami, pochylającymi się ku sobie nad pokrytym cynkową blachą barem i zredukowanymi przez ostre, padające z góry światło do podstawowych zarysów, utworzyła się luka o specyficznym kształcie, przypominająca złudzenie twarzy-wazonu Rubina. Choć nie można twierdzić, by w ten sposób zamazały dzielące je różnice, choć raz miały ze sobą coś wspólnego: a przynajmniej coś więcej niż filiżanka stygnącej czekolady stojąca na kontuarze obok ręki Elizabeth Kielar; więcej niż którąkolwiek z nich łączyło z Vikiem Serotoninem. Zdumiał się, ujrawszy je w takiej sytuacji. Rozmawiały ze sobą jeszcze przez chwilę, a potem odsunęły się od siebie niespiesznie. Czar prysł.

– Cześć, Vic – przywitała go Liv Hula. – Nalać ci czegoś? Przyszła twoja klientka – dodała, jakby tego nie zauważył.

Noc była spokojna. Wcześniej kilku krawców z franczyzowej rzeźni genetycznej przy Straint Street przyszło uczcić zwycięstwo w walce. Z Preter Coeur przyjechała za nimi grupka turystów z jednego ze statków firmy Beths/Hirston, zapewne *Pro Aria*, która dwa razy do roku odwiedzała kreatywnie wybrane miejsca na Plaży. Saudade było dla niej niewiele więcej niż punktem uzupełniania paliwa. Przez dwadzieścia minut operatory-cienie ekscytowały się niezdrowo, ale potem jeden z turystów przypomniał sobie nazwę nowego lokalu nieopodal Antarctic Boulevard i wszyscy sobie poszli. Tak w skrócie wygląda praca barmana, myślała Liv, gdy sprzątała ze stolików, wkładała pieniądze do kasy i myła puste naczynia, pozwalając, by ciepła woda opłukiwała jej dłonie. Ogarnęła ją nostalgia za dawnym życiem, które było inne od tego. Po południu, w jej pokoiku na górze wydarzyły się dwie rzeczy.

Po pierwsze, przypadkowo spotkała siebie samą w lustrze. Twarz, którą ujrzała, była zbyt podobna do jej twarzy, a za mało przypominała Elizabeth Kielar. Sprawiała wrażenie zmęczonej tym, że nigdy nie miała futra. Tym, że zawsze musiała być sobą. Spoglądające z lustra oczy nie były już spokojne. Gdy przebywała w halo, zawsze mogła sobie z tym poradzić, wymyślić sobie na nowo, przenieść się w inne miejsce. Pustka kosmosu jest wyrozumiała. Wszystko może tam podlegać negocjacom. Trudno się natknąć na coś niespodziewanego. Tu, na dole, twój pokój świadczy o tym, kim jesteś.

Drugie wydarzenie wyglądało tak: obudziła się z płytkiego snu, usiadła na skraju łóżka, wyjrzała przez okno i zobaczyła Antoyne'a Messnera, który przechodził obok, trzymając pod rękę Monę Irene.

Miała nowe ubranie: kuse moherowe bolerko, lateksowe spodnie do kolan i akrylowe buty na wysokich obcasach, wszystko to w modnym kolorze neotenicznego różu. Grubas wdział jasnoniebieski garnitur, który Irene kazała mu kupić, gdy zaczął pracować dla Pauliego DeRaada, a włosy uczesał w podtrzymywaną żelą falę na szczycie głowy. Wyglądali śmiesznie, lecz jednocześnie fakt, że byli razem, przydawał im tajemniczej godności. Byli królem i królową uczucia. Ujrzawszy ich w tym nowym świetle, zadała sobie pytanie, czy nie powinna zbiec na dół i zapytać, dlaczego nie chcą już pić w jej barze. Teraz, gdy widziała, jak Vic Serotonin prowadzi klientkę do stolika przy oknie, gdzie oboje usiedli i wszczęli poważną rozmowę, nasunęła się jej ta sama myśl co wtedy.

Tych dwoje wierzy, że odkryło coś nowego. Życzę im szczęścia.

W rzeczywistości Vic Serotonin mówił:

– Może będziemy mogli podjąć to ryzyko za cztery dni.

Pani Kielar zaczęła już kręcić głową. Powiedziała, że musi tam się udać wcześniej. To była dla niej bardzo zła wiadomość. Jej nerwy były w coraz gorszym stanie. Oznajmiła, że nie jest pewna, czy może czekać jeszcze dobie.

– Nie jestem pewna, czy wytrzymam choć godzinę.

Vic pomyślał, że to prawda. To, co pożerało ją od środka, nasiliło aktywność od chwili, gdy pieprzyła się z Vikiem w mieszkaniu w Gorących Murach.

– Niech będą trzy dni – zaproponował.

Ponownie potrząsnęła głową. Ujął ją za rękę, choć zaczęła ją cofać, gdy tylko po nią sięgnął.

– To dlatego, że dzieją się tu rzeczy, których nie rozumiem – wyjaśnił.

– Nie.

– Dwa dni – ustąpił Vic. – Dwa dni, pani Kielar, tyle może mi pani dać. Pauliemu stało się coś dziwnego, coś dziwnego dzieje się w strefie. Policja obłązi wszystkich jak mrówki.

Pani Kielar, próbująca uchylić się przed tą informacją, jak można się uchylić przed fizycznym ciosem, zerwała się z miejsca tak nagle, że przewróciło się krzesło. Gapiła się na leżący mebel, jakby jego upadek był najgorszym, co mogłoby się przytrafić im obojgu.

– Nie mogę – wyszeptwała.

W tej chwili Vic nie widział przed sobą drogi. Własne zachowanie dziwiło go w takim samym stopniu, jak reakcje kobiety. Pamiętał, jak mówiła:

– Czekam, aż coś się wydarzy, i nawet nie wiem, z której części mojego życia nadejdzie.

Wstał i objął ją ramieniem, a potem postawił krzesło.

– Spokojnie – mruknął. – Widzisz? Wszystko w porządku. Nie ma sprawy. – W miejscu, gdzie dotykał dłonią prawego barku kobiety, wyczuwał jego wątłą konstrukcję, zeszywniałą i drżącą. Był świadomy jej gorących kości. Na każdej z nich wypisano *Elizabeth Kielar*. – Za czterdzieści osiem godzin już tam będziemy. Obiecuję.

Była jak hologram. Gdy przyjrzało się jej uważnie, okazywało się, że każda jej część zawiera w sobie niezrozumiałą całość. Próbował ją przekonać, by znowu usiadła, ale ona tylko się go uczepiła. Złożyli kolejne zamówienie, a potem usiedli po przeciwnych stronach stolika, nie rozmawiając i tylko trzymając się za ręce. Znacznie później, gdy do baru przyszła Edith Bonaventure, odziana w czerwonobrazowy wełniany płaszcz i trzymająca w ręce dziennik ojca, zastała ich w takiej pozie.

– Vic, ty tani śmierdzielu – mruknęła.

Podeszła do baru i poprosiła Liv Hulę o drinka.

– Wypiję go tutaj – oznajmiła. – Nie masz nic przeciwko temu, że usiądę na stołku, by trochę

pogadać?

– Jesteś klientką – odparła Liv Hula.

– Świetnie. To bardzo miło – ucieszyła się Edith. – To miło, dlatego że, jeśli będę patrzyła na ciebie, nie będę musiała oglądać tego śmierdziela, który siedzi przy oknie. – Rozejrzała się z uwagą po barze. – Masz niezły lokal, ale trochę sponiewierany – poinformowała Liv Hule. – Przydałaby się renowacja. Trzeba znaleźć mu jakiś temat, coś wesołego. – Wypiła jednym haustem połowę szklaneczki i starła alkohol z delikatnego meszku porastającego górną wargę. – Hej, Vic! – zawołała, unosząc wysoko dziennik w jednej ręce, by nie miał wątpliwości, co to jest. – Emil miał rację co do ciebie. Widzisz? Lażłam przez całe miasto, żeby ci to dać, a teraz możesz mi nagwizdać.

– Jezu – jęknął Vic.

– Możesz mi, kurwa, nagwizdać, bo jesteś tylko tandetnym sedesem. Gdzie w końcu byłeś? Nigdzie. – Dopiła alkohol i wstała. – Dziękuję, to było niezłe – rzuciła do Liv Huli. – Dobranoc!

Vic Serotonin zdążył już wstać. Dotarł do drzwi pierwszy i złapał kobietę za nadgarstki.

– Edith, możemy porozmawiać.

Zaśmiała się.

– Nie możemy, Vic. Właśnie popełniłeś błąd.

Zastanawiał się, co mógłby jej powiedzieć.

– Posłuchaj – zaczął. – Bez względu na to, co mówił Emil, coś się tam zmienia. – Zauważył już, że nie to chciała usłyszeć, ale nie mógł się zatrzymać. – Wszystkie nasze doświadczenia stamtąd mogą być fałszywe.

– Fajnie by było, gdybyś wreszcie dorosnął – odparła tęsknie. – Gdybyście obaj dorośli.

– Edith...

– Wiesz, co mi to przypomina? – zapytała, wskazując szerokim gestem na panią Elizabeth Kielar, bar Liv Huli, ciągnącą się na zewnątrz Straint Street, na którą nawet nie patrzyła, na samo Saudade, będące jedynie piaskiem na Plaży, punktem uzupełniania paliwa dla długich wycieczek. – To mi przypomina walki.

– Edith...

– Ten ostatni wieczór, kiedy tam poszliśmy – uściśliła.

Spojrzała na dłonie mężczyzny, ściskające jej nadgarstki, a potem znowu na jego twarz.

– Gównu mnie obchodzi, co tam jest, Vic.

Na to nie potrafił odpowiedzieć. Puścił jej ręce i odeszła w lejącym na Straint Street deszczu. Zatrzymała się jeszcze raz, by dodać, nie odwracając się:

– I wiesz, że wcale nie chodzi o Emila.

Stukot jej obcasów umilkł za jakimś akustycznym zakrętem, nieskomplikowanym, dokładnym i nieuniknionym. Vic śledził ją wzrokiem. Wróciwszy do środka, przekonał się, że pani Kielar rozbiła szklanekę o ścianę i siedzi teraz skulona jak dziecko na poczerniałych deskach podłogi przy oknie. Gapiła się na Straint Street, kierując spojrzenie na aureolę strefy zdarzenia, dostrzegalną na samej granicy widzialności jako linia rdzawych murów, wybitych okien i drutu do zasieków. Milczała.

Liv Hula cierpliwie zmiotła kawałki szkła.

– Zaczynasz wyczerpywać moje poczucie humoru – poinformowała Vica. – Może powinieneś przenieść swoje biuro gdzie indziej.

Po południu po prostu miałam chandrę, powiedziała sobie. Popołudnie to nie jest dobra pora na samotność.

SIEDEM

KOSMOS W STYLU NOIR

Vic zamówił riksę i odwiózł panią Kielar do Gorących Murów. Kiedy rano wracał do domu, aresztowano go. Akcję przeprowadzono szybko i sprawnie. Cadillac kabriolet poruszający się ukradkiem pod prąd zaparkował przy krawężniku. Przednie drzwi od strony pasażera uchyliły się nagle tuż przed nim i wpadł prosto na nie.

– Hej! – zawołał.

Tymczasem asystentka Aschemanna znalazła się już na chodniku obok niego.

– Wsiadaj do samochodu, Vic – rozkazała, uśmiechając się.

Zapowiadał się pogodny dzień. Wiał lekki, ale rzeński wietrzyk od morza. Blask słońca odbijał się w lusterku cadillaca, muskał perfekcyjnie wykończoną karoserię i padał Vicowi prosto w oczy. Serotonin musiał dziś robić wrażenie nieobliczalnego, gdyż asystentka uśmiechnęła się szerzej. Zauważył, że włączyły się jej udoskonalenia, powodując podskórną falę podprogowego nanoruchu. Jej oczy straciły wyraz. Po przedramieniu spłynęły dane, przynosząc ze sobą swoistą ekscytację.

– Vic Testosteron! – zawołała. – Możesz się ze mną spróbować albo mogę wezwać ekipę strażaków... – Zerknęła znacząco na niebo. – Albo możesz po prostu ze mną pójść i nikt nie będzie musiał ginąć. To jak będzie?

Wzruszył ramionami i wsiadł do cadillaca.

Przez chwilę przyglądała mu się obojętnie, a potem również wzruszyła ramionami i zatrzasnęła drzwi.

– Zapnij pas – poradziła.

Spodziewał się, że zamkną go w celi. Że najpierw odbębnią wszelkie formalności. Kobieta jednak wozila go po niemal pustych ulicach przez prawie pięć minut, wystarczająco długo, by zaczął się zastanawiać, co jest grane.

– Na pewno znasz Lensa od dawna – odezwała się nagle.

– Kogo? – zapytał Vic.

– Spotkałeś kiedyś jego żonę?

– Zapytaj swojego przedramienia – zasugerował. – Może ci to powie. – Nie miał pojęcia, o co jej chodzi. Zresztą, nawet gdyby wiedział, i tak nie chciałby się zagłębiać w ten temat. – A może ono odbiera tylko wyniki walk?

– Mam go – oznajmiła przez łącznicę.

– Niezły wozik – zauważył Vic, jakby jechała z nimi trzecia osoba, być może siedząca z tyłu. – Lubię zapach siedzeń z prawdziwej skóry. – Pokręcił chromowaną gałką na tablicy rozdzielczej i rozbrzmiała muzyka. Stacja WDIA, Radio Retro, główny nadawca planety. Asystentka Aschemanna, wciąż rozmawiając przez łącznicę, wyciągnęła rękę i wyłączyła radio.

– Nie – odparła, kierując spojrzenie pustych oczu na Vica, a potem znowu na ulicę. – Nie stwarza problemów.

Aresztanta zaprowadzono do gabinetu położonego na drugim piętrze biura policyjnego na skrzyżowaniu Uniment Street i Poe Street i zostawiono tam samego na jakieś dziesięć minut. Pomieszczenie spryskano niedawno aerozolem o zapachu autentycznego werniksu, żaluzje opuszczono, lecz w przedostających się przez nie wąskich snopach światła można było zobaczyć wytarte, nierówne, ale błyszczące powierzchnie brązowego skózanego fotela, poobtłukiwanego stalowego biurka i szafek na dokumenty oraz zielonego linoleum na podłodze. Gdy Vic usiadł w fotelu, z kątów wychylnęło parę operatorów-cieni, wyglądających na znużone, a zarazem

niewykorzystane.

– Jeszcze go nie ma, skarbie – oznajmił przepraszącym tonem. – Może filiżankę herbaty?

Mężczyzna zaczął sprawdzać szuflady biurka. Znalazł tam kilka pakietów listów napisanych na cienkim niebieskim papierze składającym się w kopertę. Były kruche ze starości. Jeden z nich zaczynał się słowami „Mój najdroższy Lensie”, ale Vic nie zdążył go przeczytać. Wepchnął list do szuflady razem z innymi w tej samej chwili, gdy do środka wszedł Aschemann.

– Nie wstawaj, Vic – odezwał się detektyw. – Cieszę się, że czujesz się swobodnie. Jeśli operatory zawracają ci głowę, to powiedz śmiało.

– Za co mnie aresztowano?

– Powieszę płaszcz na tym haku, żeby nam nie przeszkadzał – oznajmił Aschemann. – Vic, jeszcze cię nie aresztowaliśmy.

Serotonin wstał i ruszył ku drzwiom.

– Miło było znowu cię zobaczyć – rzucił.

– Jeszcze cię nie aresztowaliśmy, ale tu jest Wydział Przepływów Strefowych, nie bar na Straint Street. Siadaj i gadaj. Czy to takie trudne?

Vic znowu usiadł w wygodnym fotelu za biurkiem, zostawiając Aschemannowi twarde krzesło po drugiej stronie. Nawet jeśli detektyw poczuł się poirytowany tym naruszeniem protokołu, niczego po sobie nie okazał. Podciągnął spodnie jasnobrązowego garnituru – wytarte mankiety uniosły się, odsłaniając czarne skarpetki i białe łydki, na których zaznaczały się początki owrzodzeń żyłakowych – by nie wycierały się na kolanach.

– Vic, opowiedz, jak jest w strefie – zażądał.

– Chyba żartujesz.

Detektyw pokiwał głową, jakby spodziewał się takiej odpowiedzi. Jakby była jedną z kilku możliwych, z których wszystkie zasługiwały na rozważenie, a w ostatecznym rozrachunku mogły być tyle samo warte. W końcu to nie było uczciwe pytanie.

– Posiedzę tu sobie i zapalę fajkę, jeśli nie masz nic przeciwko temu – oznajmił. – Tymczasem będziesz mógł się zastanowić.

Na jednej ze ścian pojawił się czarno-biały obraz kiepskiej jakości, przedstawiający Vica. Wyglądało to jak transmisja bez dźwięku. Vic Serotonin idzie ulicą w Gorących Murach, Vic Serotonin ogląda walki z pulchną kobietą uczeponą jego ramienia, Vic Serotonin kupuje kapelusz. Vic idzie swoją ulicą, ma kapelusz założony na bakier. To było szczegółowe przedstawienie jego życia: na jednym ujęciu przepycha się przez tłum VIP-ów w Semiramide Club Pauliego DeRaada i zatrzymuje się na chwilę, by pogadać z ulubioną dziewczynką Pauliego. Obraz znika raptem pod drzwiami gabinetu właściciela i nagle Vic jest w innej części miasta, w Długim Barze, gdzie poprzez mgłę i zakłócenia niemożliwych do odczytania danych można zobaczyć dwuosobowy zespół z Café Surf grający własną melodię, utworek, któremu nadali nazwę *Decoda*.

Ta relacja miała inteligencję, miała narrację, miała montaż. Podążyła za Vikiem do toalety, przesunęła się po obłazącej farbie i linoleum, a potem wróciła i złapała go w chwili, gdy gapił się ze zdumioną miną na mokry piasek na zapleczu baru, za linią graniczną strefy. Aschemann obserwował Vica przyglądającego się samemu sobie. Palił fajkę. Po kilku minutach zatrzymał obraz.

– Proszę – odezwał się. – Za chwilę wydarzy się to, co dzieje się tam prawie codziennie. Vic, w tym nagraniu cię nie ma, ale może mógłbyś przyjrzeć mu się uważnie, jakbyś tam był?

Postacie miały się w półmroku, ich ruchów nie można było zinterpretować. Drzwi widziane pod jednym kątem, neon z napisem *Co noc muzyka na żywo* pod innym, potem drugie drzwi, a na koniec morze. Nanokamery roily się w nadbrzeżnym powietrzu na podobieństwo rybiego mleczka. Vic

zobaczył coś, co wyglądało jak zupełnie nowi ludzie wychodzący niepewnie z Café Surf, nieuforni, nowo powstałe, zdziwieni, ale jeszcze nie zranieni, pełni oczekiwań.

– Może to dzieje się również za dnia. Nie obserwujemy lokalu aż tak dokładnie.

Dwóch chłopaków w koszulkach frakowych. Dziewczyna tańcząca niezgrabnie na piasku. Biorą się pod ręce i wchodzi na Maricachel Hill, kierując się ku środkowi miasta. Próbuje rozmawiać, ale lepiej jest, gdy po prostu opierają się o siebie i śpiewają urywki melodii, których nauczyli się przed dwudziestoma minutami w Café Surf. Potem kolejno znajdują to, czego szukali, i znikają. Patrzą z namysłem na neony, przyglądają się skrzyżowaniom ulic z delikatnymi, medytacyjnymi uśmiechami na twarzach, a wreszcie znikają w salonach tatuażu i klubach porno. W jednej chwili kamera – milion kamer – ich widziała, w następnej miasto już ich pochłonęło. Wszystkie kamery mrugnęły.

Aschemann nagle wyłączył obraz.

– Czy to artefakty, czy ludzie? – zapytał. – Czy mógłbyś mi w tym pomóc, Vic? Nasze instrumenty nie potrafią tego określić. Czymkolwiek są, nie mają wprawy w życiu. W ogóle nic nie potrafią. Nie mają kontaktu z rzeczywistością. – Przerwał na chwilę. Potem pochylił się i odłożył fajkę na biurko, obok popielniczki. – Moja żona była trochę do nich podobna – wyznał.

Serotonin wybałuszył oczy.

– Słucham?

– Zużywają się bardzo szybko, Vic. Większość znika bez śladu przed upływem godziny. Ale ci, którzy potrafią przetrwać! – Aschemann potrząsnął głową. – Jak mógłbym to opisać? Uczą się jeść, Vic, uczą się ubierać. Uczą się, czego chce od nich miasto. Wynajmują pokoje...

Znowu pokręcił z podziwem głową.

– Vic, muszę się dowiedzieć, jaką rolę w tym odgrywasz.

– Czy o to właśnie nas podejrzewasz? Pauliego i mnie? Myślisz, że przemycamy tych ludzi? Nie mamy z tym nic wspólnego!

Aschemann wzruszył ramionami. Vic wlepił w niego gniewne spojrzenie. Żaden z nich nie odzywał się ani słowem. Uciepione sufitu operatory-cienie poruszały się nerwowo, łażąc po sobie niczym kolonia nietoperzy. Na ścianie gabinetu znowu zaczęły się poruszać ziarniste obrazy – można było na nich zobaczyć, jak Vic Serotonin wchodzi do Długiego Baru, przesuwając nowy kapelusz na tył głowy i wymienia parę słów z barmanem. Można było zobaczyć, jak wychodzi z baru przez toalety i przygląda się mokremu piaskowi ciągnącemu się ku aureoli strefy zdarzenia, którą kamera oddawała jako szarawą luminescencję. Aschemann pokiwał głową, jakby te obrazy nie tylko stanowiły nowe dowody, lecz również były *scienza nuova*, nowym sposobem patrzenia na wszystko.

– Vic, muszę cię przeprosić – zaczął. – Z tego filmu wyraźnie wynika, że nigdy nie byłeś w Café Surf, a już zwłaszcza na jego zapleczu, przy zardzewiałych drutach, rzut kamieniem od samej strefy, którą przecież wielokrotnie odwiedzałeś, czemu nie możesz zaprzeczyć...

Vic roześmiał się ze złością.

– Nigdy nie byłem w Café Surf, dopóki się nie dowiedziałem, że myślisz, że tam chodzę. Poszedłem obejrzeć ten lokal. Uwierz mi, to najnędniejsza spelunka, jaką w życiu widziałem.

To profesjonalne wyjaśnienie wyraźnie zaimponowało detektywowi. Zastanawiał się nad nim przez chwilę. Jeśli jednak doszedł do jakiejś konkluzji, natychmiast odłożył ją na bok i wrócił do poprzedniego toku myśli.

– Przypuśćmy, że udaje im się przystosować, Vic. Po co to robią? Co dzieje się z nimi później? – Nie potrafił odpowiedzieć na te pytania. Dlatego siedział tu i próbował rozwikłać problem. – Nie jestem odpowiednim człowiekiem do tej sprawy, Vic – przyznał wreszcie. – Potrzebuję twojej rady.

– Jestem tylko przewodnikiem wycieczek.

W chwili, gdy wypowiedział te słowa, których żaden z mężczyzn nie traktował poważnie, Vica nawiedziło wyraziste wspomnienie strefy i pierwszego spotkania z artefaktem, który potem sprzedał Pauliemu DeRaadowi. Artefakt przyglądał się mu z odległości dziesięciu metrów. Był niespokojny, ale patrzył mu prosto w oczy. Vic poświęcił dwie albo trzy godziny na przejście przez aureolę, zagłębił się już we właściwą strefę na około pięciuset metrów i zatrzymał się pod drzewem wiśni, jak wiedział, kwitnącym bez przerwy od sześciu lat. Jak zwykle, czuł tu ostry odór, przywodzący na myśl wytapiany tłuszcz. Z oddali dobiegały głosy zwierząt. Urywki muzyki, która wydawała mu się znajoma. Wrażenie, że słyszy recytujący coś głos. Wrażenie, że wszystko straciło sens. To było jedno z tych wspomnień, które szybko się kurczą i znikają, ale skłoniło Vica do zastanowienia. Nagle poczuł, że nie chce już siedzieć w gabinecie detektywa.

– Miło było pogadać – rzucił. – Może gdzieś się jeszcze spotkamy.

Aschemann w jednej chwili znalazł się między Vikiem a drzwiami.

Jak na kogoś o tak starym wyglądzie, poruszał się bardzo szybko. Złapał Serotonina za nadgarstek.

– Nie odchodź, Vic – zażądał z pasją. – To jeszcze nie koniec. Byłem dziś u Emila, ale on jest w kiepskim stanie. Bardzo kiepskim.

– Co ma z tym wspólnego Emil?

– Vic, to nagranie można wyjaśnić tak, że wszyscy będą zadowoleni. Mogę zapomnieć o wszystkim, co zrobiłeś. Nawet teraz.

– A co będę musiał w tym celu zrobić?

– Chcę tam pójść. Chcę, żebyś mnie tam zaprowadził.

– Jezu – mruknął Vic. – Masz tak samo popieprzone w głowie, jak ja.

Przyjrzał się twarzy detektywa, z jej cechami charakterystycznymi stworzonymi przez wuja Suwaka: wydatnym policzkom, rozczochranej białej czuprynie i opadającym powiekom o sympatycznym wyglądzie. W bezbronnych, załamanych oczach Aschemanna pojawił się niewytłumaczalny błysk podniecenia. Przez czterdzieści lat nikt nie zdołał ujrzeć pod krawiecką robotą prawdziwego Aschemanna – ani asystenci, ani zwierzchnicy, ani nawet żona – a teraz bez widocznego powodu detektyw odsłonił się przed tanim przewodnikiem wycieczek. Zrobił to w pustym, obskurnym gabinecie jeszcze wczesnym rankiem, gdy operatory-cienie kuliły się w kątach jak zeschnięte liście. Podważył w ten sposób wszystko, co czyniło go policyjnym detektywem, co czyniło go tak wiarygodnym przeciwnikiem, gdy spotykali się z Vikiem na ulicy. Jego obsesyjne poświęcenie walce z przestępczością strefową dzięki prostej inwersji okazało się tą samą obsesją, która sprowadziła na manowce życie Emila Bonaventure'a i Vica Serotonina. Instynkt odradzał Vicowi stawianie czoła temu zrozumieniu. Odepchnął detektywa i ruszył ku drzwiom. Nie chciał znać motywów Aschemanna. Wolał nie wiedzieć, co się tak nagle zmieniło. Nie miał ochoty zagłębiać się w psychikę równie osłabioną i odsłoniętą jak jego własna. Podobna konfrontacja mogłaby ograniczyć jego swobodę działania.

– Aresztuj mnie albo pozwól mi odejść – zażądał. – To wszystko mi się nie podoba.

– Nie podoba się nikomu w halo – przypomniał mu Aschemann. Odprowadzał wzrokiem oddalającego się korytarzem Vica. – Od tej chwili powinieneś na siebie uważać, na wypadek gdybym nie mógł bronić cię przed sobą samym. – Połączył się z asystentką. – Skieruj na niego wszystkie kamery, które mamy – rozkazał. Niestety, orbitalny składnik systemu obserwacji, inteligentną mgłę mikrosatelitów kupioną od uczestników jakiejś małej wojny dziesięć albo dwanaście światła stąd, właśnie remontowano.

– Te ich silniki pSi palą się zbyt gorącym płomieniem – poinformowała go kobieta. – Ceramika

tego nie wytrzymuje.

Przeprosiła go, mówiąc, że dzisiaj i jutro nie będą działać i w związku z tym możliwości obserwacji będą ograniczone. Stracą część zakresu. Gdy Aschemann zatrzymał riksę na skrzyżowaniu ulic Uniment i Poe, Vic Serotonin w biały dzień stał się równie niewidzialny jak jego kumpel DeRaad.

– Myślałam, że mamy go aresztować – zdziwiła się asystentka.

– Zmieniliśmy zdanie.

Mężczyzna o wyglądzie Einsteina zawsze starał się nauczyć podwładnych, że praca w policji jest całkowicie pozbawiona romantyzmu, lecz mimo to, pełna wszelkiego rodzaju tajemnic. Był przekonany, że owo życie jest przeciwieństwem tego, które prowadziła jego żona, aczkolwiek wiedział, że jego zdolność jasnego postrzegania samego siebie – widzenia siebie jako ciągłego bytu – już na początku ich związku została skażona przez próby wyraźnego dojrzenia Primy. Czy jednak miało to jakiegokolwiek znaczenie teraz, gdy wreszcie zaczynał rozumieć, co się działo w zatłoczonej epistemologicznej luce między Saudade a strefą zdarzenia?

Po opuszczeniu biura detektywa Vic Serotonin skierował się prosto do Semiramide Club, najbliższego przychodzącego mu do głowy miejsca, w którym mógłby się napić. Tak wcześnie rano lokal przypominał magazyn. Panowała w nim też podobna atmosfera, pomijając odór drogich łąt feromonowych i tanich trunków. Przybyli ludzie z firmy sprzątajacej. Grupka pracowników Pauliego, skonsternowanych jego nieobecnością, siedziała przy stolikach w głębi sali. Byli wśród nich Gruby Antoyne Messner i jego flama, Irene. Rozmawiali na temat najpopularniejszy w halo teraz i zawsze – co poczną ze swoim życiem, jeśli uda się im opuścić planetę. Irene potrafiła sobie wyobrazić, że będzie prowadziła mały interes. Przyznawała, że ma tyle pomysłów na coś takiego, ile uśmiechów, wiedziała jednak, jak go nazwie, gdy wreszcie fortuna zacznie jej sprzyjać: *Nova Swing*. Ta nazwa spodobała się grubasowi. Podobnie jak wszystkie plany Irene, przyjął ją z miną kogoś już przekonanego. Ze swej strony zasugerował, że powinni kupić statek. Był przekonany, że *Nova Swing* to nazwa równie dobra dla rakiety, jak dla butiku, a jakkolwiek by na to patrzeć, rakieta również jest interesem. Antoyne zawsze będzie wiedział, jak zarobić na rakiecie. W tej chwili Irene złapała go za rękę nad stołem, uśmiechając się każdą częścią ciała.

– Jeśli tylko uda się nam zacząć, Antoyne, nie będzie miało granic to, co zdołamy osiągnąć!

W takiej właśnie sytuacji znalazł ich Vic.

– Cześć, Gruby Antoyne! – zawołał, przyciągając sobie jedno z wielu pustych krzeseł. – Myślałem o tobie po drodze tutaj.

Było to bliskie prawdy, choć, gdy riksarka wlokła się przez niezbyt ruchliwe poranne ulice, uwagę Vica zaprzętała przede wszystkim obietnica złożona Elizabeth Kielar. To nie był dobry moment na wyprawę z klientką do strefy. Z drugiej strony, nie miał wątpliwości, że wkrótce sytuacja uniemożliwi mu to całkowicie. Nie był pewien, czy bardziej się boi aresztowania w związku z przekrętem prowadzonym przez Pauliego DeRaada w Café Surf (nie wątpił już, że to przekręt Pauliego, być może finansowany dla ich własnych celów przez jego tajemniczych sponsorów z EMC), czy też tego, że da się wessać w bajoro psychicznego mętlika i błędów w sztuce dochodzenia, w jakim pograżył się Wydział Przystępstw Strefowych wskutek działalności DeRaada. Vic myślał o tym za długo i w rezultacie stracił wiarę w siebie. Dlatego właśnie ucieszył się na widok Grubego Antoyne'a, choć, gdyby się chwilę zastanowił, mógłby się powstrzymać przed złożeniem mu następującej oferty:

– Przypomniałem sobie, że zawsze chciałeś się wybrać do strefy. No więc, teraz możesz to

zrobić. – Uśmiechnął się promiennie do Antoyne'a, który mu nie odpowiedział. Potem skierował swój uśmiech do Irene.

– Przepraszam, ale muszę pójść do toalety – oznajmiła, obrzucając go nieprzyjaznym spojrzeniem.

– To jest robota, Antoyne, jeśli chcesz się jej podjąć.

– Pracuję dla Pauliego – przypomniał mu grubas. – Co więcej, nie widziałem cię od wielu dni, może nawet tygodni, a teraz nagle proponujesz, żebym poszedł z tobą do strefy. Nigdy nie chciałeś mojej pomocy, kiedy ci ją oferowałem.

– Być może wykazałem się brakiem wrażliwości – przyznał Vic.

– Nigdy nie chciałeś mojej pomocy, kiedy ci ją oferowałem – powtórzył tylko Antoyne.

– Masz rację – rzekł Vic. Wiedział, że to nie wystarczy, ale nie miał pojęcia, co jeszcze grubas chce od niego usłyszeć. – Paulie nie czuje się dobrze – podjął po chwili. – Pewnie o tym słyszałeś. – Zadrzał. – Wiem o tym od niego samego. Ciesz się, że go nie widziałeś. Wygląda bardzo kiepsko, Antoyne. Minie sporo czasu, nim będzie mógł dać komuś pracę. Rozejrzyj się wkoło.

Wskazał na dzieci-śmieci, bez przekonania grożące sobie nawzajem zastrzeleniem podczas gry w kości o nazwie Hughie Trzy Fiuty. Gdy tylko ktoś wchodził przez drzwi frontowe, wszystkie unosiły jednocześnie głowy, a ich sześć- albo siedmioletnie twarze rozpromieniała nadzieja, że to Alice Nylon przynosząca wieści.

– Te dzieciaki świetnie o tym wiedzą. Hej, może postawię ci drinka?

Vic usiadł. Antoyne gapił się na niego, jakby próbował zaplanować, co powiedzieć. Nie zmieniali pozycji, dopóki Irene nie wróciła z toalety. Humor wyraźnie jej się poprawił i zgodziła się przyjąć koktajle w imieniu swoim i Antoyne'a, jak to ujęła.

– Możecie nadal być przyjaciółmi – oceniła, gdy przyniesiono drinki – jeśli tylko sobie zaufacie. Wiecie, że mam rację – dodała, próbując spojrzeć Vicowi w oczy.

– To miło z twojej strony, Irene – odpowiedział Serotonin, odwracając wzrok. – Nigdy nie słyszałem nic bardziej prawdziwego. Miałem zamiar wyruszyć jutro – poinformował grubasa.

Przez chwilę rozmawiali o tym, w jakim miejscu się spotkają, gdzie i kiedy przejdą do strefy i na jakie wynagrodzenie może liczyć Gruby Antoyne. Potem Vic poszedł do domu.

– To bardzo samotny człowiek – skonkludowała Irene, gdy wychodził z Semiramide. – Zawsze podróżuje okrężną drogą. Antoyne, muszę cię o coś zapytać. Zastanów się dobrze, zanim odpowiesz, bo to może znaczyć bardzo wiele dla naszych nadziei i marzeń.

W kącie mieszkania Vica Serotonina w South End, na małej drewnianej bieliźniarce, pomalowanej ręcznie na ciemnozielono, leżało kilka przedmiotów przyniesionych ze strefy. Nie miały w sobie nic złowrogiego. Jeśli odwrócisz wzrok od artefaktu, zawsze przez chwilę towarzyszy ci poczucie, że żyje on innym życiem. Że wykorzystuje okazję, by żyć innym życiem. To jednak nie były artefakty – a przynajmniej nie oznajmiały, że nimi są – tylko po prostu zwykłe przedmioty, które tam znalazł: mosiężna jaszczurka długości ośmiu centymetrów; miseczka pełna jaskrawych paciorków; parę zakurzonych ceramicznych płytek ozdobionych obrazkami owoców.

Vic przyglądał się im przez chwilę czy dwie. Przyszło mu do głowy, że odbijają się pozytywnie od zdobiących mieszkanie tanich reprodukcji. Potem otworzył z westchnieniem jedną z szuflad i odwinął z miękkiej szmatki pistolet Chambersa.

Nie zamknął szuflady. Wyjął drugą szmatkę, rozebrał pistolet i rozłożył na niej elementy. Przyjrzał się im, czyszcząc starannie części mechaniczne, i złożył wszystko w całość. Gdy był zajęty tymi czynnościami, broń przypominała mu łagodnym, lecz natarczywym głosem, że jej

niemechaniczne części nie mogą być naprawiane przez użytkownika. Chip miał za zadanie kontrolować fizykę, ale pistolet Chambersa był znany jako koszmar jeźdźca cząstek. Bali się go wszyscy, ludzie i obcy. Vic kupił go tanio od Pauliego DeRaada, który otrzymał broń za darmo, razem z całą skrzynią innego sprzętu, od sierżanta zbrojmistrza z EMC, mieszkającego w innej części Plaży. Walczyli razem w jakiejś wojnie. Gdy Vic czyścił broń, zawsze słyszał głos Pauliego.

– Traktuj to skurwysyństwo z szacunkiem. Może wtedy zabije kogoś innego zamiast ciebie.

Uporał się ze swym zadaniem i nie bardzo wiedział, co robić dalej. Snop słonecznego światła przesuwiał się po pokoju. Było już popołudnie. Zrobiło się chłodniej, a nad dalszym końcem niekorporacyjnego portu unosiła się mgła. Od czasu do czasu wstawał i wyglądał przez okno na ulicę, ale głównie siedział na łóżku, to zawijając pistolet w szmatę, to odwijając go znowu. Wreszcie pani Elizabeth Kielar zapukała do drzwi i wpuścił ją do środka.

– Tak bardzo się bałam – oznajmiła.

Wyraźnie skrzępowana kobieta zatrzymała się tuż za drzwiami, jakby czekała, aż zaprosi ją dalej.

– Szłam piechotą. Nie wiem dlaczego. Zajrzałam do baru, ale potem sobie przypomniałam, że ciebie tam nie będzie. – Przerwała na chwilę. – Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu – dodała pośpiesznie, nim zdążył coś powiedzieć. Postawiła kołnierz futra, a potem położyła go znowu. Wpadające przez okno światło podkreślało ostry zarys jej szczęki. – Powiedziałeś, że bym przyszła.

– Czy kiedykolwiek mówisz to, co naprawdę myślisz? – zapytał Vic.

Dotknął jej w miejscu, gdzie padało światło. Oboje znieruchomieli.

Popatrzyła na niego z oszołomieniem w oczach.

– Nigdy nie wiemy, co naprawdę myślimy – odparła. – Podejmujemy decyzje pod wpływem chwili. Nie rozumiemy, co chcieliśmy powiedzieć, aż jest za późno.

Vic przesunął palce w dół, wyczuwając tętno na jej szyi.

– Dlaczego mnie nie przerznieś? – zapytała. – Oboje tego chcemy.

Po pewnym czasie Vic obudził się z ciężkiego, niepokojącego snu. Było ciemno. Czuł się niemal przekonany, że przed chwilą ktoś przekazał mu przez łącznicę wiadomość, której nikt nie chciałby usłyszeć – zmiana planów, żądanie spłaty długu, śmierć któregoś z rodziców, coś, co odwróciłoby jego uwagę od uczuć, dzięki którym czuł się realny. Ałtasowa bielizna Elizabeth Kielar leżała na łóżku niczym kałuża wody. Sama Elizabeth klęczała nieopodal. Odwracała lekko ciało od talii w górę, a stopy wciągnęła pod siebie. Cienie barwy jodiny zaznaczały ostre zarysy wszystkich mięśni i żeber. Bił od niej ostry, suchy zapach, który podniecony Vic wziął za woń jej cipki. Otworzyła swój dziennik, unosząc go ku oknu, by uliczne światło padało na strony. Uśmiechnęła się, widząc, że się obudził.

– Dlaczego to robię? – zapytała.

– Tylko ty możesz odpowiedzieć na to pytanie.

– Kiedy spałeś, wyglądałam przez twoje okna – oznajmiła. – I przejrzałam wszystkie twoje rzeczy. Czy źle zrobiłam? – Zadrżała, patrząc przed siebie, jakby gapiła się w dal. – Piszę dlatego, że nic o sobie nie pamiętam. Czy ty pamiętasz swoje dzieciństwo, panie Serotonin?

– Mów mi Vic.

Wyciągnął rękę i dotknął jej kończyny tuż nad łokciem.

– Nie wpadaj w panikę – uspokoił kobietę. – Przeczytaj mi coś.

– Boję się tego, co wydarzy się jutro – oznajmiła Elizabeth.

– Czytasz to czy naprawdę to czujesz?

– I czytam, i czuję – odpowiedziała.

– Nie musisz tam iść – zasugerował Vic, choć wiedział, że to nieprawda.

Zamknęła dziennik i rzuciła go na łóżko, a potem zaczęła się ubierać.

Mężczyzna uniósł notatnik, powąchał jego strony i przerzucił je. Czuł, że kobieta na niego patrzy, próbując przewidzieć jego reakcję. Gdy tylko znalazł fragment, który prawie potrafił zrozumieć, przeczytał go na głos:

– Niektórzy morscy podróżnicy nigdy nie odzyskują zdolności poruszania się na lądzie. Wychodzą na brzeg, ale chodzenie po ziemi sprawia im trudności, jakby stąpali po materacu. Jeszcze gorzej jest, kiedy siedzą nieruchomo albo próbują zasnąć. Ruch przynajmniej łagodzi objawy.

– Nie rób tego – zaprotestowała. – Nie!

– To się nazywa *mal de débarquement*.

Zasłoniła mu usta dłonią.

– Czym pachną moje palce?

– Morzem – odparł ze śmiechem Vic.

– To spraw, żebym była wilgotna.

Odwrócił dłoń Elizabeth, polizał wewnętrzną powierzchnię palców i dotknął nimi jej cipki.

– Zrób to... – Nagle przerwała mu łącznica i jego głowę bez ostrzeżenia wypełnił głos Alice Nylon.

– Jeśli to Vic Serotonin – mówiła dziewczynka – to Paulie chce z tobą pogadać.

Potem odezwał się sam DeRaad. Vic odsunął od siebie panią Kielar.

– Cześć, Paulie – powiedział.

Jedną z melin Pauliego DeRaada było mieszkanie na najwyższym piętrze Beddington Gardens, zbudowanego z prefabrykatów nadmorskiego wieżowca w retrosocjalistycznym stylu z roku mniej więcej 1965. Jego spękane mury odtworzono ze wszystkimi szczegółami, wliczając w to gazety, których oryginalni budowniczowie używali zamiast cementu do oddzielania od siebie kamiennych bloków. Nagie, prostokątne pomieszczenie oświetlały umieszczone w niszach lampy, okno tworzyła jedna panoramiczna szyba, zapewniająca widok na cały łuk Zatoki Samobójców. Meble i dekoracja wnętrza były utrzymane w modernistycznym stylu. Na jednym końcu znajdował się barek, na drugim zaś półki pełne urządzeń przypominających telewizyjne konsole z epoki charakteryzującej się obudowami z imitacji drewna. Były one połączone z nadświetlnymi routerami, pozwalającymi Pauliemu śledzić swe interesy w całej Zatoce Radiowej.

Biały dywan umocowano na stałe.

Alice sprowadziła tu swego szefa przed dwoma dniami i opiekowała się nim od tego czasu. Próbowwała go karmić tym, co potrafiła zrobić, głównie zamówionymi falafelami i ciasteczkami czekoladowymi, ale Paulie nie wykazywał zainteresowania jedzeniem. Mieszała mu drinki przy barku, ale, o dziwo, pić również nie chciał. Kiedy spał, wycierała mu czoło szmatką albo wspinała się na palce, by podziwiać jego rzeczy. Najbardziej podobały się jej czyste białe podkoszulki i majtki, które trzymał równo złożone w szufladzie. Zatopiła w nich twarz, gdy tylko je znalazła, ale potem zaglądała do szuflady jedynie po to, by się upewnić, że ich nie pobrudziła. Resztę czasu spędzała na rozmowach z ludźmi z Semiramide. Zapobiegała problemom, utrzymywała porządek na odległość, starała się ocenić stopień paniki u swych ludzi.

– Wszystko z nim w porządku – zapewniła swego przyjaciela, Mapę. Ponieważ nie był członkiem ich grupy, mogła się trochę przed nim otworzyć. – Ale z drugiej strony, lepiej się do niego nie zbliżać. Wolę zachować ostrożność. Kapujesz?

Paulie odzyskiwał przytomność tylko na krótkie chwile. Nie zwracał wtedy zbytnej uwagi na

Alice, koncentrując się na próbach nawiązania kontaktu z pozaświatowymi znajomymi. Nic szczególnego z tego nie wynikło, poczuła więc ulgę, gdy skontaktował się z Vikiem. Śledziła rozmowę, na wypadek gdyby któryś z nich potrzebował jej pomocy, ale robiła to w nadziei, że ciężar spadnie z jej barków.

Owa nadzieja nie przetrwała jednak długo.

– Cześć, Paulie – odezwał się Vic.

DeRaad natychmiast odpowiedział:

– Co za cześć? Ja ci dam cześć, ty tani skurwielu.

Vic oznajmił mu, że powinien się uspokoić.

DeRaad skwitował te słowa ochryłym śmiechem.

– Potrafisz w to uwierzyć? – zapytał Alice Nylon. Bez względu na dręczące go dolegliwości, nadal był wystarczająco bystry, by się zorientować, że Alice śledzi przekaz. Bezpieczeństwo zawsze było dla niego najważniejsze.

– Nie potrafię, Paulie – przyznała.

Vicowi wyraźnie ulżyło, gdy usłyszał jej głos.

– Jak wygląda sytuacja? – zapytał dziewczynkę.

– Kurwa, nie gadaj z Alice, kiedy ja tu jestem! – wrzasnął Paulie. – Masz gadać ze mną, do chuja! – Nikt nie mógł sobie pozwolić na to, by sprawy nadal toczyły się w tym kierunku, dlatego na wszystkich frontach zapadła cisza. – Tani skurwiel – przerwał ją wreszcie Paulie, nie zwracając się do Alice ani do Vica. Biorąc pod uwagę jego bieżącą sytuację, niewykluczone, że mówił do siebie. – Co robisz, żeby mi pomóc, Vic? – podjął już spokojniejszym głosem. – Muszę się ukrywać przed własnymi ludźmi. Jestem chory. Tracę klientów. To jest we mnie, Vic. Czuję to. Słyszę, jak próbuje do mnie mówić. Radzą mi, żebym to wysrał, ale co mi z takiej rady, kiedy moje kiszki w ogóle nie chcą pracować? Co tymczasem robisz, żeby mi pomóc?

– Paulie, nie wiem, jak na to odpowiedzieć.

Łatwo było zrozumieć sytuację, w jakiej znalazł się Vic. Paulie nie potrafił się nie przejmować. Alice to rozumiała. Nadal była jego najlepszą dziewczynką, ale łatwo było zauważyć, że utracił zdolność spoglądania na sprawy z dystansu.

– Może faktycznie przyniosłem ci córkę – przyznał Vic – ale przecież zawsze zdawałeś sobie sprawę z ryzyka. – Alice czuła, że Serotonin szuka czegoś, co mógłby dodać, ale na koniec oznajmił tylko: – Jutro, tuż po świcie, ruszam w drogę z klientką z Baltic Exchange. Może znajdę tam coś, co ci pomoże.

Wszyscy troje wiedzieli, że to pic na wodę. Znowu zapadła cisza.

– Vic, masz u mnie przesrane – odezwał się wreszcie Paulie DeRaad i przerwał połączenie.

– Alice! – zawołał. – Czy nadal jesteś moją najlepszą szansą?

– Wiesz, że tak, Paulie.

– To połącz się dla mnie z Lensem Aschemannem. Mam dla niego pewne informacje.

Pierwszej nocy spędzonej w Beddington Gardens Paulie krzyczał przez sen cztery godziny bez przerwy. Światła przebiegały wzdłuż jego rąk, znikając w ustach. Następnego dnia wysłał Alice na Voigt Street, po chorego chłopaka, którego tam przetrzymywał. To od niego wszystko się zaczęło, od jego radioaktywnej krwi czy czegoś w tym rodzaju. Zajęło jej to cały ranek. Chłopak śmierdział, wymiotował, wypadał z rikszy i oddalał się do galerii handlowych, śpiewając pod nosem, z twarzą lśniącą zachwytem, którego Alice mu nie zazdrościła. Gdy wreszcie dotarła na miejsce, Paulie zmontował zasłonę dzielącą główne pomieszczenie na pół. Od tej pory spędzał czas oddzielony od chłopaka zasłoną. Nie chciał przez nią przechodzić ani na niego patrzeć. Zamontowali tam chemiczną

toaletę. Gdy trzeba im było coś podać, Alice musiała przechodzić przez zasłonę. W pewnej chwili zauważyła, że łóżko, a także ich obu, pokrywa cienka warstewka płynu przypominającego przezroczystą żywicę. Może wymiotowali nim i dlatego Paulie nie chciał jeść tego, co mu przygotowała. Po jakichś ośmiu godzinach pomieszczenie zaczął wypełniać smród. Co więcej, odkąd Paulie schował się za zasłoną, coś się stało z jego głosem. Każde zdanie zaczynał ochrypłym tonem, powstającym gdzieś w gardle, jakby jadł ser roquefort, potem, w połowie drogi, jego głos skakał nagle o oktawę w górę, nabierając muzycznej nuty. Alice знаła ten dźwięk i nie lubiła go.

– Już tu jest – poinformowała Pauliego, uzyskawszy połączenie. Tym razem nie wchodziła do przekazu. Nigdy nie wiadomo, jakich operatorów mógł używać Wydział Przestępstw Strefowych.

Być może godzinę przed rozmową Pauliego z Vikiem, z pewnością nie dłużej, Lensa Aschemanna można było znaleźć na ulicy Corniche. Zmierzał dziarskim krokiem do Café Surf. Po dotarciu na miejsce, zamiast wejść do Długiego Baru i jak zwykle usiąść w kącie, skrył się w cieniu skazanego na zagładę pirsu na zapleczu, poruszając nogą w rytm cichej muzyki jazzowej sączącej się w noc. Po chwili ujrzał Antoyne'a Messnera, zmierzającego plażą ku niemu.

– Hej! – zawołał. – Ładna noc, Gruby Antoyne.

– Po prostu Antoyne – poprawił go tamten.

Miał minę człowieka skazanego, był też zupełnie mokry, jakby ktoś przed chwilą wepchnął go do morza. Składana peleryna przeciwdeszczowa, tylko częściowo pokrywająca szafirowy garnitur, rozdymała się przy każdym podmuchu jak balon. Pogoda podążała za nim od baru do baru, od Dzisiejszego Świata aż po Stację na Rozstajach. Przemoczone włosy opadały mu na zaczerwienioną twarz. Gdy tylko wchodził do środka, przestawało padać, a kiedy postanawiał opuścić lokal, wracała jeszcze gorsza ulewa. Zatrzymał się tuż przed pirssem, spoglądając na przerdzewiałe żeliwne kolumny.

– Dziękuję bardzo, nie mam zamiaru tam wchodzić. – Uśmiech detektywa nie poprawił jego nastroju. – Kręciłem się po okolicy przez parę godzin, na wypadek gdybyśmy się rozminęli.

– Umówiliśmy się na tę godzinę.

– Czas zawsze sprawiał mi trudności. To wywołuje u mnie stany lękowe.

Nagle lunęły na niego strugi deszczu. Chcąc go uniknąć, skrył się odruchowo pod pirssem.

– Widzisz? – wyszeptał Aschemann, jakby Antoyne właśnie czegoś dowiedział. – Nie jest tak źle.

Obaj mężczyźni przyglądali się nagromadzonym pod pirssem odpadkom, zbyt ciężkim, by morze mogło je poruszyć. Potem przenieśli wzrok na przerdzewiałe zasieki i ledwie widoczną fluorescencję wschodniego końca strefy zdarzenia.

– Boisz się tego, Antoyne?

– Nic mnie to nie obchodzi.

Aschemann udał, że zastanawia się nad tymi słowami.

– Wydawało mi się, że coś tam widziałem – odezwał się wreszcie. – Na chwilę przed twoim przyjściem. – Nie potrafił zdecydować, czy to był ruch, jakiego można się spodziewać po, na przykład, szmacie albo kawałku papieru niesionego przez wiatr nad brudnym piaskiem, czy może coś bardziej ożywionego. – To wszystkich obchodzi – podjął. – W przeciwnym razie, o czym byśmy rozmawiali?

Antoyne wzruszył ramionami. Aschemann próbował zapalić fajkę, ale po chwili dał za wygraną i zasugerował, że skoro nic się nie dzieje, mogą iść do Długiego Baru.

– Tam będzie cieplej. Możemy też zamówić ten koktajl, z którym wszystkich zapoznałeś.

Antoyne jednak nie chciał, by go zobaczono w Café Surf.

– Przyszedłem wydać Vica – oznajmił.

– To stawia sprawę w innym świetle – przyznał detektyw. – Zresztą przypomniałem sobie, że nie lubisz muzyki, jaką tam grają. Chodź, spójrzmy jej prosto w oczy. Powiedz mi wszystko, co wiesz. – Ujął Antoyne'a za ramię, skłaniając go do spojrzenia na znajdującą się za starym płótnem strefę. – Fragment Traktu Kefahuchiego! – zachwycił się. – Serca tego, co spadło tu na ziemię! Boję się jej, Antoyne, nie wstydę się tego przyznać. Boję się tego, co ona dla nas oznacza. Dlatego zapytałem, co czujesz.

Nie uzyskał w odpowiedzi niczego poza widokiem białek oczu Antoyne'a. Drut kolczasty przerdzewiał tak mocno, że przy dotknięciu rozpadał się na wilgotny pył. Aschemann roztarł kawałek drutu między palcami, jak liść mięty, i poczuł ostrą woń żelaza.

– Pewnie nikt nie wymieniał drutu od czasu zdarzenia – odpowiedział. – Antoyne, dlaczego chcesz wydać Vica Serotonina?

– Nie podoba mi się tutaj – zdecydował nagle grubas.

– Z pewnością ktoś taki jak ty jest do tego przyzwyczajony – zauważył Aschemann, nie puszczając jego ramienia. – Vic pokonywał tę trasę przez cały rok.

Antoyne roześmiał się głośno.

– Nikt rozsądny nie zaczynałby w takim miejscu – oznajmił. – Naprawdę myślałeś, że to jest punkt startowy Vica? Przyjrzyj się uważniej! – W tym miejscu prawie wcale nie było aureoli, tylko cienka warstewka oddzielała od siebie różne porządki rzeczy. Ten, kto by tędy przechodził, bez ostrzeżenia dotarłby prosto do najgorszego. – Popatrz, jak tu wygląda powietrze!

Migotało, jak podczas letnich upałów, choć była zimna noc. Ten fakt wystarczył, by uświadomić Antoyne'owi, jak fałszywa jest jego pozycja.

– Wiszę tu na włosku – poskarżył się. Po krótkiej walce wyrwał się Aschemannowi i zaczął się pośpiesznie oddalać od drutów. Jego płaszcz przeciwdeszczowy łopotał szaleńczo na wietrze. – Nigdy tam nie byłem, z Vikiem ani z nikim innym! – zawołał, oglądając się przez ramię.

Brnący za nim Aschemann nie usłyszał tych słów. Podczas ich rozmowy po drugiej stronie ogrodzenia coś się zmieniło. W połowie drogi do bezpiecznego Café Surf fala zbiła z nóg obu mężczyzn. Gruby Antoyne klęczał w mokrym piasku, otwierając i zamykając usta, natomiast detektyw, który na chwilę utracił kontrolę nad nogami, stał wpatrzony w morze. Był przekonany, że widzi tam cumujące w świetle dnia dwa albo trzy starożytne, przerdzewiałe frachtowce. Miał wrażenie, że między jego zaciśniętymi zębami przebiega prąd.

– Irene nie ucieszy się z tego, co zrobiłeś z nowym garniturem – zdołał wykrztusić.

Antoyne zwrócił ku niemu twarz, trupio bladą w strugach deszczu.

– Mam do zaoferowania informację, dokąd Vic jutro wyruszy i kto jest jego klientem. Ale rozsądek wymaga, bym zażądał za nią zapłaty.

Aschemann nadal gapił się na morze.

– Mógłbym coś dla ciebie znaleźć – przyznał niejasno.

Deszcz znowu przemoczył Antoyne'a. Woda spływała mu po twarzy. Jego dłonie i kolana utworzyły w piasku wielkie gładkie zagłębienia, czasoprzestrzenne zakrzywienia powierzchni uczynionej elastyczną przez wodę.

– Coś to za mało – oznajmił grubas. – Wspierałem ambicje Vica, podobnie jak wszyscy ludzie z Czarnego Kota, Białego Kota. Muszę jednak teraz przyznać, że nigdy mi się nie odwzajemniał. Pora, bym przejął z jego rąk odpowiedzialność za swoje życie. – Spojrzał na detektywa. – Marnowałem tylko swe serce, próbując się zaprzyjaźnić z człowiekiem tak samotnym jak Vic Serotonin. To będzie jedyna przysługa, jaką mi kiedykolwiek wyświadczy.

Aschemann nie słuchał go jednak. Patrzył gdzieś w bok, jak zwykle robią ludzie rozmawiający przez łącznicę.

– Cześć, Paulie – powiedział.

Krótką chwilę po tych wydarzeniach, w odległym Globe Town, Edith Bonaventure obudziła się dręczona poczuciem winy. Śniło się jej, że ma trzynaście lat i jest sławna. Ów sen był jak błysk chromowanego akordeonu w przyćmionym świetle, rozszerzający się i kurczący w przyprawiającym o mdłości rytmie akordeonowego miecha, który dla słuchacza ma tylko bardzo luźny związek z produkowaną przez instrument muzyką. Sen powtarzał się raz po raz i pomimo wypełniającego go hałasu, tańca i oczywistego blasku nostalgii wcale nie był jej przyjazny. W kontraście z nim Globe Town robiło wrażenie ciemnego i spokojnego, przynajmniej na obudzonej Edith. Było tylko małym trójkątem ulic o wysokim statusie, gdzie nadal utrzymywało się słabe echo jakichś niedawnych ruchów powietrza, niewytłumaczonego uwolnienia energii, gwałtu popełnionego przez jeden rodzaj fizyki na drugim. Któryś z wielkich statków wycieczkowych (zapewne *Dama Szkielet* firmy Beths/Hirston, zmierzająca na Santa Muerte, reklamowaną jako „Planeta Księżycy Alfy”, pomyślała Edith, i położoną co najmniej pięćdziesiąt światła stąd wzdłuż Plaży) przed chwilą wystartował, zmierzając na orbitę parkingową.

Edith postawiła nogi na podłodze.

– Jeśli wydaje ci się, że w coś z tego uwierzę, to się mylisz – poinformowała sen.

Podłoga była zimna, a koszula nocna zaplątała się wokół talii kobiety, jakby granie muzyki przez sen było równie męczące, jak na jawie. Wiedziała, że to nie *Dama Szkielet* ją obudziła. Zapewne winne były nerki Emila.

– Hej! – zawołała do niego. – Nie próbuj nic robić. Już idę. Wszystko w porządku. Zostaw to mnie. Cokolwiek zrobiłeś, nic się nie stało.

Nie odpowiedział.

– Już idę! – zawołała.

Emil wczuł się pod łóżko i jego biodra tam ugrzęzły. Spróbowała go wyciągnąć.

– Hej, czy próbujesz mi pomóc? – zapytała. – Nie rób tego.

– Mamy przejebane. To nie są ludzie. Cokolwiek zrobimy, już po nas.

– Daj spokój, Emil. To tylko statek wycieczkowy.

– Popatrz na to skurwysyństwo! To lepsze niż kupa latających butów!

W pokoju było ciemno, choć po ścianach pełzały bezładnie niebieskie i zielone światła: twardy ultrafiolet z dysz startującego statku został pochłonięty przez system fluoryzujących pigmentów przypominających łuski motyli skrzydeł, oraz stworzone przez krawców reflektory Bragga, składające się razem na inteligentne tatuaże Emila, emitujące teraz to wszystko w paśmie widzialnym. Odlot *Damy Szkieletu* spowodował też lekki atak epileptyczny, podczas którego Emil opróżnił kiszki. Zmęczona Edith uległa nagłej depresji. Zastanawiała się, co tu właściwie robi. Co oboje tu robią, gdziekolwiek właściwie są. Rozpląkała się, leżąc na podłodze obok ojca.

– Nie pomagasz mi – oznajmiła, odwracając się od niego gniewnie, jak żona. – Przybyliśmy tu z gwiazd, Emil, ale to gwiazdy były naszym domem. Wyrzekliśmy się tych wszystkich fajnych rzeczy po to, żebyś mógł zwariować.

Stary popatrzył na nią z powątpiewaniem.

– To nie jest jedyne łóżko, pod którym zdarzyło mi się być.

Edith otarła łzy i parsknęła śmiechem.

– Wiem – przyznała.

– A czy wiesz, skąd moim zdaniem to mi się wzięło? – zapytał. – To błędy w neuronowym oprogramowaniu. Globe Town usmażyło nasze mózgi. Mówię poważnie, powinniśmy się przenieść w jakieś bezpieczniejsze miejsce. Te odloty to koszmar jeźdźca cząstek.

– Zachorowałeś dlatego, że zostawiłeś umysł w strefie.

– To też – przyznał. – Przyloty są chyba jeszcze gorsze – dodał.

– Jezu, Emil, okropnie śmieszysz.

– Jeśli pociągniesz mnie za rękę, chyba będę mógł odepchnąć się nogą.

Wreszcie, w dogasającym, niesamowitym świetle tatuaży, które w końcu pozbyły się fizycznego bogactwa *Damy Szkieletu*, Edith zdołała wyciągnąć Emila spod łóżka i doprowadzić do porządku. Rozłożyła na łóżku świeże prześcieradła i podźwignęła go na nie. Potem oparła go o poduszki i usiadła obok. Wyglądał porządnie.

– Wyglądasz porządnie – oznajmiła. – Tak jak powinien wyglądać staruszek. Masz nawet rzadkie, białe włosy, jak najfajniejsi z nich.

Upewniwszy się, że znowu zasnął, zeszła na dół i usiadła na krześle, by kartkować dziennik Emila napisany przed piętnastu laty. W pokoju zrobiło się zimniej. Nadal była noc. Edith spoglądała od czasu do czasu na szeregi dziewczęcych kostiumów, przypominających powidoki jej samej, uwiecznione w jakimś niewytłumaczalnym dla nauki medium. Zorientowała się, że nie pamięta, gdzie jest ani jaki fragment jej życia trwa w bieżącej chwili. Emil napisał: „Moje sny w całości składają się tu z maleńkich, szalonych malowideł. Mężczyzna wymiotujący węzłem. Ktoś mu pomaga. Dach ich domu płonie. Oboje odsuwają się od siebie, ale pozostają nierozzerwalnie splątani kształtami języka ciała, pozbawionymi już wszelkiego znaczenia”. Przysnęła na chwilę, myśląc o tych słowach, gdy połączył się z nią Vic Serotonin.

– Cześć, Edith – przywitał ją.

– Dziwne, że to mówisz, Vic – odparła i przerwała połączenie.

Zgodnie z jej przewidywaniami, po chwili Vic odezwał się znowu, by zapytać, jak się czuje Emil.

– Wszystko w porządku – odparła. – Jest szczęśliwy. Zawsze można zobaczyć, co myśli, bo ma dziury w głowie. – Połączenie zakłócał złowrogi, rytmiczny dźwięk przypominający krakanie. Towarzyszyły mu typowe zakłócenia obrazu, powodujące, że to, na co spoglądała, przesuwało się na boki. Wszystko było w porządku, gdy zamknęła oczy, ale kiedy próbowała coś zobaczyć, wszystko przed nią uciekało. Historia jej życia w skrócie. – Ciekawe, dlaczego chcesz ze mną rozmawiać? – zastanawiała się. – Pewnie po to, by powiedzieć „przepraszam” – dodała, nim Vic zdążył odpowiedzieć. – Jutro idziesz do strefy. Może zmienię zdanie w sprawie notatnika.

– Edith...

– Ale kto teraz z tobą jest, Vic? Widzisz, nie chcesz mi odpowiedzieć.

Tym razem to on przerwał połączenie.

– Nie dostaniesz dziennika, mój chłopcze – wyszeptwała Edith.

Zaczekała chwilę, by dać mu szansę i przy okazji rozjaśnić sobie myśli. Wiatr od morza gnał deszcz ulicą w stronę korporacyjnego portu. Wystartował mniejszy statek, wspierający się na linii światła, przypominającej szczelinę przesywającą rzeczywistość. Świat przestał wirować. Vic się nie odzywał, otworzyła więc nowe połączenie i oznajmiła głosowi po drugiej stronie:

– Chcę zgłosić zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa strefowego.

Emil Bonaventure siedział w pokoju na górze, wsparty o poduszki jak trup. Wpadające przez okno uliczne światło nadawało jego skórze żółty kolor, a na starcze żebra padały cienie. Z inteligentnych tatuaży odpłynęła energia. Oddychał bardzo płytko. Edith obserwowała tętno w jego

szczy. Prawie że dostrzegę życie pod jego skórą i myśli wypełniające mu głowę. Czym były, jeśli nie snami, których nie mógł już śnić? Płytką warstewką wody pokrywająca szachownicę splekanych płytek na podłodze, wyrzucone przedmioty, książki, talerze, czasopisma, puste tunele pachnące chemikaliami, czarny pies truchtający bez celu wokół śpiącego, albo brudny, podmokły grunt nie znajdujący się w czymś, co można by uznać za świat, i płynący z otwartego gardła głos kobiety zawodzącej w pobliskim domu.

– Emil – wyszeptała. Chciała przez to powiedzieć: „Jestem tutaj”. Chciała powiedzieć: „Wszystko w porządku”. Chciała powiedzieć: „Nie odchodź”. Po chwili otworzył oczy i się uśmiechnął.

– Gdzie Vic? – zapytał.

– Nie będzie już do nas przychodził – odpowiedziała Edith.

Później, tej samej nocy, nad brzegiem morza, wiatr osłabł. Deszcz przeszedł w mżawkę, a potem przestał padać. Jego miejsce zajęła unosząca się nad ulicą Corniche mgła, która stłumiła odgłosy zabawy dobiegające z Café Surf. Mężczyzna przypominający podstarzałego Alberta Einsteina przysiadł na chwilę na zimnym falochronie. Sprawiał wrażenie, że zadowala się obserwowaniem riksza na placu albo wymianianiem kilku słów z Monami w ich żółtozielonych spódniczkach oraz pomarańczowych bolerkach ze sztucznego futra. Lubił, jak z nim flirtowały. W zamian pokazywał im zdjęcia kogoś, kogo uważały za jego wnuczkę. Granica widzialności utrzymywała się w przyjemnym dystansie dwudziestu do trzydziestu metrów, otaczając go przestrzeń rozświetlał wielobarwny blask unoszących się w powietrzu rojów inteligentnych reklam. Wszyscy świetnie się bawili aż do chwili, gdy na plac wjechał różowy cadillac model 1952, produkowany na zamówienie roadster, pobłogosławiony albo przeklęty, zależnie od indywidualnej opinii, niskimi spojlerami i zamontowanymi w wysuniętych wstawkach tylnymi światłami, typowymi dla późniejszej, skażonej estetyki. Olbrzymi pojazd zmuszał riksze do ustąpienia mu z drogi i rozpędzał reklamy, aż wreszcie zatrzymał się, chwając się na autentycznym, mechanicznym zawieszaniu. Z obitego nieskazitelnie białą skórą wnętrza dobiegały dźwięki WDIA, Radia Retro, Gwiazdnej Stacji, przebijające się w długich fragmentach przez histerycznie brzmiący głos komentatora z Preter Coeur.

– To imponujące – pogratulował asystentce Lens Aschemann. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu, złożę mokrą pelerynę i schowam do bagażnika.

– Widzę, że tutejsze Mony dobrze cię znają.

– To coś w rodzaju dobroczynności. Przejedźmy się kawałek, zanim podrzucisz mnie na miejsce. – Zapiął pas. – Jedź, dokąd chcesz. Robimy to tylko dla zabicia czasu. Swoją drogą, czy wróciłaś do przestępstw sportowych? – zapytał. – Jeśli nie, to nie musisz słuchać tej nijakiej muzyki, którą lubią walczyć. – Wyłączył radio. – Potem zjemy porządne śniadanie. Może pojedziemy do Pelliciego. Wiem, że poprzednim razem byłaś zadowolona. A jeszcze później pozwolę ci zrobić to, czego zawsze chciałaś: aresztować Vica Serotonina.

Zachichotał.

– Biedny Vic – dodał. – Zdradzono go trzy razy w ciągu jednej nocy. Trudno się z niego nie śmiać.

Pojechali przybrzeżną drogą. Z początku, spoglądając w lusterko, asystentka widziała tylko perłowy blask reflektorów rozproszony we mgle. Po chwili jednak zaczęła się ona rozpadać na strzępy pod wpływem nadmorskich różnic temperatury. Gdy tylko Aschemann zauważył, dokąd jada, jego nastrój się zmienił. Skrzyżował ręce na piersi, wpatrując się przed siebie.

– Jedziesz za szybko – poskarżył się. – Co z tego za przyjemność?

Po dwudziestu paru kilometrach widoczność była już pełna. Wkrótce potem asystentka skręciła do punktu obserwacyjnego na Przylądku i zatrzymała samochód nad morzem.

– Dawno tu nie byłem – zauważył Aschemann.

Owiewało ich zimne powietrze, ale nie pozwolił asystentce zamknąć dachu. Stał w samochodzie, wspierając się dłońmi o krawędź przedniej szyby, i gapił się na resztki potężnych oceanicznych fal wtaczające się do zatoki. Kobieta widziała w oddali smętne migotliwe niebieskie światło reklamy zgubionej przez jakąś riksę. Poza tym, na Przylądku było zupełnie ciemno. Niebo i morze miały różne odcienie szarości.

– Czy to właśnie miejsce z nagrania? – zapytał. – To mnie dziwi. Nigdy nie było przedmiotem śledztwa.

– Jesteś skrupulatny – odparła. – Wszyscy to przyznają. Przyszedłeś tu tego dnia, gdy ją znaleziono, dlatego musiałeś je zarejestrować.

– Za dnia wygląda ładniej – mruknął i umilkł, gapiąc się na morze.

Zawiadomieni przez sąsiadów ludzie z sekcji mundurowej znaleźli ciało jego żony o szóstej. Był upalny letni wieczór. Martwa kobieta leżała pośród połamanych mebli, skrzyń z ubraniami, stosów miejscowych informacji bukmacherskich, czasopism poświęconych modzie i starych płyt gramofonowych. Sięgające pasa sterty dzieliły bungalow na wąskie przejścia. O tej porze wnętrze pomieszczenia wypełniało jaskrawożółte światło, wnikające do środka między listwami drewnianych żaluzji koloru kremu w napoleonkach.

– Zawiadomili mnie natychmiast – odezwał się Aschemann. – W pokoju było gorąco. – Od wszystkich tych poźółkłych kartek biła dławiąca woń kurzu i soli, silniejsza niż smród trupa. Wypełniała nie tylko nos, lecz również usta.

Kobieta upadła niezgrabnie. Leżała na boku w wąskim przejściu, z jedną ręką schowaną pod ciałem, a drugą wspartą na egzemplarzu *Harpers Queen*. W lewej dłoni trzymała pustą szklaneczkę, tania, wyblakła od słońca suknia zadarła się, odsłaniając żółte udo. Mundurowi zauważyli jednak, że upadek nie poruszył ani jednej sterty śmieci ze sklepów z reprodukcjami. Nie było śladów walki. Mogłoby się zdawać, że swoboda ruchów mordercy również była tu ograniczona. Pod pachą ofiary wytatuowano słowa: *Chcę dostać neonowe serce/Przyślij z wyrazami miłości/Odszukaj mnie w środku*.

Gdy odwrócili ciało, okazało się, że w drugiej ręce trzymała list, napisany do niej przez Aschemanna, gdy oboje byli jeszcze młodzi. Detektyw – dobre kilka lat młodszy od niego śledczy zaprosił go na miejsce zbrodni ze sporą niechęcią – przyglądał się kartce przez chwilę. Cienki niebieski papier najwyraźniej zainteresował go bardziej niż napisane przed tak wielu laty słowa. Potem przeszedł do środka labiryntu i zatrzymał się tam ze zdziwioną miną. Mundurowi rozmawiali cicho, unikając jego spojrzenia. Rozumiał to wszystko, ale czuł się tak, jakby widział podobną scenę pierwszy raz w życiu. Wiedział, że jeśli wyjrzy na zewnątrz przez szpary w żaluzji, zobaczy ulicę Carmody, Moneytown, Harbour Mole, całe miasto, które fiołkowy blask wytatuował ostrymi, wyrazistymi liniami pod pachą zatoki.

– Co mogłem poradzić? – zapytał asystentkę.

– Mieli rację, że nie pozwolili ci prowadzić śledztwa.

– Tak myślisz? – Wzruszył ramionami, jakby po tak długim czasie nie miało to już znaczenia. – Powiedziałem im: „Zróbcie to jak trzeba, a potem przynieście mi rezultaty do biura”. Później kazałem komuś przywieźć się tutaj. Komuś tak samo bystremu i ambitnemu jak ty, kto mówił równie wieloma

językami. Byłem podejrzany, choć nigdy nie pracowałem na Carmody ani nic nie wiedziałem o tatuowaniu.

Rozejrzył się wokół.

– Za dnia wygląda to lepiej. Ładne światło.

Ładne światło, ciepły wiatr, szum fal daleko w dole. Kilka wystrzępionych sosen ościstych, połać odsłoniętej czerwonej ziemi, zdeptanej stopami turystów. Nadzwyczajne poczucie wolności, którego od tej pory żałował każdego dnia.

– Zawieź mnie z powrotem – polecił asystentce. – Postanowiłem, że jednak nie zjemy śniadania.

Podczas drogi powrotnej był tak samo zajęty, jak w chwili, gdy Vic Serotonin wyszedł z jego gabinetu po południu wczorajszego dnia. Gdy dotarli do bungalowu, przerzucił sobie mokry płaszcz przez ramię i przyglądał się, jak asystentka zawraca, by móc wjechać na Maricachel i dotrzeć z powrotem do śródmieścia Saudade.

– Nauczyłaś się tego od moich operatorów-cieni – oskarżył ją. – To było sprytne. Mam nadzieję, że tego właśnie chciałaś.

– Nigdy cię nie zrozumiem.

– Nikt nikogo nie rozumie – odparł. – Oboje powinniśmy chwilę odpocząć.

Zastawiona przez nią zasadzka sprawiła tylko tyle, że wycofał się jeszcze głębiej w swe wnętrze. Asystentka rozumiała teraz, że jest ono labiryntem tak skomplikowanym, że w porównaniu z tym, w którym wiodła życie jego żona, wydawał się zupełnie prosty. Zamiast wrócić do domu, pojechała na drugi koniec miasta, do farmy tanków na C-Street. Na przekór rozsądkowi zaczęła się jej podobać kluchowata, nieco tępawa wersja jej samej proponowana przez tank. Sprzątała dom z lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku, z chęcią nosiła ubrania z tamtej epoki, zwłaszcza jedwabne majtki, i czekała na przybycie ówczesnego mężczyzny, zastanawiając się, co jej powie, jeśli w ogóle się zjawi. Najczęściej jednak wyobrażała sobie, jak jej dotyka tępo zakończonymi palcami poplamionymi nikotyną. Elastyczne oprogramowanie tanku pozwalało jej jeździć na zakupy cadillakiem Aschemanna, aczkolwiek wyposażyła go w rozkładaną maskę z wlotami powietrza i szpicem, tylne wywietrzniki i niskie spojler, a po przyjrzeniu się rysom na karoserii – autentycznym i nie – postanowiła pomalować całość na landrynkowoperłowy błękit. Kazała też pochromować kierownicę, ale poza tym chrom był tylko na zderzakach i na grillu. Przednie siedzenie było wystarczająco długie, by mogła się na nim położyć – gdy samochód stał na parkingu wesołego miasteczka – i masturbować się, patrząc na wirujący nad nią szaleńczo Meteor. Po jakichś dziesięciu minutach z westchnieniem osiągała orgazm. To było równie dobre, jak sen.

Kiedy mówiła sobie to wszystko, Aschemann wsłuchiwał się w morze, próbując dopasować to, co wiedział o sobie i swojej żonie, do tego, czego zdołał się dowiedzieć o strefie zdarzenia. Wydając mu Vica, Edith przekazała również Aschemannowi dzienniki spisane przez jej ojca podczas podróży do strefy. Powiedziała mu, że musiała to zrobić. Kartkując notatniki (z lekkim zdziwieniem, bo, choć Emil świetnie poznał drugą stronę, najwyraźniej nie rozumiał pewnego faktu, który uświadomił sobie teraz Aschemann), detektyw zasnął w pewnej chwili, jakby przypadkiem, i po raz pierwszy od piętnastu lat śniło mu się coś innego niż umarła kobieta: woda chłodna jak blask wczesnego poranka, opływająca jego stopy i kostki; głosy przesycone radosnym śmiechem. Doszedł do wniosku, że to z pewnością było wspomnienie z dzieciństwa.

OSIEM

FALE GRANICZNE

Gdy koty wypełniły Straint Street, wracając obok żółtego okna baru Liv Huli do strefy zdarzenia, znowu się rozpadało. Była piąta rano. Po odejściu kotów, na ulicy pojawi się garstka ludzi. Robotnicy idący tędy na skróty do warsztatów jonowych. Mieszkający nieopodal sprzedawcy sklepowi zmierzający do właściwego miasta. Garstka zawodników wracających z Preter Coeur. Ogólnie rzecz biorąc, Straint Street była mało ruchliwą ulicą i tak wczesnym rankiem wydawało się, że światło nie tyle wraca, ile opuszcza ich na dobre. W tej części Saudade okno lokalu Liv Huli było jedynym elementem wprowadzającym ożywienie. Oświetlało chodnik. Dwóch albo trzech pijących, izolowanych przez jego prostokątny kształt, jakby nic ich ze sobą nie łączyło, z zewnątrz mogło robić wrażenie sympatycznej grupy. Można ich było wziąć za ludzi wartych poznania.

Liv patrzyła na przesuwane się za oknem koty, zastanawiając się, dlaczego jej życie przypomina zestaw oddzielnych kawałków o całkiem sporej wartości, które ciągle nie złożyły się w całość. Siebie również uważała za element widzianego z zewnątrz obrazu. Ją także można by uznać za kogoś godnego poznania, gdy szło się Straint Street, a poza oknem baru wszystko było wyprane z kolorów: krawężniki, koty i dwupiętrowe budynki o obłazących, poszarzałych fasadach. To była cała Liv Hula.

– Koty nigdy nie mokną – odezwała się. – Zauważyłeś? Bez względu na pogodę, nigdy nie mokną.

Vic Serotonin przyszedł do baru przed dziesięcioma minutami. Stał teraz wsparty łokciami o pokryty cynkową blachą bar, gapiąc się na własne dłonie, jakby utrzymywanie się przy życiu było dla niego wielkim wysiłkiem. Jego klientka przyszła do baru dziesięć minut przed nim i siedziała teraz przy swoim stoliku. Vic miał ze sobą małą torbę. Na głowę włożył ciemną czapkę z polaru. Pani Kielar wdziała krótką kurtkę ze sztucznej skóry ściągniętą pasem oraz obcisłe czarne spodnie. Wyglądała na zmęczoną. Pili kawę z rumem i na użytek nanokamer udawali, że się nie znają. Nawet pies nie dałby się na to nabrać.

Vic nie odpowiedział. Liv dołała mu kawy, a potem dodała mleka z dzbanka z wieczkiem.

– Wcześniej przyszedłeś, Vic – zauważyła. – Czy to dzień startu? Wtedy zawsze przychodzisz wcześniej.

Tym razem również jej nie odpowiedział. Wzruszyła ramionami, wróciła za kontuar i od niechcienia wytarła go szmatą. Potem spojrzała na panią Kielar.

– Jak nie chcesz, to nic nie mów, Vic – rzekła, podnosząc głos. – Wolę nie słyszeć tego, co masz do powiedzenia o sobie. Już się tego nasłuchałam. – Zgasiła światła, zapaliła je, a potem znowu zgasiła. Pod ich nieobecność powietrze w barze z powrotem nabrało koloru sepia, choć same przedmioty często wydawały się bezbarwne. Robiły też wrażenie rozświetlonych jakimś wewnętrznym blaskiem. – Czy takie światło ci wystarczy, Vic? Czy widzisz w nim wystarczająco dobrze?

Mężczyzna nie chciał połknąć przynęty, Liv wycofała się więc w cienie za barem.

Przewodnik wycieczek i jego klientka nadal ignorowali się w łatwy do przejrzania sposób. Siedzieli w barze jeszcze jakieś piętnaście minut. Potem pani Kielar odsunęła nagle krzesło, postawiła szary, futrzany kołnierz kurtki i wyszła. Vic rzucił na blaszany kontuar garść pieniędzy, a potem podążył za nią. Natychmiast po jego wyjściu Liv Hula wyszła z cieni i przeliczyła pieniądze. Uniosła rękę do ust i podbiegła do drzwi.

– Vic, to twój cały dług! – zawołała. – Nie musisz mi płacić wszystkiego!

Oboje byli już jednak za daleko, by mogli ją usłyszeć. Szli za czarnymi i białymi kotami do aureoli strefy zdarzenia.

– Życzę ci szczęścia, Vic! – zawołała Liv Hula. – Życzę ci szczęścia!
Żadne z nich się nie obejrzało.

Na Straint Street były koty, a na Przylądku Samobójców psy. Lens Aschemann obudził się niedługo przed świtem, z niejasnym wrażeniem, że słyszał szczekanie szalejących w falach przyboju czworonogów. Poszedł do kuchni, skąd był najlepszy widok na morze, i zobaczył, że przyływ osiągnął szczytowy punkt. Po niebie mknęły szare chmury, deszcz padał to tu, to tam na pustą plażę. Stał tak przez minutę albo dwie, wytężając słuch. Nadal słyszał głosy psów przebijające się przez szum wody, oddalały się jednak z każdą chwilą. Przyszło mu do głowy, że nie jest do końca pewien, czy to nie sen. Uśmiechnął się blado na tę myśl i połączył z asystentką.

– Słyszysz psy? – zapytał.

– Co takiego?

Do podeszew bosych stóp Aschemanna przylepił się piasek. Wiatr naniósł go nocą przez szparę pod drzwiami kuchni. Spróbował go strzepnąć otwartą dłonią najpierw z jednej, a potem z drugiej stopy.

– Z każdą porą roku kojarzą się wspomnienia, których nie przyjmujemy do wiadomości – oznajmił kobiecie. – Przywołują je zapachy unoszące się w powietrzu albo okresowe zmiany oświetlenia. Rozumiesz? – Odpowiedziała mu cisza. Może kobieta go rozumiała, a może nie. – We wszystkim są psy. Nie są realne, ale nie można ich uznać za zwykłą metaforę. Wszystko, o czym zapomnieliśmy, podąża za nami jak psy tropiące.

– Nie jestem pewna, czy...

– Rozumiesz, co próbuję ci powiedzieć? Śledczy zawsze musi o tym pamiętać. Im jesteśmy starsi, tym głośniejsze i bardziej nieartykułowane stają się ich głosy. – Nie próbowała już mu odpowiadać, więc spokojnie mówił dalej: – Przynajmniej nie słyszę ich w tym przekazie. Można to uznać za błogosławieństwo.

Potem zapytał ją o wyniki nanoobserwacji lokalu na Straint Street. Przesłała mu je z wyraźną ulgą. Po paru minutach obserwacji barowego życia Aschemann potrząsnął głową.

– Czy to wszystko, co się tam dziś wydarzyło?

– Gdzieś o trzeciej albo czwartej nad ranem system znowu padł. Mamy trochę późniejszych danych, ale niewiele z nich wynika.

– Potrafię w to uwierzyć – stwierdził Aschemann.

– Trzeba było wysłać tam ludzi.

– To znaczy kogo? Ta kobieta zna każdego, kto pije w jej barze. Vic może być głupi, ale ona nie. – Liv Hula stała nieruchomo za kontuarem, wspierając się o niego łokciami. Obraz przeskoczył nagle i kobieta znowu wsparła się łokciami o blat. Gapiała się przed siebie z twarzą bez wyrazu. Sprawiała wrażenie zmęczonej. – Wyłącz to, na Boga.

Aschemann ponownie otrzepał zapiaszczone podeszwy stóp, jakby ta czynność mogła rzucić światło na jego życie, a przynajmniej zmniejszyć dzielący go od niego dystans. Po dwóch godzinach snu w fotelu rozboleły go nerki, to jednak nie wyjaśniało wrażenia, że coś się do niego zbliża, mknie ku niemu z nie wiadomo jakiej części jego przeszłości. Nie wyjaśniało, dlaczego dłonie tak mu zeszywniały ani dlaczego zaciskał je mocno przez sen. To mogły wyjaśnić wyłącznie psy.

– Przynajmniej wiemy, dokąd się wybierają – stwierdził Aschemann. – Mamy na ten temat zawstydzająco wiele informacji. Swoją drogą, czy miałaś przyjemny sen w twinkowym tanku? – zapytał jeszcze, tuż przed przerwaniem połączenia.

– Lepiej uważaj na te psy, które słyszysz.

Aschemann zachichotał i poszedł ze swymi nerkami do toalety.

– Któregoś dnia wypróbuję ten tank – obiecał sobie.

– Jak się dowiemy, że już tam jesteśmy?

Vic Serotonin zatrzymał się, żeby klientka mogła go dogonić.

– Czasami nie da się tego określić – odparł od niechcienia.

Do zdarzenia – upadku na ziemię, czy jak to nazwać – doszło przed co najmniej pokoleniem, w starej dzielnicy przemysłowej miasta, tworzącej labirynt fabryk, magazynów, stoczni i kanałów morskich, w owych czasach łączących Saudade z oceanem. Handel zakończył się natychmiast, ale towarzysząca mu charakterystyczna architektura nadal tworzyła szeroką na około pół kilometra obwódkę, płataninę pustych budynków o zawalonych dachach z blachy falistej i połamanych rynnach. Żelazne ramy ich okien były wgniecione do środka, a wszystkie szyby wybite. Kilka kilometrów za barem Liv Huli Straint Street przechodziła w wąską uliczkę. Jej brukowane przecznice były teraz zaledwie przemysłowymi zaułkami, pełnymi dziur i kolein. Wały się tam zwoje porzuconych kabli oraz drewniane belki. Wszystko pachniało rdzą i prekursorami chemicznymi.

Niebieskie tablice na rogach ulic dawno już przerdzewiały i stały się nieczytelne. Elizabeth Kielar przyjrzała się im z drżeniem.

– Będę wiedziała – stwierdziła.

– To dlaczego mnie pytasz?

– Poczuję to.

– Poprzednim razem wydarzyło się tylko to, że nagle straciłaś odwagę – przypomniał jej cierpliwie. W odpowiedzi obrzuciła go gniewnym spojrzeniem, jakby to on był nieprzewidywalny i to jemu nie można było ufać.

W ciągu minionych lat Vic zastanawiał się nad tym pytaniem znacznie częściej niż sugerował to jego ton. Był zdania, że można poznać, że jest się w aureoli, dzięki zmianie pogody. Wychodzisz zimą zza rogu między dwiema fabrykami i nagle widzisz, że studnię ulicy rozświetla słoneczny blask, a owady śmigają po skomplikowanych trajektoriach, przelatując z jasnego blasku w mrok wypełniający budynki. Jeśli w Saudade było słonecznie, aureolę spowijała mgła. Albo, jak teraz, w rynsztokach gromadziły się nieliczne, przyniesione przez wiatr, krótko żyjące płatki śniegu. Cokolwiek się działo, cienie padały pod absurdalnymi kątami, całkowicie niezgodnymi z porą roku, jakby geografia pamiętała inne czasy.

– Linie podziału nie są ostre – skonkludował mężczyzna.

Tylko intuicja mogła pomóc w określeniu, kiedy podobne sprawy stają się ważne.

– Kiedy Trakt Kefahuchiego spadł na ziemię, próbowano postawić stałe zapory. Mury, rowy, betonowe bloki. Ale wszystko to zniknęło w ciągu jednej nocy. – Coś się działo z powietrzem i następnego ranka granicznych umocnień już nie było. Za szerokim na pięćdziesiąt metrów pustym obszarem pokrytym dzikim owsem i popękany betonem można było zobaczyć coś, co wyglądało jak ogromne, nieruchome, opuszczone wesołe miasteczko zlewane strugami deszczu. – Teraz podchodzą do tego spokojniej. Od czasu do czasu zdejmują zasieki i umieszczają je gdzie indziej. Nazywają to „miękkim powstrzymywaniem”. Nawet w aureoli trzeba mieć farta – dodał Vic, nadal próbując się wytłumaczyć i myśląc o swej skomplikowanej znajomości z Emilem Bonaventure'em. – Nie jestem jednym z tych, którzy wierzą, że w przyszłą środę będziemy tam mieli światło uliczne.

– Czy ktoś z was cokolwiek rozumie? – zapytała gniewnie kobieta. – Dlaczego wszyscy udajecie, że coś wiecie?

– W tej okolicy jest pełno policji. Staraj się nie zostać z tyłu.

Dwadzieścia minut później zrobiło się już zupełnie jasno i pojawił się pierwszy patrol. Vic pośpiesznie skrył się z Elizabeth w najbliższych drzwiach, prowadzących do walącego się magazynu, pełnego kałuż, rozerwanego betonu i cuchnącej ziemi, dziur prowadzących do piwnic i kanałów. Wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, dawno już stąd wyniesiono. Obalił kobietę na ziemię i zakrył jej usta dłonią. Patrzyła nań z błagalnym zdziwieniem, nie rozumiejąc, dlaczego w skład prowadzonych przez nią poszukiwań własnej natury musi wchodzić upokorzenie. Tymczasem matowoszare pojazdy Wydziału Przepływów Strefowych przebijały się powoli przez wąską drogę dojazdową, to zasłaniając światło, to pozwalając, by znowu przedostało się w głąb zaułka i rozjaśniło obłoki pary, buchające z kałuż rozgrzanych ciepłem płynącym z atomowych silników. Łoskot był ogłuszający. Przebijały się przezeń słabe krzyki pieszych policjantów koordynujących przeszukiwanie budynków, słyszalne w czasie rzeczywistym.

– Nie szukają nas! – krzyknął Vic do ucha Elizabeth Kielar.

Mimo to, kazał jej leżeć na ziemi i wyteżał słuch jeszcze przez długi czas po tym, jak hałas silników i krzyki ucichły. Potem ruszyli w dalszą drogę. Elizabeth Kielar z irytacją strzepnęła ziemię z ubrania. Dalej wyglądało to mniej więcej tak samo: przerdzewiałe tory, zalane doki raketowe, gdzie potężna maszyna ledwie wystawała spod pachnącej morzem wody z tak wielką domieszką egzotycznych radiochemikaliów, że świeciła lekko w ciemności. Posuwali się naprzód w szybkim tempie i Vic Serotonin cieszył się, że choć raz udało się całą sprawę załatwić profesjonalnie. Wszystko, co mijali po drodze – każdy zaułek i porzucone nabrzeże, zawalone albo stopione suwnice, a nawet patrole policyjne – jakby się wtapiało w otoczenie, zmieniało, niepostrzeżenie przybierało inną postać. Aureola ich otaczała, była jak fala przenikająca każdy obiekt. Wszystko było do wzięcia. Po półgodzinie, na skraju samej strefy, dogonił ich deszcz. Niesiona wiatrem ulewa lśniła rtęciowym blaskiem, ale minęła po paru minutach. Vic powiedział, że nie można być pewnym, skąd przybyła ani jak tu trafiła. Na pierwszy rzut oka wydawało się to jednak oczywiste.

Różowy cadillac Aschemanna wyruszył w drogę niezależnie od patroli. Przebijał się przez wyboiste zaułki, czekał na każdym skrzyżowaniu, a potem na moment przyśpieszał szaleńczo, zjeżdżał z drogi i mknął, podskakując, przez porośnięte wysokim zielskiem betonowe placyki, jakby kierowca stracił kontrolę nad pojazdem. Gdy za kółkiem siedział sam detektyw, charakter samochodu się zmieniał. Cadillac upodabniał się do wielkiego, upartego zwierzęcia z jakiegoś gatunku nieprzystosowanego do skradania się i pościgu, które – pomimo darwinowskich ograniczeń – postanowiło jednak opanować te sztuki. Aschemann prowadził tak, jakby nie widział za dobrze, ścisnął mocno kierownicę i przysuwał twarz do przedniej szyby. Jego asystentka cierpiała na siedzeniu obok, trzymając się go obiema rękami i łypiąc na detektywa z nieskrywaną wrogością.

– Nie rozumiem, dlaczego się przy tym upierasz – oznajmiła.

– Wydaje ci się, że jesteś jedynym kierowcą na świecie?

– Nie!

– Każdy potrafi prowadzić. Wszyscy lubimy to robić.

– Chodzi ci o wczorajszy dzień.

– To nawet nie zasługuje na odpowiedź. Czasami musimy prowadzić, a innym razem musimy się zadowolić rolą pasażera. Nie psuj pięknego dnia.

Aschemann przypominał dziś podstarzałego Einsteina bardziej niż kiedykolwiek. Opadały mu powieki, kości policzkowe uwydatniały się jeszcze mocniej, a cerę miał poszarzałą z braku snu. Łzawiące oczy były pełne czerwonych żyłek. Błyszczał w nich nieokreślony entuzjazm. Przednie koła cadillaca oderwały się na chwilę od ziemi, a potem uderzyły w nią tak mocno, że zawieszenie odbiło

się od powierzchni. Kobieta złapała się odruchowo krawędzi szyby, co pobudziło do działania strumień danych w jej kończynie.

– Wiesz, co to znaczy „zabłądzić”? – zapytała.

Nadal odbierali sygnał nawigacji satelitarnej, ale oprogramowanie asystentki nie potrafiło już rozróżniać kilku potencjalnych źródeł, odbić, zjaw cząstkowych i przypadkowych atmosferycznych soczewek. Mogły być realne albo nie. Przez chwilę wyglądało na to, że jednym ze źródeł jest sama strefa.

– Obecnie nie wiemy, gdzie jesteśmy.

– Witaj w aureoli – odparł z uśmiechem Aschemann.

– Chodzi ci o wczorajszy dzień – oskarżyła go.

Przechylił się ku niej i poklepał ją po ramieniu.

– Któż z nas wie, gdzie naprawdę się znajduje?

Ruch orbitalny był dziś rano większy niż zwykle: wojsko, obcy, monitoring. Uważny obserwator potrafiłby wypatrzeć w górze liczne okręty

EMC. Nowoczesne jednostki krążące po ryzykownych orbitach na granicy niestabilności miały za zadanie czuwać nad jakimiś podejrzanymi inwestycjami poczynionymi przez menedżerów średniego szczebla. Asystentka również miała czego pilnować. Uważnie śledziła dane przepływające bez końca po jej przedramieniu. Przerwała tylko na chwilę, by rzec:

– Pamiętaj, by trzymać obie ręce na kierownicy.

Razem z firmą, jej renomą oraz trasą wejścia prowadzącą z South End Vic Serotonin odziedziczył po Emilu Bonaventurze melinę na najwyższym piętrze dawnego budynku Baltic Exchange. Gmach dzielił od strefy szeroki obszar pustego betonu zwany „Placami”. Pokój o wymiarach trzy i pół na pięć metrów służył kiedyś jako biuro i nadal znajdowały się tam przegrody z matowego szkła. Vic musiał niekiedy bronić schronienia przed innymi przewodnikami. W odwecie dwoje albo troje z nich, pod przewodnictwem kobiety zwanej Jenni Lemonade, ale w Saudade znanej jako Memphis Mist, wrzuciło do środka ręczny granat termobaryczny. Przez powstałą pośrodku podłogi dziurę można było – jeśli ktoś miał ochotę – podziwiać stojącą wodę widoczną dziesięć metrów w dół. Mimo to, melina pozostawała bardzo użyteczna. Rozciągał się z niej widok na Place, wznoszące się łagodnie ku pasowi wilgotnego od deszczu powietrza będącemu granicą strefy. Można tu było zaczekać i ocenić sytuację. Vic spał kiedyś w tym pokoju, ale sny, które wtedy miał, przekonały go, by więcej tego nie robił. Stał teraz przy oknie, w którym nie było ramy ani szyb.

– Chciałeś kiedyś mieć dzieci? – zaskoczyło go pytanie Elizabeth Kielar.

Bała się tego widoku. Odwróciła głowę, gdy tylko tu weszli, i cały czas zwracała się ku dziurze w podłodze, posuwając się wzdłuż ściany do kąta, w którym się skuliła, oplatając kolana ramionami. Gdy Vic się odezwał, uśmiechnęła się do niego ufnie, jakby przyłapał ją w jakiejś jeszcze bardziej wstydlivej pozycji. Na jej twarz padała tylko odrobina zanieczyszczonego światła, raczej ją zasłaniając niż odsłaniając. Tak blisko strefy światło zawsze zachowywało się osobliwie. Wyglądało jak odbite od jakichś ciężkich, aromatycznych płynów, znajdujących się na samej granicy parowania.

– Ja miałam dzieci – oznajmiła. – Ale porzuciłam je.

Roześmiała się, ujrawszy jego minę.

– Szczerze mówiąc, od samego początku były bardziej dorosłe ode mnie. Często okazywały niecierpliwość. – Wierciła się nerwowo, spoglądając na swe dłonie. – Porzuciłam je, ponieważ byłam pewna, że nic im nie grozi.

Vic nie wiedział, co na to rzec, zachował więc milczenie.

– Kiedy ruszymy? – zapytała po chwili.

– Niedługo.

Nie sposób było całkowicie uniknąć czekania. Rozsądek nakazywał, by pamiętać o klientach i nie przeciążać ich zbyt długim zwlekaniem, ale, jak powszechnie mawiano, Vic zawdzięczał swe sukcesy ostrożności. Prędzej czy później doda mu otuchy jakiś przymiotnik zaczerpnięty z bogatego słownictwa tego miejsca, zmiana oświetlenia albo gęstości słyszalnych dźwięków. Nie bał się, ponieważ nie zamierzał nic robić, dopóki nie nadejdzie ów sygnał. Na tym polegał profesjonalizm.

– To nie to samo, co czekanie, aż drzwi się otworzą – tłumaczył mu kiedyś Emil Bonaventure. Chodziło raczej o coś, co można by zinterpretować jako pozwolenie.

– Chodź popatrzeć – spróbował zachęcić Elizabeth Kielar.

– No, nie wiem.

Vic wzruszył ramionami, jakby to nie miało znaczenia.

– Po to właśnie tu przysłaś. Żeby to zobaczyć – wyjaśnił jej po chwili tonem, jakim zwykł przemawiać do klientów.

W końcu ominęła ostrożnie dziurę w podłodze i podeszła do mężczyzny. Oboje spojrzeli na strefę. Nigdy nie można było być pewnym, na co się tam patrzy. Za drutem kolczastym, za szczątkami starego muru z jego zwalonymi wieżami obserwacyjnymi, od krawędzi wszystkiego odbijało się pryzmatyczne światło. Cała strefa robiła wrażenie permanentnie niestabilnej. Głośne dźwięki, przypominające bicie w dzwon, jakby ogromne dźwigary waliły się na ziemię, oraz zgrzytanie przeciążonej maszynierii, szły o lepsze z nagłym bzyčeniem zwyczajnej osy, wzmocnionym milion razy. Przypominało to parodię oryginalnej funkcji tego obszaru. Można też jednak było usłyszeć urywki popularnych piosenek, mieszające się ze sobą, jakby dobiegały z radia nastawianego za pomocą prostego reostatu. W powietrzu unosiły się zapachy ropy naftowej, lodów, śmieci, lasu brzoźowego zimą. Rozlegał się płacz dziecka albo jakiś stukot dobiegający z końca ulicy – jak we wspomnieniach, ale nie do końca. Nagłe erupcje światła: gęste snopy i koła blasku, wyglądające na sztuczne, różowej i fioletowej barwy; ptaki lecące do gniazd na tle zachodzącego słońca i inne piękne, nagłe przejścia między różnymi stanami jasności. Potem pojawiały się jakieś przedmioty wyrzucane w górę gdzieś w dali, z pozoru dobrze ponad sto kilometrów stąd. Nie sposób było określić skali i perspektywy, ponieważ owe obiekty, koziółkujące w powietrzu w zwolnionym tempie, były – a przynajmniej takie założenie przyjmowały oczy – przedmiotami codziennego użytku, tyle że stukrotnie za dużymi i wywodzącymi się z minionych epok: deskami do prasowania, butelkami mleka, plastikowymi kubkami i spodkami. Były za duże, lecz również wyglądały jak grafika, jakby narysowano je pastelowymi kolorami, lekko tylko zaznaczając kształt, i mogły płynnie zmienić postać na oczach obserwatorów. Inne obiekty były za małe i miały hiperrealistyczny, fotograficzny wygląd, jakby wycięto je z lifestylowych czasopism ze Starej Ziemi: pojedyncze budynki, mosty, białe wielokadłubowe żaglowce, a potem cała miejska panorama, przewracająca się kolejno, gdy ciśnięto ją w górę pośród chmar zielonych papug, żelazne koła armatnie, wysokie komody, durszlak i dziecinna kolejka jadąca po torach. Każdy przedmiot przedstawiono w innym stylu. Każdy generował przelotną normę, wpływając na resztę. W owej krótkiej chwili patrzenia i nasłuchiwania, momencie rozpaczliwie wymykającym się wszelkiej interpretacji, wszystko to były przedmioty wylatujące z życia, może z życia obserwatora, a może kogoś innego. Z dnia na dzień wrażenie, że postrzegane przedmioty można opisać jako „realne” nasilało się bądź słabło. W gruncie rzeczy, to rozróżnienie nie miało znaczenia, dopóki nie weszło się do środka.

Przybywając na Place, Vic Serotonin zawsze czuł jedynie ulgę. W tym miejscu mógł się jeszcze

cofnąć. Mógł wrócić do domu. Stawał jednak przed kolejną szansą i dlatego wypełniał go szczególny spokój ducha. Czuł się stabilny. Podekscytowany, a zarazem zrelaksowany.

– Dzisiaj jest spokojnie – zauważył.

Elizabeth uśmiechnęła się niepewnie.

– Tu jest okropnie – wyszeptała. – Nie potrafię tego znieść.

– Czy tym razem dasz radę to zrobić?

– Nie zniosłabym tego, gdybym nie dała.

– No to w drogę.

Ruszył ku drzwiom, spokojny i szczęśliwy, ale obejrzał się i zobaczył, że Elizabeth nadal stoi przy oknie.

– To jest odpowiednia chwila – zachęcił kobietę.

Gdy chwycił ją za ramiona, poczuł napięcie, tak trwałe, wbudowane w nią i sięgające tak głęboko, że miał wrażenie, że dotyka jakiejś naprężonej wewnętrznej membrany. Znieruchomiał na chwilę, by się zastanowić, co robić dalej. Elizabeth najwyraźniej to rozumiała. Uwięziona między Vikiem a oknem, wtuliła się w mężczyznę, przyciągnęła do siebie jego twarz i ugryzła go mocno.

– Ja pierdolę – warknął Vic.

Puścił kobietę i uniósł rękę do policzka. Elizabeth uklękała, szarpiąc bezsilnie jego ubranie, a potem własne.

– Tak, pierdol. Pierdol mnie. Wejdz we mnie, Vic – powtarzała. – Chcę coś w sobie mieć.

Gapił się na nią ze zdumieniem.

– Chryste, Vic, czy nic nie rozumiesz? Pierdol mnie, kiedy na to patrzę!

W takiej właśnie sytuacji zastał ich mężczyzna przypominający Alberta Einsteina. Wszedł do środka nadal podekscytowany po prowadzeniu cadillaca i lekko zdyszany po wspinaczce na schody. Asystentka zatrzymała się obok niego, uśmiechając się do Vica bez wyrazu.

– Nieźle się roznamiętnili – zauważył Aschemann. – Nigdy nie widziałem tak napalonej pary.

– Mamy mnóstwo nagrań seksu między Vikiem a Elizabeth – zgodziła się asystentka. – Seksu między dwiema babami.

Vic sięgnął po pistolet Chambersa. W odpowiedzi włączyły się krawieckie udoskonalenia asystentki, zmniejszające czas jej reakcji do milisekund. Poruszyła się tak szybko, że wydawało się, że jest w kilku miejscach jednocześnie. Potem nadszedł oślepiający rozbłysk, po którym nie było widać nic poza stojącymi w drzwiach Aschemannem – osłupiałym, nagle podstarzałym, o zbielełej twarzy – oraz Elizabeth Kielar, która zgrabnie wyskoczyła przez dziurę w podłodze i po chwili pojawiła się na dole. Biegła, klucząc, przez Place. Zmierzała w stronę granicy. Asystentka Aschemanna podeszła spokojnie do okna i zaczęła strzelać do uciekającej. Pociski Chambersa przesywały powoli strugi deszczu, z dźwiękiem przypominającym skwierczenie zepsutego neonu, i uderzały w ziemię, podpalając rzadko porastający teren zielsko.

– Przestań – rozkazał Aschemann. Ton jego głosu wyłączył udoskonalenia asystentki. Kobieta spojrzała na niego gniewnie.

– Widzisz? – rzekł błagalnym tonem do Vica.

– Tak – zgodził się Serotonin. Coś stało mu się w rękę. Zdrętwiała aż po bark. Nawet nie zauważył kiedy kobieta się poruszyła.

– Vic, nie mówiłem, że mogłaby cię połknąć i popić szklanką wody?!

Vic Serotonin siedział na podłodze i wyglądał przez okno. Bywał już aresztowany, ale nic mu nie mówiło, co stanie się później. Tymczasem Elizabeth Kielar zdążyła zniknąć. „Pierdol mnie, kiedy na to patrzę”. Tego w sumie chciała większość jego klientek. Nigdy nie docierały dalej niż na Place.

Uprawiały z nim seks, patrząc na to, co ciągnęło się dalej – jakby uważały to nie za stan rzeczy, lecz za żywą, być może nawet świadomą istotę, i chciały, by je ujrzało w chwili orgazmu. Podczas drogi powrotnej nic nie mówiły. Dla nich był to po prostu wybór, czyniący życie bardziej interesującym. Vic może nie powiedziałby, że zarabia na życie dzięki temu impulsowi albo że ma na jego temat jakiegokolwiek zdanie, ale jeśli tego tylko chciała klientka, ryzyko było mniejsze dla wszystkich. Choć nie wszystko z nią było w porządku, nie sądził, by ambicje Elizabeth Kielar ograniczały się do czegoś równie prostego. Zaczynał żałować, że tak mało się dowiedział o jej dążeniach.

Wyprowadzili Vica na Place i posadzili z tyłu różowej rekonstrukcji cadillaca z roku 1952. Aschemann usiadł z przodu i zapalił fajkę, łącząc się z komendą policji.

– Nie ma sprawy – powiedział, gasząc zapalną. Potem otworzył popielniczkę, uśmiechnął się i skinął głową do Vica. – Dziś rano większym problemem może być pogoda. Jest tutaj, nic mu się nie stało, staraliśmy się go nie skrzywdzić. Nie, to inna sprawa.

Aschemann rozmawiał, a jego asystentka krążyła nerwowo obok samochodu. Co chwila zatrzymywała się i spoglądała na strefę zdarzenia, jakby dostrzegając tam coś, czego nikt inny nie widział. Zarysy jej ciała falowały lekko, gdy udoskonalenia, podekscytowane po spotkaniu z Vikiem, włączały się i wyłączały. Wzdłuż jej przedramienia przyływały czerwone i zielone piktogramy, mieszające się z szeregami czarnych jak smoła znaków o orientalnym wyglądzie. Zajrzała do samochodu i uśmiechnęła się miło do Vica, jakby miała ochotę z nim pogadać.

– Vic – zaczęła – to, co ja mam, paraliżuje to, co ty masz. Kapujesz? Dlatego tak boli cię ręka.

– Idź poszukać jego klientki – rozkazał Aschemann.

– Nazywa się Elizabeth – dodał Vic. – Jest nerwowa i może przez to sprawiać trudności. Postaraj się nie zastrzelić jej z tego powodu.

Asystentka łypnęła ze złością, a potem znowu spojrzała na strumień danych. Po chwili oddaliła się truchtem przez deszcz.

– Nie wchodź do strefy! – zawołał za nią Aschemann.

Detektyw przyjrzał się cybuchowi fajki, a potem skupił uwagę na strefie zdarzenia, jakby w szerszej perspektywie obie były tak samo ważne. W górę wzniosło się coś ogromnego i pomarańczowego, ale ledwie widocznego w strugach deszczu. Wisiało przez chwilę w powietrzu, a potem zwinęło się w sekcjach i zniknęło. Cały incydent trwał jakieś czterdzieści sekund, a towarzyszącego mu hałasu nie sposób było opisać. Aschemann przyglądał się mu z cichą aprobatą.

– Chyba mamy spokojny dzień – zauważył. – Kilka godzin temu sytuacja wyglądała inaczej. Pod Café Surf burza mnie przewróciła. – Sprawiał wrażenie zachwyconego tym wspomnieniem. – Dosłownie, fizycznie. Twojego kumpla Antoine'a również. Jeśli dzisiaj nadejdzie fala, sądzę, że nic się nie stanie.

Vic Serotonin wzruszył ramionami.

– Gdybyś wszedł do środka, tam nie byłoby tak spokojnie – zapewnił, chcąc podkreślić, że choć detektyw ma prawo do własnego zdania, to on jest bardziej doświadczony. – Jak się ma Gruby Antoine?

– Był trochę podenerwowany.

– On przeżywa wszystko mocniej, niż chce to przyznać.

– Nadal chcę tam pójść, Vic.

– Dlaczego?

– Dlatego że tam jest moja żona. To, co obecnie widzimy, jest cyklem życiowym nowego gatunku artefaktów, jestem przekonany, że była jednym z nich.

Vic zrozumiał z tego tak niewiele, że nie miał pojęcia, co powiedzieć.

– Jakiego gatunku? – zapytał po chwili.

– Przejdź się nocą po śródmieściu Saudade, zajrzyj do klubów, strzelnic i sal koncertowych. Tego gatunku. Albo obejrzyj ich sobie w areszcie, wkrótce po tym, jak wyjdą z Café Surf i nadal będą rozglądać się wkoło jak idioci, zastanawiając się, jak to się stało, że znaleźli się po naszej stronie. Są zachwyceni! Kto by nie był? Kto nie kocha seksu, smażonych potraw i twardych narkotyków? Ci najtwardsi robią to, co zrobiłby każdy: wynajmują sobie mieszkanie, starają się nie rzucić w oczy, czekają, aż ich pragnienia osłabną, przepoczwarzają się. Mają zranione miny, ale to dlatego, że po prostu nie są nami. Próbują się skontaktować, nawiązać rozmowę z naszym światem albo którymś z jego mieszkańców. Pragną odmiany, ale my w zbyt wielkim stopniu jesteśmy tym, kim jesteśmy, by rozumieć, na czym mogłaby ona polegać. Kiedy bierze się ich za ludzi, można pomyśleć, że mają interesujące cechy, ale oni są po prostu zdezorientowani. Są jak owady, Vic. Po kilku latach instynkt, który wygnał ich ze strefy, zmusza ich do powrotu.

Zapewnił, że ten ruch odbywa się w dwie strony, a ludzie tacy jak on przeocza go od samego początku, z uwagi na dręczące ich obawy.

– Już od chwili, gdy Trakt spadł na ziemię, byliśmy przekonani, że wiemy, jak wygląda ucieczka. Nie miała przypominać ludzi. Miała być katastrofą. Byliśmy tego pewni. Potrafiliśmy stworzyć prawa użyteczne w takim przypadku. Widziałeś ich w ośrodkach kwarantanny, Vic: pół ludzie, pół artefakty, rozpadający się na kawałki i mówiący językami, podczas gdy kod potomny leje im się z ust niczym światło zarazające cały kwartał miasta. Nie byliśmy przygotowani na nic bardziej subtelnego.

– Twoja żona nie żyje – stwierdził Vic. – Wszyscy to wiedzą.

Aschemann natychmiast umilkł. Z kąćków jego oczu popłynęły łzy.

– Przepraszam – mruknął aresztowany.

Obaj patrzyli na siebie ze skrępowaniem.

– Ten deszcz – odezwał się Aschemann, unosząc dłoń zwróconą wewnętrzną powierzchnią ku górze. – Czy myślałeś kiedyś, że wolałbyś się znaleźć na innej planecie? – Wytarł deszczówkę ze zmęczonej, zaniedbanej twarzy i zaczął się bawić popielniczką. Potem połączył się na chwilę z asystentką. – Wracaj – rozkazał jej na koniec. – Marnujesz tylko czas nas wszystkich. Vic chce wreszcie mieć to z głowy i odpocząć w wygodnej celi.

Po minucie albo dwóch kobieta wróciła z Placów. Po jej twarzy, rękach i broni ściekała woda.

– Usiądź w samochodzie – polecił Aschemann, poklepując dłonią sąsiedni fotel. – Na miejscu dla kierowcy, tak jak lubisz. Jeśli zmokłaś, mamy składany dach.

– Wszyscy zmokliśmy – wtrącił Serotonin.

– Zamknij się, Vic.

Przyglądali się z podziwem, jak składany dach – białego koloru, takiego samego jak fotele – zamyka się powoli nad ich głowami.

– Vic, ta kobieta przyprowadziła ekipę szturmową, żeby cię zatrzymać – oznajmił z chichotem Aschemann. – Jest aż tak zdeterminowana. Ci ludzie nadal błądzą gdzieś we mgle, próbując odnaleźć drogę do domu. Widoczność spadła do dziesięciu metrów, a strefa pożera ich sygnały. Spodziewała się, że sprawisz nam więcej kłopotów. Szczerze mówiąc, ja też. Jak twoja ręka? Odrętwienie powinno wkrótce minąć. – Nie doczekawszy się odpowiedzi, wzruszył ramionami. – Zatrzymaliśmy cię dlatego, że nie dałeś mi tego, czego pragnąłem. Nigdy nie wolno lekceważyć takiej przyczyny aresztowania.

– A co z turystką? – zainteresowała się policjantka.

– Będziemy musieli ją zostawić – stwierdził bez zbytnich oporów Aschemann. – W końcu

wszyscy przychodzą tu w poszukiwaniu ryzyka. – Obejrzał się za siebie, pochylając się ku Serotoninowi. – Wiesz co? Wolałbym, żeby to Emil tu siedział zamiast ciebie. On byłby bardziej zainteresowany. Nigdy nie uważał strefy za szansę na zrobienie kariery. To zewowi przygody nie potrafił się oprzeć. Szanuję to. Vic, jak się czuł Emil, kiedy go ostatnio widziałeś?

– Kiepsko.

– Kiedy ja u niego byłem, również nie wyglądał najlepiej. Za to Edith miała się nieźle. – Zwrócił się ku asystentce. – Zapal silnik – polecił. – Zabierzmy stąd Vica.

Okazało się to trudniejsze, niż mógłby się tego spodziewać. Gdy rozkołysany cadillac wszedł w kolejny szeroki zakręt, zza rogu na drugim końcu Baltic Exchange wypadła riksza. Mknęła ku nim, ciągnąc za sobą strumień reklam w jaskrawych kolorach, wypełniających iskrami szare, wilgotne powietrze i rozjaśniających kałuże u stóp tupiącej głośno Annie. Rikszarka ciągnęła za dyszle ze wszystkich sił, dysząc jak koń. Vic słyszał głos nawołujący z wnętrza rikszy, ale nie potrafił zrozumieć słów. Mimo to miał wrażenie, że sprawy zbyt się skomplikowały, by mógł nad nimi zapanować.

Z drugiego końca ulicy wyłoniło się ponad dwadzieścia postaci odzianych w charakterystyczne sztormiaki i wodoszczelne kapelusze noszone przez dzieci-śmieci. Gdy tylko asystentka Aschemanna je zobaczyła, zrzuciła szefa z siedzenia i zepchnęła na dół, by silnik osłaniał go przed niebezpieczeństwem. Potem otworzyła drzwi po swojej stronie, wyskoczyła z samochodu i przetoczyła się po ziemi, wykrzykując rozkazy przez łącznicę. Włączyły się jej udoskonalenia, przeobrażając kobietę we włóknistą plamę ruchu. Aschemann, przekrzywiając głowę pod dziwnym kątem, gapił się na osłoniętą dywanikiem obudowę skrzyni biegów.

– Co się dzieje? – zapytał Vica. – Widzisz, co się dzieje?

Zwalniający cadillac zatoczył półokrąg i wreszcie się zatrzymał, zwrócony bokiem do zbliżającej się rikszy. Drzwi otworzyły się na pełną szerokość i Vic poznał maleńką sylwetkę Alice Nylon, jadącej na stopniu rikszy.

– To pierdolona katastrofa – odpowiedział detektywowi. – Powiedz tej swojej wariatce, żeby do nikogo nie strzelała. – Pochylił się, wystawiając głowę na zewnątrz. – Alice! – zawołał. – Kurwa, Alice, to ja. Jestem Vic!

– Cześć, Vic – odparła dziewczynka. – Popatrz na mnie!

– Odwołaj swoje bachory – zażądał mężczyzna. – Nikt nie chce incydentu. I nie jeździj na stopniu – dodał. – To nierozsądne. Możesz zrobić sobie krzywdę.

Nim dziewczynka zdążyła odpowiedzieć, riksza się zatrzymała.

– Troje to o dwoje za dużo – oznajmiła rikszarka. – Nawet dla takiego wielkiego konia jak ja.

Pochyliła się między dyszlami, zwymiotowała ze zrodzoną z wprawy celnością prosto między swe stopy, a potem przyjrzała się rezultatowi.

– Dexamil na pewno mi pomoże – skwitowała. – Jeśli ktoś jeszcze chce tabletkę, mam go od groma.

Z rikszy dobiegł ochryply, ale dziwnie melodyjny śmiech.

– Niezły wozik, Vic – odezwał się pasażer.

– Faktycznie niezły, Paulie – zgodziła się rikszarka. – Roadster rocznik 1952, silnik V8, moment obrotowy 30 ft. lbs. przy 2700 obrotów na minutę. Szanuję silnik, który ma uciąż, kapujesz?

– Jezu – poskarżył się Paulie DeRaad. – Tu, w Radiu Retro, wszyscy się na wszystkim znają. Otwórz rikszę, Alice. Chcę się przyjrzeć swojemu staremu kumpłowi, Vicowi.

– Paulie, nie każ nikogo zastrzelić – ostrzegł go Vic.

– Ja ci pokażę Pauliego – warknął DeRaad. – Kurwa, na co się gapisz?

Gdy Alice zdołała w końcu otworzyć sztywny fartuch rikszy, ze środka buchnął smród kału. Natychmiast stało się jasne, że Paulie jest w kiepskim stanie. Wepchnięto go do środka razem z chłopakiem z Przylądka. Obaj obejmowali się niezgrabnie, jakby to było dla nich nowością, choć przecież mieli sporo praktyki. Dyszeli sobie nawzajem prosto w twarz. Obaj mieli na sobie bardzo niewiele, a ich białe jak porcelana ciała pokrywała cienka, przypominająca żywicę błona. Choć na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie płynnej, szybko wysychała i się kruszyła, jakby była wydzieliną mającą ich chronić przed wpływem powietrza. Paulie nadal miał w przybliżeniu normalny kształt, ale chłopak stawał się coraz grubszy i bardziej miękki. Jego zarysy były zamazane. Postarzał się trzydzieści, może czterdzieści lat od chwili, gdy Vic widział go w budynku na Przylądku Samobójców. Wyglądał jak oglądany kąciakiem oka, bez względu na to, z której strony na niego spojrzeć. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje ani co się z nim dzieje. Mimo to, sprawiał wrażenie szczęśliwego. Co chwila z jego ust wychodziły drobiny światła przypominające maleńkie ćmy. Każdej towarzyszyła muzyczna nuta albo dwie.

Paulie, mniej zadowolony ze swego stanu, wymachiwał jedną ręką.

– Alice, to kurestwo znowu do mnie przywarło – poskarżył się.

Dziewczynka starannie oderwała ich od siebie, by jej pracodawca mógł wysiąść z rikszy. To zadanie utrudniał fakt, że Paulie nie był w stanie się zmusić do spojrzenia na własne ciało.

– Musisz mi pomóc, Paulie – błagała, ale on ciągle odwracał wzrok od siebie, a także od niej. Nie chciał przyznać, że Alice mu pomaga. W końcu udało się jej wyprowadzić go na beton i ustawić przed Vikiem Serotoninem. Śmierdzący mężczyzna chwiał się na nogach, rozpościerając szeroko ramiona. Część jego twarzy zamazała się na moment, a potem odzyskała wyrazistość.

– Widzisz, Vic? Widzisz, co zrobiłeś?

Serotonina przed koniecznością odpowiedzi uratował Lens Aschemann, który wysiadł z cadillaca po stronie pasażera, zapinając płaszcz.

– Ten deszcz nigdy nie przestanie lać – poskarżył się detektyw. – Powinieneś się przed nim schować, Paulie. Nie wyglądasz za dobrze. – Uśmiechnął się półgębkiem do DeRaada. – A jeszcze lepiej zgłoś się do kwarantanny. Tam będę mógł cię znaleźć.

Kwarantanna nie była dla Pauliego realistyczną opcją, z uwagi na to, co by go tam czekało. Aschemann oddalił się, pozwalając mu rozważyć ten problem. Podeszedł do rikszy i zajrzał do środka. Na jego twarzy pojawił się gniew połączony ze zdziwieniem.

– Nie chcesz mnie? – zaśpiewał chłopak z Przylądka trzema głosami. Nie było jasne, w jaki sposób zdołał wyczuć obecność detektywa. – Nikt mnie nie chce – dodał ze śmiechem.

Aschemann przyglądał się wnętrzu rikszy jeszcze przez pewien czas, jak starzec pochylający się nad niemowlęciem.

– To, co tu zrobiłeś, nikomu nie przyniesie korzyści – poinformował Vica Serotonina, nie odwracając wzroku.

Na Placach zapanował niepewny rozejm.

Dzieci-śmieci Alice Nylon bez przerwy patrolowały teren, szepcząc do siebie w języku wojennym o kleistym brzmieniu, stworzonym przez nie na bazie żargonu używanego przez zawodników walczących w Preter Coeur. Asystentka Aschemanna nie czuła się gotowa spróbować z nimi sił, mimo że miała lepsze udoskonalenia. Doszła do wniosku, że sytuacja się nie zmieni, dopóki jej ekipę szturmową będzie powstrzymywała kombinacja złej pogody i zaburzeń płynących ze strefy. To jednak nie będzie trwało wiecznie. Postanowiła poczekać na to, co zdarzy się potem. W związku z tą decyzją wyłączyła udoskonalenia i opierała się teraz o tylny błotnik cadillaca. Mogła stąd

wymieniać prowokujące uśmiešky z Alice Nylon albo gapić się z pełnym ironii niesmakiem na to, co się stało z Pauliem DeRaadem. Jego sytuacja mogła się tylko pogarszać. Jeśli przeżyje najbliższe dwanaście godzin, co nie wydawało się prawdopodobne, Wydział Higieny zamknie go w orbitalnej izolatce. Wsadzą mu tam przewody we wszystkie naturalne otwory ciała i zrobią jeszcze kilka na dodatek. Wprowadzą pęk drutów przez podniebienie do mózgu, w nadziei że jakiś zaawansowany operator zdoła uzyskać dostęp i usmażyć kod, nim dojdzie do ucieczki na pełną skalę. W tej chwili stanowił zagrożenie dla wszystkich wokół i gdyby nie Alice, zabrakłoby mu już przyjaciół.

– Miałeś pecha, Paulie – skwitowała asystentka.

– Jeśli nie masz nic do roboty, lepiej uważaj na więźnia – poradził jej Aschemann, obrzucając DeRaada przepaszającym spojrzeniem. – Jaki masz w tym interes, Paulie? Sypnąłeś Vica i na tym koniec.

Serotonin spojrział ze zdumieniem na detektywa, a potem na DeRaada.

– Sypnąłeś mnie, Paulie? To mnie zabolalo.

DeRaad go zignorował.

– Jeśli tak wyglądam, to nie leży w moim interesie – wyjaśnił Aschemannowi. – Dodajmy też ból i upokorzenie, które muszę znosić. Ale przynajmniej Vic oberwie za wyniesienie artefaktu ze strefy i sprzedanie go. To cię zabolalo! – wrzasnął nagle na Vica. Z ust trysnęła mu ślina. Serotonin odsunął się, by nie złapać tego, co inkubowało się w Pauliem. – Jezu, przyniosłeś mi córkę, ty jebany skurwielu. Spójrz na mnie! – Krzyk szybko go męczył. Paulie potrząsnął z niesmakiem głową. – Zrobiłeś mnie w chuja, Vic, i ja odwdzieczyłem ci się tym samym. Koniec przyjaźni.

– Sam się zrobiłeś w chuja, Paulie – odparł Vic. – Ja tylko przyniosłem ci złe wieści.

DeRaad wracał już jednak do rikszy, wspierając się ciężko na ramieniu Alice Nylon w siąpiącym jak szczyne deszczu. Zostawił po sobie poczucie, że najgorsze minęło. Aschemann aresztował Vica, Paulie wywarł zemstę, podkomendni detektywa pogadają z ludźmi, którzy zajmą się DeRaadem, i dodatkowy problem, jaki sobą reprezentował, zostanie rozwiązany gdzieś na wyższym poziomie. Nawet Paulie godził się z tą myślą. EMC przyśle kogoś po niego, a on nie będzie próbował ucieczki. Musiał dbać o reputację. W końcu był ostatnim człowiekiem, który żywy opuścił wrak starego *El Rayo X*. Każdego wieczoru w Semiramide Club można było obejrzeć autentyczny holograficzny zapis całego incydentu. Mit wymagał podtrzymywania. To pozwoli ograniczyć skalę ucieczki. Wszyscy przebywający dziś rano na Placach mogli ustąpić bez utraty twarzy.

I tak by zostało, gdyby nie zmiana pogody. Wiatr od morza rozszarpał chmury na szerokie na sto metrów pasy. W ich wnętrzu szalały nieprzewidywalne prądy i wiry, w jednej chwili przynoszące deszcz i światło dnia, w następnej zaś mokry śnieg i noc. Zdezorientowana przez elektromagnetyczne zaburzenia i wciąż czekająca na rozkazy ekipa szturmowa Wydziału Przystępstw Strefowych – składająca się z jeźdźców kodów, specjalistów od broni oraz kobiety pilota podłączonej do transportera DBH – pomknęła niespodziewanie w głąb strefy ze znaczną prędkością siedemdziesięciu węzłów. Nikt tego nie chciał. Kobieta rozważyła sytuację, wruszyła ramionami i na oślep wprowadziła transporter w pierwszą zauważoną lukę między chmurami, stwierdzając na głos, że w ten sposób opuściła strefę.

– Przerwać wykonanie zadania – rozkazała asystentka Aschemanna.

DBH wypadł z chmur, przeleciał nad południowo-wschodnim rogiem Baltic Exchange, ciągnąc smugi kondensacji za asymetrycznymi zasobnikami z uzbrojeniem, przemknął tuż nad cadillakiem Aschemanna i zarył w beton tuż za nim.

Ponieważ tego manewru nie sposób było sensownie zinterpretować, wszyscy wykazali się własną inicjatywą. Vic Serotonin schował się za cadillakiem. Dzieci-śmięci Alice Nylon

zaatakowały niedobitki ekipy szturmowej za pomocą granatów termobarycznych i pistoletów Chambersa. Ekipa szturmowa, chwilowo niezdolna odpowiedzieć ogniem, wezwała pomoc. Alice Nylon zdążyła wystrzelić do asystentki Aschemanna, ale ta włączyła już udoskonalenia i pomknęła ku wrakowi DBH, zostawiając za sobą osobliwe, nieruchome obrazy samej siebie w miejscach, gdzie zatrzymała się na chwilę wystarczającą, by oko mogło zarejestrować jakieś szczegóły. Każdy z tych postojów oznaczał, że jeden z małych żołnierzy Alice został trafiony, ranny i obalony na ziemię.

– Nic z tego nie było moim celem – zapewnił Pauliego Aschemann.

– Wszyscy za to zginiecie, skurwysyny – odparł DeRaad.

W środku transportera sytuacja wyrwała się spod kontroli. W kadłubie ziała dziura. Jeźdźcy kodów zginęli. Implant pilota, wyrwany z podniebienia przez przeciążenie, zwisał z konsoli. Każdy z masy cienkich złotych drucików kończył się kawałkiem materii mózgowej. Próbuąc ratować siebie, statek odłączył się od pilota. Próbuąc ratować pilota, napompował kobietę adrenaliną i selektywnymi inhibitorami zwrotnego wychwytu serotoniny, ale jej oczy kierowały się w różne strony, a uśmiech stracił połączenie z rzeczywistością, podobnie jak mózg z konsolą. Co gorsza, kod przeciekał przez przebite nawigacyjne firewalle, oblażąc żywą załogę. Unieruchomieni przez odniesione obrażenia ludzie wierzgali i wrzeszczeli, próbuąc się odczołgać w bezpieczne miejsce.

Asystentka Aschemanna zatrzymała się w powstałym w kadłubie otworze, poddając to wszystko ocenie. Ranni dostrzegli ją za unoszącymi się w powietrzu iskrami blasku. Konsultowała się ze swym strumieniem danych. Gdyby ich zapytać, co sądzili w owej chwili o jej minie, opisaliby ją jako „beznamiętną”. Co to jednak właściwie znaczyło? Była policjantką i unosiła pistolet w przepisowy sposób. Była policjantką i dobiła wszystkich ocalałych, nim rzuciła granat zapalający, by spalić wrak. Zawsze lubiła takie praktyczne rozwiązania. Była policjantką i sądziła, że może obserwować gęsty biały dym jeszcze przez chwilę czy dwie, by się upewnić, nim pozwoli udoskonaleniom znowu przejąć kierownictwo i poprowadzić ją ku następnemu zadaniu.

Nikt nie chciał mieć na głowie kolejnej ucieczki.

Rikszarka Annie gapiała się na rozwój sytuacji z trwogą pomieszaną ze skrępowaniem. Zastanawiała się, co jej pasażer zechce zrobić później. Nie mogąc przyciągnąć jego uwagi, wyszła spomiędzy dyszli i okrążyła cadillaca. Nie raz już widziała ten pojazd, zwłaszcza w śródmieściu. Spróbowała nawiązać rozmowę z mężczyzną zwanym Vikiem, który siedział na mokrej ziemi, wyciągając nogi przed siebie, i rozwijał zabrudzoną olejem szmatę chroniącą pistolet.

– To twój samochód? – zapytała go.

– Nie.

– Sądząc z tego, co mówił Paulie, pomyślałabym, że twój. Często widywałam go w mieście. Rocznik 1952. Silnik V8, 5400 centymetrów sześciennych, średnica/wysokość cylindra 75-325/400x75-125/200. Najlepszy silnik, jaki kiedykolwiek wyprodukowano. – Przebiegła palcami po gładkich tylnych panelach nadwozia pomalowanych na perłoworóżowy kolor. – I masz też białe opony. Szczerze mówiąc – dodała tęsknym głosem – nie chciałabym mieć takiego samochodu, chciałabym nim zostać. To twoi przyjaciele?

– Nie za bardzo – przyznał Vic.

– Ale ja z reguły pracuję dla Pauliego.

– Nikt nie jest hojniejszy niż Paulie, kiedy jest w dobrym humorze – zauważył mężczyzna. – Lepiej się pochyl.

Przezołgał się wzdłuż cadillaca i wystawił głowę zza przedniego błotnika. W tej samej chwili ogniwo paliwowe transportera Wydziału Przystępstw Strefowych eksplodowało z wilgotnym hukiem.

Ku niebu buchnęły gęste kłęby białego dymu. Na ziemię posypał się deszcz szczątków. Vic cofnął się, ale potem znowu wyjrzał zza samochodu.

– Kurwa – mruknął. – Ona jeszcze żyje. – Umilkł na chwilę. – Właściwie wygląda na to, że tylko ona przeżyła – dodał. Był wyraźnie zdziwiony, lecz jednocześnie wyglądał tak, jakby nagle otworzyła się w nim mała śluza paniki. Podczołgał się z powrotem do riksarki.

– Jeśli ona tu przyjdzie, lepiej zmiataj – poradził.

– Nie mam pasażera – odparła Annie. – Bez pasażera nigdzie nie pojedę.

– Jak sobie życzysz.

Przez chmury przebiło się osobliwe światło koloru mięty. Blask padł na Place, gdzie policjantka, zamarła w niezwykłym dla siebie bezruchu, gapiała się na płonący wrak, jakby nie potrafiła czegoś zrozumieć. To zachowanie wyraźnie niecierpliwiło i gniewało Vica, Annie postanowiła więc odwrócić jego uwagę.

– Paulie ma dobre serce, ale można by powiedzieć, że często przesadnie skupia się na zadaniu – zaczęła. – No wiesz, nienawidzę strzelania. Chętnie bym stąd związała, ale mam w rikszy tego chłopaka. Nikt nie wie, co z nim zrobić. Przez parę ostatnich dni ciągle go gdzieś woziłam.

– To znaczy, że masz pasażera – zauważył Vic.

– To nie tyle pasażer, ile obciążenie – odparła. – Czujesz, jak śmierdzi? Jezu.

Oznajmiła, że, szczerze mówiąc, jest jej go żal. W końcu był tylko chłopakiem z Przylądka i nigdy nie zrobił nikomu nic złego, choć była przekonana, że tego typu bierność zawsze ma dwie strony. Zastanawiała się, czy będzie mógł wrócić do domu.

Dlatego, gdy Vic o tym napomknął, uznała to za pozwolenie. Nikt inny nie był nią zainteresowany. Wszyscy stali porażeni szokiem, czekając, co teraz robi policjantka. Annie podeszła do rikszy, weszła między dyszle, zawróciła i podjechała do cadillaca od strony Vica, który znowu usiadł na ziemi, wyciągając nogi przed siebie.

– Ciebie też mogłabym zabrać – zaproponowała.

W tej właśnie chwili zza samochodu wyszła Alice Nylon.

– Paulie chce, żebyś wiedział, że doszedł do wniosku, że ma już ciebie dość – oznajmiła oficjalnym tonem. – Byliśmy z tobą dobrymi przyjaciółmi i żałuję, że do tego doszło – dodała po chwili zastanowienia. Chociaż Vic siedział na ziemi, musiała celować w górę, by wymierzyć w jego głowę. Trzymała pistolet w obu rękach, przymykając jedno oko. – Muszę być naprawdę twarda, żeby to zrobić.

– Kurwa, Alice! – zawołał Paulie DeRaad. – Zabij go i tyle. Mam prawo czuć się zdradzony.

– Potrafię go zrozumieć – poinformował dziewczynkę Vic. – Powinien już wracać do Beddington Gardens, w nadziei że zdoła się naćpać do tego stopnia, że zapomni, co się z nim dzieje.

– Kurwa, słyszałem to – odezwał się DeRaad.

Gdy działo się to wszystko, Paulie spacerował nerwowo w tę i we w tę, pocąc się i gestykulując, albo siadał na betonie na minutę czy dwie z głową skrytą między kolanami, by obserwować wydarzenia ze spokojną, skupioną miną. Gapił się na budynek Baltic Exchange, a potem spoglądał na własną skórę, szarą i białą jednocześnie, a także błyszczącą, jakby pociągnięto ją warstwą żywicy. Raz zerknął też na strefę.

– Chyba mam to w nogach – odezwał się. – Czuję to w nich. – Potem znowu wstał i podszedł do policyjnego detektywa, Aschemanna, przysuwając twarz blisko jego twarzy. Odzywał się do niego tylko wtedy, gdy chciał na chwilę odpocząć od szyderczego uśmiechania się do Vica Serotonina. – My dwaj jesteśmy ponad ten syf, Lens – oznajmił mu. Raz jeszcze spojrzął na fasadę Baltic

Exchange, jakby dziwiły go żelazne kolumny i szeregi okien, które w świetle pochmurnego dnia przybrały niebieskoszarą barwę. – Nasz syf jest o klasę gorszy – dodał.

Obecność Aschemanna na Placach nie miała nic wspólnego z Pauliem DeRaadem, a już zwłaszcza z jego metodologią. Dlatego detektyw nie wiedział, co odpowiedzieć na te słowa. Białe włosy mokły mu na deszczu, czuł się nieusatisfakcjonowany i nie na miejscu, w gardło gryzł go dym buchający z płonącego transportera, a Paulie krzyczał mu do ucha. Nie działa się nic, co mogłoby się stać punktem zaczepienia dla inteligencji Aschemanna. Nie czuł się dobrze w takich sytuacjach. Za chwilę wszyscy mogli zginąć.

– Paulie – zdołał wreszcie wykrztusić – sprawy potoczyły się w najgorszym możliwym kierunku.

Uwaga DeRaada przeniosła się już jednak na coś innego. Jego profesja wymagała udoskonaleń powodujących pewien poziom ADHD. Wskazał na policjantkę, która stała na Placach, sparaliżowana niewytłumaczalnym szokiem, a potem potrząsnął głową dla podkreślenia faktu, że pomimo swego wielkiego doświadczenia nawet on może się czuć zbity z tropu.

– Lens, to nie są wojskowe modyfikacje – domyślił się.

– Przyszła do mnie z Wydziału Przestępstw Sportowych – przyznał Aschemann, ciesząc się, że znaleźli coś, o czym mogą rozmawiać. – Na miesięczny okres próbny. Jeden Bóg wie, co kazała sobie tam wszczepić.

– Cholera – mruknął Paulie. Na jego twarzy wreszcie pojawił się niepokój.

– Ale trzeba przyznać, że dobrze prowadzi i zna języki.

– Mam trochę znajomych i mógłbym załatwić jej przeniesienie – zaproponował DeRaad. – Jeśli masz z nią problem.

Aschemann wyobraził sobie na moment tych znajomych: mknęli po niespokojnych, fragmentarycznych orbitach wysoko nad ich głowami i sięgali ku nim w losowych odstępach czasu, by ich oprogramowanie wykorzystujące rezonans stochastyczny mogło się przebić przez elektromagnetyczny hałas otaczający strefę. W przeciwieństwie do niego, świetnie wiedzieli, gdzie się znajdują. Znali położenie wszystkiego. Choć dzieliło ich od niego wiele kilometrów, byli stanowczo za blisko.

– Paulie, Paulie, nie strasz mnie! – zawołał, chociaż to nie DeRaada dostrzegł tak wyraźnie oczyma wyobraźni. – To nie będzie potrzebne – zapewnił. – Miło, że złożyłeś taką propozycję, ale to nie będzie potrzebne. – Ponownie połączył się z asystentką. – Na Boga, odpowiedz mi – błagał, otwierając jednocześnie drugi kanał, na wypadek gdyby potrzebował dodatkowej pomocy. Położył dłoń na ramieniu DeRaada w geście, który miał go uspokoić.

Pakiet krawiecki Pauliego miał ostatnio bardzo wiele roboty. Jego dialog z kodem potomnym nie układał się dobrze. Nanołaty dodane do adaptacyjnego układu odpornościowego Pauliego w pełnych chwały czasach *El Rayo X* nie wytrzymały. A teraz kod córka przeżerał się przez sam układ (spowalniało go jedynie odkrycie, że w przypadku Pauliego zastosowano wojskowe udoskonalenia wuja Suwaka zamiast zwyczajowych immunoglobulin, białek z bogatymi w leucynę sekwencjami nukleotydowymi typu STR, wygenerowanymi z DNA minogów). Mimo to, pakiet w swoim czasie był znakomity i bez względu na bieżące trudności pozostawał świadomy istnienia świata na zewnątrz Pauliego w stopniu wystarczającym, by błędnie zinterpretować motywy Aschemanna. Prędkość przenoszenia impulsów nerwowych wzrosła czterokrotnie. Zrujnowanemu centralnemu układowi nerwowemu Pauliego wydano proste polecenia. Świadomy umysł jest w stanie przetworzyć czterdzieści bitów na sekundę, CNS miliony. Zaburzenia sięgały jednak nieskończenie głęboko. Nim Paulie DeRaad zdążył się zorientować, co robi, kopnął detektywa dwa razy w klatkę piersiową i po razie w gardło i w lewe ucho. Potem spojrział na ziemię ze zdziwioną miną.

– Niech cię chuj, Lens – mruknął, wzruszając ramionami. – Hej, naprawdę nie chciałem tego zrobić – dodał po chwili. – Przepraszam.

W pewnej odległości od nich policjantka ocknęła się nagle ze zdziwioną miną i rozejrzała wokół, akurat na czas, by zobaczyć padającego na ziemię Aschemanna. Poświęciła całą milisekundę na ocenę sytuacji, a potem rozpuściła się w deszczu, by zmaterializować się nagle tuż przed Alice Nylon.

– Ojej! – zawołała dziewczynka.

Asystentka uśmiechnęła się i pozwoliła, by udoskonalenia przejęły kontrolę. Gdy już załatwiły Alice, przemknęły do Pauliego DeRaada i z nim również się policzyły. Potem kobieta wróciła na dostrzegalną dla Vica stronę rzeczywistości i uklękła obok niego, tak blisko, że czuł dotyk jej skóry. Patrzyła w tym samym kierunku, co on, jej ciało drżało, a otaczające ją powietrze było gęste jak zupa od ciepła odpadowego emitowanego przez dodatki mitochondrialne oraz egzotyczne udoskonalenia transportu ATP. Najwyraźniej pragnęła zobaczyć to samo, co on. Bił od niej ostry, kwaśny odór klatki ze zwierzętami. Nie potrafił zinterpretować wyrazu jej twarzy. Uśmiechała się.

– No chodź, Vicu Testosteronie – wyszeptała. – Spróbuj się ze mną. Pokaż mi swoją specjalną sztuczkę.

Vic zadrżał, starając się zachować całkowity bezruch. Mijały minuty. Miał zamknięte oczy aż do chwili, gdy poczuł, że jej udoskonalenia się wyłączyły. Roześmiała się, przesuwając delikatnie palcem wzdłuż jego tętnicy szyjnej.

– Hej, Vic, nic już ci nie grozi – rzuciła i odeszła.

Gdy ją znowu zobaczył, wciągnęła Aschemanna na tylne siedzenie cadillaca, by mogła się nim zająć osłonięta przed deszczem. Gdyby nie strumień danych, nieustannie spływający po jej przedramieniu pod postacią chińskich symboli, wyglądałaby zupełnie zwyczajnie. Była jakimś krawieckim eksperymentem albo żartem Wydziału Przepływów Sportowych, pułapką zastawioną na ludzi takich jak Vic. Była czymś nowym.

Vic podniósł się z trudem.

Zmarzł i zeszywniał od siedzenia na deszczu.

Alice Nylon leżała w płytkiej kałuży, z jedną ręką odrzuconą na bok. Jej niebieski sztormiak unosił się od czasu do czasu na wietrze, odsłaniając różowe spodnie do kolan. Kapelusz spadł jej z głowy. Z lewego kącika ust wypływała strużka krwi. Dziewczynka ugryzła się w język, padając, odniosła też jednak poważne obrażenia. Vic wyczuł opór w mięśniach jej brzucha i krzyża. Była tam twarda jak niedojrzała gruszka. Białka jej oczu pożółkły. Według jego diagnozy, pękła śledziona i zapewne też inne narządy. Na zewnątrz nie było żadnych śladów, ale w środku wszystko zamieniło się w puree. Oczy Alice miały zmęczony wyraz, zęby przegniły od użycia pobudzacza, a jej zepsuta, mizerna, wolna od zmarszczek buzia wyglądała bardzo staro.

– Cholera, Alice – mruknął.

Otworzyła oczy.

– Zgubiłam pistolet, Vic – wyszeptała.

– Paulie kupi ci nowy.

– Wiesz co?

– Słucham, Alice.

– Ja i Mapa zrobiliśmy to. Pierdoliliśmy się ze sobą, Vic! – Zachichotała. Przebiegła przez nią drobna fala konwulsji. – Jestem trochę młodsza od niego, więc nie byłam aż tak zainteresowana –

ciągnęła. – Ale on jest fajny i przynajmniej zrobiłam to przed śmiercią. Vic, znasz Mapę?

– Nie. Nigdy go nie widziałem.

– Jest śliczny. Vic?

– Słucham?

Nie odpowiedziała mu.

– Alice?

Paulie DeRaad klęczał na betonie, mamrocząc coś do łącznicy. Vic podszedł do niego.

– Alice nie żyje, Paulie – oznajmił. – Uważam, że to po części twoja wina.

Asystentka Aschemanna wyrwała DeRaadowi obie ręce ze stawów barkowych. Jego górne kończyny straciły zdolność funkcjonowania, co utrudniało mu zachowanie pozycji. Gdy ciało przechylało się do przodu, czekał do ostatniej chwili, a potem wyginał tułów z osobliwą gracją, by utrzymać je w pionie. Nie sprawiał jednak wrażenia, by mu to przeszkadzało, czy choćby go obchodziło. Pozwalał, by ręce zwisały mu bezwładnie jak rękawy płaszcza. Twarz miał poszarzałą, choć w miejscach, gdzie skóra była cieńsza z powodu starych poparzeń popromiennych, zachowały się intensywne kolorowe plamy.

– Mam w ustach paskudną nadżerkę – oznajmił. – Jestem tego pewien. Chcesz zajrzeć mi pod dolną wargę, żeby ją zobaczyć?

– Jezu, Paulie.

– Ten policyjny skurwiol nie daje mi spokoju. Dokądkolwiek pojedę, on zawsze jest tam pierwszy. Zadaje pytania, zapisuje nazwiska. Pamiętasz Cor Caroli, Vic? K-statki płonące po drugiej stronie układu? Wendy del Muerte próbowała wylądować na planecie statkiem z włączonym napędem Alcubierre'a. Nigdy już nie będzie drugiego takiego pilota.

– Nie było mnie tam – odparł Serotonin.

– Naprawdę? Uwielbiam to! – DeRaad roześmiał się głośno, jakby Vic przywołał jakieś wspomnienie, którym obaj mogli się cieszyć. W jego oczach pojawił się błysk, niemal natychmiast ustępując miejsca zmieszaniu. Paulie zapomniał, kim jest. – Uwielbiam takie rzeczy – powtórzył. Przechylił się, zwymiotował z trudem i zwałił się na bok. Vic upewnił się, że żyje, a potem się oddalił.

– Chcę, żebyś to wiedział: doszedłem do wniosku, że mam już ciebie dość – rzucił przez ramię.

Z punktu widzenia Pauliego akcja zakończyła się pieprzoną klapą. W porównaniu z nim Lens Aschemann, leżący w niezgrabnej pozycji na tylnym siedzeniu swego samochodu z rozdziawionymi szeroko ustami, wyglądał świeżutko jak jutrzeńka. Był przytomny. Przytknął sobie do ucha wilgotną bawełnianą chusteczkę. Oczy detektywa śledziły wszystko, co przesuwało się przez jego pole widzenia, ale jego zmieszanie było widoczne równie wyraźnie jak brązowy garnitur. Sprawiał wrażenie zbyt zmęczonego, by mówić. Od kopniaków Pauliego pękła mu błona bębenkowa. Miał też kilka stłuczonych żeber.

– Cieszę się, że cię widzę, Vic – odezwał się. – Dobrze, że wyszedłeś z tego cało. O mnie się nie martw, to właściwie tylko szok. I może lekka utrata słuchu. To dobrze, że nie uciekłeś.

– Vic nigdzie nie ucieknie – zapewniła asystentka, uśmiechając się półgębkiem.

Niespełna trzydzieści kilometrów nad nimi jeden ze znajomych DeRaada włączył silnik fRAM na 7,02 milisekundy, odwrócił leniwie statek na plecy i pomknął ku ziemi. Wokół jego kadłuba rozjarzyły się najwyższe warstwy przesywanej atmosfery. To stąd Paulie wiedział, że nadal pozostaje dobrą inwestycją. Niebo się otworzyło. Chmury się rozerwały. Matowoszary klinowaty obiekt o zarysach zakłóconych rurami wlotowymi, hamulcami aerodynamicznymi oraz wypukłościami

silników przemknął nad Placami z prędkością czternastu machów i zatrzymał się na odcinku nie dłuższym niż jego kadłub, około dziesięciu metrów nad Baltic Exchange. Podmuchał strącił fragmenty dachu, ale budynek wytrzymał. K-statek *Poule de Luxe*, wysłany z pół jawną misją z bazy w Zatoce Radiowej, wisiał przez chwilę nieruchomo, a jego kadłub kipiał promieniowaniem elektromagnetycznym na całym zakresie od promieni gamma po mikrofałę. Potem statek zawrócił zgrabnie o sto osiemdziesiąt stopni i obniżył dziób, kierując go ku cadillacowi Aschemanna.

Paulie tańczył na betonie, krzycząc, wrzeszcząc i próbując machać rękami.

– O kurwa! – wołał. – Patrzcie na to, do chuja!

K-statek opadł na ziemię przed nim, ostrożnie jak żywa istota. Otworzyły się wrota ładunkowe. Paulie powlókł się w ich stronę, bezwładne ręce kołysały się w rytm jego kroków.

– Hej, Vic, i co o nim myślisz?! – zawołał. – To stary *Ciepły Kurczak*. Jest brzydki, czy co? – Po twarzy spływały mu łzy. Wlazł z wysiłkiem na rampę i odwrócił się na jej szczycie. – Mogę ci coś powiedzieć, Vic? Zanim odlece? Nawet farba na tej maszynie jest toksyczna.

Ktoś wciągnął go nagle do środka i kłapa się zamknęła.

K-statek uniósł się nieco nad ziemię i ruszył gładko naprzód, nadal opuszczając nos, aż wreszcie zawisł nad maską cadillaca. Rozległo się skwierczenie – smażyło się powietrze – gdy statek wysuwał i chował uzbrojenie, reagując na rozkazy rządu odległego o pięćdziesiąt światła wzdłuż Plaży. Siedzący w cadillacu Aschemann i jego asystentka czuli jego żar i skupione na nich spojrzenie. Gdy tylko któreś z nich zrobiło wydech, K-kapitan, bezpieczny w swym proteomowym zbiorniku ukrytym w sercu maszyny, natychmiast to zauważał. Statek chciał, by uświadomili sobie, że wie o nich wszystko. Minęła minuta, potem dwie i trzy. Gdy tak siedzieli, zastanawiając się, co robić dalej, sporządzono mapę wszystkich nici ich DNA. Jednocześnie matematyka statku mierzyła fluktuacje na poziomie długości Plancka w próżni tuż za granicą fotosfery miejscowej gwiazdy, gdzie ukrywała się reszta statku. *Poule de Luxe* dał im chwilę na podziwianie szerokiego zakresu dostępnych dla niego zachowań. Potem statek obrócił się powoli wokół pionowej osi i wyszedł ze studni grawitacyjnej z prędkością prawie czterdziestu dwóch machów, ciągnąc za sobą słabą, ale widoczną strugę zjonizowanego gazu.

– Kto nas ocali przed maszynami, Vic? – zapytał z westchnieniem Lens Aschemann.

Odpowiedzi nie było. Otwarte drzwi od strony kierowcy kołysały się na wietrze.

Rikszarka Pauliego DeRaada obserwowała to wszystko z odległości około dwustu metrów, stojąc na znajdującej się bliżej miasta części Placów.

Nie wiedziała, co o tym sądzić. Nie czuła się gotowa powiedzieć, że to była najbrzydlawsza albo najciekawsza rzecz, jaką w życiu widziała, ponieważ zawsze ogląda się coś nowego.

– A jeśli ktoś żyje z ciągnięcia rikszy, widzi wszystko – oznajmiła pasażerowi.

W tym przypadku „wszystko” znaczyło walające się po Placach ciała. Z wraku transportera wciąż buchały gęste kłęby białego ziarnistego dymu. Dwie małe sylwetki, wyglądające jak dzieci, pomagały sobie nawzajem odczołgać się na bok. Nie była pewna, co się stało z Pauliem DeRaadem, ale kiedy go ostatnio widziała, nie wyglądał za dobrze.

Jeszcze jedno: bryza dla odmiany się wzmogła, mogli więc liczyć na nadejście lepszej pogody. I drugie: gdy K-statek wzbił się w górę na linii światła przypominającej pęknięcie w strukturze rzeczywistości, od cadillaca oddaliła się sprintem sylwetka w czarnej czapce z polaru. To był ten facet, z którym rozmawiała – Vic.

– Potrafi nieźle biegać – przyznała. – Byłby naprawdę świetny, gdyby trochę potrenował. Albo, jeszcze lepiej, gdyby kupił sobie pakiet.

Deszcz przeszedł w mżawkę, oddalając się ku zachodowi, co jeszcze pogorszyło widoczność, widziała jednak, że Vic przerzucił sobie torbę przez ramię, a w ręce trzyma pistolet. Po minucie albo dwóch cadillac ruszył powoli po Placach, jakby zamierzał ścigać zbiega. Nim jednak kierowca zdążył wrzucić dwójkę, samochód się zatrzymał. Dobięły z niego krzyki – najwyraźniej trwała tam jakaś kłótnia. Drzwi po stronie kierowcy otworzyły się i z samochodu wysiadła kobieta. Potem wsiadła z powrotem i zatrzasnęła za sobą drzwi. Vic zostawił już za sobą Baltic Exchange i zniknął w strefie zdarzenia. Nie miejcie do mnie pretensji, pomyślała riksarka. Proponowałam, że go podwiozę.

– Widziałeś? – zapytała. – Pobiegł w niewłaściwą stronę.

Na dodatek do innych dręczących go problemów, z głosem jej pasażera również coś było nie w porządku. Wydał z siebie dźwięk brzmiący jak trzy tony muzyczne zagrane jednocześnie.

– Ćmy sparzone z lisami trzepią skrzydłami przy ich pyskach w pustynnym powietrzu – oznajmił, a potem się roześmiał. Z mrocznego wnętrza rikszy wyłoniło się kilka białych iskierek światła, dołączając do unoszących się za nią reklam. – Oblicza lisów są dla nich jak kwiaty, krążą coraz bliżej nich.

Annie wzruszyła ramionami. Jedni pasażerowie chcieli z nią rozmawiać, a inni nie. Tego również się z czasem nauczyła.

– Hej, jedziemy czy nie? – zainteresowała się. – Tu nie ma na co czekać.

– Jedziemy – odpowiedziały trzy głosy, jeden po drugim.

– Jak sobie życzysz, mój drogi.

Spojrzała raz jeszcze na różowego cadillaca. Westchnęła. To na sto procent był jej ulubiony samochód. Widok jego subtelnych kolorów i zamontowanych w wysuniętych wstawkach tylnych świateł był czymś najprzyjemniejszym, co ją dzisiaj spotkało.

– Chciałabym być taka ładna choć przez chwilę – powiedziała do siebie. Potem zawróciła riksę i potruchtała miarowo w stronę Saudade. – Nie martw się – uspokoiła chłopaka z Przylądka. – Wiem, gdzie cię trzymali.

– Jedziemy.

DZIEWIĘĆ

CZARNE I BIAŁE

Liv Hula miała w swoim pokoju niebieskaworóżową umywalkę księżniczki, ulokowaną pod ścianą naprzeciwko drzwi.

Oczom wchodzących ukazywało się po prawej stronie żelazne łóżko pomalowane na biało, nakryte jasnobezową narzutą. W jego nogach stał prosty drewniany pojemnik na pościel. Po drugiej stronie znajdowało się okno, za którym rozciągał się widok na pochyły stok, mokre dachy, szeregi wąskich uliczek, ciasne podwórka, a dalej fabryki i wąski segment strefy zdarzenia.

Na wprost, nad umywalką, wisiało lustro, szerokie na jakieś czterdzieści pięć centymetrów i pęknięte w połowie jednego z fazowanych brzegów. Poniżej była sama umywalka, ukształtowana na podobieństwo żłobkowanej muszli, z kostką lawendowego mydła i jednym kranem z zimną wodą. Pod kurkiem producenci dodali nieusuwalną plamę osadu. Miała ona kształt kijanki i szarawożółty kolor łuszczącej się podeszwy stopy. Liv posiadała też wiele innych przedmiotów, ale jeśli zaprosiła kogoś na górę, w pierwszej kolejności zauważał właśnie umywalkę. Była tak brzydka, że trudno było zrozumieć, dlaczego właścicielka wybrała coś takiego. Po przybyciu do Saudade pokój stał się jej szańcem przeciwko wszystkim Liv Hulom, którymi była przedtem. Zamykała drzwi i przeglądała się z uśmiechem w lustrze, podczas gdy z taniej reprodukcji kranu na wszystkie jej poprzednie wyobrażenia o sobie lała się zimna woda.

Liv stała na ulicy jeszcze przez długi czas po odejściu Vica Serotonina z klientką. Co chwila stawała na palcach i wyciągała szyję, myśląc, że znowu zobaczyła ich w oddali. To było tak, jakby oboje nadal oddalali się od niej po linii prostej i musiała tylko dostrzec ich sylwetki, wyodrębnić je z tła, w którym się roztopiły. Po jakiejś godzinie weszło słońce. Ruch na Straint Street stał się intensywniejszy. Potem, gdzieś w aureoli, rumb albo dwa w kierunku północnym, ku niebu buchnęły kłęby białego dymu. Niepewność Liv przeszła w odrętwienie.

Nie mogę tu stać wiecznie, pomyślała kobieta. Nie mogę tak sterczeć na ulicy. Nie chciała też jednak wracać do baru. Było jeszcze za wcześnie na picie. W barze mogłaby tylko sprzątnąć z kontuaru i policzyć butelki. Dlatego poszła do pokoju i spróbowała wyrwać umywalkę ze ściany.

Na podłogę posypał się pył. Rozległ się głośny trzask i umywalka przesunęła się lekko. Rury jednak nie puściły. Dlatego, choć mięśnie Liv pragnęły poczuć, że wyrwały zlew o własnych siłach, poszła poszukać narzędzi, które pomogą jej go rozwalić. W tej samej chwili usłyszała przeciągły grom dźwiękowy towarzyszący startowi K-statku. Brzmiało to tak, jakby huk okrążył cały świat i zderzył się z falą zmierzającą w przeciwną stronę. Zauważyła statek przez okno. Odleciał bardzo szybko! Wszystko przecięła linia blasku. Potem został tylko powidok, który przygasał, przechodząc z fioletu w mroczną purpurę, a potem w czerń. Kiedy mrugnęła, rozjarzył się znowu blaskiem neonowej zieleni, by zaraz zgasnąć na dobre. Wzrok Liv Huli podążał za nim. Kobieta podeszła do łóżka i zdjęła z niego pościel. Otworzyła okno i wyrzuciła ją na ulicę. Niesione wiatrem płachty łopotały i składały się w locie. Potem Liv podeszła z powrotem do zlewu i zaczęła szarpać go z uporem. Nie osiągnęła nic poza tym, że widziała w lustrze swą zaczerwienioną twarz i napięte mięśnie barków.

Pod łóżkiem trzymała ciężką blaszaną skrzynkę, pokrytą czarną emalią, na której ręcznie namalowano czerwone i żółte róże w stylu cygańskim. Liv Hula wyciągnęła pojemnik i zaczęła nim walić w umywalkę, aż ta pękła na trzy duże części. Dwie z nich odpadły od ściany. Dopiero wtedy Liv usiadła na łóżku i rozejrzała się gniewnie wokół. Skrzynka leżała na podłodze, tam gdzie upadła. W tej chwili Liv nie mogła sobie przypomnieć, gdzie wsadziła klucz. Siedziała bez ruchu, aż

wreszcie ranek się skończył.

Vic Serotonin dotarł do porzuconego punktu kontrolnego na granicy Placów. Usłyszał, że cadillac Aschemanna ruszył, a potem znowu się zatrzymał. Vic wiedział, że nic mu nie grozi. Cokolwiek wydarzy się później, mógł zapomnieć o przeszłości. Jakies sto metrów szedł wzdłuż płotu w kierunku północnym, aż wreszcie dotarł do miejsca, gdzie stojące po wewnętrznej stronie budynki zwały się na płot, tworząc strome rumowisko z cegieł i odłamków dachówek, z rzadka porośnięte miejscowym zielskiem. Otoczyła go mgła pograniczna, wilgotna i chłonna. Znieruchomiał. Tuż zza granicy dobiegał odgłos skapującej wody. Nieco dalej było słychać rytmiczny stukot drzwi kołyszących się na wietrze. Uśmiechnął się, zamknął oczy i wysunął głowę do przodu, jakby wystawiał twarz na pocałunki powietrza. Poczuł delikatny nacisk na kości policzkowe i wargi, przypominający rozciągniętą błonę, chłodną jak mgła.

Postrzeżenie stanu nie jest stanem.

Fenomenologia strefy – Emil Bonaventure często przypominał o tym Vicowi, jakby ten potrzebował przypomnienia – wyglądała następująco: w środku rzadko spotykało się to, co można było zaobserwować z zewnątrz, a po obu stronach granicy to, co można było wykryć wzrokiem, węchem czy smakiem, nie miało nic wspólnego z fizycznymi obserwacjami prowadzonymi przez liczne kosztowne satelity EMC. W rezultacie – dla Vica, podobnie jak dla Emila i wszystkich dawnych entradistów z Saudade, z ich karabinami cząstek, ich bliznami i swobodnym zachowaniem, sugerującym, że wiedzą coś, czego nie wie nikt inny – chwila przejścia była momentem maksymalnej niepewności i największej satysfakcji. Vic bez zahamowań przyznawał, że to go ekscytuje, sprawa nie była jednak prosta i nie można jej było w całości wytłumaczyć chemicznym składem krwi ani temperamentem (choć oba te czynniki mogły mieć pewien wpływ). Nie chodziło też o podniecenie często wywoływane niebezpieczeństwem zranienia, szaleństwa, śmierci lub nagłego okaleczenia (choć w strefie wszystko to z łatwością mogło się zdarzyć), ponieważ wydawało się, że tego typu skutki zawsze są negocjowalne – a do pewnego stopnia mogą się nawet okazać użyteczne.

Cóż więc tak ich ekscytowało?

– Jak mogę ci to wyjaśnić? – był zawsze zmuszony pytać Vic. – Trzeba tego spróbować samemu.

Gdy błona pękła, poczuł zapach przywodzący na myśl stertę wełnianych płaszczy, a usta wypełnił mu smak zgniłego awokado. Wiedział, że jest już po drugiej stronie. Otworzył oczy. Był tam, gdzie spodziewał się znaleźć. Nagi stok pokrywała warstwa pyłu, jakby domy przed chwilą się zawaliły. Mgła zniknęła. Było zimno. W połowie wysokości zbocza zauważył kwitnące drzewo wiśni. Białe płatki nabierające różowej barwy, skąpane w jasnym blasku. Dźwięk organów.

Z dzwonekami wiatrowymi mógłby się pogodzić. Były w granicach błędu, ale jeśli płatki emitowały choćby najśłabsze światło, powinieneś udać się w innym kierunku albo dać sobie spokój i wrócić do baru Liv Huli. W przeciwnym razie z pewnością spotka cię coś złego. Zamkną się przed tobą wszelkie opcje. Vic powlókł się w górę. Z każdym krokiem zbocze osuwało się spod jego stóp w luźnych muzycznych kaskadach połamanych dachówek. W tym punkcie duże znaczenie miał fart. Jeśli wszedłeś do środka przez Place, zamknąłeś oczy, przechodząc pod drzewem wiśni, obróciłeś się trzy razy i otworzyłeś je znowu, istniały spore szanse, że stok zamieni się w krótki ciąg znajdujących się pod dachem schodów.

Po poźółkłej ścianie po lewej stronie spływała woda, widoczna w rozbłyskującym od czasu do czasu świetle. Między jednym a drugim krokiem dzień zmieniał się w noc, a potem znowu w dzień. W pomieszczeniu na górze zawsze było popołudnie. Przez otwarte okno napływało do środka nierealne światło o ciepłym kolorze. Kwestia tego, co tam znajdziesz, niezmiennie pozostawała otwarta.

Najwyraźniej miało to jakiś związek z dniem tygodnia. Na przykład, Vic już we wczesnym okresie swej kariery zauważył, że jeśli opuszczał Place w środę, pokój był pusty, ale w stojącej na parapecie popielniczce zawsze leżał wypalony do połowy papieros. Trudno było nie ulec wrażeniu, że ktoś przed chwilą stąd wyszedł, co rodziło podejrzenie, że minął się z tobą na schodach.

Dzisiaj pokój wypełniało powolne tykanie mechanicznego zegara. Każdą płaską powierzchnię – rozkładany stół nakryty zielonym szenilowym obrusem, masywne brązowe meble, nadproże kominka, półki, wszystko poza podłogą – pokrywały czarne i białe koty.

Ich kwaśny odór był tu znacznie bardziej wyczuwalny niż w Saudade, intensywny i gęsty jak talk. Siedziały stłoczone tak gęsto, że nie mogły się ruszyć. Gdy tylko Vic znalazł się w pokoju, odwracały od niego wzrok. Nawet Emil Bonaventure zgadzał się, że jeśli weszło się do strefy przez Place między świtem a zmierzchem, koty wypełniały jej zewnętrzne obszary. Relacje jak zwykle były sprzeczne, ale zgodnie z doświadczeniem Vica każdy miał w życiu jakieś koty i w niektórych miejscach przypominały one gęste, pokrywające wszystko futro, coś w rodzaju depozytu. Zawsze siedziały nieruchomo i odwracały od ciebie wzrok, wciskając pyszczki w ściany, kąty, pajęczyny albo w swych pobratymców. Można by pomyśleć, że cię ignorują, wydawało się też jednak, że nie mają wyboru. Gdziekolwiek padło twoje spojrzenie, musiały się przed nim odwrócić. Emil był przekonany, że te dane wywodzące się z anegdotycznych źródeł będzie można kiedyś uzgodnić z pozastrefową nauką.

Vic Serotonin nie miał żadnej teorii w sprawie kotów.

Zatrzymał się pośrodku pokoju.

Tuż poniżej linii jego wzroku biegła ulica. Miał wrażenie, że na dole panuje spora aktywność. Słyszał śmiech. Stukot obcasów. Dzwonki riksza. Był środek lata, pora obiadowa, i ze wszystkich drzwi dobiegały dźwięki New Nuevo Tango. Czuł zapach *Café électrique*, Calpolu i innych egzotycznych środków pobudzających znanych z historii Starej Ziemi. Słyszał stuki i łoskoty, zgrzytanie łopat o wilgotny cement, drapanie kielni o zaprawę murarską, grzechot maszyn budowlanych. Tam, na dole, wszyscy byli bardzo zajęci albo mieli właśnie przerwę obiadową i jedli gruszki w zalewie solnej z nader interesującą sałatką złożoną z pozaziemskich liści. Zawsze tak było do chwili, gdy podszedłeś do okna i wyjrzałeś na zewnątrz. Wtedy hałasy natychmiast cichły i widziałeś, że coś z tą ulicą jest nie w porządku. Była jedynie wyobrażeniem. W obu kierunkach zakręcała ostro, biegnąc ku identycznym, przedwczesnym zachodom słońca, chodnikowe kafejki i latarnie narysowano w nierealistycznych, słonecznych odcieniach – gęstej, plakatowej żółci poprzesywanej czerwienią i błękitem, otoczonej intensywną czernią obwódok.

Ulica była pusta i cicha. Vic gapił się na nią przez pewien czas.

Po minucie czy dwóch zabrzmiał akordeon. Zagrał pół taktu *Hernando's Hideaway*, a potem umilkł i Vic zobaczył – tak, jak na to liczył – Elizabeth Kielar, powoli oddalającą się od niego środkiem ulicy. W strefie czas nie biegnie tak samo jak poza nią i raz przyniesie ci to szczęście, a innym razem nie.

– Elizabeth! – zawołał. – Elizabeth!

Odwróciła się i zobaczył, że jej twarz jest białą plamą. Rysy zniknęły. Zastanawiał się przez chwilę, czy to rzeczywiście ona. Potem jednak znalazł się na ulicy i Elizabeth była tylko dwadzieścia metrów od niego. Przyśpieszyła kroku, jakby chciała przed nim uciec, jakby Vic był częścią tego miejsca, kolejnym dziwnym tworem, któremu nie mogła zaufać i z którym nie chciała mieć nic wspólnego. Na dole nic nie wyglądało tak samo jak oglądane z góry, ale przecież Vic się tego spodziewał. Ulica znowu sprawiała wrażenie realnej, ale wydawała się też starsza i brudniejsza.

Nad sklepowymi oknami wsiady podarte markizy. Mocno wypalone cegły miały metaliczny połysk żuźla. Gdy mijales otwarte drzwi, dobiegały cię wonie starych dywanów, obitych skórą krzesel i politory do mebli, pomieszane z jakimś zdecydowanie medycznym zapachem, którego nie potrafiłeś nazwać. Elizabeth zatrzymała się nagle i zaczęła, aż mężczyzna ją dogoni.

– Boję się. Jak tu trafiłeś?

– Myślałem, że cię zgubiłem – odparł Vic. Spróbował ją objąć, ale odsunęła się od niego.

– Nie – powiedziała. – Posłuchaj, byłem na plaży. A teraz jestem tutaj. – Rozejrzała się wokół ze zboląłą miną. – Nie płaciłam za to. Gdzie byłeś? – Schowała rękę do kieszeni futra. – A gdzie ja byłam? – zapytała samą siebie.

– Mogłabyś mi opowiedzieć, jak to wyglądało? – zapytał Vic.

– Nie pamiętam tego.

– A czy w ogóle pamiętasz cokolwiek od chwili opuszczenia Baltic Exchange?

Chciał powiedzieć: „Ostrzegalem cię”. Chciał powiedzieć: „Niebezpiecznie jest przychodzić tu w poszukiwaniu części siebie”.

– Byłam na plaży – odparła. – Jakiś facet spacerował z dwoma psami. – Przyglądała się, jak chodził z nimi w tę i we w tę, w tę i we w tę, raz po raz pokonując ten sam dwustumetrowy odcinek, choć przecież miał do dyspozycji długie kilometry plaży. Jego odbicie dotrzymywało kroku odbiciom obu zwierząt w morskiej wodzie. Co chwila zatrzymywał się, by nabrać wody w dłoń i spryskać im brzuchy. – Poddawały się temu tak cierpliwie! – Wpatrywały się przed siebie, nie zmieniając pozycji, w jakiej stanęły, aż wreszcie jeden z nich wygiął grzbiet w elegancki łuk, próbując się wypróżnić. Potem cała trójka wdrapała się na strome osypisko i rozpuściła się w deszczu, przechodząc w rozkołysaną plamę.

– Poszłaś za nimi. Był wieczór, zobaczyłaś światła.

– Nie.

– I znalazłaś się tutaj – skwitował Vic.

– Te psy były delikatne jak małe dziewczynki – ciągnęła. – Nie mogłam powstrzymać śmiechu.

Czułam się, jakbym sama znowu była małą dziewczynką.

– To nie była plaża. To nie były psy.

Odwróciła się plecami do Vica i ruszyła przed siebie.

– Mów sobie, co chcesz, idę do strefy.

– Elizabeth, już jesteś w strefie.

– Czy któryś z was w ogóle cokolwiek wie?

Na to nie potrafił jej odpowiedzieć.

Pół godziny po ucieczce Vica Serotonina, nad Placami nadal unosił się dym. Ciały leżały na ziemi w nienaturalnych pozycjach. Jedno z żyjących jeszcze dzieci-śmieci umarło, drugie zaś przestało się czołgać po betonie i z jego ust popłynęło dziwne, wysokie zawodzenie. Doznało poważnych urazów głowy. Na miejsce przybyło sporo funkcjonariuszy z Wydziału Przystępstw Strefowych. Większość nosiła miejscowe mundury. Przyjechali tu w wielkich pojazdach patrolowych, zwabieni widokiem dymu. Zjawily się też ekipy ekspertów z Wydziałów Higieny, Kwarantanny i Nadzoru; ekipy, których zadaniem była koordynacja działań z EMC; oraz ekipy, których zadaniem była koordynacja pracy ekip. Specjaliści urządzali na Placach nieformalne zebrania, by uzgodnić sprawy protokołu. Stawiali kołnierze dla ochrony przed deszczem albo gapili się na dach Baltic Exchange, który zawalił się wkrótce po odlocie *Poule de Luxe*. Jedna grupka zebrała się wokół rannego dziecka. Niektórzy zawierali zakłady, inni powtarzali głośno: „Słyszysz nas? Potrafisz nam powiedzieć, kto ci to

zrobił?". Potem mówili ze zmęczeniem w głosie: „Zapomnijmy o nim, koledzy. Ma przesrane”.

Omijali z daleka samochód Aschemanna, choć czasami próbowali spoglądać w oczy asystentce, której sława dotarła do nich za pośrednictwem takich czy innych biurowych kanałów informacyjnych. Ze swej strony kobieta nie miała nic do powiedzenia. Opierała się o tylny błotnik cadillaca, promieniując ciepłem produkowanym przez jej podkręcony metabolizm – podobnie jak najnowocześniejsze produkty Preter Coeur, miał on fazę, podczas której spalał czterdzieści procent własnych odpadów komórkowych – i patrząc z pogardą na wszystko poza swym strumieniem danych. Od chwili ucieczki Vica nie odezwała się ani słowem.

– Czuję się dogłębnie wstrząśnięty – poinformował ją Aschemann i położył rękę na jej ramieniu.
– Dziękuję za wszystko, co zrobiłaś, ale może następnym razem mogłabyś zabić trochę mniej ludzi?

Wzruszyła ramionami.

– Jesteś zła?

– To od początku nie było śledztwo. To była totalna klapa.

Jej oczy straciły wyrazistość. Powiedziała coś do swej łącznicy. Jakiś czas temu wezwała kolejną ekipę szturmową, ale było już za późno, by złapać Vica, a za Pauliego nigdy nie była odpowiedzialna. Gdy Aschemann przypomniał jej o tym fakcie, wysiadła gniewnie z samochodu i zatrzymała się w odległości kilku kroków, spoglądając we wszystkie strony, tylko nie na niego. Uklękła obok Alice Nylon i odgarnęła włosy z jej martwej, wymizerowanej buzi.

– Nie rozumiem, dlaczego to wszystko musiało się wydarzyć – oznajmiła Aschemannowi. – Nie rozumiem, dlaczego musisz udawać starego i każesz się wozić w samochodzie z historycznej epoki. W tej kulturze nikt już nie musi być stary. – Wzięła Alice za ramiona i potrząsnęła nią lekko, jakby dziewczynka po prostu zasnęła i ukrywała jakąś tajemnicę, która zmieniłaby życie ich obu, gdyby tylko Alice zechciała się nią podzielić. – Doszło do ucieczki – przypomniała mężczyźnie. – Nie rozumiem, dlaczego nie możesz prowadzić śledztwa tak samo, jak wszyscy.

– Przepraszam – odrzekł Aschemann.

Ta odpowiedź sprawiła, że kobieta wróciła do samochodu i przyjrzała się z namysłem detektywowi.

– Jak się nazywasz? – zapytała.

– Słucham?

– Jak się nazywasz?

– Chyba nie musisz o to pytać? Aschemann.

– Tak właśnie zwracała się do ciebie żona? Aschemann, podaj mi humus, Aschemann, przysuń mi krzesło, żebym mogła zdjąć tę butelkę czarnego rumu. Aschemann, jesteśmy starzy i któregoś dnia umrzemy.

Detektywa zabołały te słowa.

– Mam na imię Lens – oznajmił.

– No więc, Lens, miło było cię poznać. Ty nigdy nie zapytałeś mnie o imię, ale ja przynajmniej zapytałam ciebie. Składam rezygnację.

– Nie...

– Przeniosą mnie, gdy tylko będzie po całej tej katastrofie.

Sprawiał wrażenie, że jej nie słyszy.

– Kiedy opuściłem Utzie – zaczął – łączyła się ze mną i mówiła: „Ludzie myślą, że samotne życie to porażka, ale w rzeczywistości wcale tak nie jest. Porażką jest życie z drugą osobą, ponieważ nie potrafimy znieść myśli o czymś innym”. – Zachichotał. – A dwa dni później słyszałem: „Być zamkniętym w ciasnym pomieszczeniu z samym sobą przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, oto

prawdziwe życie, bez chwili ulgi. Lens, najgorsza rzecz na świecie to znaleźć się wewnątrz siebie i nawet nie pragnąć ratunku. Ale z drugiej strony, bycie szczęśliwym, jak my ze sobą, otworzenie się na kogoś innego, grozi porażką na całej linii".

W jednej chwili łączyła się z nim, by opowiedzieć mu o swoich planach, chciała założyć ogród za bungalowem – pszonaki, maki i irysy zmodyfikowane genetycznie, by pachniały czekoladą – a w następnej okazywało się, że jej brat umarł na raka jelit. Komu się to zdarzało, odkąd skończył się dwudziesty pierwszy wiek? Zrobił to z wyboru. Styl życia całej rodziny był jedną wielką katastrofą.

– Nikt też nie musi nikogo tracić – ciągnął Aschemann. – Być może chciałem się dowiedzieć, jak to jest. Utzie...

– Wiem wszystko o Utzie – przerwała mu kobieta.

Aschemann przeszył ją zdumionym spojrzeniem.

– Kto cię uczynił odpowiedzialną za mnie?

– Ty wszystkich czynisz odpowiedzialnymi za siebie.

Oddaliła się i wdała w rozmowę z mundurowymi. Wszyscy skupili się teraz wokół umierającego dziecka, Aschemann nie rozumiał dlaczego.

– Byłaś dobrą asystentką! – zawołał za nią. – Czego się boisz? Że mogłabyś się czegoś nauczyć? Niby jak? Przecież już wszystko wiesz?

Osunął się za kierownicę i włączył silnik. Zważywszy wszystko razem, cieszył się z tego, jak ułożyły się sprawy. Stracił Vica, ale nadal miał notes Emila Bonaventure'a. Pomyślał, że mógłby złożyć dach, dzień był całkiem ładny. Wrzucił jedynekę, a potem dwójkę, zmiany były gładkie, stary silnik pracował nieśpiesznie, daleko poniżej czerwonej linii. Mimo to, Aschemann szybko rozpędził samochód do osiemdziesięciu, dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Zatrąbił na grupę mundurowych. Ludzie zaczęli krzyczeć coś do łącznic. Wszyscy na całych Placach przyglądali się z narastającym zdumieniem cadillacowi, który wkrótce rozpuścił się we mgle pogranicznej. Asystentka – która, gdyby była ze sobą szczerą, musiałaby przyznać, że od początku spodziewała się czegoś w tym rodzaju – załadowała udoskonalenia, aż do granic możliwości operacyjnych, próbując przeciąć mu drogę, było już jednak za późno.

Jakieś dziesięć minut po tym, jak dogonił ją Vic, Elizabeth Kielar odkryła porzucony na drodze gipsowy manekin, mający wyobrażać pięcio- albo sześciolatek.

Był nagi i łysy, miał szarawopłowy kolor, jaki widuje się u manekinów na wystawach wszystkich sklepów wuja Suwaka. Na głowie miał czarny mundurowy beret z jakiejś aktualnie lansowanej wojny międzygwiazdnej, a po tułowię łaziły mu barwne żywe szpilki, których białka wywodziły się z DNA jadowitych żab z rodziny drzewołazów. Górne kończyny połączono z torsem stawami, by umożliwić ich ruchomość, ale resztę wykonano z jednej bryły. O ile Vic wiedział, manekin leżał tu już od półtora roku. Musiał przekonywać kobietę, żeby go nie ruszała. Obrzuciła go buntowniczym spojrzeniem, a potem się uśmiechnęła.

– Na pewno jest mu bardzo smutno, bo nie ma genitaliów!

Po oknie na końcu ulicy przemknął cień ptaka.

– Vic, chodźmy tam!

– Czy wiesz, po co tu przyszłaś?

Nie chciała tego powiedzieć. To był pojedynek na siłę woli.

– Będzie bezpieczniej, jeśli twoje oczekiwania nie będą zbyt wysokie – próbował jej wytłumaczyć, ale Elizabeth z każdą chwilą prowadziła ich głębiej w strefę. Jej metoda była prosta: jeśli nie chciał się z nią zgodzić, po prostu odchodziła. Im bardziej się oddalali od utartej ścieżki,

tym silniejszy stawał się niepokój Vica i tym łatwiej było go namówić do kolejnego niebezpiecznego zakrętu. Zawsze bał się czegoś takiego.

Krajobraz nadal się zmieniał. W jednej chwili szli przez opuszczoną dzielnicę mieszkalną (choć na rogach stały czekające na klientów kobiety odziane w swe najlepsze ubrania, wszystkie zniknęły, gdy tylko się do nich zbliżyli), w następnej zaś mijali przemysłowe ruiny. Gdzieś w oddali, z budynku przypominającego koksownię wzbily się ku niebu flary, ale bliżej wszystko było zniszczone i zarosło zielskiem. Dawne zbiorniki separacyjne zamieniły się w płytkie jeziora o błotnistych brzegach chemicznej, rdzawoczerwonej barwy. Po niebie przemknęło coś ogromnego. Skuliłeś się odruchowo na widok cienia, a potem zobaczyłeś, że to tylko gumowa kacuszka, patrząca na ciebie z góry – zaglądnąca do środka – inteligentnymi oczyma namalowanymi jaskrawoniebieską farbą. To był hipermarket bezsensu, w którym jedynym błędem – o ile Vic potrafił się zorientować – byłoby mieć określony cel zakupów. To właśnie pomysł, że można stworzyć mapę tych terenów, opisać je stosownie do swych potrzeb, stał się pułapką, która tak skutecznie zdeorientowała ludzi z pokolenia Emila Bonaventure'a. Bezpieczniej było najpierw nauczyć się, jak wszystko tu działa, a potem zgromadzić portfel nawyków, behawioralnych tików graniczących z psychotycznym reżimem, które zastępowały jasny układ odniesienia i chroniły przewodnika przed szkodą.

– Wszystko tu cuchnie siarką – poskarżyła się Elizabeth. – Ty też to czujesz? Wchodzisz czasem do budynków, kiedy tu jesteś? – zainteresowała się. – Och, Vic, wejdźmy do jednego z nich! Moglibyśmy się pierdolić w środku. Czy to nie byłoby fajne? Nie podnieca cię ta myśl?

Wy tłumaczył jej, dlaczego to zły pomysł, i po krótkiej chwili jej nastrój się popsuł. Często milczała przez długi czas, a potem wypowiadała gorzkie słowa znużonym, przygnębionym tonem, jakby rozmawiała z byłym kochankiem.

– Nie widzisz, że nie mogę teraz mówić? – pytała. – Tutaj? – Vic nie prosił jej, by cokolwiek mówiła. – Życie, jakie teraz wiodę – ciągnęła. – Życie, jakie wiodłam. Nie byłam taka. Nie byłam taka, ale teraz jestem.

– Ona w ogóle się nie oddała – dodała po chwili.

– Słucham?

– Mówię o tej fabryce. No wiesz, Vic, ciągle idziemy w jej stronę, a ona w ogóle się nie oddała.

– Tutaj to się zdarza – odparł, by coś powiedzieć.

W końcu z ulic wygnały ich deszcz i zapadająca ciemność. Vic nie chciał wchodzić w żadne miejsce, którego nie znał, ponieważ każde z nich szybko mogło się przerodzić w arenę jego najgorszych oczekiwań. Była jednak noc – taka, jaką znano w Saudade – i Elizabeth marzła. Kobieta spojrzała na deszcz padający na nią poprzez liczne warstwy bijącego znikąd światła, a potem popatrzyła na swe ubranie.

– Okropnie mi zimno, Vic – oznajmiła zaskoczonym tonem. – Zabierz mnie do domu.

Z jakiegoś powodu było to najmniej ludzkie ze wszystkiego, co powiedziała przez cały dzień.

Dokądkolwiek zajrzeli, wszędzie było pełno kotów. Wcisnęły pyszczki w kąty, ustawiały się w rzędy pod ścianami, balansowały na poręczach foteli, ściśnięte tak mocno, że nie mogły się ruszać. Vic poczuł ulgę na widok takiego zagęszczenia.

– To znaczy, że nie zapuściliśmy się jeszcze zbyt głęboko.

Na parterze wybranego przez niego budynku nie było wewnętrznych ścian, choć można było zobaczyć ceglane kikuty, które po nich pozostały. Niedawna powódź wypełniła wnętrze osadem, który wyglądał na twardy i ubity, dopóki się go nie dotknęło. Wtedy zamieniał się w miękkie, kruche jak opłatek struktury żyłkowane kolorami. Kilka metrów niżej znajdowało się coś w rodzaju komory rozprężeniowej. Słyszeli, że od czasu do czasu przepływała przez nią znaczna ilość wody. Poza tym

nie było tam nic oprócz ech. Elizabeth wyteęzała przez pewien czas słuch, a potem skinęła głową, jakby godziła się z nieuniknionym.

– Pamiętam śnieg, który padał bardzo powoli – zaczęła. – Wielki jak monety. W długim ogrodzie pogrążonym w mroku. Pamiętam zdeptany śnieg na chodniku przed budynkiem. A potem było uliczne targowisko i martwy kot w rynsztoku.

Vic doszedł do wniosku, że kobieta opisuje proces, sekwencję, a nie same wspomnienia. Otulił ją swym płaszczem, a potem położył rękę na jej ramionach. Skulili się pod jedną ze ścian, jak najdalej od szumu wody. Elizabeth ujęła twarz mężczyzny w dłonie i zaczęła go całować. Potem rozsunęła nogi i włożyła jego rękę do środka.

– Gdzie się urodziłaś? – zapytał ją później.

– Vic, nie wiem – odpowiedziała zgodnie z jego oczekiwaniami.

Gruby Antoyne i Mona Irene siedzieli w Długim Barze w Café Surf. Od chwili, gdy sypnęli Vica Serotonina Wydziałowi Przepisów Strefowych, minął nieco ponad miesiąc. Antoyne miał nowy garnitur – żółty i dwurzędowy, z guzikami ozdobionymi hologramami przedstawiającymi Irene, śmiejącą się i powtarzającą, że Antoyne zawsze będzie jej gwiazdą. Pili Boiru Black, a do tego jakiś miejscowy napój, którego Irene nigdy przedtem nie próbowała. Mówiła na to „pojeb”, ale Antoyne pomyślał, że pewnie się przesłyszał. Był wczesny wieczór. Kończący się dzień był słoneczny, choć na ulicę Corniche kilkakrotnie spadły ulewy, przynoszące radość i smutek. Irene stwierdziła, że taki dzień pozwala dostrzec prawdziwą równowagę wszechrzeczy, ponieważ pogoda odzwierciedla zarówno pozytywne, jak i negatywne aspekty nastroju.

– To dobrze, że bierzemy udział w wielkiej huśtawce życia – mówiła – ale nie zapominaj, że dla tej dziewczyny szala zawsze musi się przechylić na pozytywną stronę.

Pod znakiem z napisem *Co dzień muzyka na żywo* czas płynął powoli. Przed dwudziestoma minutami, ustawivszy sprzęt i przełknąwszy z zadowoleniem Gin Rickey, dwaj muzycy rozpoczęli występ od trwającej cały ten czas eksploracji skomponowanej przez nich melodii, której nadali tytuł *Adipose Annie*. Annie nie odsłoniła się dziś jednak przed nimi ani przed nikim w lokalu. Saksofonista zbył propozycję zagrania solówki wzruszeniem ramion. Zjedli parę przekąsek, powtórzyli temat i odlecieli z miasta pierwszą rakieta. Goście lokalu potrząsnęli ze smutkiem głowami, sięgając do swych rezerw dobrej woli. Muzycy i słuchacze postanowili zachować siły na później, co z pewnością ułatwiało porozumienie. Antoyne i Irene zaklaskali od niechcienia, razem z resztą gości, a potem grubas zamówił jeszcze jedną kolejkę.

– Mam chandrę – oznajmił. – Mogę to przyznać.

– Wiem dlaczego, Antoyne – rzekła Mona, kładąc mu dłoń na przedramieniu. – Niech ci się nie zdaje, że nie wiem. Dobrze, że mamy chociaż ten wieczór.

Gdy dwa dni po zniknięciu Vica i Pauliego do Saudade przybyli znajomi DeRaada, w pierwszej kolejności przejęli należący do niego klub. Potem w Semiramide nie było już tak miło. Jak mówiła Irene, pracy było pod dostatkiem, ale dawał się odczuć brak Pauliego, który zawsze potrafił coś powiedzieć dziewczynie. Faceci z EMC chcieli wytropić wszystkie meliny DeRaada, ale nikt nie potrafił powiedzieć im o nich zbyt wiele. Interesowali się też jego nawykami od chwili, gdy zachorował. Cały czas siedzieli w gabinecie, który wypełnili nadświetlnymi routerami, sprawdzali też operatory-cienie Pauliego za pomocą profesjonalnego oprogramowania o wielkich możliwościach. Szukali czegoś, ale nie chcieli powiedzieć, czego. Być może sami tego nie wiedzieli. Irene mówiła, że wszystko to byłoby w porządku, gdyby nie fakt, że prawie wcale nie dawali im zarobić, podczas gdy Paulie przed chorobą zawsze był nimi zainteresowany.

– Ten facet nie oszczędzał pieniędzy, podobnie jak własnego zdrowia – skonkludowała. – Potrafił sprawić, że kobieta czuła się doceniana.

Grubas gapił się na kieliszek.

– Szkoda go – mruknął. Nie przychodziło mu do głowy nic innego.

– Antoyne – odezwała się Mona. – Po tym wszystkim nie potrafisz już się bawić. Co musimy zrobić, żebyś odzyskał tę zdolność?

Grubas potrząsnął głową i odwrócił wzrok.

Bar zakończył już długą podróż z dnia w noc. Poza firmowym daniem, czekoladową lasagną, szef kuchni oferował również ementaler i kapary w cieście ptysiowym, a do tego cappucino z grochu włoskiego. Jakby w odpowiedzi, keyboardzista i saksofonista odnaleźli zagubiony rytm, ukryty w chamamowym remiksie popularnego standardu *Barking Frog Buzz*. Zapachy, muzyka, bijący z kuchni żar: w sali zaszła dramatyczna zmiana, z początku nieśmiała i stopniowa, pojawiająca się w małych, izolowanych obszarach tu i ówdzie, a potem katastroficzna, niepowstrzymana, globalna. Hałasy przybierały na sile. Regularna klientela, skupiająca się w napromieniowanej strefie pod świecącym znakiem, przystąpiła do masowej konsumpcji Dziewięćdziesięcioprocentowego Neonu i piwa Giraffe. Noc wyglądała tak samo jak wszystkie w Café Surf. Gdy muzyka grała już przez pewien czas, w przestrzeń między orkiestrą a barem zaczęli się wciskać nowi przybysze. Zachowywali się bojaźliwie – niepewni, czego się od nich oczekuje i czego sami oczekują od siebie – byli jednak młodzi, podatni, labilni i skorzy do tańca. Na ich twarzach nic jeszcze nie napisano, a w oczach nie było nic poza odbiciami barowych świateł, odbijających się w szklankach i butelkach, odbiciami odbić. Choć były ciepłe, nie dało się z nich nic wyczytać. W pierwszej chwili można by uznać, że powinno się na nie patrzeć tylko w takim oświetleniu – i to wyłącznie przez chwilę, nim skieruje się wzrok na coś innego. Mieli pragnienia, ale jeszcze nie wiedzieli, na czym one polegają. Mrugali, oślepieni neonowym światłem, pili łączywie przy barze, szybko nawiązywali przyjaźnie, jak dzieci albo zwierzęta, a potem brali się pod rękę i śmiało ruszali w noc.

Irene zastanawiała się, czego tam szukają.

Pomyślała, że miłości. Pomyślała, że spełnienia.

– Czy też tak sądzisz, Antoyne?

Odpowiedział, że nie ma zdania na ten temat.

– Ale czy nie masz nadziei, że tak jest?

Antoyne odparł, że może jedynie powtórzyć to, co już raz powiedział. Potem zerwał się tak nagle, że aż przewrócił stół.

– Jezu – wyszeptał.

Dopił trunek, otarł usta grzbietem dłoni i – nie odzywając się ani słowem do Irene – przepchnął się przez tłum wypełniający Długi Bar i zatrzymał z drżeniem na ulicy Corniche, spoglądając na plażę, gdzie przed miesiącem sypnął Vica Serotonina. Był przypiływ. Dwie kobiety i mężczyzna próbowali uprawiać seks na wąskim pasie piasku oświetlonym blaskiem ulicznych latarni. W zimnym powietrzu unosił się ich śmiech.

– Tutaj! Nie, tutaj!

Ktoś zaśpiewał dwa albo trzy takty tanga. Twarz mężczyzny była białą plamą przyjemności widoczną pod czarnymi, zaczesanymi do tyłu włosami. Antoyne chciał ich zawołać, ale nie był w stanie tego zrobić. Czuł się jak zamrożony w jakiejś innej formie czasu. Na jego oczach wszyscy troje opuścili plażę, poprawiając ubrania, a potem wzięli się pod rękę i oddalili w blask latarni.

Tam właśnie znalazła go Irene. Stał przy ulicy i gapił się w stronę Saudade. Po twarzy spływały mu łzy.

– Antoyne, kochanie, co się stało? – zapytała.

– To był Vic, Widziałem go.

– Kochanie, pomyliłeś się. Vic odszedł i już nie wróci. Był zbyt skupiony na swym wnętrzu, by znaleźć inną drogę. Przestań wyrządzać sobie taką krzywdę! Vic Serotonin nie miał serca, ale ty masz największe serce na świecie, Antoyne! Wracaj do środka. Proszę, wracaj do środka.

Grubas potrząsała głową, ale pozwolił, by go zaprowadziła do Długiego Baru. Zespół grał, w sali pojawiali się wciąż nowi przybysze. Śledził ich wzrokiem, gdy odchodzili.

– Życie toczy się dalej, Antoyne. Zawsze toczy się dalej.

To była chwila kryzysu dla Antoyne'a Messnera. Potem już było mu łatwiej. Z każdą chwilą coraz skuteczniej przyswajał sobie dary szczęścia i wiary w siebie.

Cadillac siłą rozpędu wjechał do połowy wysokości długiego nasypu z popękanych ceramicznych dachówek. Potem zwolnił, nagle ześliznął się nieco w dół i przewrócił na bok po stronie kierowcy. W górę buchnęły kłęby pyłu. Przez minutę czy dwie, gdy stok odzyskiwał równowagę poprzez małe lawiny schodzące w przypadkowych miejscach ze słabnącą siłą i częstotliwością, mężczyzna podobny do Einsteina nie robił nic. Cieszył się, że może chwilę odpocząć, zwisając niezgrabnie na pasie bezpieczeństwa, z podbródkiem wciśniętym w obojczyk.

Na okolicę padała niebieskawa, pozbawiona źródła poświata. Wszystko sprawiało wrażenie pomieszanego ze sobą. Z samochodu wyciekały płyny, z umysłu mężczyzny zaś wszelkiego rodzaju myśli i obrazy.

– To od początku nie było śledztwo – skarżyła się jego asystentka. – Aschemann, dałbyś światu całego siebie, gdybyś tylko potrafił się odnaleźć – mówiła jego żona. Gdy ujrzał ją po raz pierwszy, pomyślał to samo o niej. To było na ulicy Corniche, późnym, letnim popołudniem. Morze lśniło w promieniach słońca łagodnym, stalowym blaskiem. Kobieta siedziała pod kawiarnią i jadła loda. Miała żółtą jedwabną suknię i okulary tak ciemne, że musiała je unieść, by na niego spojrzeć. Otaczała ją aura dezorientacji. Jej oczy były podkrążone, jakby miała za sobą ich wspólne życie. Po godzinie siedziała już na jego kolanach z tyłu rikszy, a uniesioną jedwabną suknię owinęła wokół talii.

Aschemann uśmiechnął się na to wspomnienie.

Rozpiął pas i wysiadł z cadillaca.

Jesteś już wewnątrz i cokolwiek się stanie, z pewnością nie będzie to dobre, pomyślał, odwracając czubkiem buta połamane dachówki. Potem otworzył dziennik Bonaventure'a w przypadkowym miejscu i spróbował porównać wyczytany tam opis z otaczającym go krajobrazem, jakby wspomnienia Emila mogły stać się dlań przewodnikiem po związku łączącym Aschemanna ze światem.

„Pojazd zepsuł się natychmiast” – zanotował Bonaventure. „Spaliśmy w starej rurze odprowadzającej. G często się budził, słyszał w nocy szczury. Wrzody nadal mu dokuczają. Zostały nam cztery litry wody”. Tym słowom towarzyszyło coś pośredniego między mapą a rysunkiem. Kropkowane linie łączyły ze sobą różne, schematycznie przedstawione obiekty. Nie było w tym perspektywy, odległość od patrzącego przedstawiano za pomocą wysokości na stronie. „Komorę rozprężeniową regularnie zalewała woda byliśmy zmuszeni wrócić tą samą drogą, którą przyszliśmy. Lupercu opisuje tu »owadzi sejmik«, ale ja widziałem tylko las na wzgórzach i [nieczytelne]”.

– Emil, Emil – skarcił go Aschemann, jakby stary entradista był tu razem z nim. – Nikt z nas nie robi niczego z właściwych powodów.

Odrzucił notatnik i oddalił się w kierunku, w którym akurat patrzył, czyli w górę stoku. Potem

wędrował po strefie chyba przez kilka tygodni. Nie był głodny ani spragniony, ale nocą doskwierał mu chłód, a jego ubranie szybko się rozpadało. W czymś, co uważał za światło księżyca, widział wokół siebie coś, co zwał pustkowiami. Przeszywany falami zmian krajobraz uparcie pozostawał pokryty budynkami. Choć wiele z nich było nietkniętych, drzwi i okna zniknęły, a z wnętrz usunięto wszystko, co można by uznać za domowe, czy nawet ludzkie. Można było zajrzeć do piwnic, pełnych ciasnych płaskich skupisk wielkich i białych jak kość wszy albo zjonizowanej mazi przypominającej ektoplazmę, pozostałej po inteligentnych reklamach. Z początku wzdłuż rynsztoków stały czarne i białe koty, wszystkie zwrócone tyłem do niego. Zawsze były też kartki włożone w okna; riksza znikająca za rogiem; śmiech słyszalny tam, gdzie nikogo nie było. Nad wszystkim unosiła się woń przypominająca zapach wytapianego tłuszczu. Przypomniało to Aschemannowi rozmowę z Vikiem Serotoninem, tym skorumpowanym przewodnikiem dusz.

– Tylko prostytutki twierdzą, że wszystko tam jest proste – powiedział mu wtedy Vic. – A co oni stamtąd przynoszą? Ni chuja. Za pokój motelowy z tak brudną pościelą nie powinno się płacić ani grosza. Powietrze pachnie smalcem. To smród kodu. Zobaczysz coś, złamiesz zasady i bach: śmierć. A nawet coś gorszego niż śmierć. Nigdy niczego nie zbieraj. Nie pozwól, żeby coś ciebie zebrało.

Umierające reklamy oddzieliły się nagle od piwnicznej mazi, jakby chciały potwierdzić te słowa albo przynajmniej sprawić, by lepiej wyglądały. Składały mu na wpół zapomniane propozycje, oferty, których nikt nie mógłby zaakceptować ani zrealizować.

Wszystkie leki na zaburzenia seksualne za taniom ceną

99% gwarancji

by skorzystać z tej limitowanej oferty, nie odpowiadaj

To były psy pływowe, niezapamiętane wspomnienia miejsca, które nigdy nie było dwa razy tym samym. Najbardziej zdeterminowane z nich podążały za nim całymi dniami, przybierając postać małych, kolorowych lamp albo, rzadziej, rysunków małych, kolorowych lamp, kołyszających się w powietrzu tuż za jego lewym ramieniem. Zużywały się bardzo szybko i wkrótce został tylko jeden. *Tak wymowne zegarki powinny należeć do pięknych kobiet* – informował go niestrudzenie. *I: Możesz otrzymać dyplom jeszcze dzisiaj.* Czy można było uznać, że go zebrano? Detektyw nie był tego pewien. Stracił asystentkę. Stracił samochód. Stracił kontakt z codziennością. W zamian strefa dała mu ulotnego towarzysza, pozbawionego wytrzymałości, ale za to bardzo upartego. Aschemann nie był pewien, co będzie musiał mu ofiarować. Gdy przez całą noc leżał w stanie półsnu w jakimś płytkim strumieniu, prosta melodyjka reklamy i jej delikatne migotanie, przywodzące na myśl skrzydełka ćmy, dawały otuchę.

Z czasem zaczął ją darzyć równie prostym uczuciem.

Co to jest córka?

Późnym wieczorem, osiem tygodni po zniknięciu Vica Serotonina i Lensa Aschemanna, Edith Bonaventure wcisnęła się w kostium, który nosiła w wieku siedemnastu lat, i wybrała się pod bramę korporacyjnego portu w Saudade. Położyła skrzynkę z akordeonem na cementowym chodniku, rozłożyła ją, przypięła instrument i zaczęła grać. Statki wycieczkowe ze wszystkich większych linii górowały nad nią niczym ruchome śródmieście, ich podniszczone, nadpalone kadłuby zakrzywiały się lekko, znikając w nisko wiszących chmurach. O tej porze nocy padał deszcz i była mgła. Halogenowe lampy portu lśniły jak zamazane białe kule, chodnik był czarny i śliski, przeszywały go ulotne ślady pozostawione przez koła riksza. Kostium Edith, uszyty ze sztywnego sztucznego ałasu o jaskrawym rdzawobrązowym kolorze, nadal na nią pasował, choć wydawała się w nim raczej tęga. Podniecenie, od którego odwykła, pokryło rumieńcem jej policzki i odsłonięte uda. Choć raz zostawiła ojca

samemu sobie. Mógł sobie wypaść z łóżka albo w nim zostać, jak woli. Oznajmiła mu, że dzisiaj będzie to zależało tylko od niego. Każdy miał prawo wyboru.

– Emil, możesz sobie pooglądać startujące statki albo rozerwać się rzyganiem na siebie. Ja ruszam do Dzisiejszego Świata, poderwać jakiegoś faceta.

– Czy moglibyście przynieść mi butelkę...

– Chciałbyś.

– ...a potem dla odmiany robić to cicho?

Emil czuł się dobrze, być może zapominał już o ucieczce Vica. Nie wiedziała, dlaczego okłamała go w taki sposób. Była pewna tylko jednego: chciała grać. Wybrała akordeon pasujący do kostiumu: rdzawobrazowa metaliczna farba pociągnięta grubą warstwą lakieru, a do tego chromowane emblematy rakiet i komet, błyszczące w światłach portu kosmicznego jak lustra. W dzieciństwie Edith nie tyle chciała mieć taki instrument, ile stać się nim, znaleźć się w jego wnętrzu niby maleńki, dodatkowy wymiar samej muzyki. Zagrała *Abandonadę*. Zagrała *Tango Zen*. Zagrała stary standard New Nuevo, *A Anibal Lectur*. Szybko wtopiła się w noc, stała się dla płacących klientów częścią stwarzanych przez nią możliwości. Krążyły wokół niej rikszone reklamy koloru fuksji. Mijające ją riksarki wykrzykiwały tytuły utworów albo zatrzymywały się wbrew sobie, by chwilę posłuchać. Dziwiła je własna nieruchomość, spokojny oddech unoszący się w wilgotnym powietrzu. Tymczasem stojące w kolejkach do riks pozaświatowe kobiety drżały z zimna – słuchając smutnych, namiętnych tang wygłaszających w tanim, ale niezmiernie pomysłowym języku samospełniające się przepowiednie o skomplikowaniu, absurdalności oraz gorączkowej krótkości życia – i otulały się futrami. To była wyjątkowo krótka postać *mal de débarquement*. Saudade! Już sama nazwa brzmiała jak dzwon, przyzywający je z powrotem do ich prawdziwych, cudownie skomplikowanych jaźni! Budziły się ze śmiechem bardzo daleko od miejsca, z którego wyruszyły, przez chwilę czuły się zagubione w obliczu nocy i nowej planety, ale zachowywały pełną kontrolę nad nowymi doświadczeniami, czekającymi tu na nie. W poszukiwaniu gestu mogącego podsumować, uznać i uczcić ową sprzeczność rzucały pieniądze do obitego jedwabiem łososiowej barwy wnętrza skrzynki należącej do dziwnej, niskiej, grubej akordeonistki. Chwilami banknoty unosiły się wokół Edith jak konfetti rzucone ku czci zaślubin ziemi z powietrzem. Grała *I Am You*, *Motel Milongueros* oraz przyspieszoną wersję *Wendy del Muerte*, której nauczyła się w barze dla pilotów na Puma Verde. Szczerze mówiąc, nie miała pojęcia, po co tu przyszła. Miała czterdzieści dwa lata. Była czarnowłosą kobietą o szerokich biodrach, niemogącą sobie pozwolić na osobowość inną od tej, jaką wybrała dla siebie w wieku jedenastu lat, i w rezultacie łatwo się rumieniła mimo oliwkowej cery. Była kobietą o skupionej uwadze, kobietą, o której mężczyźni mawiali:

– Nie można mieć pretensji do Edith. Ona rozumie własne potrzeby.

Gdy strumień riks wreszcie się skończył i Edith poczuła, że ma dość, zebrała pieniądze, schowała instrument i z nagłym drżeniem wsunęła się w stary wełniany płaszcz rdzawobrazowej barwy.

– Wichry wspomnień – zacytowała błędnie pod nosem *Tango Abandono* – zbliżają się do kąta, w którym stoję opuszczona.

Przynajmniej nie było stąd daleko do położonego przy jednej z bocznych uliczek baru zwanego Dzisiejszym Światem. O tak późnej porze lokal upodabniał się do niej. W oknie nadal paliło się żółte światło, ale wszyscy klienci już uciekli. Edith przysunęła sobie stołek i policzyła pieniądze. Było ich więcej, niż się spodziewała, ale mniej, niż sobie wyobrażała, gdy widziała te wszystkie futra, kosmetyki od Harvarda i Picosecond, i walizki od Nicky'ego Rivery, szyte na zamówienie ze skór pozaziemskich zwierząt.

– Daj mi butelkę Black Heart na wynos – zasugerowała barmanowi. – A właściwie, czemu nie miałabym wypić jej tutaj?

– Jak sobie życzysz – odparł barman.

Potem zapytała go, czy jego zdaniem jest za stara, by zrobić sobie inteligentny tatuaż. Jeszcze później, nie pamiętając, co jej odpowiedział, znalazła się na chodniku, przed znajdującym się tuż obok sklepikiem wuja Suwaka.

Wuj Suwak, krawiec genowy, okazał się najbardziej udanym produktem siebie samego. Wiele lat po jego tajemniczym zniknięciu w tunelu czasoprzestrzennym Radio RX-1, na każdej planecie w halo można było znaleźć jego franczyzę, a może nawet dwie albo trzy. W środku zawsze czekał sam wuj Suwak. Tłusty, spocony od nadmiaru energii, przeklinający jak marynarz klon, który za dnia wykona na kimś krawiecką robotę, a potem przez całą noc będzie grał swoją muzykę (powszechnie wiadomo, że jest świętym patronem akordeonu klawiszowego). Jego modyfikacje wciąż były nowe i atrakcyjne. Pracował dla EMC, dla śmietanki towarzyskiej i dla szarych ludzi, a ponoć nawet dla obcych. Znano go wszędzie, aż po samo Jądro. Jeśli wśród gwiazd Plaży istniała jakaś religia, wuj Suwak był jej teologiem. To on demonstrował wszystkim, że zawsze mogą się zmienić i zacząć od nowa, nie muszą być staromodnymi, niezmiennymi jestestwami i znosić kar nakładanych na takie istoty przez grawitację. Wuj Suwak był czuły. Był czuły dla każdego, bo nawet jeśli sprawiał ci ból, mogłaś patrzeć na jego okno – jak robiła to w obecnej chwili Edith – i widzieć otwierające się przed tobą nowe, płynne możliwości pod postacią tysiąca unoszących się tam hologramów, pięknych jak landrynki, albo starożytnych znaczków pocztowych, lśniących prawdziwymi kolorami ważek i jadowitych żab. Po prostu musiałaś je mieć! Mogłaś stać się Audrey Hepburn w *Rzymskich wakacjach* i siedzieć, piękna i skacowana, na kolanach Gregory’ego Pecka, ubrana w jego piżamę. Mogłaś być księżną Dianą i śpiewać jak słowik z Bronksu na nieszczęsnym koncercie charytatywnym Kennedy’ego, odziana w przejrzystą suknię od Givenchy’ego. Mogłaś zniknąć z własnego życia, stać się kimś, o kim nikt nigdy nie słyszał, dzięki DNA wyciągniętemu losowo z więziennego wraka pod Cor Caroli. Mogłaś stać się w połowie – a jeśli wierzyć plotkom, nawet w całości – obcą istotą. Mogłaś kupić sobie najtańszy inteligentny tatuaż (tradycyjnie zwany Złotą Piętnastodolarówką) albo neuronowe udoskonalenia o takim stopniu skomplikowania i szerokim zakresie, że pozwoliłyby ci ubiegać się o pozycję kierowniczą w rządzonej przez ekonomię podaży seksbiznesie Zatoki Radiowej. Bliskie uduchowienia światło płynące z okna wuja Suwaka sugerowało, że nie tylko się odnowisz, lecz również będziesz mogła stać się kimś innym i odejść daleko.

Edith wzruszyła ramionami.

Stała tam przez chwilę, zadając sobie pytanie, czy rzeczywiście przez całe życie ujawniała uczucia przed wszystkimi. Nie doczekała się odpowiedzi.

– Miałaś już raz okazję być nową – powiedziała sobie. Czuła się dobrze. Miała ochotę wrócić do domu i powiedzieć Emilowi: – Pomyliłeś się, nazywając kod córkę moim imieniem. Co prawda, córka jest tym wszystkim, co chciałeś zasugerować, ale jednocześnie tym nie jest. Jest tym, co zrodziło się z ciebie. Po co szukałeś jej w strefie? – Gdy zobaczyła, że czeka na nią w sinym mroku swojego pokoju, jak każdy ojciec, powiedziała tylko: – Znowu pada.

Na łóżku leżała porozrzucana reszta jego dzienników. Wszystkie były otwarte, ich pożółkłe karty sterczały sztywno w świetle ulicznych latarni. Ładnie narysowane schematy w jaskrawych tonach czerwieni i zieleni. Maleńkie, podobne do broszek mapy, mogące przemawiać do tych, którzy znali kod. Wskazówki pozwalające dotrzeć do miejsc, które zniknęły przed dwudziestu laty – albo przed dwudziestoma sekundami – o ile kiedykolwiek znajdowały się tam naprawdę. Było tego bardzo wiele, a wszystko złożono w całość po fakcie, czyli – jak każdy w tym życiu wie – stanowczo za

późno. Oczy Emila poczerwieniały od prób czytania jego własnej historii spisanej w ten sposób. W ich kącikach gromadziła się ropa, były też bardziej zapadnięte niż w chwili, gdy Edith wychodziła z domu. W ciągu dwóch ostatnich dni na jednej z powiek zrobiła mu się narośl. Była niewiarygodnie delikatna, złożona z wielu nachodzących na siebie fałd. W odpowiednim oświetleniu przypominała różę.

Edith usiadła na skraju łóżka, wspierając łokcie na kolanach. W końcu poczuła się zmęczona.

– Przeczytaj mi coś, co napisałeś – poprosiła.

– Sama to zrób. Jest tu połowa mojego życia, a teraz nie potrafię nawet odczytać własnego pisma.

Masz, możesz przeczytać to.

– H. twierdził, że zrobił rysunek Sektora Trzeciego. Spodziewał się [nieczytelne], ale otrzymał więcej. Falisty, bezkresny krajobraz porośnięty wysoką trawą. Na pierwszym planie, na trawie przed ławką, leżało coś, co wyglądało w połowie jak kobieta, a w połowie jak kot. Choć stworzenie w pierwszej chwili sprawiało wrażenie nieruchomego, H. mówił, że przechodziło powoli z jednej postaci w drugą. Dodał, że „oniemiał” na myśl o potencjale tego, co widział. Był „pełen spokojnego poczucia własnych możliwości”. Kot biały jak kość słoniowa.

Kiedy Edith czytała, twarz Emila stawała się coraz bardziej bezwładna, a jej rysy zamazane, jakby spoczywała na dnie strumienia. W końcu zauważyła, że jej ojciec płacze. Odłożyła notatnik i ujęła jego dłonie, a potem złączyła je, by choć raz poczuł kontakt z samym sobą.

– Czy entradiści zawsze są tacy odważni? – zapytała.

Emil spróbował się uśmiechnąć, ale potem coś odwróciło jego uwagę, jakiś rozblęsk na ścianie, który zgasł za szybko, by mogła go zauważyć. Wiedziała, że Emil znowu tam wrócił, a jego plany rozpadały się, nim zdążył je urzeczywistnić.

– Śnił mi się Vic – oznajmił. – Śniło mi się, że wrócił.

– Tobie nic się nigdy nie śni, Emil.

Vic Serotonin i jego klientka trzecią noc w strefie spędzili w opuszczonym barze szybkiej obsługi. Lokal był w osobliwym stanie. Jakieś wydarzenie, które można było określić tylko jako impulsywne, wyrwało ze ścian pętle przewodów, choć piece z nierdzewnej stali i oszklone gabloty z potrawami pozostały nietknięte i nieskazitelnie czyste. Z położonego tuż pod sufitem obszaru miarowo padał śnieg. W okolicach północy na parę godzin zmaterializowało się tam ciało dziecka w wieku około ośmiu lat, owinięte w szydełkowaną chustę, tak że było widać tylko buzię. Śnieg nie docierał do podłogi. Elizabeth Kielar gapiła się na dziecko i nie chciała odwrócić wzroku. Od tej chwili Vic traktował ją bardzo ostrożnie. Rankiem przez wybite okna wpadły promienie słońca. Vic obudził się i zobaczył, że kobieta klęczy pośrodku pokrytej czarno-białą szachownicą płytek podłogi, wpatrzona w strumyk czystej wody. Z początku wydawało się, że wszystko z nią w porządku.

– Popatrz, popatrz! – zawołała podekscytowanym głosem. – Ryby! – Na twarzy miała brudne plamy, ale uśmiechała się promiennie. – Dwie małe rybki!

Gdy Vic do niej podszedł, promienie słońca zdążyły już zniknąć, nie zobaczył więc w wodzie nic poza własnym odbiciem. Miało zmęczony, pełen napięcia wyraz. Włosy mu posiwiały. Vic odwrócił wzrok, nim zdążyły w nim zająć dalsze zmiany.

– To fajnie – stwierdził.

– Myślisz, że można pić tę wodę?

– Jeśli jesteś spragniona, wypij tę, którą przyniosłem. Nic tutaj nie jest tym, czym się wydaje.

– Przecież ryby ją piją.

– To nie są ryby – wyjaśnił Vic.

– Umyłam się w tej wodzie. Jeśli ktoś często się pierdoli, musi być czysty. – Wzruszyła ramionami. – Kiedy jedna ryba zawraca, wszystkie pozostałe robią to samo. Wiedziałaś, że w całym wszechświecie zachowaniem ławic kierują takie same, bardzo proste algorytmy?

Vic gapił się na nią, nie potrafiąc zdecydować, co odpowiedzieć.

To był trudny ranek. Mimo że próbował ją namawiać, Elizabeth nie chciała nic jeść. Nim zdążyli wyruszyć w drogę, dziecko wróciło. Ciasno owinięte w chustę kołysało się pod sufitem jak poczwarka na gałęzi. Elizabeth przycupnęła tak daleko od niego, jak tylko było można, a gdy próbował ją objąć, ugryzła go w rękę. Poznawał to zachowanie z poprzednich wypraw. Najrozsądniej byłoby porzucić ją i spróbować wrócić do Saudade, ale zapuścili się już za głęboko i złamał zbyt wiele zasad. Nie mając własnych celów, był zdany na łaskę tego, co kazało jej wyruszyć do strefy.

– Musisz na mnie uważać, Vic. Nie jestem w pełni sobą.

Wstał i potarł ugryzioną dłoń.

– To kim właściwie jesteś? – zapytał.

– Nie wiem.

– Skąd pochodzisz?

Nie odpowiadała, gapiła się tylko na niego, jakby już znał odpowiedź na to pytanie. Wzruszył ramionami, wyszedł na dwór i usiadł na ziemi. Choć słońce grzało, w powietrzu utrzymywał się chłód. Bar szybkiej obsługi, biały parterowy budynek, wyglądający, jakby zbudowano go z myślą o jakichś poważniejszych zadaniach, wznosił się na brzegu pływowej zatoczki, ukrytej między lesistymi wzgórzami. Mewy, zielsko, plamy słonecznego blasku na pagórkowatym gruncie między drzewami. Był odpływ, odsłonięte, muliste dno lśniło tak jasno w promieniach słońca, że nie był w stanie na nie patrzeć. Drzewa padające na ziemię na przeciwległym brzegu zatoczki znikwały w jaskrawych odbiciach, padających na wyrzucone na mieliznę wielokadłubowe statki przypominające zmęczone owady, które odpoczywają po długim, wyczerpującym locie godowym. Dalej ciągnęły się dwa, trzy kilometry wyschniętych stawów ściekowych, a za nimi długie wzniesienia porośnięte wysoką trawą. Vic czuł się pusty, jakby strefa miała mu sprezentować – jeśli nie będzie ostrożny – osobowość, której nie chciał. Po godzinie czy dwóch wrócił do środka, licząc na to, że przekona kobietę, by coś zjadła albo zgodziła się stąd odejść, czy w ogóle podjęła jakąś decyzję, do której mógłby się ustosunkować. Było tam zimno. Elizabeth poświęciła trochę czasu na wciśnięcie się między dwie szafki bufetowe. Nadal gapiła się na sufit. Gdy światło na nią padało, zachodziła w nim jakaś zmiana. Owijało się wokół niej, sprawiając, że jej twarz wydawała się gładka i wytarta, a rysy mniej wyraziste, niż można by się tego spodziewać. Reszta sali wyglądała zwyczajnie.

– Elizabeth?

– Nie zbliżaj się do mnie, Vic.

Złapał ją za rękę i wyciągnął spomiędzy szafek, ale wyrwała się i skuliła w kącie, przyglądając mu się z uwagą. Przez całe popołudnie – poruszając się szybko i zręcznie, choć twarz miała pobladłą – trzymała się na szerokość sali od niego. Gdy tylko się zbliżył, przesuwała się do następnego kąta. Vic był ostrożny. Nie sądził, by mogła zrobić mu krzywdę, ale nie chciał, żeby zaszkodziła samej sobie. Doszedł do wniosku, że kobieta w końcu się zmęczy, choć nie miał pojęcia, co wtedy zrobi. To, czego zdołał się o niej dowiedzieć, w niczym mu nie pomagało. Po godzinie czy dwóch zaczęła ściągać niezgrabnie ubranie, jakby zapomniała, jak się je nosi. Albo jakby nigdy tego nie wiedziała.

– Nie chcę go – oznajmiła. – Dlaczego miałabym chcieć?

– Elizabeth, proszę.

Roześmiała się, a potem przykucnęła i oddała mocz.

– Nie – odpowiedziała. – Za mało wiesz, byś mógł zapewnić sobie bezpieczeństwo, Vic.

– Elizabeth!

– Zresztą i tak mam twoją spermę.

Po ciemku jej skóra nabierała intensywnej bieli kości słoniowej, jakby kolejne jej warstwy narastały z czasem, a potem obumierały, osiągając matową bladość. Kobieta pachniała cierpieniem i nieznanymi hormonami. Dyszała z powodu upału, którego Vic nie czuł, patrzyła na niego z ukosa, chlepcząc wodę rozlaną na płytki podłogi. Światło w sali go przerażało. Był tu tylko pomocnikiem. Znowu pomyślał o odejściu, ale gdy wyjrzał na zewnątrz, zobaczył, że zatoczka zniknęła niczym brakujący wymiar. Widział jedynie wydmowy krajobraz usiany wysepkami mgły, ostrymi wyniosłościami skalnymi oraz białymi, fluoryzującymi kośćmi. Na horyzoncie dostrzegał światła, które mogły być błyskawicami albo płomieniami buchającymi z dysz rakiet. Elizabeth go zawołała. Jej głos, który dotąd był czystym kontraltem, nabrał dodatkowych harmonii, jakby ktoś inny mówił unisono z nią, ale za cicho, by można go było usłyszeć. Kobieta zajęła pozycję w samym środku opuszczonego lokalu, przybierając w ciemności jedną otwartą, pełną desperacji pozę po drugiej.

– Vic – odezwała się. – Ludzie gubią drogę w akcji samoobrony. A potem ulegają panice i decydują, że muszą ją odnaleźć na nowo.

Przebiegła obok niego i wypadła na dwór, szybko pogrążając się w niesionej wiatrem chemicznej mgle. Jej kroki traciły już ludzki charakter, a skóra lśniła fluorescencyjnym blaskiem w suchym, urywanym świetle błyskawic.

– Elizabeth!

Przez całą noc biegała w tę i we w tę po wydmach. Trudno było określić, w której dokładnie chwili zmieniła się w coś innego. Owa istota zginała się w biodrach pod kątem prostym, dzięki czemu mogła się poruszać na czterech kończynach, wspierając się na płasko rozłożonych dłoniach. Jej głowa o opływowych zarysach wydawała się za mała, by pomieścić wielkie niebieskie, ludzkie oczy o szczerym wyrazie, jak u postaci z kreskówek. Stworzenie wołało Vica po imieniu, aż wreszcie zasłonił uszy dłońmi i skrył się w środku. Rankiem wyruszył śladem istoty, ale szybko stracił trop, gdy wydmy ustąpiły miejsca porośniętym fioletową trawą wzgórzom.

W ciągu pełnych pyłu miesięcy i lat poszukiwań, które nastąpiły później, Vic Serotonin przeniknął w głąb strefy dalej, niż komukolwiek dotąd się to udało. Wyrzucił pistolet. Jadł to, co znalazł. Spędził tam całe życie. Codziennie szedł przed siebie, aż wreszcie natrafił na jakieś miejsce, w którym mógł bezpiecznie zasnąć, miejsce, które mu się spodobało. Nocami przyzwyczajał się do radioodbiorników przełączających się przypadkowo ze stacji na stację, dźwigarów padających z brzękiem na ziemię, wszechobecnego kwakania plastikowej kacuszki. Słyszał, jak całe krajobrazy rozpadają się i scalają z powrotem z głośnym zgrzytem. W pustych pokojach nie śmierdziało już dla niego paskudnie. Nigdy nikogo nie spotkał, choć pewnego ranka na opustoszałym placu obudził go głos kobiety – z jej gardła dobywał się namiętny lament. Gołębie poderwały się do lotu, raz, a potem drugi. Zimne powietrze było nieruchome, ale unosiło się w nim mnóstwo starych butów. Popękane, pomarszczone obuwie o odpadających podeszwach krążyło wokół siebie, jak niesione potężnym wichrem – jakby buty były organizmami zdolnymi w sprzyjających warunkach do stadnego zachowania. Vic zrozumiał wtedy, że Emil Bonaventure miał rację przynajmniej w tej jednej sprawie, jednakże uświadomił też sobie, że ani tego miejsca, ani żadnego innego, nie można uznać za środek czegokolwiek. Vic się postarzał. Wyblakł i zbieleł od słońca i wiatru. Wspomnienia o Emilu i Edith, o conocnych balangach w Czarnym Kocie, Białym Kocie z dwojgiem przyjaciół, Liv i Antoyne'em, a z czasem nawet wspomnienia o Vicu Serotoninie, wyblakły. Nigdy jednak nie zapomniał o klientce i szukał jej aż do dnia śmierci.

Detektyw Aschemann szedł po wznoszącym się, pokrytym popiołami gruncie przez cały tydzień, po to tylko, by znaleźć się na szczycie wysokiego na trzysta metrów urwiska, stanowiącego gigantyczną replikę Długiego Baru z Café Surf. Uznał to za metaforę.

Staął na krawędzi przepaści. Płaszcz powiewał za nim na wichrze muzyki i światła. Musiał przytrzymać kapelusz. Spoglądał chciwie z góry na dozownik do rumu Black Heart, lśniący w ciepłym barowym świetle. Wszystko wokół chwiało się na krawędzi zmiany, gdy jednak fala nadeszła, to Aschemann był tym, który upadł. Ujrzał architektoniczne schematy. Ciasta. Zdjęcia psów. Męski zegarek na rękę, ogromny. Widział karty do gry. Drewnianego pingwina zabawkę z gumowymi stopami. Potem zobaczył swego starego przyjaciela i sparingpartnera, Emila Bonaventure'a, śpiącego w wodzie na błotnistym brzegu. Drozdy i pręgowce na tle zachodu słońca. W reakcji na to wszystko dopadł go jakiś atak. Kiedy minął, Aschemann leżał kilka metrów niżej na stoku, nie mogąc poruszyć nogami. Tego właśnie należało się spodziewać w tym miejscu, gdzie władzę sprawowała tektonika płyt i pod jedną rzeczywistość zawsze wsuwała się druga. Była noc. Detektyw przyjrzał się swym nogom. Wyglądało na to, że wszystko z nimi w porządku, nie mógł jednak zaprzeczyć, że czuje w nich coś dziwnego. Być może po prostu za dużo chodził.

– Coś ci się stało – przyznał. – Nie możesz nic na to poradzić, dopóki się nie dowiesz, co to takiego.

Był w stanie się z tym pogodzić. Leżał tam przez długi czas. Noc przeszła w dzień, a potem znowu w noc. Przez ziemię, na której spoczywał, przebiegały równie regularne fale zmian. Z góry dobiegały go pocieszająco bliskie odgłosy ożywionego wieczoru w Długim Barze. Czuł się zadowolony, ale inteligentna reklama, do tej pory towarzysząca mu bez sprzeciwu, robiła się coraz bardziej niespokojna. *Możesz miećpe[nisa] swOich marzeń* – zasugerowała, dodając: *Połącz się z Gourangą i bądź szczęśliwy*. Wędrowała w górę i w dół stoku, oddalając się coraz bardziej, a po jakimś czasie przerodziła się w niebiesko-pomarańczowy płomyk palącego się alkoholu, bagienne światło równie zagubione jak jego ofiara, odwrotność *ignis fatuus*. W końcu dała sobie spokój z Aschemannem i odeszła.

– Przyślij mi znak! – zawołał detektyw. – Odszukaj mnie w środku. – Zachichotał. Zważywszy wszystko razem, miał więcej współczucia dla reklamy niż dla siebie. – Chcę dostać neonowe serce.

To przypominało mu zbrodnię, którą popełnił. Wspomniał żonę, oczekującą, że wszyscy będą ją odwiedzali w jej jaskini minotaura; sobowtór Marilyn Monroe idący po linie ze swego pokoju do wszystkich. Pomyślał o wilgotnym piasku za Café Surf, wyciskanym codziennie przez nieubłagane, kształtujące moce działające w Długim Barze – improwizację, ikonolatrię i czerwone światło – produkujące w ten sposób nowych mieszkańców miasta. Co, jeśli on również był częścią tego cyklu?

– Aschemann, chyba umierasz! – powiedział do siebie z zaskoczeniem po pewnym czasie.

Czuł się powiększony. Spuchnięty, ale właściwie nie chory. W pewnej chwili, trzeciego albo czwartego dnia, spojrzawszy na siebie i zauważył, że dolne części jego nóg zamieniają się w tysiące iskerek energii gorejących intensywnym białym blaskiem. Nie czuł bólu. Pomimo tego faktu – a także tego, że procesowi nie towarzyszył żaden dźwięk – męczyło go intensywne poczucie, że jest mającą dostarczać rozrywki atrakcją. Sypał ulatującymi ze skwierczeniem w noc skrami niczym fajerwerk. Zastanawiał się, co się stanie, gdy ogień dotrze do jego kutasu. Iskry umykały w górę stoku na lekkim wiateryku i znikły za szczytem. Aschemann mógł się jedynie domyślać, że spadają na dwuosobową orkiestrę z Café Surf i jej neon, głoszący: *Co noc muzyka na żywo*. Jego nogi miały jeszcze mnóstwo w zapasie. Nie przestawały dzielić się swym bogactwem pod postacią iskier i rozjarzonego blaskiem dymu. Z pewnością okazały się dobrą inwestycją. Nagle ujrzał swą żonę. Wreszcie się zjawiała. Pięła

się ku niemu po stoku, klucząc z uśmiechem przez pustkowia. Wołała go po imieniu. Miała na sobie żółtą jedwabną suknię, którą tak dobrze pamiętał. Była boso.

– Aschemann, czy to ty?! – zawołała. – Czy to ty? Aschemann, zawsze coś nowego! Nigdy się nie zmienisz!

Co, jeśli wcale nie byli nowym gatunkiem, tylko tym samym co zawsze, uwięzionym w świetnie znanym cyklu wynajdowania siebie na nowo? Czy jakaś świeższa wersja jego samego wkrótce wyjdzie chwiejnym krokiem na ulicę Corniche, opuści ze śpiewem Café Surf, pełna pragnień, gotowa się zdumiewać? A może to już się wydarzyło?

Co, jeśli wszyscy jesteśmy kodem?

– Pośpiesz się, Utzie! – zawołał. – Pośpiesz się albo zniknę, nim zdążysz tu dotrzeć!

Cieszył się, że miał szansę żyć.

DZIESIĘĆ

NOVA SWING

W następnych tygodniach do Saudade przybyła lepsza pogoda. Kwietniowe psy biegały wzdłuż Straint Street od strefy do morza i z powrotem, wstrząsając oknami zabitymi deskami. Niebo było bardziej błękitne niż zwykle, szersze i bardziej puste. Mieszkańców wypełniała energia. Mieli ochotę wychodzić na dwór. W mrowiskach Nowych Ludzi wietrzono pościel. Nawet drzwi rzeźni genetycznych otworzono, odsłaniając matowoczarne ściany wewnątrz, zakurzone plakaty reklamujące dożylny środek oraz proteomowe tanki po gwarancji, pełne LED-ów i inteligentnych odczytów. Krawcy tymczasem grali na chodniku w Hughie Trzy Fiuty albo pokazywali swe udoskonalenia przechodzącym obok Monom.

Czarny Kot, Biały Kot nie był wyjątkiem. Tu zwyczajnie również się zmieniały. Liv Hula zrobiła sobie wakacje. Najpierw poszła na górę.

W blaszanej skrzynce, którą kiedyś rozbiła zlew księżniczki, razem z innymi śmieciami nagromadzonymi przez czterdzieści lat życia trzymała tani hologram mający związek z czynami, jakich dokonała przed przybyciem na Saudade. Głosowy komentarz zaczynał się następująco:

– Liv Hula stała się sławna w całym halo po tym, jak zanurkowała swym maleńkim skoczkiem, *Saucy Sal*, pięć tysięcy kilometrów w głąb fotosfery Marnej Szansy IV.

To była długa, niemal dokumentalna opowieść, ciągnęła się całe dziewięćdziesiąt sekund. Zawierała obrazy Liv jako małej dziewczynki, nastoletniej fanki sportu rakietowego w barze hotelu Venice na Marnej Szansie; potem sekwencję pokazującą statek, o ile coś równie małego można było tak nazwać. Stygł na orbicie parkingowej. Żar strawił całą pokrywającą kadłub farbę. Większość faktów się nie zgadzała. Na przykład, *Saucy Sal* nie była skoczkiem, lecz pierwszym prawdziwym hiperskoczkiem, miała mnóstwo subtelnych funkcji pola magnetycznego i kadłub produkcji obcych, wykonany z jakiejś gorącej gąbki węglowej. Mieli jednak hologramy pokazujące Liv w uściskach samego Eda Chinola, pokonanego przez nią w wyścigu do tego sukcesu. To było sympatyczne, choćby dlatego, że Ed – wysoki i niegodny zaufania, z typową opalenizną z halo i kojarzącymi się z nią długami – w swoim czasie był wielką legendą skoczków. Rekord nie utrzymał się długo, zresztą Liv wcale na to nie liczyła, ale oboje krzyknęli do kamer: „Leć głęboko!”, ona i Ed Chinol, piloci przyszłości, uśmiechające się krzywo do całego halo gwiazdy bardzo wówczas popularnego sportu rakietowego, i dlatego w sumie się opłacało. Jak można się pozbyć hologramu? Liv nie kupiła sobie odpowiedniej łaty gadżetowej, nawet nie wiedziała, jak one działają. Postanowiła wyrzucić go do morza.

Zamknęła skrzynkę, a potem bar i wyszła na ulicę, kierując się do niekorporacyjnego portu. Stała na chwilę przed pasem gęstego, jedwabistego zielska pod płótem z siatki, a blask poranku odbijał się w jej czarnych okularach słonecznych. Przez pewien czas obserwowała startujące i lądujące rakiety, a potem złapała riksę i pojechała na plażę.

– Lepiej nie jedź na Vicntiale – ostrzegła ją riksarka. – Jest zatłoczona od brzegu do brzegu.

– Może mam ochotę na tłok.

– Nie masz.

Monster Beach również była zatłoczona. Liv Hula rzuciła tylko okiem na zapchane rybne restauracje i oblegane atrakcje na deptaku, na ławice pięknie odstawionych Mon i sławny drogowskaz, wskazujący nie na piasek, lecz nedorzecznie w kierunku orbity. Potem kazała się zawieźć na Przylądek, gdzie plaża się kończyła. Tam rozebrała się do białego podkoszulka i czarnych spodenek, a potem usiadła, by obserwować bawiące się w morzu dzieci. Znowu włączyła hologram.

Nie sposób było określić, co myśli, oglądając go. Jej fryzura była równie krótka jak zawsze, ale miała gorszy kolor. Kobieta gapiała się na morze. Zjadła loda. Poderwała faceta. Odbyło się to w następujący sposób: wracając z pustymi rękami z oceanu, nagle poczuła się lekko i potrzebowała kogoś, kto utrzyma ją na ziemi. Był znacznie młodszy od niej, miał słodki, szczery uśmiech, blond włosy wyblakłe na słońcu i małą trójkątną bródkę. Zasugerował, że może chciałaby loda.

– Świetny pomysł – zgodziła się. – Ale ja stawiam.

– Nie sądzisz, że słońce i cień czasami wydają się równe sobie? – zapytał, gdy jedli lody. –

Jedno i drugie w pewnym sensie przynosi oświecenie? I robią to jednakowo szczerze?

– Często nasuwała mi się taka myśl – przyznała Liz.

Zaprowadziła go do swego baru.

– Chyba cię gdzieś widziałem – odezwał się niepewnie późnym popołudniem. – Czy kimś jesteś?

– W dzisiejszych czasach wszyscy kimś jesteśmy – odparła.

Gdy poszli do jej pokoju, gapił się na rozbity zlew. Widziała, że szuka jakiegoś sposobu, by ją o to zapytać. W środku nocy Liv się obudziła i nie mogła już zasnąć. Patrzyła na ciało mężczyzny, koloru miodu i prawie piękne. Szczerze mówiąc, wydawał się stanowczo za młody, by znać takie subtelności seksu. Zapewne zawdzięczał to jakiejś modyfikacji, którą w dzisiejszych czasach każdy mógł sobie kupić. Rozważywszy ten problem, wstała, zeszła do baru, napisała krzywymi literami na kartce NA SPRZEDAŻ i oparła ją o okno, nisko po prawej stronie. Kiedy wróciła na górę, chłopak już się obudził i wstał. Znowu zaczął się martwić zlewem.

– Nie próbowałaś do niego sikać, prawda? – zaniepokoiła się Liv Hula.

– Potrafiłbym go naprawić.

– Każdy by potrafił. Nie chcę go naprawiać. Lepiej napraw mnie. Potrzebuję tego.

Rozciągnął powoli usta w szerokim uśmiechu, przywodzącym jej na myśl Eda.

– Powiedz, czy kimś jesteś? – zapytał raz jeszcze. Liv udą, że rozgląda się po pokoju.

– Gdybym była kimś, to czy mieszkałabym tutaj? Możesz mnie znowu przerznąć?

– Jeśli mogę, to przerznę.

Pomyślała z lekką ulgą, że rzeczywiście jest taki młody, na jakiego wygląda. Roześmiała się.

– O co chodziło z tym syfem o słońcu i cieniu? – zapytała. – Mówiłeś o tym na plaży.

Rankiem jej opinia o sobie znacznie się poprawiła. Liv posprzątała w barze i zrobiła ładniejszą wersję napisu NA SPRZEDAŻ na kawałku białego papieru, który znalazła za barem. Odzyskała energię. Jakby w odpowiedzi na to, pojawił się pierwszy klient i zamówił mokkę ze śmietanką oraz rumem. Był to nie kto inny jak sam Antoine Messner. Choć raz wybrał się na spacer w pojedynkę.

– Przechodziłem wcześniej obok i zauważyłem twoje ogłoszenie – oznajmił. – To mnie zafascynowało.

Poinformował ją, że wybierał się na Carver Field w interesach. Jakby na potwierdzenie tych słów, miał na sobie zupełnie nowe ubranie. Krótka, brązowa skórzana kurtka pilota, zapinana na ekspres; kawaleryjskie spodnie z diagonalu z drogim paskiem. Wyglądało na to, że już zdążył się dorobić sporej forsy.

– Pozdrowienia od Irene – nie zapomniał powiedzieć. – Pamiętaj, że byłaś dla niej dobra po śmierci Joego Leone.

– Jak się ma Irene? – zapytała Liv.

– Dobrze. Oboje mamy się dobrze.

Rankiem świat wydawał się jej inny. Liv czuła się lekko, ale nie aż tak lekko, by miała uwolnić się od grawitacji i odlecieć. Mogła z tego zrobić osiągnięcie. Umyła szklanki. Umyła podłogę. Zaskoczone operatory-cienie zwinęły się i skupiły wokół wentylatorów pod sufitem, a potem

wytoczyły się wspólnie na jasną ulicę, wróciły do lokalu i tak dalej. Gruby Antoyne również kipiał energią. Odkąd wyszedł z cienia Vica Serotonina, sprawiał wrażenie bardziej wyluzowanego. Kontaktował się z nią bardziej bezpośrednio, był wyzwolony. Po paru kolejkach stało się też jasne, że ma dla Liv pewną propozycję. Kobieta jej wysłuchała i skłoniło ją to do zastanowienia.

Edith Bonaventure, nosząca przerzuconą przez ramię skrzynkę z akordeonem z czymś w rodzaju seksownej elegancji, wracała do domu po regularnym już występie pod bramami korporacyjnego portu. Kochała Globe Town. Na wąskich uliczkach między wysokimi budynkami paliły się światła. Później pojawi się mgła, ale teraz w czystym powietrzu wyczuwało się drobne powiewy oraz kuchenne wonie – dorada pieczona w morskiej soli, śledź smażony na trzy sposoby. Edith wyglądała na zmęczoną, ale za to mogła sobie pozwolić na nowy płaszcz. Narzuciła go na kostium, ale nie zapięła. Był za ciepły na wieczór, nie czuła się jednak gotowa okazać rozsądku, gdy chodziło o coś tak ładnego. Krok Edith również sugerował coś nowego, sama nie była pewna co. Grając kolejny bis (to była *Carmen Sylva*, wersja spopularyzowana przez Olaviego Virtę, króla starego New Nuevo Tango), powtarzała słuchaczom bez użycia słów, że talent zrobił się obecnie kłótniwy i głodny. Talent się męczy, ale nigdy nie zapomina, że zawsze będzie świecił swym szczególnym blaskiem.

Droga była krótka. Jedna kolejka wypita u Curta, barmana z Dzisiejszego Świata, i Edith była w domu. Weszła do korytarza i upuściła akordeon na podłogę.

– Emil! – krzyknęła. – Co będziesz jadł?

Gdy jej nie odpowiadał, roześmiała się.

– Jesteś niegrzecznym staruszkiem! – zawołała. – Emil, jeśli nie chcesz, żebym chodziła do portu, po prostu mi to powiedz, zamiast się obrażać. – Starannie powiesiła nowy płaszcz na wieszaku. – Bądź grzeczny, Emil. Idę się wykąpać, a potem zjemy kolację.

Przez pół godziny leżała zanurzona w ciepłej wodzie aż po brodę i różowe sutki, licząc w pamięci, ile zarobiła dziś wieczorem. Oczyma wyobraźni widziała siebie pod portową bramą, stały element, osamotnioną, ale pełną energii kobietę stojącą w plamie halogenowego światła, czy to upał, czy deszcz. To było jakieś życie. Pod jej nieobecność Emil dużo spał. Jego stan pogarszał się teraz nieco szybciej. Czasami mu się poprawiało i mówił jej, że za nią tęskni. Miał wypadek. Codziennie wracała, myła go i karmiła, a potem wspólnie czytali jego dzienniki. Miał swoje halucynacje, omdlenia, okresy nieobecności ciągnące się aż do późnej nocy, gdy nagle oznajmiał od niechcenia:

– Mamy tu przejebane, Atmo. Nie trzeba było kierować się mapą.

Albo:

– Gdzie się podział ten pierdolony pistolet?

Edith czekała, aż zaśnie, po świetle spała kilka godzin, a potem znowu szła do portu.

Wygramoliła się z wanny.

– Emil, czas już, żebyś mi wybaczył!

Jej ojciec siedział na łóżku, wsparty o poduszki. Wychudzone nogi wyciągnął przed siebie. Pościel była skłębiona i żółta od potu. Próbował coś napisać, ale stracił cierpliwość do własnej słabości. Notatniki leżały porozrzucane na podłodze. Edith zebrała wszystkie.

– Szukałem czegoś, czego nikt inny nie potrafił zobaczyć – przeczytała.

Twarz jej ojca przypominała szary papier. Sprawiał wrażenie wyczerpanego, a jednocześnie wypoczętego, jakby dopiero przed chwilą dał za wygraną, wsparł głowę o ścianę i zamknął oczy.

– Emil?

Uśmiechnął się.

– Kiedy cię nie było, wszystkie moje sny wróciły w jednej chwili – wyszeptał. Ucisnęła mocno

jego dłoń. – Byłabyś nimi zachwycona.

– Emil, spoczęłaś się i trochę zwymiotowałaś, ale nie ma się czym przejmować.

Otworzył oczy. Były nieskazitelnie niebieskie i pełne ekscytacji. Nie widziała takiego koloru, odkąd miał czterdzieści lat. Wpatrywał się w coś, czego nikt inny nigdy nie będzie mógł zobaczyć. Inteligentne tatuaże przez chwilę pełzały powoli pośród białych włosów porastających jego pierś. Potem się zatrzymały. Pochyliła się, by przyjrzeć się jednemu z nich, zanim zniknie. To nie była mapa, ale cytat, może z jakiegoś wiersza, napisany prostymi czerwonymi literami: *Chcę dostać eonowe serce.*

– Emil?

Siedziała przy ojcu, trzymając go za rękę, przez godzinę, może więcej. Czekwała, aż się ocknie i ją zauważy. Czekwała, aż coś się wydarzy. Nic z tego. Po kąpieli było jej za ciepło, a potem za zimno. Do pokoju wpadało światło latarni.

– Emil, to było okrutne – odezwała się wreszcie.

Był moim ojcem, pomyślała w końcu. Był moim wspaniałym ojcem i bardzo mi go brak. Po chwili zeszła na dół, ubrała się, wyjęła pieniądze otrzymane za wydanie Vica Serotonina i policzyła je. Zdjęła nowy płaszcz z wieszaka i przyjrzała się mu. Kiedy byłam mała, chciałam tylko przestać podróżować, pomyślała. Chciałam mieć czas na każdą nową rzecz, każde nowe uczucie, chciałam móc je zatrzymać do chwili, gdy dołączy do niego następne. Gdybym miała taką szansę, z łatwością mogłabym przechowywać wszystkie te piękne rzeczy razem. Stałabym się skrzynką, w której na zawsze pozostałyby nowe. Ale wszystko się postarzało i zmieniło. Ludzie również. Chciałam go mieć tylko dla siebie. Nie nauczyła się jeszcze być sama, wróciła więc na górę i znowu ujęła go za rękę. Przesiedziała tam całą noc.

Zorientowała się, że nadszedł świt, gdy przez otwarte drzwi za jej plecami do pokoju zaczęły napływać czarne i białe koty. Znowu te koty! – pomyślała. Wpychały się wszędzie, jeśli tylko drzwi na ulicę zostawiono otwarte. Milczące, skupione, o pozbawionych wyrazu oczach oraz osobliwym zapachu, suchym i korzennym, tłoczyły się wokół łóżka jej ojca, włożyły na nie i ocierały się lekkomyślnie o wszystkie części jego ciała, do których zdołały się dopchnąć.

Był moim cudownym, kochanym ojcem.

Na Carver Field nawet najbardziej przysadziste z oferowanych na sprzedaż statków mają trzydzieści metrów wysokości. Stoją w szeregach. Są stare. Są używane. Przeciekają. Widać na nich delikatną patynę powstałą na skutek zbyt długiego przebywania na ziemi. Mają nazwy jak *Radio Maryja* i *Błąd Naprawialny*. Zawsze ciężko tyrały dla innych. Przewoziły towary, handlowały, przemyślały i jakoś żyły. Były filarem handlu, łupem bandytów. Za dnia emitują promieniowanie. Nocą tani kod nawigacyjny wycieka przez ich skorodowane firewalle niczym kontrakt między chorobą marburską a szeregiem iskier. Zaczęły karierę pięćset światła stąd jako czyjeś marzenie i potrzebowały pięćdziesięciu lat, by dotrzeć tutaj, gdzie z pewnością staną się marzeniem kogoś innego, ponieważ zawsze znajdzie się ktoś, kto na widok nawet takich małych pękatek statków zawoła:

– Nigdy nie widziałem czegoś równie pięknego!

Wpół do szóstej rano, dwa albo trzy dni po wizycie Antoyne'a Messnera w barze Liv Huli. Bramy już otwarte. Kupujący byli na miejscu. Unosili głowy i wyciągali ręce ku górze – z oddali przypominali małe, wiernie odtworzone figurki dodane do modelu architektonicznego celem określenia skali. Silne, jasne światło czyniło hangary bielszymi i odzierało z kolorów modernistyczny budynek administracji. W bieżącym miesiącu Carver Field porosły pozaziemskie chwasty.

Jedwabiste, podobne do maków kwiaty barwy miedzi przebijają się przez beton, rosnąc szybko w świetle tutejszego, odległego dla nich słońca.

Mona Irene, wyglądająca jak świeżo wyjęta z pudełka, w płóciennym, metalicznym bolerku, szortach do kompletu i przezroczystych, zapinanych z boku kozaczkach, zerknęła z ukosa na towarzyszącego jej mężczyznę. Jej małe usta wykrzywiły się w wyrazie lekkiego niepokoju.

– Uważasz, że jest piękny, Antoyne? – zapytała.

Statek niczym się nie różnił od setki innych. Po wejściu w atmosferę jego kadłub był równie sfatygowany, a potrójne stateczniki ogona i obudowę reaktora pokrywało tyle samo ptasich odchodów i plam. Antoyne i Irene wyczytali jednak w katalogu, że statek przez wiele lat wiernie służył w barwach sławnego cyrku i parady obcych o nazwie Obserwatorium i Hodowla Wrodzonej Karmy Sandry Shen. To im zaimponowało. O madame Shen nikt ponoć nie słyszał od wielu lat. Majątek cyrku wyprzedawał obecnie mężczyzna o nazwisku Renoko, urzędujący w biurze na jakiejś planecie położonej wiele światel stąd wzdłuż Plaży. Statek był typowym trampem, miał już najlepsze lata za sobą, a jego nazwę zmieniano kilkanaście razy, ale w umyśle Antoyne'a Messnera rozgrzewał się już przed startem. Grubas czuł drżenie stateczników ogona. Czuł tajemniczość statku. Spod pokładu dobiegał oleisty rytm przygotowującego się do lotu napędu dynafłow, po raz milionowy powodując, że włoski na karku Antoyne'a stanęły dęba.

Nie wiedział, czy statek jest piękny. Odparł, że ocena tego wykracza poza jego kompetencje.

– Wygląda na niezły statek roboczy – wyjaśnił Monie – ale cena jest trochę za wysoka.

Irene bez trudu przejrzała go na wskroś.

Antoyne często jej powtarzał, że jeśli rozumiesz tego typu statki, twoje CV powinno wyglądać następująco:

W wieku trzynastu lat mieszkałeś w fabryce orbitalnej. Albo na rolniczej planecie, gdzie horyzonty były bezkresne, ale nigdzie nie mogłeś znaleźć miejsca dla siebie. Albo w portowym mieście cuchnącym niewiarygodną dziwacznością wszystkiego. I przez całe dzieciństwo dręczyło cię... właściwie co? Skwapliwość. Niecierpliwość. Pragnienie ucieczki. Żądza wiedzy. Miałeś trzynaście lat, ale wyglądałeś na więcej. Byłeś chłopakiem, dziewczyną, twoja płeć była nieokreślona. Wcielono cię przemocą do EMC. Albo poznałeś specjalistkę od eksploracji wraków z Nueva Cardoso. Natychmiast ją pokochałeś za rozległą wiedzę, a także za obce pornotatuże i efektowną sztuczną rękę. Złożyła ci ofertę i dzięki temu zacząłeś latać raketami. Latałeś z Fedym von Gangiem, latałeś z Edem Chinolem. Spędziłeś pięć lat w łajbie badawczej w Radio RX-1, gdzie Trakt Kefahuchiego wisiał nad tobą jak wielka, gotująca się twarz, odarty z wszelkich osłon, pełen jakiegoś uczucia, którego nie potrafiłeś rozpoznać. To było świetne. To złamało ci serce. To nigdy nie było czymś mniej niż odlot.

Czyją historię opowiadał, kiedy mówił to wszystko?

Irene sądziła, że zna odpowiedź na to pytanie.

– Antoyne – poczuła się zobowiązana mu przypomnieć – ja jestem piękna, a ty rozumiesz wystarczająco wiele, by odnaleźć drogę do mnie w tym życiu.

– Zaczekajmy chwilę i dowiedzmy się więcej – odparł grubas.

Nie musieli czekać długo. Wkrótce Liv Hula przepchnęła się do nich przez tłum. Sprawdziła wszystkie wystawione na sprzedaż statki i miała minę kogoś, kto przebywa we własnym świecie. Przez chwilę obawiali się, że przejdzie obok nich, a gdy Antoyne zawołał ją po imieniu, sprawiała wrażenie zaskoczonej. Barmanka zawsze wydaje się bezbronna, gdy nie stoi za barem. Zdaniem Mony Liv Hula zawsze prezentowała światu zbyt defensywny obraz. Niemniej, gdy przyglądała się statkowi – jego kadłubowi o geometrii dojrzałego awokado, poczerńiałemu od lądowań ogonem w

dół od Motelu Splendido po samo Jądro – z pewnością zachowywała się bardzo rzeczowo.

– Rupiec – oceniła.

Antoyne zachichotał.

– Wejdź do środka – zachęcił ją – i powiedz mi coś, czego bym nie wiedział.

Wewnątrz statku śmierdziało starym żarciem, potem i rumem Black Heart. Uchodźcami, kontrabandą i pokazami zwierząt. Sprawiał wrażenie opuszczonego dopiero przed chwilą. Liv Hula nie była pewna, jak by się czuła, gdyby została tu sama. Echa jej kroków odbijały się od słabo oświetlonego kadłuba, a potem znikwały w jakiejś innej przestrzeni. Operatory-cienie, skupione wokół włazów jak turyści, szeptały do siebie i dotykały się nawzajem, kiedy przechodziła obok. W środku było zimniej niż na zewnątrz. Liv znalazła zakurzony fotel pilota i usiadła w nim. Sprzęt włączył się na dźwięk jej głosu. Udostępniło się bezpośrednie połączenie pod postacią masy nanowłókien.

– Akceptuję – powiedziała Liv.

Oparła się wygodnie i otworzyła szeroko usta. System przedostał się sprawnie przez podniebienie miękkie, wnikając do mózgu.

Kiedyś to był jej zawód. Słoneczny nurek, taki jak *Saucy Sal*, miał w sobie więcej matematyki niż materii. Nie wiedział, czym właściwie powinien być, i bez aktywnego interfejsu pilota natychmiast zmieniał się w nanotechnologiczną maź oraz elementy z inteligentnego węgla plus kilka kolapsujących pól magnetycznych. Należał do klasy emergentnych artefaktów, był nerwicą z silnikiem. Hiperskoczek nie tyle się pilotowało, ile przeprowadzało przez program dynamicznego odkrywania siebie na nowo. Trzeba mu było opowiedzieć historię o nim samym. Na długo przed tym, nim zeszła tak głęboko na Marnej Szansie – co w pewnym sensie położyło kres jej karierze, ponieważ już nigdy nie dorównała temu wyczynowi, choć uprawiała raketowy sport jeszcze przez długi czas – Liv kupiła sobie najlepsze udoskonalenia dostępne na rynku. Dlatego przeżyła teraz chwilę dezorientacji, podczas której nie była nawet Liv Hula, a tylko jakąś kodową małpą z Nowego Wenusportu. Potem zapanowała nad matematyką frachtowca jak osobisty trener.

– No proszę. Co możesz mi opowiedzieć o sobie?

Hologramy nawigacyjne, nic ciekawego. Mapy gwiazdne i niby-książki, nic ciekawego. Nagromadzone przez pięćdziesiąt lat manifesty ładunkowe, rachunki za zakupione paliwo, stemple z orbit parkingowych, nic ciekawego, nic ciekawego, nic ciekawego. Przebieg pracy u sprzedawcy (brak). Schematy infrastruktury. Kabiny i kwatery dla załogi. Ładownie (puste); zbiorniki paliwa, puste, puste. Matematyka mogła jej pokazać widok na Carver Field i Liv z łatwością wypatrzyła maleńkie figurki, które знаła jako Irene i Antoyne'a. Matematyka z niejasnych powodów potrafiła nawet za pomocą odbiorników pośredniczących i starej łącznicy nadświetlonej pokazać jej obrazy wybranych orbit parkingowych, położonych od trzech do czterech tysięcy światła stąd wzdłuż Plaży.

Liv przyglądała się temu wszystkiemu bez cienia sympatii.

– Nie wiem, dlaczego jesteś taki wstydlivy – odezwała się. – Nie masz nic, czego bym już przedtem nie widziała. – Zaczekała nanosekundę, a potem dodała: – Sądząc z tego, co już zdążyłam tu wyczytać, mógłbyś być zdolny do nadzwyczajnych rzeczy, gdybyś tylko zechciał ujawnić przed ludźmi swe możliwości. Nie obraż się, ale chyba zapomniałeś, że w tym wszystkim chodzi o ciebie. I o to, jak się prezentujesz.

Po dwudziestu minutach, z odrobiną mdłości i lekką nostalgią, Liv Hula znowu ujrzała światło słoneczne.

– Muszę zjeść śniadanie – oznajmiła i zaprowadziła dwoje przyjaciół na Straint Street.

Sobie nałapała dla uspokojenia rumu bez lodu, a dla Irene i Antoyne'a zrobiła ich ulubione koktajle. Potem usiadła za stolikiem i przekazała grubasowi informacje, za których zdobycie jej zapłacił, a

także rady płynące z jej doświadczenia, ile tam właściwie mogły być warte.

– Guano zbierało się tam przez pięćdziesiąt lat – poinformowała Antoyne'a – ale tego należało się spodziewać. Ponadto używali kodu, by kierować czymś, czego moje udoskonalenia nie potrafią sforsować. To jakiś obcy dodatek. Może pozapokładowy silnik, chociaż przyznaję, że to byłoby dziwne. – Ta myśl wyraźnie ją zdziwiła. Potem Liv wykonała gest, oznaczający „Kto na tym świecie może cokolwiek wiedzieć?”. – Bez względu na to, co to było, już zniknęło, więc chyba nie musicie się tym przejmować. Narzędzia nawigacyjne nie przeciekają. Dobra higiena, biorąc pod uwagę wiek statku. A sam kod? Dla mnie to chleb z masłem, ale nie dla wszystkich. Musisz sobie zrobić upgrade, Antoyne, bo inaczej któreś nocy wlezie ci do nosa.

Grubas otworzył usta, chcąc coś wyznać. Gdyby Liv mu na to pozwoliła, mogłaby w rezultacie zmienić zdanie w sprawie całego tego interesu. Ona jednak mówiła dalej:

– Swoją drogą, przekazałam ci też ocenę części mechanicznych. Jezu, lepiej nic na ten temat nie mówić. Te jego silniki? Kabel do przesyłania prądu i wielkie koła zamachowe? Co to ma być za fizyka? Antoyne, nie rób takiej miny, żartuję. Tak czy inaczej, powinny wytrzymać dwa, może trzy loty. – Dopiła rum i zwróciła się w stronę Irene. – Nie zapomnij kazać mu, żeby włożył ołowiane portki. Kadłub jest tak zużyty, że zrobił się cienki jak opłatek.

– Ołowiane portki – powtórzyła ze śmiechem Mona, która wyglądała przez okno, myśląc o biednym Joem Leone.

– Wszystko to naprawię – zapewnił Antoyne.

– Lepiej ty niż ja.

Jeśli rozumiesz statki takie jak ten, który zamierzał kupić Antoyne, zawsze możesz nawiązać kontakt, wejść do baru na Motelu Splendido albo Nowym Wenusporcie i spotkać tam kogoś, kogo znasz. Kogoś, kto jest ci winien forszę, kolejkę albo wyjaśnienia. Co prawda, w większości przypadków ty również jesteś im winien to wszystko. Szczerze mówiąc, tylko dlatego możesz z nimi prowadzić interesy. Być może Liv również o tym pomyślała, gdyż nagle go ostrzegła:

– Przynajmniej zmień jego nazwę, Antoyne.

Grubas ujął Irene za ramię. Oboje uśmiechnęli się do siebie.

– Planujemy to zrobić – zapewniła Mona.

Blisko pięćdziesiąt tysięcy kilometrów nad barem Liv Huli Paulie DeRaad przybył niedawno na orbitę kwarantannową.

To nie był Paulie, którego znali. Zniknął ostry nos, zniknęły żywe niebieskie oczy i białoblonde czupryna, układająca się nad czołem w kształt litery V, a także delikatna, cienka od promieniowania skóra, w niektórych rodzajach oświetlenia wywołująca złudzenie, że widać ukryte pod nią mięśnie twarzy. Podobnie jak wszyscy przebywający na tym statku, Paulie był obecnie raczej pojęciem niż osobą, którą można opisać. W kwaterach dla ludzi nadal można było usłyszeć indywidualne głosy, ale choć w pewnym sensie Paulie nadal pozostawał Pauliem – to znaczy kimś, kto na nic się nie zamykał, kto wszystko lubił i wszystkiego pragnął – i odnosiłeś zdecydowane wrażenie, że ktoś nadal tam żyje, wiedziałeś, że trudno by było teraz oddzielić Pauliego od członków oddziału komandosów próżniowych, który go tu sprowadził. Ci żołnierze – wszyscy co do jednego byli ochotnikami – najczęściej mówili o nim:

– DeRaad, ty kurewski skurwielu. Ty pierdolony turysto.

Większość statków kwarantannowych była ogromna, miała pokryte dziobami kadłuby i sprawiała wrażenie sfatygowanych. Pełno na nich było czerwonych świateł ostrzegawczych i zderzaków cząstkowych. Najczęściej były to stare frachtowce, kursujące ongiś po linii Carlinga, przestarzałe

statki wykorzystujące odkształcenie Alcubierre'a, wielkie jak planetozymale, nawet po usunięciu napędów relatywistycznych. Mogło to być wszystko, co miało wystarczająco mocny kadłub, zwłaszcza jeśli dawało się go wzmocnić jeszcze bardziej. Miały też inne wspólne cechy: we wszystkich umieszczono najpotężniejsze miny w katalogu EMC, a włazy zaspawano na głucho. Nikt nie był pewien, jaka atmosfera obecnie je wypełnia, ani nawet, czy w ogóle jest tam jakaś atmosfera. Bez względu na wiek, pochodzenie czy stan kadłuba statków w ich wnętrzu panowała albo nieprzenikniona ciemność, albo jasność nie do zniesienia dla ludzkich oczu. Były ich setki, ciągnęły się tak daleko, jak okiem sięgnąć, krążąc po kleistych, splecionych ze sobą orbitach, które to zbliżały się do siebie, to znowu się oddalały. Raz na sześć miesięcy skomplikowane efekty rezonansowe wprowadzały je na kurs na zderzenie. Rozlegały się alarmy. Silnik włączał się w ciemności na milisekundę albo dwie. Później przez parę dni próżnia między statkami wyglądała na zjonizowaną. To fale zmian fazy przebiegały przez inteligentny gaz złożony z nanourządzeń przeznaczonych do monitorowania grubości kadłuba, temperatury powłoki, temperatury rdzenia oraz emisji w najrozmaitszych zakresach, w tym – o dziwo – również fal dźwiękowych, generowanych przez jakieś jak dotąd nieopisane procesy rozgrywające się wewnątrz.

Ilu ludzi przechowywano na orbicie kwarantannowej? Jak wiele ucieczek sobą reprezentowali?

Nikt tego nie wiedział.

Między wielkimi jednostkami dryfowało mnóstwo mniejszych. Ich stan pozostawał niestabilny. Mapy ich orbit były niemożliwe do sporządzenia. Te statki stanowiły zagrożenie dla wszystkich z uwagi na swe kruche kadłuby oraz pełną życia zawartość. Nadal miały okna i włazy. Jednym z nich był K-statek *Poule de Luxe*, pierwotnie wysłany z pół jawną misją z Zatoki Radiowej, ale ostatnio przeniesiony do Kwarantanny.

Poule de Luxe, najpopularniejszy ze statków, które ocalały z wojen nastyckich, koziółkował bezwładnie na orbicie, jego broń wysuwała się i chowała bezcelowo, światła kotwiczne zgasty. Minęło wiele czasu, odkąd statek ewakuował Pauliego DeRaada z Placów w Saudade. Kiedy zrozumieli, że jest już za późno, by znaleźć dla niego miejsce w ośrodku higieny – za późno nie tylko dla Pauliego, lecz również dla nich – próżniowi komandosi spróbowali ukraść statek. Trzeba przyznać, że byli nieźli, bo udało im się dotrzeć niemal na drugi koniec halo, nim K-kapitan zdołała odzyskać kontrolę. Lot powrotny trwał długo. Pojawiły się pewne trudności. Gdy komandosi uświadomili sobie w pełni, co przyniósł im Paulie, z kabiny dla ludzi dobiegły przeraźliwe krzyki. Po ukończeniu misji matematyka się wyłączyła. K-kapitan postąpiła tak samo, na wypadek gdyby udało się ją później ewakuować. Dopływ mocy odcięto.

Na rufie, w kabinach dla załogi, było zimno, ale nie ciemno. Nadpalone, powyginane grodzie zdołały powstrzymać ucieczkę. Jak w większości przypadków przybrała ona postać lejącej się, świetlistej płynnej substancji, czasami zbliżającej się gęstością do puddingu ryżowego albo zupy z soczewicy, a czasami przypominającej wyglądem chlorowaną wodę falującą lekko w basenie w potężnym blasku słońca. Często była zbyt jasna, by na nią patrzeć, i pojawiały się w niej skomplikowane prądy wewnętrzne, niezależne od zewnętrznych wpływów. Jeśli był tam kod, nikt nie wiedział, co właściwie robił. Nikt nie wiedział, w jaki sposób zdołał się związać z substratem złożonym z białek i nanomechaniki. Wyglądał pięknie, ale śmierdział jak wytapiany tłuszcz. Mógł cię pochłonąć w kilka sekund. Czy to był stan końcowy? Czy to było nowe medium? Nikt nie znał odpowiedzi na te pytania. Substancja wypełniała wszystkie statki. Nikt nie wiedział, co z nią zrobić. Nikt nie wiedział, czym jest, pomijając fakt, że w tym przypadku jakaś jej część była w poprzednim życiu gangsterem z Saudade, natomiast inna jego kumplami z EMC. Przebiegały przez nią gwałtowne fale. Wytrącały się z niej losowe zmiany stanu. Często z trudem formowała się jakaś postać, która

następnie podchodziła do luku i szeptała:

– O, kurde. Niech to chuj! Widzicie to? Alcubierre, tuż na lewo od dziobu. Patrzcie!

Trudno ocenić, czy ta postać była Pauliem, czy zdołał zachować wystarczająco wiele poczucia siebie. Niewykluczone jednak, że zawsze jest nadzieja i że w końcu zdołał odnaleźć sposób, by się cieszyć życiem. Tymczasem reszta masy kipiała ze złością i odpowiadała:

– DeRaad, ty pizdo.

Po śmierci Emila Edith Bonaventure miała trudności z podjęciem decyzji, co robić dalej. Pracowała pod bramą portu i w pobliżu turystycznych atrakcji. Co noc odwiedzała nowy bar, a potem wracała do domu, zdeterminowana wyrzucić rzeczy Emila, ale nie potrafiła się na to zdobyć. Nie była też w stanie zasnąć i w rezultacie siadała na podłodze, jakby jeszcze żył, i czytała na głos jego dzienniki.

„Strefa zachowuje się jak dziecko, które ma jakąś tajemnicę” – napisał jej ojciec. „Nikomui nie wolno jej poznać, ale każdy musi spróbować ją odgadnąć”.

Edith miała też inne potrzeby poza próbami znalezienia dla wspomnienia o ojcu odpowiedniego miejsca w swym życiu – o ile w ogóle okaże się to możliwe. Te inne potrzeby było trudniej określić. Zmuszały ją do chodzenia na walki w rzadkim jeszcze mroku letnich wieczorów, lecz zapachy smażonych potraw, alkopopów i hemoglobiny wypełniające Preter Coeur nie cieszyły jej już tak jak kiedyś. (Można twierdzić, i wielu ludzi to robi, że każdy z walczących jest inny, jednak różnice między nimi mieszczą się w wąskim zakresie powtarzalności, co znaczy, że ten, kto widział jednego monstrualnego kutasa, właściwie widział już wszystkie). Dawali jej miejsce w plamie światła pod franczyzowymi sklepami wuja Suwaka i Nueva Cut, ale choć pragnęła być nowa, nie wierzyła już w nowość, marzyła o podróżach, ale nie chciała się ruszać z miejsca. Pewnego wieczoru, gdy oglądała wystawy na Straint Street, szukając dla siebie nowej osobowości za niską cenę, przeszła obok Czarnego Kota, Białego Kota i zauważyła kartkę w oknie. Weszła do środka. Barmanka stała w swej zwykłej pozie za obitym cynkową blachą kontuarem.

– Naprawdę chcesz sprzedać ten lokal?

– Nie jest wiele wart – przyznała Liv Hula, która spędziła rano na próbach wytarcia nagromadzonego przez dziesięć lat brudu na oknach, a popołudnie przeleżała w łóżku, ziewając szeroko.

– Widzę.

– Na przykład, kiedy przejęłam bar, ta ściana była biała.

Edith przestała jej słuchać. Zamknęła oczy, by były przyzwyczajone do ciemności, kiedy je otworzy. Pierwsze, co zobaczyła, to światło spływające jak woda po czarnych deskach podłogowych, odbijające się w butelkach stojących za barem, wnikające w otynkowane ściany, które mimo wysiłków właścicielki nadal były żółte. Zobaczyła niedobre stoły o różnych wysokościach, z ich chromowanymi nogami i poobtlukiwanymi marmurowymi blatami, a nad nimi, w kątach sufitu, przypominającą pajęczyny masę operatorów-cieni. Zobaczyła mokry obrus na barze. Za stolikami siedziało dwóch albo trzech gości, ale ich również potrafiła pominąć. Widziała, że są pory dnia, gdy do Czarnego Kota, Białego Kota nie przychodzi prawie nikt, ponieważ jest za późno, by jeść, a za wcześnie, żeby się narąbać. Podeszła do okna i wyjrzała na Straint Street. Przez chwilę wyobrażała sobie ulicę jako nowe Globe Town: kiedy otworzy swój interes, ludzie zapragną tu zamieszkać, a przynajmniej będą przychodzić po coś więcej niż tylko szybka przeróbka. To jednak nie było do końca to. Nie tego oczekiwało się od baru.

– Wiesz, co tu widzę? – zapytała jednak.

– Co?

– Jeszcze nic. Ale słyszę muzykę. To słyszę.

– Mogę ci coś nalać? – zapytała Liv.

Edith powiedziała, że może być rum.

– Niech będzie z lodem – dodała. Jednym szybkim haustem pochłonęła połowę trunku, a potem oparła się o bar. – W każdej chwili mogłabyś kazać operatorom-cieniom oczyścić ściany – poczuła się zobowiązana zauważyć.

– To by nie wyglądało autentycznie.

– Ja nigdy nie będę ulegała takim sentymentom – zapowiedziała Edith.

Obie kobiety oddały się wspólnej zadumie nad implikacją takiego doboru słów.

– Może mnie nie pamiętasz – odezwała się w końcu Liv. – Byłaś tu przedtem. – Edith nie odpowiedziała. – Było mi przykro z powodu tego, co się wydarzyło między tobą a Vikiem – nie ustępowała Liv.

– Nigdy o nim nie myślę – ostrzegła ją Edith.

Rozmawiały w ten sposób jeszcze przez pięć minut. W tym czasie plażowy króliczek Liv zszedł na dół i uśmiechnął się nieśmiało do Edith.

– Hej – rzucił.

Nalał sobie wody z kranu i wypił ją chciwie, obejmując Liv w talii. Potem podszedł do drzwi, pozwalając, by blask słońca uwidaczniał jego nogi, prześwitujące przez nogawki sięgających połowy łydek spodni z niebielonego płótna. Liv znowu im nalała i Edith zapytała ją, ile chce za bar. Liv podała sumę.

– Na gorze jest pokój – dodała. – Ale armatura nie jest w tej chwili kompletna.

– To korzystna oferta – zgodziła się Edith po chwili namysłu.

– Możesz się wprowadzić, gdy tylko zechcesz.

– Jeszcze jedno – zapytała Edith. – Czy on wchodzi w skład oferty?

Obie kobiety się roześmiały, potem Edith odliczyła pieniądze na kontuarze i wyszła. Tak to się dokonało. Po dziesięciu minutach, bez chwili zastanowienia, córka Emila Bonaventure'a, deweloperka nieposiadająca konkretnych planów, które narzuciłyby jakieś ograniczenia jej coraz ambitniejszym wizjom, dotarła do końca Straint Street bliskiego strefie. Zatrzymała się tam na dłuższy czas, obserwując, jak światło słońca przesuwają się ku czerwieni – wszyscy wiedzą, że to miara prędkości, z jaką coś oddala się od ciebie – i myśląc o Emilu. Była tu po raz pierwszy w życiu. Czowała się zazdrosna, lecz również zdziwiona. To właśnie dawało mu radość przez te wszystkie lata: przygody w zburzonych domach i fabrykach, sterty gruzu przypominające zbombardowane podczas wojny ulice, zardzewiałe znaki drogowe niczym sygnały od podświadomości; pola pustego betonu ciągnące się aż po stojące fale mgły, soczewki atmosferyczne i inne dezorientujące zjawiska optyczne. Najwyraźniej działało się tu bardzo wiele, ale trudno było cokolwiek zauważyć. Słyszała muzykę, jak w wesołym miasteczku. Potem pojawił się drugi zachód słońca, potężne, zataczające kręgi snopy światła rozbłyskiwały na przemian fioletem i zielenią, jak na komiksowym rysunku.

– Spodziewasz się, że w to uwierzę? – zapytała Edith.

Po odejściu Edith Bonaventure Liv poczuła się zbyt lekko, by mogła znaleźć spokój. Zajęła się myciem szklanek, tylko po to, by poczuć dotyk ciepłej wody. Popatrzyła na leżące na barze pieniądze. Potem przeliczyła je raz jeszcze, podzieliła na dwa stosy, zaniósła większy do stojącego w jednym z kątów stolika i położyła na blacie.

– Teraz mam pełen udział – poinformowała Antoyne'a Messnera.

Grubas również policzył pieniądze. Kiedy skończył, nie miał tak zadowolonej miny, jak się tego spodziewała.

– Hej, są autentyczne – zapewniła.

Odpowiedział, że wie o tym.

– To o co chodzi, Antoyne?

Odkąd obejrzeni razem statek, przychodził tu każdego popołudnia, czasami z Moną uwieszoną na ramieniu, a czasami sam, ale nie było już tak, jak w dawnych czasach, kiedy co noc żłopał z Vikiem Serotoninem. Antoyne mówił mniej niż kiedyś, a choć jego nastrój był z reguły bardziej stabilny i ożywiony, w chwilach dołowania opadał. Grubas więcej pił. Jego skórzana kurtka lotnicza była zaniedbana, a na spodniach miał plamy od oleju. Zawsze miał włączoną łącznicę i mówił takie rzeczy, jak:

– Jezu Chryste, Andrei, to miała być przysługa.

W tej chwili przesunął się na krzesło i odwrócił twarz od Liv, by mieć czas wziąć się w garść. Spojrzał na stół i zaczął się bawić szklanką, w której został jeszcze niespełna centymetr koktajlu. Bez względu na to, jak mało było płynu i jak często go mieszano, inteligentne cząsteczki wbudowane w koktajl zapewniały, że nadal składał się z precyzyjnie oddzielonych różowych i żółtych warstw. Na planetach, na których Antoyne spędzał czas, uchodziło to za szczyt wyrafinowania. Wypił koktajl i się skrzywił.

– Nie mogę już latać – wyznał. – Chciałem ci o tym powiedzieć.

Pomyślał o czasach, gdy latał na statkach z napędem dynafłow, o wszystkich miejscach, które odwiedził, i o tym, co tam widział. Gay Lung, Ambo Danse, Waitrose Dwa i Tysiąc Słońc: rozprzestrzenił się jak łatwo zarobione pieniądze na wszystkich światach Plaży i jeszcze dalej, w głąb Zatoki Radiowej. W owych czasach latał głęboko. Surfował na zniekształceniu Alcubierre'a. Miał na własność wiele kolejnych rakiet, ale z powodu braku wyobraźni wszystkim nadawał nazwę *Kino Kurczak*. Przemyczał to i tamto. Zawsze pozostawał o jeden krok przed EMC i zdziaczałym kodem z jego własnych systemów nawigacyjnych. Na koniec jednak zapomniał o ostrożności, co często zdarza się takim mężczyznom jak on, i na Santa Muerte wciągnął w płuca coś, co uszkodziło jego przegrodę nosową, a także poczucie tego, gdzie co się znajduje. To był koniec jego kariery pilota. To był koniec poczucia niezniszczalności. A co tam, nic nie trwa wiecznie, próbował sobie powtarzać aż do chwili, gdy wylądował w Saudade jako popychadło Vica Serotonina. Z zaskoczeniem przekonał się, że teraz owa fraza nie przeszłaby mu przez usta.

– Straciłem żyłkę do tego.

Liv Hula przyglądała się grubasowi przez minutę albo dwie. Potem wstała i kazała mu włożyć kurtkę.

– Chodź ze mną – zażądała.

Po dziesięciu minutach byli już na Carver Field. Wiał lekki wiatr i zapadał zielonkawy półmrok. Gwiazdy halo pojawiały się na szczycie firmamentu pod postacią ostrych, rozjarzonych punkcików. Ich statek był niemal gotowy do odlotu, jego pękaty kadłub znowu lśnił blaskiem taniego mosiądzu w świetle rozproszonych halogenowych latarni portu. Antoyne schował ręce do kieszeni i wzruszył ramionami.

– Po co tu przyszliśmy? – zapytał.

– Żeby podziwiać tę kupę złomu, którą kazałeś nam kupić.

Liv objęła dłońmi jego dłonie i zmusiła go do spojrzenia jej w oczy i zrozumienia słów.

– Antoyne – zaczęła. – Połączyłam się z Irene i poprosiłam, żeby tu przyszła. Potem będziemy się mogli napić we troje, by uczcić ten nowy etap naszego życia. Będiesz mógł mi jeszcze raz

wytłumaczyć, jak działają te głupie, staromodne silniki. Na razie jednak spójrz na niebo. Widzisz tego czerwonego olbrzyma? To McKie, piętnaście światła stąd. Możemy tam polecieć. Albo tam, na Amerykańskiego Polaroida. Albo tam, na Jesteś Tego Wart. Mamy statek. Możemy dotrzeć do każdej z miliona gwiazd!

– Wydaje ci się, że nie znam tych miejsc albo ich nazw? – obruszył się Antoyne.

– Kiedy pierwszy raz przyszedłeś do mojego baru, natychmiast się zorientowałam, że choć kiedyś byłeś pilotem, to już dla ciebie skończone.

Antoyne spróbował się odsunąć, zły, że powiedziała na głos to, co mówiła jej intuicja. Mimo że stali pośrodku pustego pola, gdzie nikt poza nim nie mógł usłyszeć jej słów, a poza tym wszyscy i tak już o tym wiedzieli.

– Zawsze to rozumiałam – dodała. Trzymała jego ręce w uścisku jeszcze przez chwilę, a potem je puściła, uświadomiwszy sobie, że Saudade zostało już sto lat świetlnych za nimi. Znowu spojrzała na statek. Jego czarny zarys na tle zorzy wieczornej dodawał jej otuchy. – W ostatecznym rozrachunku, jakie to ma dla ciebie znaczenie, Antoyne?

– Takie, że jestem teraz nikim.

– Tak samo jak my wszyscy. Wszyscy straciliśmy to, kim kiedyś byliśmy. Ale możemy stać się kimś innym, a ja z chęcią zaprowadzę tę raketę, dokąd tylko zechcesz, mimo że nazwaliście ją z Irene *Nova Swing*, a to najbardziej tandetna nazwa, jaką słyszałam w życiu.

Antoyne spojrział na nią, a potem za jej plecy. W jego oczach pojawił się błysk.

– Hej – odezwał się. – Idzie Irene.

Księgowi pracujący dla Wydziału Przestępstw Strefowych przeszledzili przepływ pieniędzy z gabinetu na zapleczu Semiramide Club do pokoju nieopodal Voigt Street, jednej z licznych kryjówek DeRaada, jakie regularnie znajdowali i likwidowali.

Na Voigt Street było pełno pojazdów i migających świateł. Sprowadzono ekipy strażaków. Przy zamkniętych, wzmocnionych drzwiach trudzili się jeźdźcy kodowi. Nad całością czuwały Wydziały Kwarantanny i Higieny, reprezentowane głównie przez mundurowych funkcjonariuszy średniej rangi. Spierali się przez łącznice o to, kto powinien mieć pierwszeństwo, czekając jednocześnie z udawaną cierpliwością na rozpoczęcie akcji. Scena wyglądała typowo, pomijając fakt, że operacją kierowała młoda, wysoka kobieta wyposażona w zaawansowane modyfikacje krawieckie. Po jej przedramieniu nieustannie spływał strumień danych. Wszyscy wiedzieli, kto to jest, ale nikt jej nie ufał, ani nie rozumiał, w jaki sposób zdołała tak szybko awansować. Po katastrofalnej akcji na Placach nie czuli się zbyt pewnie, współpracując z Wydziałem Przestępstw Strefowych, ale język ich ciała – a także język ciała kobiety – potwierdzał, że nie mają wyjścia.

Okazało się, że zamek jest mechaniczny i nikt nie potrafi go otworzyć. Dlatego wysadzili drzwi.

Ludzie weszli do środka. Mieli pewne miny, choć wszyscy byli niespokojni. Nikt nie chciał przybyć pierwszy na scenę wielkiej ucieczki. W tym przypadku zjawili się jednak za późno. Wydarzyło się tu coś dziwnego, ale już było po wszystkim. Najlepiej opisać to tak: w pokoju śmierdziało. Był to ten sam ostry fetor zjełczanego tłuszczu, który czuło się w ośrodkach kwarantanny, utracił już jednak intensywność, wnikając w podłogę, łóżko, zapaskudzoną szarą pościel, przypominającą rozchełstany całun, oraz białe ściany z ich ładunkiem zaschłych ludzkich wydzielin i nieczytelnych graffiti. Pokój opuszczono, ale niedawno. Funkcjonariusze Wydziału Przestępstw Strefowych to rozumieli. Świetnie znali tę kategorię faktów. Do bardzo niedawna coś tu żyło, ale, jak opiszesz to coś i co rozumiesz pod słowem „żyło”, w bardzo wielkim stopniu zależy od ciebie. Wiedzieli, że gdyby mieli szansę znaleźć się tu dwadzieścia cztery godziny wcześniej, mogliby

zobaczyć, jak złożone jestestwo znane przedtem jako „Pogoda” po raz ostatni opuszcza kryjówkę. Drzwi otworzyłyby się same, bez niczyjej pomocy, i zamknęły w taki sam sposób. Na zewnątrz panowałaby cisza, mącona być może głośnym, uspokajającym szumem letniego deszczu, śmiechem uciekających przed nim dzieci i trzaskiem zamykających się gdzieś na Voigt Street drzwi. Przez krótką chwilę owe dźwięki mogły się wydawać zbyt ostre. Kobieta ze strumieniem danych sprawdziła graffiti, skonsultowała się z dyskretnymi strumieniami kodowymi spływającymi po wewnętrznej powierzchni jej przedramienia i potrząsnęła z namysłem głową.

– Możecie tu zakończyć sprawę – oznajmiła przedstawicielom Wydziału Higieny.

Pojechała z powrotem do biura, położonego w śródmieściu, na skrzyżowaniu ulic Uniment i Poe. Tam odtworzyła zapis nanokamer dotyczący drugiej nierozwiązanej sprawy w jej karierze.

Bezblędna dokumentacja, skompilowana osobiście przez zaginionego detektywa i wyświetlona na ścianach przez jego operatory-cienie, nic nikomu nie wyjaśniła. Przez rok po śmierci żony Aschemann kontynuował śledztwo w sprawie morderstw Neonowego Serca. Zebrał wszelkie szczegóły, ale ich suma równała się zeru. Obserwował, zadawał pytania, zapisywał nazwiska, chodził pod bramy niekorporacyjnego portu, by poczuć unoszący się tam w powietrzu zapach pieniędzy i przemocy. Łaził od baru do baru. („Wszyscy odważni ludzie w pewnej chwili swojego życia oglądali niebo zza krat” – oznajmił z psotnym, zwróconym do wewnątrz uśmiechem, który jego współpracownicy nauczyli się rozpoznawać). Co rano przyjeżdżał do biura różowym cadillakiem z roku 1952, a po południu je opuszczał. Trzymał nogi na zielonym blaszanym biurku, pisał listy do kobiet i do Primy. Czy ją zabił? Czy to on był Tatuującym Mordercą? Asystentka pomyślała, że prawda wyglądała tak, że on sam nie znał odpowiedzi na to pytanie, podobnie jak ona. Wiedział tylko, czego chce od niego Saudade: miał być detektywem i posiadać jakiś plan wykonywania tej funkcji. Podczas tego roku, i wszystkich następnych lat, był jak człowiek budujący siebie na nowo – nie jako kogoś zupełnie innego, lecz również nie do końca na swój obraz. Jego poczucie winy wywodziło się ze śmierci Primy, ale poczucie braku ciągłości brało się z tego, że się z nią ożenił.

– Wszystkie zbrodnie są zbrodniami przeciwko ciągłości – powiedział jej kiedyś. – Ciągłości życia, ciągłości własności, ciągłości systemów.

Westchnęła.

– Wyłącz to – rozkazała.

Północ jeszcze nie nadeszła. Było za wcześnie, by pójść do farmy tanków na C-Street. Żaluzje w oknach opuszczono, do środka wpadały pulsujące bezładnie światła o barwie intensywnie różowej i złowrogo, toksycznie sinej. Meble pachniały autentyczną politurą. Od czasu do czasu asystentka mówiła coś do łącznicy albo operatory-cienie podbiegały do niej, szepcząc:

– Gdybyś tylko mogła to podpisać, skarbie.

W innych chwilach włączyły na biurko i siedziały jak strącone na ziemię nietoperze między porzucanymi papierami i pasmami neonowych świateł, licząc na to, że je zauważy. Po wewnętrznej powierzchni jej przedramienia płynęły dane. To był teraz jej gabinet. Musiała się uporać z poważnym przypadkiem ucieczki. Mogła zaczekać jeszcze godzinę, nim zrobi następny ruch. I potem następną godzinę. Czuła się jednak niespokojna i nie wiedziała, co zrobić w tej chwili. Na skrzyżowaniu za oknem papiery unosiły się na wilgotnym wietrze, a zagubiona blondynka w krótkiej białej sukni wieczorowej uśmiechała się niejasno do opustoszałego chodnika, trzymając w jednej ręce oba buty.

Minął kolejny miesiąc. Remont *Nova Swing* ukończono. Władze portowe wydały pozwolenie.

Przemalowano kadłub. Zarejestrowali firmę o nazwie „Fracht Luzem”, wymyślonej przez Antoyne’a po wielu godzinach ogłupiających wysiłków. Mieli też deklarację programową, którą Irene wykryła wypisaną na swym sercu: „Celujemy w przyszłość!”. Kupili nowoczesne udoskonalenia dla układów napędowych. Wczesnym rankiem pewnego jesiennego dnia, gdy na Carver Field padały strugi deszczu, Liv Hula rozgrzała silniki rakiety, połączyła interfejs pilota ze zwyczajową mieszanką optymizmu i wstrętu do samej siebie. Antoyne przypiął się pasami do drugiego fotela i weszli na orbitę parkingową.

– Cholera – mruknęła pięć minut później. Jej głos brzmiał niesamowicie w pokładowych głośnikach. – To działa.

– Rewelacja – zgodził się Antoyne.

Przez chwilę gapili się na kosmos, a potem na siebie nawzajem, zastanawiając się nad tym niezwykłym podejrzeniem. Kosmos! Testy infrastruktury potwierdziły to, co już wiedzieli.

– To stara łajba, ale rzeczywiście działa!

Wystraszeni i zachwyceni, niespokojni, ale pewni swego profesjonalizmu, czmychnęli do domu, gdzie znaleźli Monę Irene, pobladłą, lecz szczęśliwą. Miała na sobie jaskrawo różowe spodnie do kolan i odświeżała makijaż, trzymając w ręce małą czerwoną kosmetyczkę z poliuretanu, którą Antoyne tak dobrze pamiętał.

– I co, działa? – zainteresowała się. Przyznała, że podczas startu siedziała w budynku administracji, jedząc lody Białe Światło, i nawet nie odważyła się patrzeć. – Ale widziałam, jak na wszystko padł blask. Rozświetliliście sam deszcz. Ścisnęłam za was nogi.

– Nie potrafię uwierzyć, że zadziałało – odparła Liv Hula.

Potem wszyscy troje zamieszkali na statku, często stawiając takie dziecięce kroki, robiąc krótkie wypadki w kosmos. Choć ich punkty widzenia były różne, Liv i Irene zgadzały się ze sobą, dopóki obie mogły kierować Antoyne'em na różne sposoby. Grubas z chęcią na to przyzwalał. Właściwie był przyzwyczajony do takiego traktowania, choć nigdy w życiu nie przyznałby się do tego przed Moną. Zawsze mieli jakiś temat do rozmów. Antoyne i Irene mówili o rozwoju osobowości i o swych aspiracjach. Irene i Liv o tym, że trzeba umieć dobrze się zaprezentować. Liv i Antoyne zaś o Vicu Serotoninie, który pod wieloma względami umożliwił im założenie tego interesu.

– Zawsze zadaję się z ludźmi silniejszymi od siebie – wyznał Liv Antoyne. – Można powiedzieć, że to dla mnie typowe. Ale czasami kończy się dobrze.

Liv zadrżała.

– Ludzie tacy jak Vic są za silni dla wszystkich, którzy ich otaczają.

Gdy jednak powtórzyła ową opinię Irene, ta tylko pociągnęła nosem.

– Nigdy w życiu nie widziałam mężczyzny słabszego niż Vic Serotonin – oznajmiła stanowczo. – Uwierz mi, poznałam ich sporo. – Roześmiała się. – I pieprzyłam się ze wszystkimi, nie licząc samego Vica.

Ta rozmowa odbyła się blisko pięćdziesiąt tysięcy kilometrów od planety. Antoyne zapewnił, że wiedzą już o statku wszystko, czego można się dowiedzieć, nie wypływając nim z plaży w morskie fale. Teraz mieli włączyć napęd dynaflow i przekonać się, czy *Nova Swing* przeżyje to brutalne wyzwanie rzucone fizyce. Nim jednak będą mogli to zrobić, muszą przelecieć przez rozległy obszar pełen tajemniczych wraków, w którym się aktualnie znaleźli. Ich silniki żarzyły się jasno jak napęd pSi w inteligentnej mgłę nanotechnologii przypominającej zjonizowany gaz. Holowniki ciągnęły albo pchały ogromne rdzewiejące statki. To był region zwiększonej aktywności, otaczający planetę na podobieństwo skorupy, czoło rozchodzącej się na wszystkie strony fali o grubości dwóch, trzech tysięcy kilometrów. Irene wyglądała przez bulaj. Stwierdziła, że poznała w jakimś stopniu ludzi,

choć to wystarczająco trudne, ponieważ jest ich bardzo wielu, ale kosmos nigdy nie przestanie jej zaskakiwać swymi niewyczerpanymi cudami.

– Co to za statki? – wyszeptwała.

– Orbita kwarantanna rośnie z dnia na dzień – wyjaśniła Liv Hula.

Straint Street: Edith Bonaventure rozmontowała stary, obity blachą bar Liv Huli i kazała wybudować w tym miejscu małą scenę. Zerwano podłogę, zastępując ją czarnymi i białymi płytkami. Ściany pokryto boazerią z fałszywego mahoni o ciepłej barwie matowego oranżu. Pozbyła się wiszących u sufitu wentylatorów i zamontowała na ich miejsce żyrandole. Zainstalowała też nowy bar, wykonany z jednej długiej bryły stopionego szkła. Za nim umieszczono szklane, podświetlone półki.

Owa zmiana klimatu wymagała światła. Dominującym tematem baru była sama Edith. Ulokowała tu wszystkie swoje pamiątki, z którymi nawiązała teraz inny, znacznie pewniejszy i bardziej kreatywny związek. Światło było wszędzie. Złociło klawiatury pięćdziesięciu albo sześćdziesięciu akordeonów zamkniętych w luksusowych gablotach z wyściółką we wszystkich możliwych odcieniach różu, od łososiowego po neoteniczny; odbijało się w przejrzystej żywicy pokrywającej rdzawobrazowy i imbirowy metaliczny lakier jak w płytkich zbiornikach wodnych; atakowało kąciaki oczu odbiciami i wzorami interferencyjnymi o nieziemskim wyglądzie. Na każdym pasku umieszczono lśniące w tym blasku srebrne sprzączki, a do okleiny z jedwabistego pozaziemskiego drewna przytwierdzono mosiężne rakiety, dominowały jednak chromowane emblematy spadających gwiazd.

– Dlatego że tym właśnie byłam w owych czasach – tłumaczyła wszystkim Edith.

Dwa razy na tydzień wychodziła na scenę i grała standardy tanga przy pełnej słuchaczy sali. Dodawała też różne ciekawostki i mało znane kawałki, by zademonstrować bogactwo swej techniki. Niektóre z nich – na przykład *Lindie's Alcine Rein*, będąca w rzeczywistości polką napisaną na instrument, który pochodził sprzed pięciu milionów lat i nikt nie był pewien, jak powinno się na nim grać – również zdobyły popularność. Choć ściągnęła z różnych miejsc halo przygasłe reklamy swych występów sprzed dwudziestu lat i rozpuściła je po sali, nikt o niej nie pamiętał. Uznano jej występy za coś nowego i zaskakującego. Edith nie przejmowała się tym. Uważała, że wystarczy, że ma szansę odkryć siebie na nowo. Stała oszołomiona w blasku reflektorów ze swym pasem akordeonowym, twarzą barwy glinki kamionkowej, w przyciasnym kostiumie (tej nocy być może kowbojskim), i ledwie mogła odróżnić siebie od trzynastoletniej Małej Akordeonistki z hologramu. Znowu zaczęła się czuć niezgrabnie bez brzemienia instrumentu, jakby uważała, że zawsze już będzie musiała wyginać się do tyłu w talii. Po południu ćwiczyła nowe melodie.

Edith zawsze była obecna w lokalu, ale nie stała za barem. Do tego celu zatrudniła byłego plażowego króliczka Liv, który używał nazwiska Nicky Rivera, ponieważ lubił luksusowe walizki tej firmy. To był trafny wybór. Nicky zamieszkał w pokoju na piętrze i nie wywoływał kłopotów. Naprawił zlew. Świetnie potrafił nawiązywać kontakt z ludźmi, co przyciągało klientów. Pomagał też przy organizacji nowych występów. Edith ściągała muzyków z całego miasta i po paru miesiącach mieli każdej nocy komplet.

Tango było nowością dla słuchaczy. Byli zadowoleni z siebie, ponieważ szybko się nauczyli, kiedy należy bić brawo, a kiedy pogrążyć się w zachwycie. Typowe dla tego audytorium były drogie koktajle i futra koloru miodu, a również – jak mówił Nicky – bielizna od Uoesta. Ci goście szukali rozrywki w podejrzanej dzielnicy i jeśli Edith liczyła na to, że jej wysiłki podniosą prestiż ulicy, z pewnością poczuła się rozczarowana. Zainwestowała jednak w siebie tak wiele, że sława jej lokalu

wybiegła daleko poza Straint Street, a nawet Saudade, docierając do Gwiazd Plaży i na drugą stronę halo. Musiała się tym zadowolić. Niewielu ludzi miało szansę dwukrotnie stać się nowością. Przestała grać pod bramą korporacyjnego portu. Zamiast tego umieszczała swe reklamy w firmach riksarskich, a potem również w samych liniach turystycznych.

Czasami płakała, słysząc aplauz na koniec wieczoru. W takich sytuacjach zwykła szeptać:

– Ten bis chciałabym zadedykować najważniejszej osobie w moim życiu, mojemu ojcu Emilowi:

Le Tango du Chat, które szczególnie lubił.

Tak właśnie bar Liv Huli zdobył nową nazwę.

Pewnego popołudnia przed Bożym Narodzeniem w lokalu można było zobaczyć samą Liv Hule. Siedziała przy stoliku z Małą Akordeonistką, pijąc wódkę i Brilliantine bez lodu. Rzeźnie genetyczne na Straint Street zamknięto wcześniej. Wzdłuż ulicy przebiegały gwałtowne, zimne powiewy, niosące tumany śniegu. Wewnątrz, na zakurzonej, nieoświetlonej scenie trzy nastoletnie siostry w wyszywanych cekinami kostiumach jednocześnie zerkały z ukosa na barmana Nicky'ego, który siedział na skraju sceny, pograżony w rozmowie z ich menedżerem.

– Nie sądzisz, że słońce i cień czasami wydają się równe sobie? – usłyszała jego słowa Liv. – Jedno i drugie w pewnym sensie przynosi oświecenie?

Mała Akordeonistka, której wrażliwość wyostrzyło trzydzieści lat spędzonych w barach, uśmiechnęła się, przyglądając się z uwagą twarzy drugiej kobiety.

– Podoba ci się to, co tu zrobiłam? – zapytała.

Liv nie była pewna. Zbliżało się Boże Narodzenie. Robiło się ciemno. Jutro stanie na progu nowego życia, stanie się raketowym jeźdźcem, dostarczającym nieposiadające listów przewozowych ładunki do nieznanym sobie portów położonych na planetach, o których usłyszała jako ostatnia. Niektóre z tych ładunków będą bardziej tajne od innych. Gdy Liv po raz pierwszy wróciła do Tanga Kota, kilka tygodni temu, była przygotowana na zmianę, ale jednocześnie bała się tego, co zobaczy. Kiedy weszła do środka, dziesięć lat jej życia zwinęło się nagle jak teoretyczne wymiary w staromodnych kosmologiach. Tak to już było. Wydawało się, że jakiś moment będzie trwał wiecznie, a potem nagle się kończył. Posuwając się naprzód, czas rozciągał tajemniczą kleistą substancję, która utrzymywała cię w miejscu, aż wreszcie więź przerywała się gwałtownie i nie byłeś już tą samą osobą, co przed uwięzieniem, ani tą samą, co podczas niego. Najokrutniejsze było jednak to – o czym właśnie przekonała się Liv – że nie stawałeś się też kimś zupełnie nowym. Zastanawiając się nad tym problemem, powiedziała niespodziewanie:

– Wygląda na to, że odniosłaś wielki sukces.

– Obiecałam, że nie będę ulegała sentymentom – odparła Edith i przyniosła jeszcze jedną kolejkę.

Przysiedli się do nich Irene i Gruby Antoyne, który po raz pierwszy przyszedł do Le Tango. Irene była przekonana, że powrót na dawne śmieci może budzić mieszane uczucia. Musiała przyznać, że zapomniała już, jak kiedyś wyglądało wewnątrz Czarnego Kota, Białego Kota, choć jego wspomnienie zawsze będzie się mieszało z częścią jej życia, której nie miała serca się wyrzec. Grubas tymczasem pokręcił się po lokalu, a potem wdał się w grę w Hughie Trzy Fiuty z barmanem Nickym, więc nikt nie wiedział, co myśli. Czas mijał. Po kilku dalszych kolejkach wyruszyli we troje na Carver Field. Odprowadzając Liv do drzwi, Edith pomyślała, że szkoda, że jest za wcześnie, by można było zauważyć, jak dobry interes zrobiła.

– Chociaż nawet o tej porze ruch nigdy nie był tak słaby – przyznała.

Gdy już sobie poszli, nawołując do siebie: „Hej, to śnieg!” głosami cichnącymi w oddali, Edith wzięła swój aktualnie ulubiony instrument, stary, zużyty trzyczęściowy diatoniczny akordeon z miechem o kontrastowych barwach, w otwartym położeniu odsłaniającym asa kier – albo może rozchyloną

zachęcająco pochwę – i zagrała kilka tonów. To jednak jej nie zadowoliło. Nie chciała już więcej pić. Otworzyła jeden z notesów Emila, które zawsze miała przy sobie, i przerzuciła kartki. O piątej do baru weszła wysoka kobieta i usiadła za stolikiem obok drzwi.

Miała blond włosy, bardzo krótko ostrzyżone, i poruszała się z każącą spierdalać gracją, jaką mogli osiągnąć tylko ludzie o intensywnych krawieckich udoskonaleniach. Po wewnętrznej powierzchni jej przedramienia płynął strumień danych pod postacią ideogramów o orientalnym wyglądzie. Zaparkowała na krawężniku pod barem różowego roadstera cadillaca rocznik 1952. Kobieta często odwiedzała Le Tango. Wszyscy wiedzieli, że jest policyjnym detektywem i pracuje dla czegoś, co kiedyś nazywało się Wydziałem Przestępstw Strefowych. Można ją też było zobaczyć na walkach. Potrafiła rozpoznać talent, rozumiała ich modyfikacje. Znała Straint Street. Przychodziła wcześniej i wychodziła późno. Zamawiała podwójny rum Black Heart z lodem. Gapiała się na klientów, jakby dziwili ją i bawili w równym stopniu. Dziś wieczorem odesłała barmana Nicky'ego uśmiechem, mówiącym, że zapewne wkrótce spotkają się znowu, a potem skinęła głową do Edith Bonaventure.

– Dobra książka? – zapytała. – Ciągłe ją czytasz.

A jednak noc okazała się ruchliwa. Gościnnie występował dziś dwuosobowy zespół z jakiegoś nadmorskiego baru na Corniche: starszek, który kupił od wuja Suwaka wygląd Samuela Becketta, i młodzieniec w o numer za dużym garniturze, klawisze i saksofon, bebopowy jazz, zbiorowa, inteligentna dekonstrukcja prostych, popularnych melodii. Edith nie czuła tej muzyki, ale z pewnością podobała się ona korporacyjnej klienteli, przychodzącej tu raz w tygodniu, by rozmawiać głośno przy piwie Giraffe. O trzeciej nad ranem było po wszystkim. Muzycy spakowali instrumenty, wzięli pieniądze i rozplynęli się w nocy. Wiatr wciąż niósł ulicą suchy śnieg, który nie chciał opadać na ziemię. Barman powiedział „dobranoc” i poszedł na górę. W lokalu zostały tylko Edith i kobieta z policji. Tak było przez większość wieczorów. Siedziały przy oddzielnych stolikach. Od czasu do czasu któraś z nich unosiła wzrok i uśmiechała się do drugiej albo podchodziła do drzwi, by wyrzec na Straint Street, kierując wzrok w stronę strefy zdarzenia. Rakieta startująca z niekorporacyjnego portu przecięła niebo jak nożyczki.

PODZIĘKOWANIA

Inna wersja rozdziału pierwszego została opublikowana na Amazon.com pod tytułem „Tourism”; kilka akapitów rozdziału dziesiątego ukazało się w „Locusie” jako fragment eseju. Swój wkład wnieśli też Luis Rodrigues, który podsunął mi myśl o *Saudade*; Jukka Halme, któremu zawdzięczam fińskie tango; Zali Krishna, który nie tylko świadczył usługi webmastera, lecz również rzucił okiem na rękopis; oraz Philippa McEwan, która pozwoliła mi pisać w swoim domu. Rodzina Phillipsów jak zwykle wykazała wielką życzliwość i służyła mi wsparciem.

[1] Aquacise - potocznie nazwa ćwiczeń fizycznych w płytkiej wodzie (przyp. tłum.).

[2] Mitologia - potocznie określenie metody wykonywania jakiegoś skomplikowanego zadania, sugerujący, że mówiący nie rozumie tej metody albo nie wierzy w jej skuteczność (przyp. tłum.).